



fabryka słów
WYDAWNICTWO



ADAM PRZECHRZTA



DEMONY WŹJNY

CZEŚĆ 1



ADAM PRZECHRZTA



DEMONY WŹJNY

CZĘŚĆ 1

fabryka słów®

Lublin 2013

Spis treści

Karta tytułowa

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Posłowie

Adam Przechrzta

Książki Adama Przechrzty

Karta redakcyjna



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zbudził mnie jak co rano kaszel Timofieja Michajłowicza. Wojskowy szpital numer trzystaście – pechowa liczba, ale przecież prawdziwi komuniści nie wierzą w przesady – specjalizował się w leczeniu odmrożeń. Między innymi. Tyle że Michałycz, jak pozwalał nazywać się innym pacjentom, złapał też zapalenie płuc. Kiepska sprawa w jego wieku, mój sąsiad liczył sobie pod sześćdziesiątkę. Michałycz był czołgistą, dowódcą pułku, kilkakrotnie nagradzanym Orderem Lenina. Szpital numer trzystaście przyjmował tylko prominentów.

Odgłos energicznych kroków poprzedził nadejście siostry oddziałowej. Po chwili trzasnął kontakt i ujrzałem surową twarz Warwary Siemionownej.

– Jak tam, chłopcy? – spytała.

Siostra Warwara pozwalała sobie czasem na poufałości z pacjentami – jednostronnie. Nawet leżący dwie sale dalej generał NKWD nie odważył się zwracać do niej inaczej niż na wy.

– W porządku – wycharczał Michałycz.

– Dzień dobry – mruknąłem bez przekonania.

Jakkolwiek by na to patrzeć, dzień z pewnością nie był dobry. Wyglądałem jak mumia faraona: bandaże pokrywały moją twarz, ręce i nogi. Odmrożenia. O krok od gangreny.

– Nie stękaście, pułkowniku – ofuknęła mnie ostro Warwara Siemionowna. – I tak mieliście cholerne szczęście!

Rzeczywiście, biorąc pod uwagę, że przeżyłem jako jedyny z całego oddziału i przeleżałem kilka dni w wilczej jamie przy parunastostopniowym mrozie, można

było mówić o szczęściu. Teoretycznie. W praktyce groziła mi gangrena i co najmniej amputacja. Bywało, że interwencja chirurga nie wystarczała, nie dalej jak tydzień temu zmarł tuż po operacji major Zubow, a zdarzały się i straty... pozamedyczne. Ot, taki na przykład Wańka Bołotnikow wyskoczył z okna w godzinę po odwiedzinach żony. Baba przyniosła do podpisu dokumenty rozwodowe, nie była zainteresowana beznogim pułkownikiem. Ja nie miałbym szansy nawet na coś takiego, okna w naszej izdebce zabezpieczono kratami, a na korytarzu czuwała warta – osobiste polecenie towarzysza Berii. Byłem zbyt cenny, żeby dali mi się zabić. W dwa dni po akcji w Aleksandrowce ruszyła nasza ofensywa, niedługo później znaleźli mnie zwiadowcy. W podziemnej norze, na zwłokach esesmana z wyciętym sercem... Ścisnąłem podobno w garści niemiecki pistolet maszynowy z na wpół opróżnionym magazynkiem i zakrwawiony nóż. Jakiś geniusz doszedł do wniosku, że osaczony bronielem się tam przed Szwabami przez kilka dni, a zagrożony śmiercią głodową wolałem zjeść ciało wroga, niż się poddać. O wydarzeniu doniesiono towarzyszowi Berii, a później Gławkomowi. Decyzją samego Stalina zostałem awansowany do stopnia podpułkownika i odznaczony Gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego. Przetransportowano mnie też do najlepszego szpitala, oddano pod opiekę znakomitych lekarzy. Tylko że skóra pod bandażami nadal była nieczuła i pokryta pęcherzami. Takie to i szczęście.

Warwara Siemionowna podeszła do łóżka mojego sąsiada, sprawdziła puls i temperaturę, odwinęła bandaż. Zaciskając zęby, zdołałem unieść się na łokciach i zerknąć zza pleców siostry Warwary: palce u nóg Michałyczka były czarne. Zdradziecka czerń wpełzła też wyżej, na stopy czołgisty. Pomimo intensywnego zapachu antyseptycznej maści poczułem odór zgnilizny. Gangrena. A przecież jeszcze kilka dni temu lekarz dawał mi nadzieję, jak mnie...

– Jest poprawa? – zapytał z nadzieją w głosie Timofiej Michajłowicz.

– Tak sobie.

Przełknąłem ślinę: Warwara Siemionowna mówiła łagodnie, jakby uspokajała dziecko. Znacząco niedobrze, bardzo niedobrze. Michałycz pójdzie pod nóż...

– Warwara, Warwaroczka... – jęknął błagalnie Michałycz. – Może jeszcze trochę poczekać? Może...

Przerwał mu nagły napad kaszlu.

– Ciii... Leżcie spokojnie, zaraz zaparzę wam herbatki z miodem.

I znowu ten sam kojący ton, miękki, lecz nieznoszący sprzeciwu, wytrenowany przez lata pracy. Ton, którym siostra oddziaływała uspokajająco na przerażonych, śmiertelnie chorych pacjentów. I żadnych uwag co do „Warwaroczki”. Żle.

Bez najmniejszych oznak obrzydzenia Warwara Siemionowna dokończyła opatrunek i zebrała przesiąknięte śmierdzącą ropą gaziki.

– Ja za momencik – rzuciła, wychodząc. – Już nastawiam wodę.

Na korytarzu rozległ się czyjś śmiech, po chwili zawtórowały mu młode, dziewczęce głosy. Zerknąłem na zegarek: szósta trzydzieści. Koniec nocnej zmiany. To nie szpital polowy, gdzie zdarza się, że personel pracuje po trzy doby bez przerwy.

Głośny stukot obcasów świadczył, że dziewczęta ruszyły na obchód. Za dwie godziny pojawią się lekarze; ci zadecydują, kto wyląduje dziś na stole operacyjnym, a kto jeszcze powalczy. Po południu przyjdzie czas na zajęcia rehabilitacyjne, na wyższych piętrach umieszczono ozdowieńców. Nawet jeśli komuś się powiodło i uniknął noża chirurga, rzadko kiedy obywało się bez komplikacji. Odmrożenia niemal zawsze skutkowały zaburzeniami w krążeniu, trzeba było mozolnie przywracać sprawność wyleczonych kończyn.

Nagle męczący, charkotliwy kaszel Michałycza zakłócił jakiś nowy dźwięk. Niespodziewany i dziwnie nie na miejscu: dowódca gwardyjskiego pułku pancernego, człowiek, który w kilka maszyn powstrzymał przez godzinę atak trzech kompanii szwabskich czołgów, płakał.

– Michałycz! – powiedziałem bezradnie. – No daj spokój, Michałycz. Wszystko będzie... – nie dokończyłem.

Obaj wiedzieliśmy, że nie będzie dobrze: amputacja obu stóp to nie byle co. Do tego zapalenie płuc... Czołgista zdawał sobie sprawę, że szanse ma niewielkie. Niby nic nowego dla frontowca, ale nie chodziło przecież o żołnierską śmierć z kulą w sercu czy – niechby nawet! – w płonącym czołgu. Takiej śmierci Michałycz spoglądał w oczy nie raz i nie dwa. I nie spuszczał wzroku. Tu ułożą go na stole bezradnego jak niemowlę i w ciągu godziny czy dwóch zamienią z mężczyzny w kalekę. A później, kiedy już ostrugają ze zgangrenowanej tkanki niczym tępy ołówek, przyjdzie się jeszcze pomęczyć, zanim wraz z krwawą flegmą ujdzie z niego życie.

– Aleksandrze Nikołajewiczu – odezwał się po chwili – obiecacie mi... – Zacharczał z wysiłkiem, zagrało mu w płucach. – Musicie mi obiecać... – Splunął soczycie do ustawionej przezornie przy łóżku miski.

– Tak?

– Mam córkę, obiecacie, że się nią zaopiekujecie.

Wybuchnąłem suchym, bezradnym i – nie ma co ukrywać – nieco histerycznym śmiechem.

– Zaopiekować się waszą córką? W moim stanie?! Toż za dzień czy dwa sam wyląduje w operacyjnej!

– Nie – odparł spokojnie Michałycz. – Nie wy.

– Naprawdę?! – zadrwiłem. – Prawdziwy z was jasnowidz!

Przez chwilę panowała niemal całkowita cisza, słychać było tylko świszczący oddech Michałycza.

– Nie umrzecie! – powtórzył z naciskiem czołgista. – A przynajmniej nie teraz. Ja...

jestem tego pewien.

– Skąd to przekonanie? – spytałem z mimowolnym zainteresowaniem.

– Będziecie się śmiali...

– A co, to jakiś dowcip?

Michałycz ponownie umilkł, zdawało się, że zbiera myśli, minęło kilka minut.

– Moja rodzina pochodzi z Syberii – powiedział wreszcie. – Babka była Rosjanką, ale dziadek Jakutem. Kowalem. Przed rewolucją znaczyło to tyle co szaman. Był znachorem i... – zawahał się – potrafił ujrzyć przyszłość. To dar, w mniejszym czy większym stopniu mają go wszyscy w mojej rodzinie. Ja też.

– Rzeczywiście – wycedziłem. – To widać...

– Razumowski – odparł ze znużeniem Michałycz – przestańcie się czepiać. Szkoda czasu. Tak, nie przewidziałem, że zdechnę w tym szpitalu. Zadowolony?! Taki dar, jak i każdą inną zdolność, trzeba pielęgnować. A ja cóż, sami rozumiecie: ateizm, partia... Wiedziałem, że nie zginę w walce, dlatego spróbowałem powstrzymać to szwabskie natarcie. I udało mi się! Doczekaliśmy pomocy, ale bitwa trwała trzy dni, nie było czasu na zmianę bielizny czy ciepłą kąpiel, a bywało, że brodziliśmy po kolana w śniegu... później, kiedy rozwalili nam czołgi. No i się porobiło...

– Rozumiem, że macie wizje?

– Uch – stęknął Michałycz. – Uparty jak muł. Zrozumcie, że...

– Herbatka! – zawołała, stając w progu, Warwara Siemionowna. – Gorąca, z miodem.

Siadła na skraju łóżka, włożyła Michałyczowi kubek w dłoń.

– Pijcie, zanim ostygnie – zachęciła.

Czołgista siorbnął gorącego płynu, jego twarz zastygła w bezruchu jak wyrzeźbiona w kamieniu. Herbatka z miodem dobra rzecz i w sumie – przynajmniej w tym szpitalu – nic nadzwyczajnego. Wystarczy poprosić, a siostrzyczka przyniesie ci kubek pachnącego lipą płynu. Wystarczy poprosić. Tyle że od tego są pielęgniarki, a nie siostra oddziałowa. Warwara Siemionowna to zajęta kobieta, Bogiem a prawdą to ona właśnie, a nie któryś z lekarzy, utrzymuje porządek w szpitalu. Bywa, że osobiście zajmuje się pacjentami, ale posiedzieć przychodzi tylko w jednym wypadku: na pożegnanie. Nie, nie przed wypisem! Siostra Warwara nie traci na to czasu, nie podlizuje się nikomu; kiedy przychodzi się pożegnać, ma to charakter zdecydowanie bardziej... ostateczny. Leżymy z Michałyczem na parterze, wraz z innymi, których uznano za będących „w poważnym stanie”. Stąd są tylko dwie drogi: do góry – dosłownie, na wyższe piętra, gdzie umieszcza się pacjentów idących na poprawę, i w dół, do piwnicy, gdzie mieści się szpitalna kostnica. Nie ma co kryć, Warwara Siemionowna przyszła się pożegnać.

Michałycz dopił spokojnie herbatę, bez słowa oddał opróżnione naczynie. Bo i o czym tu gadać? Jego życie można było liczyć na godziny: najpierw stół

operacyjny, później piwnica. Operacja to nieodzowny etap, lekarzom nie wolno poddać się bez walki. Nie w tym szpitalu.

Warwara Siemionowna podniosła się ociężałym ruchem, pogładziła czoło Michałycz. Znienacka jej dłoń zacisnęła się na pizamie czołgisty, jakby chciała zatrzymać go za wszelką cenę, nie dopuścić, by upadł w bezdenną, niezbadaną otchłań. Coś błysnęło w oczach siostry oddziałowej, na moment spod nakładanej na co dzień maski wyjrzała zrozpaczona kobieta.

– Wszystko w porządku, Warwaroczka, wszystko w porządku. – Michałycz poklepał ją po dłoni.

Znowu spokojny i budzący szacunek. Dowódca, pułkownik pancерnej gwardii.

W drzwiach stanęła młoda sanitariuszka, gestem wywołała Warwarę Siemionownę na korytarz. Może to i dobrze: czasem w najtwardszym człowieku coś pęka, ale lepiej, żebyśmy nie widzieli siostry oddziałowej w takim stanie. A mnie i tak niewiele potrzeba, jeszcze trochę, a zacznę szlochać jak Michałycz...

– Saszka – odezwał się mój sąsiad – obiecaj...

– Michałycz, na litość boską! – warknąłem. – Co ja ci mogę obiecać?!

– Zaczynj walczyć, zamiast rozczulać się nad sobą – powiedział ostro. – Ja już jestem po tamtej stronie, ale ty, jeśli zechcesz, dasz radę!

– Walczyć?! A jak, kurwa, można walczyć z gangreną?! Może sam byś powalczył? W końcu to ty jesteś wnukiem szamana!

– Nie masz jeszcze gangreny! Możesz z tego wyjść!

– Ciekawe jak?

– Nie wiem – odezwał się z udręką w głosie. – Jednego jestem pewien: nie licz na łapiduchów, musisz sam coś wykombinować.

– Dziękuję za przepowiednię, teraz już wszystko jasne! – odparłem sarkastycznie.

– Moja córka to Elena Szewieliewa. Mieszka w Moskwie na ulicy Frunze – powiedział, nie zwracając uwagi na moje protesty. – Z tobą będzie bezpieczna – dodał po chwili.

Znienacka ogarnęła mnie fala zmęczenia, z trudem zaczerpnąłem tchu, czułem się, jakby ktoś usiadł mi na piersi.

– Michałycz, czy ty wiesz w ogóle, czym ja się zajmuję? – spytałem ze znużeniem. – Gdybym nawet jakimś cudem wyzdrowiał, to byłbym ostatnią osobą, która mogłaby zapewnić bezpieczeństwo twojej córce. *Wojennaja razwiedka* to nie kwatermistrzostwo!

– Mimo wszystko – odparł niewzruszony. – Ja...

Przerwał, usłyszawszy kroki na korytarzu. To nie był stukot damskich obcasików, nadchodzący nosili ciężkie wojskowe buciory. Sanitariuszki. Sala zabiegowa mieściła się na pierwszym piętrze, chorego na operację trzeba było przenieść. Mimo woli skuliłem się niczym przerażone dziecko, może to nie do nas...

Drzwi uchyliły się niespiesznie, jakby wchodzący wahał się, czy je otworzyć.

– Michałycz – powiedziała przepaszającym tonem Warwara Siemionowna – już pora.

Nie tłumaczyła, o co chodzi, i tak wszystko było jasne. Nie zajął do nas żaden lekarz, znaczy sprawa jest oczywista: trzeba ciąć. W końcu gangrenę potrafi rozpoznać nie to, że siostra oddziałowa, ale pierwsza lepsza pielęgniarka. Szkoda czasu na dodatkowe oględziny.

– Jak trzeba, to trzeba – wycedził Michałycz przez zaciśnięte zęby.

Bez słowa protestu pozwolił ułożyć się na noszach, zamknął oczy.

– Saszka? – rzucił pytającym tonem, kiedy sanitariusze dźwignęli go z podłogi.

– W porządku – westchnąłem. – Obiecuję. O ile wyjdę z tego cały. – Z naciskiem zaakcentowałem ostatnie słowo.

– Niech cię Bóg błogosławi – powiedział drżącym głosem Timofiej Michajłowicz.

Sanitariusze zamarli z wrażenia, popatrzyli niespokojnie na Warwarę Siemionownę. No bo jakże to tak? Pułkownik, kawaler Orderu Lenina i wzywa Boga?

– Na co czekacie? – rzuciła niecierpliwie siostra oddziałowa. – Do operacyjnej z nim!

Tak jakby nie słyszała słów Michałycza. No i nie dziwota, Warwara Siemionowna miała charakterek, pacjenci „Trzynastki” wciąż opowiadali sobie, jak uspokoiła pewnego generała, grożąc mu wyrwaniem cewnika, ale z pewnością nie była donosicielką. Co to, to nie! Zresztą nikt by się nie przejmował takim donosem, bo i co mogli zrobić Michałyczowi? Wyrzucić go z partii? Wolne żarty! Obecnie jakby mniej nachalnie przypominano o jedynym słusznym podejściu do religii. Najważniejsza była wojna, na szerzenie ateizmu i rozliczenia z nieprawomyślnymi przyjdzie czas później. Przykład dał sam towarzysz Stalin – kiedy napadli nas Niemcy, przemawiając przez radio, użył sformułowania: „bracia i siostry”. Niedługo później metropolita Sergiusz wezwał wiernych do obrony ojczyzny. Nie bez aprobaty Głównodowodzącego.

Sanitariusze wynieśli Michałycza, a Warwara Siemionowna zabrała się do zmiany moich opatrunków. Nie powiedziała ani słowa, w powietrzu wyczuć się dawało tylko ostry zapach leków, ani śladu gangrenowego smrodu, ale siostra oddziałowa nie wyglądała na zadowoloną. Nie widziałem swojej twarzy, ale wystarczyło popatrzeć na ręce i nogi, aby zrozumieć, że nie ma powodów do radości: obrzęki, purpurowa, pokryta pęcherzami skóra. Tak jak tydzień temu u Michałycza...

– Warwaro Siemionowna – odezwałem się niepewnie – chciałbym was prosić o przysługę.

– Tak?

Ton i mina siostry oddziałowej nie zachęcały do konwersacji. Gesty, wyraz rozumnej, pokrytej zmarszczkami twarzy przypominały drapieżnego ptaka; jeszcze chwila, a zerwie się i zaatakuje. Oj, biedny ten, kto jej się dzisiaj narazi... Tylko że nie

miałem wyjścia, musiałem załatwić pewne sprawy. Na wypadek gdybym miał skończyć jak Michałycz.

– Mogłaby siostra wezwać doktora Nikonowa?

– Jak to wezwać? Na konsultację? Przecież to neurolog!

– Zna go siostra?

– Wszyscy go znają – odburknęła. – Jako młoda dziewczyna chodziłam na jego wykłady, jeszcze przed rewolucją. Po co on wam?

– Chodzi o sprawy osobiste – odparłem wykrętnie.

– Nie możecie zadzwonić? Telefon jest w korytarzu, wystarczy przeciągnąć kawałek kabla, na pewno któryś z tych enkawudzistów, jacy się tu kręcą, wam pomoże!

Złapałem ją za rękę, zanim zdołała wstać. Nie próbowała się wyrwać – i dobrze! – zapewne nie posłużyłoby to moim dłoniom pomimo grubej warstwy bandaży.

– Kiedy nie mogę – wymamrotałem. – Wiem, jak to wygląda, ale ci czekaści nie są moją ochroną, jeśli już, to raczej mnie pilnują.

– Pilnują?! Was? Kawalera Złotej Gwiazdy Bohatera Związku Radzieckiego?

– Nie we wszystkim zgadzamy się z towarzyszem Berią. – Odwróciłem wzrok. – Do tego pomiędzy wywiadem wojskowym a NKWD panuje pewne... napięcie.

– O co chodzi? – spytała szorstko. – Tylko konkretnie i bez kłamstw.

– Moja... kochanka dostała dwadzieścia lat, jej mąż zgłosił się do Hiwi. Zostawiła kilkuletnie dziecko, czekaści go nie znaleźli, fakt, że i nie szukali specjalnie. Oddałem malucha pod opiekę pewnej kobiecie, ale nie za darmo. Jeśli coś mi się stanie... Muszę wydać rozporządzenia na wszelki wypadek. Z oczywistych względów: nieoficjalnie.

– I Edward Piotrowicz wam w tym pomoże?!

– Po cholere chcecie to wiedzieć?! – warknąłem wyprowadzony z równowagi. – Macie zamiar zapewnić mu parę lat na państwowym wikcie? On i tak już odsiedział swoje za Kołczaka!

Przez dobrą chwilę Warwara Siemionowna mierzyła mnie spokojnym wzrokiem, wreszcie westchnęła głęboko.

– Gdybyś nie był taki chory, dałabym ci po pysku, synku – powiedziała. – Od razu poprawiłyby ci się maniere.

– Przepraszam, nie chciałem...

Powstrzymała mnie stanowczym gestem, mimo ostrych słów nie wyglądała na rozgniewaną.

– Przynajmniej wiem, że naprawdę znasz Edwarda Piotrowicza. On rzeczywiście siedział za Kołczaka.

– Pomożecie mi?

– Poproszę Edwarda Piotrowicza, żeby cię odwiedził. – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem, czy się zgodzi.

– Dziękuję.

Warwara Siemionowna zebrała zużyte opatrunki i wyszła bez słowa. Cóż, zrobiłem, co mogłem, pozostawało czekać.



Ocknąłem się zdrętwiały od porannego chłodu: nieszczelne okna wpuszczały mroźny zimowy wiatr. Tym razem w izdebce było cicho, zbyt cicho, po raz pierwszy od niemal miesiąca nie słyszałem kaszlu Michałycza. Czołgista przetrzymał operację, ale zaraz po zabiegu umieszczono go w izolatce. Jak twierdziły pielęgniarki, rokowania były nienadzwyczajne. Nic dziwnego, amputacja obu stóp to nie przelewki. Do tego jeszcze płuca – sam widziałem, jak Michałycz splotował krwią. Oj, nie pożyje nam długo wnuk jakuckiego szamana...

Stękając z wysiłku, przekręciłem się na bok; ze względu na odmrożenia mogłem się poruszać jedynie w ograniczonym zakresie. Poprzedniego dnia podczas wieczornego badania Warwara Siemionowna poinformowała mnie, że na domiar złego grożą mi odleżyny. I nakazała częstą zmianę pozycji. Jak się wyraziła: „w miarę możliwości”. Problem w tym, że możliwości miałem nienadzwyczajne. Do tego zabiegi mające przeciwdziałać odleżynom były – nie ma co ukrywać – dość krępujące: dwa razy dziennie oklepywano mnie tu i ówdzie, łącznie z obszarami, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę. Na „procedury” przychodziła do mnie młoda, ładniutka siostrzyczka imieniem Tania, jednak stan, w jakim się znajdowałem, wykluczał jakąkolwiek satysfakcję z poklepywania po tyłku przez, było nie było, atrakcyjną dziewczynę. Ech, Razumowski, czas umierać, skoro nawet piękne kobiety cię nie interesują...

Poranną ciszę – szpital jeszcze spał – przerwało energiczne pukanie. Ki czort? Toż to nie kurort czy pensjonat, tu nikt nie przejmuje się prywatnością pacjentów.

– Proszę – powiedziałem niepewnie.

W drzwiach pojawił się mężczyzna w mundurze kapitana NKWD. Skądś pamiętałem tę twarz o ostrych, jakby wykutych w granicie rysach. Tylko skąd?

– Ma pan chwilkę, pułkowniku? – spytał.

Wtedy go poznałem: ostatnio widzieliśmy się na Łubiance, przed prywatnym apartamentem Berii. Kapitan był ochroniarzem Genkoma. Jednym z najbardziej niebezpiecznych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. Co on robi w szpitalu?

– Słucham?

– Macie gościa, pułkowniku, to niejaki profesor Nikonow. Siostra oddziałowa twierdzi, że sam go pan zaprosił, ale wołałem się upewnić, zanim go do was

wpuszczę.

– Wszystko w porządku – wymamrotałem. – Dawajcie go tutaj.

– Tak jest! – odparł służbiście, choć z niemal niezauważalną nutką dezynwoltury w głosie.

Po chwili do izby wszedł niepewnym krokiem Nikonow. Doktor – a może jednak profesor? – Nikonow. Wątpliwe, aby czekał nie znali jego osiągnięć naukowych. Było też więcej niż pewne, że wiedzą wszystko i o osiągnięciach pozanaukowych mojego znajomego.

Z lekkim zdziwieniem zauważyłem, że enkawudzista zniknął, cicho zamykając za sobą drzwi. Czyżby rzeczywiście mieli zamiar pozwolić mi na nieskrępowaną rozmowę z Nikonowem? A może w pokoju był podsłuch? Cholera by to wzięła! Wyglądało, że cały mój plan wziął w łeb: czekał wiedzieli o wizycie Nikonowa, jeśli go przesłuchają... W tej sytuacji rozmowa na temat małego Pokrowskiego nie miała sensu, najpierw musiałbym wyjaśnić powód, dla którego znalazł się tu zaufany człowiek komisarza Berii. Co innego rutynowy nadzór, co innego obecność osobistego ochroniarza Genkoma. Z drugiej strony, o ile się orientowałem, facet specjalizował się w ochronie fizycznej, a nie inwigilacji. I jeśli miał mnie szpiegować, to dlaczego, u licha, zdemaskował się w taki głupi sposób? W tej całej historii było coś, czego nie rozumiałem.

– Proszę zawołać tego kapitana – poleciłem lekarzowi. – Póki się z nim nie rozmówię, lepiej będzie, jak poczekacie na korytarzu.

Nikonow wyszedł pospiesznie, wyglądało, że tylko szukał pretekstu, aby opuścić pomieszczenie. Nie dziwiłem mu się: nikomu nie sprawiało przyjemności zainteresowanie NKWD.

– Pułkownik? – odezwał się grzecznie enkawudzista.

Zauważyłem, że stanął niemal w pozycji zasadniczej. Swobodniej niż na baczność, ale nie na tyle, żeby można go było posądzić o brak szacunku. Tak jakby nie chciał mnie wkurzyć. Tylko kogo w NKWD obchodziło moje zdanie?

– Możecie jakoś wytłumaczyć swoją obecność w tym szpitalu? – spytałem bez ogródek.

Teoretycznie rzecz biorąc, można wyciągnąć z rozmówcy informacje na dowolny temat, w ogóle o nim nie wspominając. Gesty, mimika twarzy czy nawet ruchy gałek ocznych są w stanie wiele wyjaśnić, wystarczy wywołać odpowiednie skojarzenia, nie napomykając wprost o interesującej nas rzeczy. Tyle że obecnie nie było nawet sensu próbować. Taka rozmowa to pojedynek intelektów, a mój intelekt był aktualnie w równie kiepskim stanie co ciało...

– Dowodzę waszą ochroną – odparł bez namysłu oficer.

– Wy? Chcecie, żebym uwierzył, że towarzysz Beria oddelegował do tego zadania swojego najlepszego ochroniarza?

Przez usta kapitana przemknął cień uśmiechu, szybki niczym spadająca gwiazda.

– Jednego z najlepszych – poprawił pedantycznym tonem. – Nie martwcie się, Genkom nie zostanie bez odpowiedniej ochrony.

– Tak czy owak, to poniżej waszych kwalifikacji – burknąłem.

– Odnoszę wrażenie, że nie doceniacie się, pułkowniku – stwierdził enkawudzista.

– Generalny Komisarz ma w stosunku do was daleko idące plany.

– Jakie, do licha, plany?!

– Nie jestem wtajemniczony w detale. – Wzruszył ramionami. – Tak czy owak, póki nie wrócicie do zdrowia, nie ma o czym mówić. Ja mam tylko zapewnić wam bezpieczeństwo. Absolutne bezpieczeństwo – dodał z naciskiem. – Ta poranna wizyta Nikonowa nieco mnie zaniepokoiła, wyglądało to tak, jakby nasz drogi profesor chciał uniknąć spotkania ze mną... Stąd wolałem się upewnić, że istotnie go oczekujecie. I nie! – Podniósł obronnym gestem ręce. – Nie interesuje mnie, w jakim celu go wezwaliście i o czym będziecie rozmawiać! To wasza sprawa, poza obszarem moich zainteresowań. Chyba że chcecie, żebyśmy wam tu jeszcze kogoś sprowadzili? Jakby co, proszę się nie krępować, spełnimy wszelkie wasze życzenia. To także rozkaz towarzysza Berii – wyjaśnił, widząc, że przypatruję mu się niedowierzającym wzrokiem.

W głosie rozmówcy nie dosłyszałem nawet cienia fałszu, a wierzcie mi, znam się na tym. Enkawudzista mówił prawdę i tylko prawdę, przynajmniej tak, jak ją rozumiał. Lecz skąd ta nagła łaskawość Genkoma? Nie byliśmy wrogami – wtedy już bym nie żył – ale stwierdzenie, że cieszę się jakąś szczególną łaską towarzysza Berii, byłoby grubą przesadą.

Na naszych stosunkach kładła się cieniem sprawa pułkownika Kutiepowa, Genkom nie był też zadowolony z tego, jak potraktowałem Kamyszynów. Ten pierwszy został rozstrzelany za morderstwo generała Gurładze i próbę zamachu na samego Berię. Mimo że Generalny Komisarz w żaden sposób nie wyraził niezadowolenia z mojego udziału w sprawie Kutiepowa, jakimś szóstym zmysłem wyczuwałem, że podejrzewa mnie o wrobienie pułkownika w zabójstwo. Cóż, miał rację: rzeczywiście wystawiłem Kutiepowa, enkawudzista wszedł mi w drogę o jeden raz za dużo. Co do Kamyszynów, Genkom wyraził swoją zdecydowaną dezaprobatę, bo darowałem im szybką śmierć, co, jak przypuszczam, mocno kolidowało z planami towarzysza Berii... Gdyby nie akcja w Aleksandrowce, pewnie dosięgłaby mnie mściwa ręka Generalnego Komisarza. A tu proszę: nie tylko odpuszczono mi dawne winy, ale i można było zauważyć oznaki nieskrywanej życzliwości ze strony Genkoma. Czyżby wzruszyła go moja bohaterska postawa na polu walki? Wątpliwe, może i darowałyby mi za to Kamyszynów, w końcu z wnioskiem o Gwiazdę Bohatera Związku Radzieckiego wystąpił dla mnie sam towarzysz Stalin, ale na pewno nie organizowałyby mi osobiście ochrony w i tak przecież całkiem bezpiecznym szpitalu.

Tu musiało chodzić o coś więcej. Taaak, kiedy wyzdrowieję – o ile wyzdrowieję – będę musiał mocno pilnować pleców. Najwyraźniej towarzysza Beria czegoś ode mnie chciał...

– Dziękuję, kapitanie – westchnąłem. – Poproście doktora Nikonowa.

Enkawudzista bez słowa otworzył drzwi, przyzwał gestem medyka, a sam wyszedł na korytarz. Przez dobrą chwilę słyszałem oddalające się kroki. Ot, taka mała demonstracja na temat: „nie podsłuchuję pod drzwiami”. Nie żebym miał wątpliwości – z jakichś względów byłem w łaskach u towarzysza Berii. W tym momencie ważne było tylko to, że mogłem swobodnie porozmawiać z Nikonowem, wiedząc, że NKWD zostawi go w spokoju. Przynajmniej dopóki nie umrę, wówczas zasady gry zapewne zmieniają się radykalnie...

– Słucham was, majorze – spytał Nikonow, rozglądając się nerwowo. – Po czorta żeście mnie tu ściągnęli?!

– Macie alergię na szpitale? – warknąłem zirytowany.

– Mam alergię na czekistów – odburknął.

– Podejdźcie bliżej – rozkazałem. – Nie będę krzyczał.

Nikonow posłusznie przycupnął na łóżku.

– Pójdziecie do mojego mieszkania – poleciłem. – Najlepiej jutro. Klucze da wam pułkownik Poliakov. W biurku znajdziecie niewielką kasetkę, wewnątrz są dokumenty i pieniądze: sto imperiałów. Połowa złota jest wasza, w zamian za to zatroszczycie się o chłopaków. Będziecie płacić Kalininej tak, jak się umówiliśmy.

– Po co to wszystko? Bardziej odpowiadał mi nasz dotychczasowy układ.

– Mnie też, problem w tym, że mogę wyjść z tego szpitala nogami do przodu albo żywy, ale bez nóg. A wtedy najprawdopodobniej stracę mieszkanie: co innego pułkownik *wojennoj razwiedki*, a co innego nikomu niepotrzebny inwalida. Dlatego lepiej jak najszybciej zabrać tę kasetkę z chałupy.

– Pułkownik? – Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem.

– To długa historia – mruknąłem niechętnie. – Wy też nie chwaliliście się tytułem profesorskim. Nieważne. Zrobicie to?

– Niech będzie. – Machnął ręką. – Jeśli bezpieka postanowi się do mnie dobrać, to te parę złotych monet nie robi wielkiej różnicy. I tak nie przeżyję nawet roku w łagrze...

– Naprawdę jesteście profesorem?

– Przedrewolucyjnym – wyjaśnił. – Obecnie tytuł mi nie przysługuje.

Nikonow bezwiednym ruchem wziął w rękę niewielkie czerwone pudełeczko.

– Można? – zapytał. – Wygląda to jak...

Uchyliwszy wieczko, zamarł jak rażony gromem. W naszym kraju wszyscy wiedzą, co oznacza prosta złota gwiazda, nawet przedrewolucyjni profesorowie kołczakowcy.

– Więc wy... – urwał, najwyraźniej nie wiedząc, jak dokończyć.

– Jakie to ma znaczenie? – spytałem apatycznym tonem. – Na razie, dopóki żyję, jesteście bezpieczni. Jeśli umrę, uciekajcie. Może dacie radę im się wymknąć – dodałem bez specjalnego przekonania.

Cóż, gdybym był hazardzistą i chciał obstawić zakład: NKWD kontra profesor Nikonow, stawiałbym na bezpieczeństwo. Przynajmniej dziesięć do jednego, niezależnie od ilości złotych imperiałów, jakie miałyby do dyspozycji medyk. Takie życie...

Nikonow roześmiał się bezradośnie, najwyraźniej doszedł do podobnego wniosku.

– To może nie umierajcie? – zaproponował cicho. – I co z waszymi ludźmi? Staruszki się skarżyły, że nikt ich nie odwiedza. Myślały, że chociaż Wiera...

– Wszyscy zginęli – odparłem głucho.

– Jak to zginęli?! A Wiera?!

Głos mu się załamał, jakby chodziło o kogoś bliskiego. Widać polubił smarkulę. Jak ja...

– Wiera – odchrząknąłem z trudem – osłoniła naszą ucieczkę. Rozumiecie, wpadliśmy w zasadzkę. Wyrwała jednemu z Niemców granat i...

Nikonow wpatrywał się we mnie szklistym wzrokiem, nie wykazując najmniejszych oznak zrozumienia. Nie dziwiłem mu się, sam nie mogłem uwierzyć, że chłopaków i Wiery już nie ma.

– Idźcie już – poprosiłem. – Jestem zmęczony.

Później leżałem wpatrzony bezmyślnie w sufit, wsłuchiwałem się w odgłosy szpitalnego życia: rozmowy pielęgniarek i chorych, szczeł instrumentów, krzyki... Czulem ostry, nieprzyjemny zapach leków i dziwnie odpychającą woń jedzenia. Nie żeby z posiłkami było coś nie tak, wręcz przeciwnie, nasz kucharz przepracował dwa lata w kuchni jednego z najlepszych moskiewskich hoteli. Po prostu nie miałem apetytu. Co więcej, sama myśl o jedzeniu wywoływała mdłości. Od dzisiaj. Bo jeszcze wczoraj prosiłem o dokładkę.

Próbowałem robić miny pod otulającymi moją twarz warstwami bandaża, ale nie czulem niczego: żadnego skurczu mięśni, tarcia skóry o opatrunki. Nic. Za to moje ręce i nogi przenikał chłód, tak jakby wokół kostek i przegubów owijały mi się lodowate, studzące krew samym dotykiem węże. I pełzły w górę, ku sercu.



Gdzieś za ścianą grała muzyka, zapewne któraś z pielęgniarek włączyła radio. To nie był zwykły, tandetny aparat, jaki przed wojną można było kupić w każdym sklepie, ale coś wyraźnie obcej produkcji: dźwięk brzmiał krystalicznie czysto, no i grali jazz. Za taką muzyką u nas nie przepadano – zbyt mocno kojarzyła się z Ameryką, a nasze

radyjka nie łąpały zachodnich stacji. W sumie nic dziwnego, pacjentów „Trzynastki” nie brano z ulicy, pewnie któryś przywiózł sprzęt Philipsa, albo i nawet zdobycznego Telefunkena. Brawo Razumowski! Widać, że zachowaliście analityczne zdolności. No dobrze, resztki analitycznych zdolności.

Przewróciłem się na bok, sapiąc głośno z wysiłku. Mimo że starałem się to zrobić powoli, i tak pociemniało mi w oczach. Na stoliku obok łóżka stał nietknięty obiad: barszcz i gulasz z ziemniakami. Wszystko to podane na prawdziwej porcelanie. Ileż razy marzyłem o takim posiłku... Teraz tylko mnie drażnił.

Oddychałem płytko, w uszach krew tętniła jak werble. Nie jestem lekarzem, ale potrafię rozpoznać koniec: pułkownik Razumowski oddawał posterunek. Cóż, wyglądało na to, że niebawem osobiście zweryfikuję wartość naszej ateistycznej ideologii. Miałem nadzieję, że się nie zawiodę, jakikolwiek inny wariant byłby... żenujący.

Ponure rozmyślenia przerwało mi trzaśnięcie drzwi, uniosłem wzrok, spodziewając się zobaczyć pielęgniarkę, a może samą Warwarę Siemionownę, ale okazało się, że do mojej izdebki trafił niespodziewany gość: Nikonow.

– Co się stało? – spytałem zaniepokojony. – Nie znalazł pan pieniędzy?

Dopiero teraz dostrzegłem – przekłeta choroba! – że medyk trzyma w ręku teczkę z fotokopiami zapisków mistrza sekty Doskonałych. I ma mocno nietęgą minę: znaczy przeczytał gad!

– Po czorta żeście to przynieśli?! – warknąłem. – Mało wam oskarżeń o wspieranie Kołczaka, chcecie jeszcze dostać wyrok za sekciarstwo?! A może to prowokacja?

Rysy twarzy medyka wyostrzyły się w ułamku sekundy, przypominając zaciśniętą pięść.

– Gdyby nie był pan chory, wysłałbym panu swoich sekundantów – odparł zimno.

Mimo woli wybuchnąłem śmiechem. Sekundantów, dobre sobie!

– Natychmiast zniszczcie tę teczkę! – zażądałem.

– Nie ma mowy! – oznajmił twardo. – Nie teraz. Naprawdę nie rozumiecie? To dla was jedyna szansa!

– Jaka, kurwa, szansa?!

– Nie denerwujcie się. – Uniósł uspokajającym gestem dłoni. – Chciałbym zadać wam kilka pytań.

Nikonow przysunął sobie kulawe krzeselko, rozsiadł się wygodnie, poprawił okulary. Wyglądało, że zupełnie nie zdaje sobie sprawy, iż jeśli któryś z czekistów zajrzy do teczek, obaj wylądujemy w łagrze. O ile będziemy mieli szczęście, bo istniała też mniej przyjemna alternatywa: ślepy mur i pluton egzekucyjny. A przecież na każdej kartce widać było wyraźnie pieczętkę GRU i słowa: ŚCIŚLE TAJNE! Dziw, że cała ta przedrewolucyjna inteligencja nie wyginęła już dawno jak lemingi...

– Przeczytaliście cały tekst czy tylko fragmenty? – zapytał jakby nigdy nic.

– Fragmenty!

– Tak też myślałem – stwierdził z satysfakcją.

– I co z tego? – wycedziłem przez zęby.

– Rozmawiałem z lekarzami, dowiedziałem się także, w jakich okolicznościach i gdzie was znaleziono. Fakt, że żyjecie, przeczy zdrowemu rozsądkowi. Nikt nie jest w stanie wytrzymać kilku dni na parunastostopniowym mrozie. Bez jedzenia, picia, źródła ciepła. Będąc nieprzytomnym. Medycyna nie zna takich przypadków.

– W zasadzie to nie tak zupełnie bez jedzenia – poinformowałem go spokojnie. – Zabiłem jednego z Niemców, po czym wyciąłem mu serce. Zjadłem je na surowo – dodałem złośliwie.

– Podejrzewałem coś takiego – mruknął w zamyśleniu.

– Co takiego?!

– Jest oczywiste, że musieliście przejść ten rytuał, wypić krew mistrza. Inaczej bylibyście martwi. Nie byłem pewien, czy przeszliście do... drugiego etapu, ale nie jestem zdziwiony.

– Dobrze się czujecie, profesorze?!

– Ja tak, ale coś mi się zdaje, że wy macie z tym problemy – zauważył, przecierając okulary.

– To...

– Dajcie mi dokończyć – poprosił. – Opis całej procedury zdumiewająco przypomina działanie szczepionki. Oczywiście kiedy już odrzucimy cały ten mistyczny bełkot. Coś musi być na rzeczy, przynajmniej jeśli chodzi o odporność na zimno, inaczej nie rozmawialibyśmy teraz.

– Nie jestem odporny na zimno! – wrzasnąłem. – Mam odmrożenia!

– Rozumiem, niemniej jednak żyjecie. Nie przeprowadziliście całej procedury – wyjaśnił.

– Bzdura! Przecież zżarłem serce tego Szwaba!

– To nie wszystko, w dalszej części rękopisu przedstawiono ćwiczenia oddechowe. Dość specyficzne ćwiczenia. Uważam, że powinniście spróbować, w waszym stanie to jedyne wyjście.

– Myślicie, że dostanę gangreny?

– To nie moja specjalność. – Wzruszył ramionami. – Jednak gangrena może być nie tylko efektem silnych odmrożeń, ale i zakażeń wewnątrzszpitalnych. Jak mi się zdaje, wasz sąsiad przeszedł niedawno amputację? – zawiesił wymownie głos.

Oblałem się zimnym potem: jeśli po Michałyczku zostały tu jakieś zarazki...

– Nie można tego zdezynfekować? – spytałem.

– Bo ja wiem? – Nikonow wydał w zamyśleniu wargi. – Nie znam się na tym, pewnie stosują tu jakieś środki antyseptyczne, ale pewnośc dawałoby tylko spalenie wszystkiego, czego dotykał chory.

Rozejrzałem się dziko po pomieszczeniu: nie ulegało wątpliwości, że niczego nie spalono, a nawet nie wyniesiono. Tyle że zmieniono pościel.

– Co to za ćwiczenia?! – warknąłem.

– Chodzi o powstrzymanie oddechu na czas około stu uderzeń serca, ćwiczenie uznaje się za opanowane, kiedy można będzie wytrzymać bez oddychania przez tysiąc uderzeń. To kilkanaście minut – dodał wyjaśniająco, jakbym sam nie umiał liczyć.

– To jakiś absurd! Nikt tyle nie wytrzyma!

– Przeciętny człowiek pewnie nie – przyznał. – Ale przecież wy nie jesteście przeciętni... Zresztą co wam szkodzi spróbować? Macie lepszy pomysł?

Odchrząknąłem niepewnie: tu mnie miał. Fragment, który udało mi się przetłumaczyć, przypominał bełkot szaleńca – idiotyzmem byłoby traktowanie tych zapisków poważnie, jednak alternatywa była jeszcze bardziej zniechęcająca: stół operacyjny i amputacja. W najlepszym wypadku. Nikt co prawda nie ogłosił jeszcze, że mam gangrenę, ale czułem, że mój stan pogarsza się z każdą godziną. Słabłem umysłowo i fizycznie. Nikonow miał rację – nie miałem na co czekać. Moją uwagę przykuło też porównanie całego rytuału do szczepionki, jeszcze w Leningradzie coś podobnego mówił Saszka Riumin. Czort wie? Może było w tym trochę racji? W końcu ani Saszka, ani Nikonow nie należeli do łatwowiernych prostaczków...

– Co mam robić? – spytałem.

– Pozwolicie, że zacytuję – wymamrotał Nikonow. – Bałem się, że coś przekręcę, dlatego przyniosłem tu te papiery. Pominę nieistotne detale i przejdę od razu do rzeczy: „Wchłaniać oddechy należy, rozluźniwszy odzież, leżąc na wznak. Adept powinien zatrzymać oddech aż do zaciemnienia serca. Kiedy nie może już dłużej wytrzymać, uwalnia oddech przez usta. Po uwolnieniu oddechu, a przed następnym wchłonięciem trzeba odpocząć przez okres stu uderzeń serca. Codzienne wchłanianie oddechów kontynuować może jedynie adept obdarzony przez Mistrza Zarodkiem Najwyższej Rzeczywistości. Wszyscy inni zachorują i umrą. To daje nieśmiertelność, diamentowe ciało i leczy wszelkie dolegliwości. Walcząc z chorobą, należy wchłaniać oddech i kierować myśli ku rejonowi, który chcemy uzdrowić. Trzeba powtarzać tę procedurę do chwili, w której zauważy się, że chore miejsce ocieka potem. Powtarza się to co dzień o północy albo o piątej straży aż do wyzdrowienia”.

– Znakomicie! – parsknąłem. – A teraz poproszę o tłumaczenie.

– Czego pan nie rozumie? – spytał lekarz z autentycznym zdziwieniem.

– Na początek nie podoba mi się wzmianka o tym, że wszyscy niewtajemniczeni umrą. Nie wygląda to na bezpieczną gimnastykę...

– Kiedy wy jesteście wtajemniczeni. Otrzymaliście przecież krew mistrza?

– Być może. A to „zaciemnienie serca”?

– Sekta ma najwyraźniej chińskie korzenie – stwierdził w zadumie Nikonow. – Dawniej Chińczycy uważali, że to właśnie serce jest źródłem myśli. Wydaje mi się, że

chodzi tu o zatrzymanie oddechu, dopóki nie osiągnie się swego rodzaju skupienia umysłu.

No, to akurat nic trudnego, jeśli wstrzymamy oddech dostatecznie długo, nasze myśli automatycznie skupią się na jednym: marzeniu o odrobinie świeżego powietrza...

– A ta „piąta straż”?

– Chińczycy dzielili dobę na dwanaście części po dwie godziny, nazywano je strażami, bo właśnie po dwóch godzinach zmieniano warty – odparł Nikonow. – Czy macie jeszcze więcej pytań, jakieś pomysły, jak wywinąć się od ćwiczeń? – zapytał zgryźliwie.

– Wywinąć?!

Rozzłoszczony usiadłem na łóżku, a raczej spróbowałem usiąść. Kiedy uniosłem się na łokciach, lekarz lekkim klepinięciem zmusił mnie do przyjęcia pozycji leżącej. No ładnie, jeszcze trochę i zaczną pomiatać mną pielęgniarki...

– Sami widzicie... – mruknął.

– W porządku! – syknąłem. – Spróbuję! A teraz zostawcie mnie samego.

Nikonow skinął głową, tak jakby nie spodziewał się niczego innego.

– I spalcie albo przynajmniej schowajcie dobrze te dokumenty!

Wyraz twarzy medyka potwierdził moje podejrzenia: nie było mowy o zniszczeniu papierów, najwyraźniej napisany przez bezimiennego wariata tekst zafascynował Nikonowa do tego stopnia, że gotów był ryzykować nie tylko swoją, ale i moją skórę. Poczekaj! – pomyślałem mściwie. Niech tylko stanę na nogi...

Pożegnawszy się niedbałym, przypominającym odganianie muchy gestem – jeszcze jedna oznaka lekceważenia! – Nikonow opuścił wreszcie moją izdebkę. Przez chwilę nasłuchiwałem pilnie, czy za drzwiami nie rozlegnie się rumor świadczący, że czekałszy zatrzymali mojego gościa, ale nie doszły mnie żadne podejrzone dźwięki. Cóż, trzeba brać się do roboty.

Położyłem się na wznak, zaczerpnąłem powietrza. Zatrzymałem oddech może na pół minuty, za to kaszlałem dobry kwadrans. Podrażnione płuca reagowały bolesnymi skurczami. Ot, dobrodziejstwa gimnastyki oddechowej! Za drugim razem byłem ostrożniejszy i skróciłem czas ćwiczenia. Pomogło, suchy charkot trwał najwyżej minutę. Po godzinie przestałem zwracać na to uwagę – cóż mnie obchodziły ostre, podobne do szczekania psa odgłosy? Tak, wiedziałem, że to moje spowite bandażami ciało miota się nękane dotkliwymi spazmami, a zaschnięte gardło pali żywym ogniem. Zignorowałem to. Miałem ważniejsze problemy: u wezgowia szpitalnego łóżka czaiło się widmo gangreny i śmierci. Postanowiłem, że nie poddam się bez walki. Wypluję płuca? Trudno, i tak mi już nie długo...

Przestałem kontrolować czas, nie zauważyłem nawet, kiedy minęły duszności; gdy skończyłem, nie męczył mnie już kaszel, wypuszczając powietrze z płuc, czułem

jedynie zwykłą potrzebę zaczerpnięcia oddechu. Spojrzałem w okno: zmierzchało, z korytarza dochodził brzęk sztućców i rozmowy roznoszących kolację pielęgniarek. Nie sądziłem, żebym poczynił jakieś wielkie postępy – nie tylko się nie spociłem, ale nawet nie rozgrzałem, a jednak wydawało mi się, że jestem w jakiś sposób bardziej świadomy swojego ciała. Nadal nie czułem dotyku bandaży: moja skóra dalej była niewrażliwa i drętwą, a jednak w jakiś dziwny, trudny do wyjaśnienia sposób doświadczałem poczucia... kontaktu tam, gdzie opatrunki stykały się z ciałem.

Szczęknięła klamka i do pokoju weszła Warwara Siemionowna, niosąc moją kolację. No proszę, co za honor! Sama siostra oddziałowa...

Bez słowa zabrała talerze z niedojedzonym obiadem, wymieniła je na kilka kanapek i szklankę herbaty. Myślałem, że wyjdzie, ale odstawiła jedynie tacę i usiadła ciężko na moim łóżku.

– Znowu nic nie zjadłeś! – odezwała się karcącym tonem.

Chciałem coś odburknąć, kiedy poczułem, jak gładzi mnie delikatnie po głowie szorstką, pachnącą jodoformem dłonią.

– No, no – mruknąłem. – Bo jeszcze pomyślę, że dybiecie na moją cnotę, Warwaro Siemionowna...

– Twoją cnotę, synku? Założę się, że straciłeś ją na długo przed piętnastymi urodzinami! – parsknęła.

Przytknęła mi kubek z herbatą do ust, łyknąłem łapczywie ciepłego płynu.

– Warwaro Siemionowna... – odezwałem się z wahaniem.

– Tak?

– Co ze mną? – spytałem cichutko. – To już...?

Zamrugnęła zaskoczona, przez chwilę wydawało się, że nie rozumie, o co mi chodzi. A przecież sprawa była prosta: do tej pory karmiły mnie pielęgniarki, siostra oddziałowa przychodziła tylko raz dziennie – na zmianę opatrunku. Fakt, że dziś obsługiwała mnie osobiście, mógł świadczyć tylko o jednym: lada moment pójdę na stół i w niczym nie pomogą mi ani rytuały Doskonałych, ani syberyjscy szamani.

– Nie, skąd! – Uśmiechnęła się z wyraźnym przymusem. – Ja tylko...

– Coś się stało?

– Timofiej Michajłowicz zmarł. Komplikacje pooperacyjne – powiedziała spokojnie, ale wyczułem w niej jakieś ukryte napięcie.

Zacisnąłem zęby, nie wiedzieć czemu zły na Michałyczka. Jakby nie mógł jeszcze poczekać, stary dureń! I co mam teraz robić z Warwarą Siemionowną? Pocieszać ją czy jak? Nie jestem, kurwa, w stanie, sam potrzebuję pocieszenia!

– Zjesz coś? – spytała, wskazując gestem kanapki.

– Nie idzie mi w gardło – odparłem marudnie. – Może jakby jakiś kleik...

– Kleiku mu się zachciewa?! – warknęła, znowu sroga i nieprzejednana. – Ludzie głodują, a jemu chleb z kiełbasą w gardło nie lezie! Ja ci zaraz...

Niespodziewanie głos jej zadrżał, przycisnęła dłonie do twarzy.

– Spotkaliśmy się po trzydziestu latach – wymamrotała. – Tylko po to, żeby umarł na moich rękach. Ja byłam wtedy pensjonarką, on kapitanem Lejb-Gwardyjskiego Preobrażeńskiego Pułku Jego Wysokości...

– Michałycz?

– Michałycz – przytaknęła.

– Przed rewolucją?

Nie odpowiedziała, nadal zakrywając twarz. Leżałem w milczeniu; to ci dopiero spotkanie po latach... A z Michałycza niezłe ziółko, ciekawe, czy jego przełożeni wiedzieli, że był carskim oficerem? Nie żeby mnie to specjalnie obchodziło, zresztą w Armii Czerwonej nie on jeden miał mętłą przeszłość.

Przekręciłem się niezgrabnie na bok – od leżenia na wznak zdrętwiały mi plecy. Niechcący trąciłem Warwarę Siemionownę, ta wyprostowała się, jakbym wyrwał ją z transu.

– Jaki ma być ten kleik? – spytała rzeczowo.

– Wszystko jedno, z odrobiną miodu – odparłem zaskoczony.

– Kazał mi obiecać, że się tobą zaopiekuję – poinformowała z lekkim, niemal niewidocznym półuśmiechem.

– W tym Michałycz był naprawdę dobry: w wymuszaniu obietnic – burknąłem.

– Rzeczywiście – potwierdziła. – To on potrafił. I emablować panienki.

Odchrząknąłem niepewnie: przy najbliższej okazji będę musiał zerknąć do jakiegoś słownika i sprawdzić, co znaczy to słowo. Jakiś przedrewolucyjny żargon czy co? Saszka Riumin pewnie by wiedział. Ech, Saszka...

W pół godziny później Warwara Siemionowna przyniosła mi talerz kaszki manny. Zjadłem niemal wszystko. Zasnąłem natychmiast, kiedy tylko zamknąłem powieki.



Krew dudniła mi w skroniach, odmierzając niczym metronom kolejne uderzenia serca: sto pięćdziesiąt, sto pięćdziesiąt jeden, sto pięćdziesiąt dwa. Wystarczy. Odpoczywałem minutę czy dwie, po czym ponownie wstrzymałem oddech. Tym razem się pociłem, bandaże i pościel nasiąkały lepką, cuchnącą wilgocią. Będę musiał poprosić Warwarę Siemionownę, żeby umyła mnie poza kolejnością, inaczej musiałbym czekać do jutra.

Otworzyłem oczy, czując lekki zapach jodoformu. Zajęty ćwiczeniami nawet nie zauważyłem, jak weszła.

– Masz gorączkę? – spytała, przypatrując mi się badawczo.

– Chyba nie.

– Przepociłeś całą pościel.

– To nic, ja tylko...

– Nawet nie próbuj kłamać! – rzuciła ostro. – Kombinujecie coś z Edwardem Piotrowiczem, prawda?

– Na pewno profesor Nikonow lepiej to objaśni – odparłem ponuro.

Warwara Siemionowna dotknęła mojego czoła, po czym z wyraźną ostentacją wytarła dłoń w fartuch.

– Śmierdzisz – oznajmiła.

Sapnąłem ze złością, rzeczywiście śmierdziałem, ale kobieta, która co dzień bez słowa skargi oglądała zgangrenowane rany, mogłaby okazać nieco więcej hartu ducha. Nie mówiąc o odrobinie uprzejmości...

– Jakże mi miło, że to właśnie dzięki mnie odkrywacie w sobie nowe pokłady dziewczęcej wrażliwości, Warwaro Siemionowna! – warknąłem. – Bo do tej pory świetnie ukrywaliście swoją jakże delikatną naturę.

Trzepnęła mnie w ramię, ale kąciki jej ust zadrgały w powstrzymanym z trudem uśmiechu.

– Może ktoś by mnie umył? – poprosiłem żałośnie.

– Później. Najpierw zmienię opatrunki – powiedziała nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Jasne! Opatrunki. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że Warwara Siemionowna chce sprawdzić, w jakim stanie są moje odmrożenia. Sam też chciałem na nie zerknąć. Tylko że się bałem...

Z wyraźną wprawą umieściła poduszkę pod moją nogą, zaczęła rozwijać okrywający stopę bandaż. Ledwie poczułem delikatny, chłodny dotyk jej dłoni. Podniosłem głowę, ale specjalnie usiadła tak, żeby zasłonić mi widok.

– Coś ty z nimi zrobił?! – spytała ostro.

– Z czym?

– Z odmrożeniami!

Przerażony pociągnąłem nosem, starając się złowić zapach gangreny.

– Przestań!

– Ja tylko...

– Leż! – rzuciła, widząc, że usiłuję unieść się na łokciach.

Po chwili ściągnęła opatrunek z drugiej stopy – tym razem zdołałem dojrzeć co nieco. Nie żeby było się czym zachwycać: moja skóra miała paskudny sinoczerwony kolor.

– To już gangrena? – spytałem przez zaciśnięte zęby.

– Jaka gangrena, idioto! Twoje nogi wyglądają dwa razy lepiej niż wczoraj!

Z trudem przełknąłem ślinę, coś ścisnęło mnie w gardle.

– Sprawdzimy twarz – wymruczała Warwara Siemionowna.

I znowu poczułem lekki dotyk jej palców. Zaraz, zaraz! Poczułem!

– Warwaro Siemionowna – powiedziałem załamującym się głosem – czuję, jak mnie dotykacie.

– Zuch! – zawołała, całując mnie w spierzchnięte usta. – Wyglądasz znakomicie – stwierdziła, podsuwając mi wyciągnięte nie wiadomo skąd lustro.

– Uuuch... – stęknąłem boleśnie, studiując swoje oblicze.

Ostatni raz podobną facjatę widziałem w jednej z katowni NKWD po trwającym trzy doby, intensywnym przesłuchaniu. Teraz rozumiałem, dlaczego z mojej izdebki wyniesiono lustro... Gdybym kandydował do roli potwora Frankensteina, Boris Karloff nie miałby żadnych szans.

– Wierzę wam na słowo – powiedziałem słabym głosem.

– Znaczy w co wierzysz?

– W to, że wyglądam lepiej niż wczoraj...

– Wyglądasz – potwierdziła stanowczo. – Przyślę pielęgniarkę, żeby cię umyła i zmieniła pościel, a później zabierzesz się za te swoje ćwiczenia.

– Więc wy wiecie...?

– A jakże – odburknęła. – Edward Piotrowicz był łaskaw rzucić kilka tajemniczych aluzji, reszty się domyśliłam, widząc, jak sapiesz. Aha, jeszcze jedno: tym razem zjesz wszystko, co dostaniesz na obiad.

– Nie jestem pewien, czy dam radę. Może by tak kleik jeszcze dzień czy dwa? – zaproponowałem.

Mimo wszystko nie czułem specjalnego apetytu, a i bałem się zmian. W końcu to na kaszce mannie tak mi się poprawiło...

– Informuję was uprzejmie, pułkowniku Razumowski, że nie jesteście już pacjentem zagrożonym gangreną. Zapomnijcie o kleikach, herbatce poza posiłkami i innych tego typu bzdurach, od teraz obowiązują was te same zasady co wszystkich innych rekonwalescentów. Waszą żołnierską powinnością jest jak najszybszy powrót do zdrowia, a wszystko, co spowalnia ten proces, będzie traktowane jako sabotaż.

Popatrzyłem na nią ze zdumieniem: surowa Warwara Siemionowna, postrach szpitala numer trzystaście, uśmiechała się jak niespełna rozumu.

– To znaczy...

– To znaczy, że nieposłusznych pacjentów karmimy za pomocą gumowej rurki.

– Zwariowaliście!

– Procedura jest prosta – kontynuowała jakby nigdy nic. – Rurkę wprowadza się przez nos i dalej, do żołądka, później...

– Wystarczy! Zjem ten obiad!

– Miło mi, że doszliśmy do porozumienia, pułkowniku.

Warwara Siemionowna uniosła ramiona i nie bacząc na ciasnotę, wykonała

bezbłędne baletowe *fouetté* – nie, nie jestem miłośnikiem tego typu rozrywki, ale spotykałem się kiedyś z pewną baletniczką – po czym opuściła pokój, podśpiewując: „Armia na was liczy, armia o was śni, a dzielni czekiści pilnują wam drzwi!”.

– Zwariowała baba – wymamrotałem. – Zupełnie zwariowała...



ROZDZIAŁ DRUGI

Zaciągnąłem się po raz ostatni papierosem i sprawdzwszy, czy nikt nie nadchodzi, wyrzuciłem niedopałek przez uchylone okno. Z jakichś niejasnych względów Warwara Siemionowna nie tolerowała palenia na terenie szpitala. Dla palących wydzielono co prawda osobne pomieszczenie, tyle że poza głównym budynkiem i nieogrzewane. Komu by się chciało tam łązić w środku zimy? Złapanych na gorącym uczynku karano uczestnictwem w rozmaitych imprezach kulturalnych: ostatnio na przykład generał-major Wierszynin został zmuszony do śpiewania własnej produkcji kupletów na wieczorku poetyckim. Inni „winowajcy” zostali potraktowani z jeszcze większą surowością – musieli ich słuchać. Taaak, lepiej było nie włązić pod rękę Warwarze Siemionownie...

Moje układy z siostrą oddziałową były dość szczególne: z jednej strony nie było mowy, żebym mógł liczyć na jakieś specjalne względy – stąd każde wyjście na papierosa traktowałem niczym operację na tyłach wroga, z drugiej Warwara Siemionowna spędziła niejedną godzinę, masując moje opornie przychodzące do zdrowia dłonie i stopy. Za to ostatnie odczuwałem wdzięczność, choć dopiero teraz, z pewnej perspektywy: lada moment miano mnie wypisać ze szpitala. Wcześniej... Cóż, nie ulegało wątpliwości, że masaż jest ważną częścią terapii „odmrożeńców”, jednak Warwara Siemionowna dość dowolnie traktowała zalecenie, aby utrzymać go na granicy bólu. Równie lekceważąco podchodziła do ustalonego przez medyczne autorytety czasu trwania zabiegów. A ja przez dobry miesiąc byłem jej ulubionym pacjentem... Trzeba jednak przyznać, że na nogi stanąłem błyskawicznie, szczególnie biorąc pod uwagę charakter moich obrażeń. Inni ozdrowieńcy, poddający się

„normalnej” rehabilitacji, odzyskiwali zdrowie znacznie wolniej. Nic dziwnego, że chciałem się jej odwdzięczyć. Dlatego poprosiłem o spotkanie Nikonowa. Co prawda medyk i tak często odwiedzał szpital – Warwara Siemionowna wrobiła go w konsultacje, ale tym razem chciałem z nim porozmawiać bez świadków.

Usłyszawszy kroki, ostrożnie wyjrzałem zza rogu: Nikonow przyszedł o czasie. Ot, co znaczy przedrewolucyjna punktualność!

– Macie? – spytałem bez wstępu.

– Owszem – odparł, wręczając mi niewielki skórzany woreczek. – Dziesięć imperiałów, tak jak prosiliście. Nie rozumiem tylko, skąd ta tajemniczość.

– To już dawno nie jest oficjalna waluta – przypomniałem cierpko. – Niepotrzebne mi problemy!

– Co z tym chcecie zrobić? – spytał bez większego zainteresowania.

– Wręczyć Warwarze Siemionownie, a cóż by innego. – Wzruszyłem ramionami. – Bardzo mi pomogła.

– Więc chcecie jej to...

Nikonow zamarł z otwartymi ustami, wpatrując się we mnie tak, jakby urosła mi druga głowa.

– Uważacie, że to za mało? – rzuciłem niepewnie.

Medyk poczerwieniał na twarzy, przez chwilę myślałem, że mnie uderzy.

– Za mało?! – wysyczał wyraźnie wściekły. – Ta kobieta masowała was godzinami, zamiast spać po całodobowym dyżurze! Wstawała o piątej rano, żeby kupić na rynku jakieś kretyńskie, rzekomo lecznicze olejki, wydając na to połowę swojej pensji, zanudzała specjalistów z całego kraju pytaniami o najnowsze metody rehabilitacji, a wy chcecie rzucić jej w twarz parę imperiałów?!

Oślupiałem. Warwara Siemionowna konsultowała mój przypadek ze specjalistami? Kupowała olejki do masażu? Ale dlaczego? Czyżby starała się dotrzymać danej Michałyczowi obietnicy? Bo o cóż jeszcze mogłoby chodzić?

– Nie wiedzieliście o tym, prawda? – spytał łagodniejszym tonem medyk.

Najwyraźniej musiałem wyglądać na zaskoczonego.

– Nie wiedziałem!

– Cóż – powiedział, wydymając wargi. – Będziecie musieli wymyślić coś innego.

– Macie jakąś ideę? W końcu znacie ją dłużej niż ja.

– Nic konkretnego nie przychodzi mi do głowy – odparł wymijająco. – Postarajcie się, żeby to było coś oryginalnego. Wiecie, kobiety lubią teatralne gesty...

Parsknąłem gniewnie. Cóż za precyzja wypowiedzi! Teatralne gesty, dobre sobie! Nie potrzebowałem porad Nikonowa w kwestii postępowania z płcią przeciwną – miałem w tej dziedzinie pewne doświadczenie, choć prawda, że dotyczyło kobiet zdecydowanie młodszych niż Warwara Siemionowna. No i rzecz szła o kontakty na nieco innej płaszczyźnie... Może istotnie warto narobić trochę szumu? W końcu co mi

szkodzi? A przy okazji sprawdzę, na ile wróciłem do sił, później może nie być na to czasu. Tak, to chyba najlepsze wyjście...



Pożegnanie przyciągnęło niemal wszystkich będących w stanie poruszać się pacjentów. Niektórych zdarzyło mi się poznać bliżej, innych ledwo kojarzyłem, ale w szpitalu każde odbiegające od codziennej rutyny wydarzenie jest atrakcją. Tym bardziej że tego dnia wypisywano aż trzy osoby. Lotnik Roma Tokarczuk, przystojny, ognisty brunet, ulubieniec wszystkich pielęgniarek, wyczałował już co ładniejsze siostrzyczki i skłonił się właśnie nad dłonią Warwary Siemionowny. Ze śmiertelną powagą w na co dzień skrzących się ironicznym dowcipem oczach.

Roma cudem uniknął amputacji dzięki zastosowaniu nowego, nieznanego u nas jeszcze leku o nazwie „penicylina”. Lekarstwo sobie tylko znanym sposobem załatwiła Warwara Siemionowna. Podobno już od pewnego czasu prowadzono nad nim ściśle tajne, rzecz jasna, badania. Bonzowie z ministerstwa zdrowia uważali, że powinny one nadal pozostawać sekretem, odwrotnie niż lekarze, którzy naciskali, aby jak najszybciej przetestować preparat w warunkach bojowych. W wyniku biurokratycznych przepychanek ustalono, że na razie środek otrzyma niewielka liczba starannie wybranych szpitali. Dzięki Warwarze Siemionownie dostał go i nasz.

– Do widzenia, mateczko – powiedział miękko Roma.

Bywa, że w Rosji mówi się „matko” także do obcej kobiety, byleby była w odpowiednim wieku, jednak w słowach Romy brzmiało coś więcej i wszyscy to wyczuli.

– Napisz czasem, hultaju! – Warwara Siemionowna zburzyła mu pieścziotliwym ruchem czuprynę.

Pułkownik Wiaczesław Drobin nie bawił się w sentymeny – cóż, czekał nie słyną z nadmiernej uczuciowości. Skłoniwszy się chłodno, wręczył Warwarze Siemionownie paczkę angielskiej herbaty. Niby drobiazg, wszyscy wiedzieli, że siostra oddziałowa nie przyjmie niczego cennego – a jednak rzecz niemal nie do zdobycia. Rozumnie i z gustem, trzeba przyznać.

Warwara Siemionowna pożegnała go równie powściągliwie, z tego, co o niej wiedziałem, nie była wielbicielką NKWD. Nadeszła moja kolej.

Siostra oddziałowa spojrzała na mnie niepewnie, gdyby nie było to absurdalne, przysięgłbym, że jest zaniepokojona. A może chodziło o to, że nie miałem żadnego prezentu? No a przynajmniej nie trzymałem go w ręku...

– Do widzenia, Warwaro Siemionowna – powiedziałem, całując ją siarczyście

w oba policzki.

Nie wyglądała na rozgniewaną.

– Wstyd – odezwał się generał-major Wierszynin. – Żegnać się z pustymi rękoma...
Miałem lepsze zdanie o *wojennej rozwidce*.

– Zobaczymy, jak się spiszą czołgiści – odburknąłem.

Wierszynin prychnął nieelegancko – tupetu to mu nie brakowało. Jak i wszystkim czołgistom. W sumie nic dziwnego: ktoś, kto jeździ czterdziestotonową maszyną, ma raczej niewielkie szanse, aby nabawić się kompleksów, większość problemów może po prostu wziąć pod gąsienice...

– Nie trzeba żadnych prezentów! – oznajmiła stanowczo Warwara Siemionowna.

– W zasadzie to mam jeden, malutki – wyznałem z uśmiechem.

– Ciekawe gdzie? – zapytał ironicznie Wierszynin.

Bez słowa skinąłem ręką i przez tłum zaczęło się przepychać dwóch sanitariuszy. Każdy z ogromnym naręczem kwiatów. Róże, lilie i czort wie co tam jeszcze – nie jestem ekspertem w zakresie zieleniny.

Warwara Siemionowna rozpromieniła się, jakbym ofiarował jej carską koronę. Ech, te kobiety! Kokietki jedna w drugą, niezależnie od wieku...

– Skąd kwiaty w środku zimy? – wymamrotał oszołomiony Wierszynin.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu, robiąc tajemniczą minę.

– Zaraz! – wykrzyknął. – To o tobie pisali!

Tym razem w głosie generała-majora Wierszynina zabrzmiał głęboki, nieskrywany szacunek.

– O czym wy? – zmarszczyła brwi Warwara Siemionowna.

Czołgista wyciągnął zza pazuchy gazetę, zaczął czytać na głos:

– „Wczorajszej nocy dokonano zuchwałego włamania na teren moskiewskiej Akademii Rolniczej imienia Timiriaziewa. Sprawca wyniósł z ogrodu botanicznego będącego własnością uczelni kilkadziesiąt sztuk cennych kwiatów. Dyrektor wydziału botaniki, profesor Matwiejenko, zaapelował o wzmocnienie ochrony Akademii”...

Przez moment panowała pełna zaskoczenia cisza, później rozległy się gwizdy i wiwaty, tylko Drobin skrzywił się z niesmakiem.

– Nie chcecie chyba robić z tego sprawy? – spytała groźnie Warwara Siemionowna.

– Ależ skąd! – wybąkał Wierszynin, odrzucając gazetę, jakby go parzyła. – W żadnym wypadku!

Za plecami zgromadzonych pojawiło się kilku żołnierzy, jeden z nich uniósł dłoń, starając się zwrócić moją uwagę. Ki czort? Nieznajomy znaczącym gestem postukał w zegarek. Czyżby ktoś po mnie przyjechał? Tylko kto i dlaczego dzisiaj? U dowódcy GRU, generała Iliczowa, miałem się zameldować dopiero jutro. Tak czy owak, musiałem wyjaśnić sprawę, znowu byłem na służbie.

– Odwiedzisz mnie? – zapytała cichutko Warwara Siemionowna.

W głosie siostry oddziałowej ponownie usłyszałem nutkę niepewności, może nawet obawy. Albo pobyt w szpitalu całkiem rozregulował mi umysł, albo zacząłem dostrzegać sygnały, których nie zauważałem wcześniej. Pewnie nie zwróciłbym na to uwagi, gdyby nie dziwne teorie Nikonowa. Po przestudiowaniu tekstu Doskonałych profesor stwierdził, że głównym efektem opisywanej przez nieznanego autora „przemiany” nie jest wcale większa siła czy odporność na mróz, ale coś, co sekciarze nazwali „odżywianiem mózgu”, a co można było określić w skrócie jako zwiększoną sprawność umysłową. Nieosiągalna dla zwykłego człowieka pamięć, zdolność kojarzenia i wrażliwość na odbierane bodźce. Osobiście nie byłem tego taki pewien, choć już wcześniej, przed wyprawą do Aleksandrowki, zauważyłem u siebie pewne interesujące symptomy: zadania matematyczne, o których rozwiązaniu wcześniej nie mógłbym nawet marzyć, nie sprawiały mi żadnych problemów, zapamiętywałem z łatwością całe kolumny ośmiocyfrowych liczb... Cóż, może coś w tym było, fakt mojego ozdrowienia przeczył wyraźnie zarówno zdrowemu rozsądkowi, jak i zasadom medycyny. Tylko czego obawiała się Warwara Siemionowna?

– Odwiedzę! – obiecałem.

Zagadką dziwnego zachowania siostry oddziałowej postanowiłem zająć się kiedy indziej, teraz miałem ważniejsze sprawy: jeden z przybyłych zastąpił mi drogę, zasalutował.

– Kapitan Panin – przedstawił się krótko. – Dowódca was oczekuje. Natychmiast – dodał, widząc, że oglądam się niepewnie.

A więc jednak generał Iliczow...

Ruszyliśmy do wyjścia, w przelocie zauważyłem złe spojrzenie, jakie rzucił mi ochroniarz Berii. Enkawudzista boczył się na mnie od wczoraj, kiedy okazało się, że nie zauważył mojej nocnej wycieczki. Najwyraźniej nie było ze mną jeszcze tak źle...

Zeszliśmy na parter, Panin przytrzymał mi drzwi, tuż obok wejścia mruczał cicho silnik czarnego mercedesa. Ten samochód to dla mnie? Niemożliwe, za wysokie progi. Takie maszyny przysługiwały tylko członkom Politbiura i najwyższym urzędnikom.

A jednak po chwili siedziałem już w wygodnym fotelu. Do wozu wraz ze mną wsiadł tylko Panin, pozostali zablokowali wyjście ze szpitala. Co tu się, do cholery, dzieje? Czyżby nie wiedzieli, że czekał się chronią mnie na rozkaz samego komisarza Berii? Momentalnie odrzuciłem tę hipotezę: nie wiedzieli? Nie w mojej firmie, tu nie popełnia się takich błędów. Wniosek? Działali na rozkaz dowódcy GRU, nikt inny nie odważyłby się rzucić wyzwania Generalnemu Komisarzowi. Tylko dlaczego właśnie teraz? Pytać Panina nie było sensu, i tak nic by mi nie powiedział. A lada moment i tak wszystko się wyjaśni: gdyby sprawa nie była pilna, szef nie posłałby po mnie, tylko czekał do jutra.

Poprawiłem się na siedzeniu, wyciągnąłem papierośnicę. Zanim zdążyłem sięgnąć

po zapalniczkę, Panin podał mi ogień. Poprzez dym tytoniowy przebijał jakiś inny, niemal niewyczuwalny zapach. Perfumy? Nie, coś bardziej... męskiego. Tak! Woda kolońska! I to raczej zagraniczna, z tych droższych. W sumie nic dziwnego, limuzyna musiała należeć do kogoś wpływowego: jakiegoś partyjnego bonzy, może generała... Zaraz, zaraz – generała? Jechałem osobistym samochodem Iliczowa! Tak, to jedyne logiczne wytłumaczenie. Ale dlaczego dowódca GRU wysłał po mnie własną maszynę? Mimo niedawnego awansu i uhonorowania tytułem Bohatera Związku Radzieckiego nie byłem aż taki ważny. Chyba że coś się stało...

Zakląłem, nie przejmując się obecnością kierowcy i Panina. Zapewne pojawił się kolejny problem, który rozwiązać mógł tylko pułkownik Razumowski. No bo, kurwa, któż by inny?! Jak się należało spodziewać – nie byle jaki problem. Fakt, że niedawno straciłem cały oddział i niemalże życie, zajmując się podobną sprawą, najwyraźniej nikogo nie wzruszał.

Zacisnąłem zęby, starając się opanować irytację. Nerwy w niczym mi nie pomogą: jeżeli naczelstwo postanowiło powierzyć mi jakąś sprawę, i tak nic na to nie poradzę. *Prikaz to prikaz*. Można co najwyżej postarać się to czy owo wytargować, nic więcej...

Milczałem, dopóki nie przybyliśmy na miejsce. Panin poprowadził mnie prosto do gabinetu generała Iliczowa, otworzył drzwi bez pukania i wymownym gestem zaprosił do środka. Wyglądało na to, że dowódca *wojennoj razwiedki* oczekuje mnie niecierpliwie...

– Towarzyszu generale, podpułkownik Razumowski melduje się na rozkaz!

Iliczow zmierzył mnie badawczym wzrokiem, uściśnął ostrożnie dłoń – znaczy wiedział o moich odmrożeniach! Czymże tak zwróciłem uwagę szefa wywiadu wojskowego?

– Siadajcie, Razumowski – powiedział. – Musimy porozmawiać.

A jakże! Przecież nie darmo wysłał po mnie swoją limuzynę...

– Jak się czujecie? – zapytał.

– Nie narzekam – odparłem ostrożnie. – Choć jeszcze nie doszedłem do siebie.

– Na razie nikt nie ma zamiaru wysłać was do... bezpośredniej akcji – zapewnił. – Damy wam czas na aklimatyzację. Z drugiej strony sforsowaliście wczoraj dwumetrowej wysokości ogrodzenie jak na szkoleniu – zauważył. – Widać, że wracacie do zdrowia...

No ładnie, ciekawe, kto jeszcze był świadkiem moich bohaterskich wyczynów w Akademii Rolniczej?

– I dobrze – kontynuował. – Im szybciej będziecie w formie, tym lepiej. Ale do rzeczy: na polecenie towarzysza Stalina tworzone są nowe, potężne struktury wojskowego kontrwywiadu, NKWD nie daje sobie rady z Abwehrą. Rozkaz o ich powołaniu zostanie podpisany za kilka miesięcy, ale już teraz szkolone są kadry Smiersza.

– Kadry czego? – odważyłem się wtrącić.

– Smiersza. To skrót od słów: *Smiert' szpionom!*, Śmierć szpiegom! Nazwa jak nazwa, tyle że wymyślił ją towarzysz Stalin i jak już bywało w przeszłości ze słowami Głównodowodzącego, zaczęła żyć własnym życiem – dorzucił z ledwie słyszalną ironią Iliczow. – Nazwę „Smiersz” będą nosić zarówno Główny Zarząd Kontrwywiadu pod dowództwem Abakumowa, Zarząd Kontrwywiadu Floty Wojennej dowodzony przez Gładkowa i wreszcie Oddział Kontrwywiadu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pod kierownictwem komisarza Juchimowicza. Abakumow podlegał będzie tylko towarzyszowi Stalinowi, Gładkow dowódcy floty, ministrowi Kuzniecowskiemu, a Juchimowicz Berii. Będzie z tymi Smierszami trochę zamieszania, ale to już problem historyków... Dla nas ważne jest jedno: otrzymaliśmy rozkaz, aby pomóc bratniej służbie, chodzi o Główny Zarząd Kontrwywiadu Abakumowa. Szkolenie, jakie przejdą kandydaci do Smiersza, jest mocno... eksperymentalne. Niektórzy z instruktorów to przedrewolucyjni specjaliści, którzy w taki właśnie sposób mogą odkupić swoje winy wobec państwa. Czas nagli, trzeba było odrzucić większość względów ideologicznych, ale towarzysz Stalin chciałby, żeby proces szkolenia obserwowali doświadczeni i zaufani, rzecz jasna, pracownicy GRU. Zajmiecie się tym – polecił.

– Tak jest! – odparłem służbiście.

Mam się pobawić w obserwatora? Żaden problem. Tylko trudno przypuścić, żeby generał Iliczow zorganizował cały ten cyrk dla takiej błażostki. W końcu nasi ludzie uniemożliwili enkawudzistom wyjście ze szpitala i dalszą ochronę czy też nadzór nad moją osobą. Biorąc pod uwagę, że tamci wykonywali bezpośredni rozkaz Berii, było to niemal otwarte wypowiedzenie wojny. Taaak, ciekawe...

– Komisarz Abakumow obiecał, że będziecie mogli wybrać sobie kilka osób spośród rekrutów Smiersza – kontynuował Iliczow. – To w zamian za waszą pomoc.

– Wybrać? – powtórzyłem bezmyślnie.

– Przecież będziecie musieli sformować nową grupę – rzucił niecierpliwie.

Zacisnąłem zęby: nowa grupa. No tak, przecież Saszka, Tima i Wiera nie żyją, a wojna toczy się dalej...

– Tak jest! – potwierdziłem ponownie.

Tym razem z dużo mniejszym entuzjazmem.

– To nie wszystko – powiedział Iliczow.

Wzdrygnąłem się jak smagnięty batem: w słowach generała dało się zauważyć pewne wahanie, może nawet obawę. Rzecz niezwykajna u kogoś, komu mogły wydawać rozkazy dwie, góra trzy osoby.

– To, co powiem, musi pozostać między nami – zaznaczył z naciskiem. – Zadanie jest nietypowe...

Zacisnąłem zęby: a ja myślałem, że wyznaczono mi już zadanie!

– Otrzymacie wszelkie pełnomocnictwa, każdy pracownik *wojennej rozwiadki* będzie zobowiązany udzielić wam pomocy, ale możecie konsultować się tylko ze mną. Czy to jasne?

– *Tak toczno!*

Generał rozłożył ręce, odsłaniając zwykłą tekturową teczkę. Po chwili wydobył z niej plik luźno spiętych kartek, zdążyłem odczytać nagłówek: „Wilczyca”. Jakiś kryptonim?

– Jeden z naszych najlepszych agentów działa obecnie za granicą – rozpoczął, ostrożnie dobierając słowa. – To generał Wołkow.

Gwizdnąłem w duchu: Wołkow! No, no... Generał Wołkow był żywą legendą naszej firmy, jeszcze z czasów wojny domowej, a przeprowadzone przez niego operacje podawano za wzór uczącym się w „Akademii” GRU. Mimo upływu czasu – musiał mieć już dobrze pod sześćdziesiątkę – nadal pozostawał aktywny i wszystkie opracowania biograficzne na jego temat oznaczone były gryfem ŚCIŚLE TAJNE! – a żadne z nich nie zawierało fotografii Wołkowa.

– Jakież pół roku temu generał poprosił nas o przysługę, chodzi o jego córkę...

Uniosłem brwi: a więc Wołkow ma córkę. Stąd zapewne kryptonim Wilczyca. Jednak co ma do tego GRU? Przyjrzałem się uważnie swojemu rozmówcy – szef *wojennej rozwiadki* wyglądał, jakby właśnie rozgryzł cytrynę. Wyjątkowo kwaśną cytrynę.

– Generał Wołkow życzy sobie, żeby co miesiąc przekazywać mu specjalne hasło świadczące o tym, że jego córka żyje. Wymaga to, rzecz jasna, kontaktu z tą... dziewczyną – dokończył z wysiłkiem Iliczow.

– Życzy sobie? – spytałem ze zdumieniem. – A co on ma do gadania w tej sprawie? I dlaczego niepokoi go los córki?

– Swietłana Wołkowa wpadła w złe towarzystwo, brała udział w kilku bandyckich napadach.

– Córka Wołkowa?!

– Generał nieczęsto się z nią widywał, przeważnie przebywał za granicą, więc... – wzruszył ramionami Iliczow. – Najpierw brylowała w towarzystwie złotej młodzieży, później zadała się z urkami. Nieważne, w tym momencie nie ma to żadnego znaczenia. Nie interesują nas kłopoty wychowawcze Wołkowa. Problem w tym, że generał zagroził ujawnieniem misji w sytuacji, kiedy nie będzie pewien bezpieczeństwa córki. Gdyby nie to, dziewczucha dawno wylądowałaby w obozie. Niestety, parę miesięcy temu nasza droga Swieta odkryła kokainę i stała się zupełnie nieprzewidywalna.

– To znaczy?

– Zaczęła nas unikać.

– Ze strachu?

– Skąd! Wie doskonale, że jest bezkarna! Po prostu bawi się z nami.

Odchrząknąłem niepewnie. Nie wypadało mi podważać prawdomówności Iliczowa, ale cała sprawa wyglądała dziwnie, żeby nie powiedzieć: nieprawdopodobnie. Zbuntowany agent? Bzdura! Coś takiego można zobaczyć tylko w kinie. Bywa, że ktoś zdradzi, ale otwarta rewolta? Groźby pod adresem centrali? Śmiechu warte! Zlikwidowano by go natychmiast. Niezależnie od wagi operacji. Samo istnienie zbuntowanego agenta stanowiłoby bowiem zagrożenie, którego nie równoważyłyby żadne, największe nawet korzyści. Tym bardziej jeśli byłby to agent klasy Wołkowa, a więc człowiek posiadający niezmierną wiedzę na temat GRU. Wniosek? Albo to wszystko bzdura, albo generał Iliczow czegoś mi nie mówi...

– Wołkow naprawdę chce nas zdradzić?

– Naprawdę! – warknął Iliczow.

– Dlaczego w takim razie pozostawiono go przy życiu? – nie wytrzymałem. – Niechby nawet przekazał wrogom jakieś dokumenty, toż Niemcy będą weryfikować ich wiarygodność miesiącami, jeśli nie latami! Bo przecież muszą sprawdzić, czy to nie dezinformacja. Chyba że Wołkow posiada wiedzę o jakiejś innej ważnej dla nas operacji? Ale nawet wtedy...

– Nie o to chodzi! – przerwał mi generał. – Nie ma żadnych ukrytych dokumentów, jednak zabicie Wołkowa nie wchodzi w grę. W żadnym wypadku! Zniknięcie lub śmierć generała ujawniłyby misję!

Zbaraniałem. Oczywiście można założyć, że coś takiego zwróci uwagę wroga, pojawią się podejrzenia i wątpliwości. Tylko co z tego? Niech sobie Szwaby myślą, że Wołkow szpiegował dla nas. Nie on pierwszy, nie on ostatni. Za to martwy nie zdradzi żadnych tajemnic.

– Nie rozumiem – powiedziałem bezradnie.

– Widzicie, Razumowski... – odparł z kamienną twarzą Iliczow. – On nie szpieguje Niemców.

Nie Niemców? To kogo, na litość boską? Toż nie wysłali go chyba do Japonii?! Ożeż kurwa! Teraz wszystko jasne: Wołkow musi pracować przeciwko naszym sojusznikom! To dlatego nie można go tknąć, najmniejsze podejrzenie ze strony zachodnich aliantów mogłoby mieć niewyobrażalne następstwa – nadal potrzebowaliśmy pomocy Zachodu.

– Co mam zrobić? – spytałem krótko.

– Znaleźć Swietę Wołkową i otrzymać od niej kolejne hasło, tak żebyśmy mogli wysłać je generałowi.

– W czym problem?

– W tym! – warknął Iliczow, rzucając na blat pojedynczą kartkę.

Uniosłem w zdumieniu brwi: rysunek przypominał dziecięce bazgroły, przedstawiał jakieś zwierzę z rogami i ptaka.

- Co to jest?!
- W taki właśnie sposób córka Wołkowa określiła miejsce następnego spotkania – wycedził szef *wojennej rozwiadki* przez zaciśnięte zęby. – Ludzie, którzy do tej pory kontaktowali się z dziewczuchą, nie potrafią dać sobie z tym rady, a czasu zostało niewiele, niecałe dwa tygodnie...
- Być może to jakiś kod, będę potrzebował...
- Dostaniecie wszystko, co trzeba – wszedł mi w słowo generał. – Ludzi, pieniądze, transport. Wszystko – podkreślił.
- Przydałby mi się jakiś dokument podpisany przez was, towarzyszu generale. Oficjalne potwierdzenie mojego statusu.
- Ku mojemu zdumieniu Iliczow przecząco pokręcił głową.
- Dostaniecie coś lepszego – oznajmił i podał mi zatopioną w przezroczysty plastik kartkę.

KREML

MOSKWA

5 LUTEGO 1943 ROKU

W ZWIĄZKU Z WYKONYWANĄ MISJĄ PODPUŁKOWNIK RAZUMOWSKI ZOSTAJE PRZYDZIELONY DO DYSPOZYCJI GŁÓWNODOWODZĄCEGO. WSZYSTKIE ORGANY PAŃSTWA I SIŁ ZBROJNYCH ZOBOWIĄZANE SĄ DO UDZIELENIA MU WSZELKIEJ ŻĄDANEJ POMOCY, A TAKŻE ZAPEWNIENIA TRANSPORTU DO DOWOLNEGO WSKAZANEGO PRZEZ PODPUŁKOWNIKA RAZUMOWSKIEGO MIEJSCA NA ZASADZIE ABSOLUTNEGO PRIORYTETU. PODPUŁKOWNIK RAZUMOWSKI OTRZYMUJE PEŁNY DOSTĘP DO DOKUMENTÓW O NAJWYŻSZEJ KLAUZULI TAJNOŚCI. WSZELKIE PYTANIA DOTYCZĄCE ZADAŃ WYKONYWANYCH PRZEZ PODPUŁKOWNIKA RAZUMOWSKIEGO KIEROWAĆ NALEŻY BEZPOŚREDNIO DO GŁÓWNODOWODZĄCEGO.

PODPISANO:

STALIN I. W.

GŁÓWNODOWODZĄCY SIŁ ZBROJNYCH ZSRR

Przełknąłem z trudem ślinę, nie spodziewałem się czegoś takiego. To nie był dokument, o jaki prosiłem, to była czarodziejska różdżka. Nie wiem, czy na terytorium całego kraju znalazłby się choć jeden człowiek, który odmówiłby mi czegokolwiek, widząc to pismo. Albo ktoś, kto rzeczywiście sprawdziłby moje uprawnienia, dzwoniąc do towarzysza Stalina.

- To wszystko z powodu Wołkowa?!

– Nie!

Odpowiedź przypominała wystrzał z pistoletu: była równie sucha i gwałtowna.

– Misja obserwatora nie zajmie wam dużo czasu, podobnie poszukiwania Wołkowej, to praca koncepcyjna. Towarzysz Stalin wyznaczył wam zadanie specjalne...

Zakląłem w duchu, widząc, jak Iliczow odkłada na bok teczkę z dossier Wołkowej, odsłaniając kolejną. Ileż tam, kurwa, jest jeszcze tych papierów?!

– Jednak najpierw chciałbym przekazać wam dwie informacje: dobrą i złą.

– Może zaczniemy od tej dobrej! – warknąłem.

O dziwo, generał nie wyglądał na urażonego, rozmasował tylko znużonym gestem skronie.

– Kotuszew – powiedział.

– Co z nim?!

– Żyje.

– Jak to żyje?! – krzyknąłem, zrywając się z miejsca.

Iliczow patrzył na mnie bez słowa, dopóki nie usiadłem z powrotem.

– Znalaziono go rannego w szwabskim szpitalu, tuż za linią frontu. To jest ta dobra wiadomość.

– A zła?

– Otrzymał postrzał w głowę, zostały uszkodzone jakieś ośrodki mózgu. Lekarze, i ci nasi, i niemieccy, zrobili, co mogli, jednak wewnętrzny krwotok... – Iliczow bezradnie rozłożył ręce.

– Niemieccy?!

– No tak, przecież chcieli go przesłuchać. Porucznik Kotuszew wykonuje proste polecenia, nie trzeba go myć czy karmić, ale poza tym nie jest w stanie nawiązać kontaktu z otoczeniem. Rzecz jest raczej nieodwracalna – dokończył z odcieniem współczucia w głosie.

– Gdzie on teraz jest?

– W szpitalu NKWD, umieszczono go tam na osobisty rozkaz Genkoma Berii...

– To przecież nasz człowiek! Powinniśmy wydostać go...

Generał Iliczow przerwał mi ospałym ruchem dłoni.

– Można zabrać porucznika w każdej chwili, jednak jestem pewien, że Kotuszew ma tam odpowiednią opiekę. Może najpierw pomyślicie, gdzie go umieścić? Bo sami nie dacie rady się nim zajmować.

– Genkom nam go wyda?

– Oczywiście. Towarzysz Beria nie będzie miał ochoty drażnić GRU. Ani was – dodał po namyśle Iliczow.

– Znowu nie rozumiem...

– To, że Kotuszew znalazł się w szpitalu NKWD, to przypadek: czekał chcieli

przesłuchać personel szpitala i pierwsi natrafili na waszego współpracownika.

– Nie wierzę, że Genkom zatrzymał go ot, tak sobie!

– Pewnie miał jakieś plany – przyznał Iliczow. – Jednak teraz to już nieaktualne. Obecnie towarzysz Beria znajduje się w dość... specyficznym położeniu. Pewnie zastanawiacie się, dlaczego nie pozwoliliśmy ludziom komisarza śledzić was po wyjściu ze szpitala? – kontynuował.

– I owszem – potwierdziłem. – Przemknęło mi to przez myśl.

– Począwszy od początku stycznia tego roku, oddziały NKWD musiały stłumić czterdzieści pięć buntów przeciwko władzy radzieckiej. To były zbrojne wystąpienia – podkreślił. – Buntowały się jednostki liniowe, a nawet oddziały gwardyjskie. Kilkanaście razy dochodziło nie to, że do strzelaniny, ale do formalnych bitew. Były setki zabitych i rannych.

– Co to ma wspólnego z towarzyszem Berią? Jak rozumiem, czekiści dali sobie radę?

– I owszem – mruknął Iliczow. – Nie w tym rzecz. Nie ciekawi was, co spowodowało te zajścia?

Odchrząknąłem dyplomatycznie, bo i co miałem powiedzieć? Wyrazić oburzenie faktem, że ktoś ośmielił się podnieść rękę na państwo powszechnej proletariackiej szczęśliwości? Wolne żarty! A i czasu szkoda, tu, wśród swoich, nie musiałem demonstrować absolutnego oddania dla idei komunizmu. Przynajmniej miałem taką nadzieję...

– Ciekawi, towarzyszu generale – odparłem wreszcie.

– Schemat był identyczny we wszystkich przypadkach: do wioski, w której mieszkali bliscy walczących na froncie żołnierzy, zajeżdżał oddział NKWD. Na oczach mieszkańców rozstrzeliwano kilkanaście osób, dziwnym trafem zawsze krewnych żołnierzy, po czym enkawudziści znikali, dosłownie rozplywając się w powietrzu. W kilku przypadkach miejscowe władze zdążyły wysłać pościg. Bezskutecznie.

– Zaraz, zaraz! Chcecie powiedzieć, że to byli fałszywi czekiści?!

– Tak twierdzi towarzysz Beria, także miejscowe oddziały NKWD odżegnują się od udziału w akcjach – odpowiedział wymijająco Iliczow.

– To przecież bez sensu! Gdyby bezpieka chciała kogoś ukarać, zrobiłaby to dużo dyskretniej. Nie powodując plotek, nie prowokując buntów. Bo rozumiem, że owi „czekiści” zadbali, aby nie brakowało świadków?

Generał Iliczow przytaknął bez słowa.

– Problem narasta – powiedział po chwili. – Ostatnie doniesienia mówią już o gwałtach, publicznych torturach i paleniu żywcem. NKWD nasiliło cenzurę poczty i wstrzymało żołnierzom urlopy, jednak to tylko doraźne środki. Prędzej czy później plotki dotrą na front, a wtedy...

Nie dokończył, ale sprawa i tak była jasna: jeśli żołnierze dowiedzą się, że ich bliskich wykończyli ludzie w mundurach NKWD, rzecz może skończyć się nie buntem w tym czy innych pułku, lecz rewolucją. Tym razem zdecydowanie niesocjalistyczną. Co prawda już od dawna nikt nie miał złudzeń, że czekiści kierują się zasadami komunistycznej sprawiedliwości, ale istnieją granice ludzkiej cierpliwości.

– Któraś z tych zgwałconych przeżyła? – spytałem.

– Niemal wszystkie.

No, no, kimkolwiek by byli napastnicy, wiedzieli, jak podgrzać atmosferę.

– A ci torturowani?

– Także.

– Nikt chyba nie uwierzy, że funkcjonariusze NKWD dokonywali takich zbrodni – stwierdziłem bez przekonania.

Iliczow nie zaprzeczył – NKWD to przecież tarcza i miecz proletariatu! – ale jego wzrok mówił więcej niż słowa. Nie uwierzy? Akurat! Przecież od momentu zakończenia rewolucji październikowej partia komunistyczna podejmuje próby stworzenia rajy na ziemi, tylko jej, kurwa, jakoś nie wychodzi: protesty robotnicze, bunty chłopskie, miliony ofiar głodu... I cały ten bałagan sprzątają czekiści, nie ma co ukrywać – nie przebierając w środkach. Tortury, obozy, skrytobójcze mordy, sfingowane procesy sądowe to codzienność. I dlatego ludzie uwierzą we wszystko. Nawet jeśli ktoś oskarży NKWD o zjadanie niemowląt żywcem.

– Rozumiem, że moje zadanie polega na wyjaśnieniu, kto dokonuje tych ataków?

– Owszem – potwierdził Iliczow. – Dlatego chciałem porozmawiać z wami, zanim zrobi to towarzysz Beria. W kwestii tego śledztwa nie podlegacie nie tylko Genkomowi, ale i mnie. Odpowiadać będziecie wyłącznie przed towarzyszem Stalinem.

– Czy ustalono już coś konkretnego?

– Niewiele – odburknął generał, podsuwając mi teczkę z dokumentami. – Tu macie detale, ale to niemal wyłącznie zeznania poszkodowanych albo świadków. Tyle że ci świadkowie nie potrafią powiedzieć nam niczego konkretnego poza tym, że widzieli ludzi w mundurach NKWD.

Pokręciłem frasobliwie głową, przeglądając akta: rzecz wyglądała dziwnie. W wiosce Czystakowo widziano kilkunastu czekistów, w Gorłowce ponad trzydziestu. Było absolutnie niemożliwe, żeby napastnicy mieli swoją bazę gdzieś w pobliżu – teren w promieniu stu kilometrów przeczesano centymetr po centymetrze – tak więc musieli przejechać kawał kraju, aby do niej wrócić. Pozostawało pytanie: jak? Bo mundur NKWD mógł podziałać na wieśniaków, ale na pewno nie na patroly drogowe czy oddziały łowiące dywersantów, dezertów albo szpiegów. Wykluczone! Te miały obowiązek sprawdzać wszystkich i czekiści nie stanowili żadnego wyjątku: bywało, że

niemieccy dywersanci przebierali się za enkawudzistów. Wniosek? Napastnicy musieli dysponować nie tylko odpowiednimi uniformami, ale i dokumentami – ba! – musieli zachowywać się jak czekaści, inaczej zatrzymałby ich pierwszy lepszy patrol...

Najprostszym wyjaśnieniem całej sprawy byłaby szwabska dywersja, Niemcy zrobiliby wszystko, aby wywołać zamieszki na froncie. Tyle że hipoteza jakoś się nie kleiła. Kilkudziesięciu dywersantów znających znakomicie nie tylko język wraz ze wszystkimi niuansami, realia społeczne, geografię, posiadających uzdolnienia aktorskie, potężne zaplecze na terenie naszego kraju, bo ktoś im musiał przecież organizować transport, dokumenty, prowadzić wywiad... I to wszystko pod bokiem naszych organów? Mało prawdopodobne, żeby nie powiedzieć: niemożliwe. Cóż więc pozostaje? Ludzie mawiają, że jeżeli coś wygląda jak kaczką, chodzi jak kaczką, kwacze i zachowuje się jak kaczką – jest to kaczką...

Otarłem pot z czoła, nagle zrobiło mi się gorąco. A co, jeśli Beria rzeczywiście prowadzi jakąś niezrozumiałą w tym momencie grę? Albo ktoś mu robi koło pióra? Ktoś ze swoich? Na przykład osoba, która zostałaby następcą komisarza Berii? Bo jeśli towarzysz Stalin dojdzie do wniosku, że winien jest Genkom, nie będzie się długo zastanawiał, co robić.

Rozpiąłem kołnierzyk, siłą woli rozluźniłem zaciśnięte pięści. Myśl, Razumowski! Myśl! Dla GRU to niepowtarzalna okazja, żeby wykończyć konkurencję – o ile winny jest Beria, Generalny Komisarz walczy nie tylko o stołek, ale i życie, do tego jeszcze sytuacja na froncie... Jeżeli dojdzie do zaburzeń na większą skalę, głowy polecą jak gruchy. Nie tylko w NKWD. Ech, chuj by to strzelił! Jakkolwiek by się to wszystko potoczyło, jedno jest pewne: stawki w tej grze będą maksymalne, a przegranym nikt nie okaże litości.

Generał Iliczow wstał, sygnalizując koniec rozmowy.

– Czekam na wasze raporty – powiedział. – Mój szofer odwiezie was do domu, jutro dostaniecie do dyspozycji własne auto.

Jeszcze długo po wyjściu z gabinetu czułem na plecach wzrok szefa *wojennej rozwiędki*. Baczny, taksujący, ostrożny. Przesłanie było oczywiste niczym gong na ringu: rozpoczęła się pierwsza runda.



ROZDZIAŁ TRZECI

Długo zastanawiałem się, jak rozpocząć dzień, biorąc pod uwagę, że priorytetem jest misja powierzona mi przez towarzysza Stalina, mogłem odpuścić sobie zarówno robotę dla Smiersza, jak i rozwiązywanie rebusu, jaki przesłała *wojennej rozвідce* Swieta Wołkowa. Teoretycznie. Bo przyjdzie przecież czas, kiedy moje pełnomocnictwa wygasną – w taki czy inny sposób – a Iliczow i Abakumow będą mieli okazję, aby mi podziękować... Wyglądało więc na to, że będę musiał wykonywać wszystkie zadania jednocześnie, o ile nie zechcę narazić się swoim albo nowo powstającym strukturom kontrwywiadu. Chyba żeby Abakumow tak naprawdę nie chciał mojego udziału w przedsięwzięciu. Wtedy wystarczy poudawać, że coś robię... Tak, najlepiej będzie zacząć od Smiersza.

– Do koszar! – rzuciłem kierowcy krótko.

Zawarczał motor, ruszyliśmy. Szkolenie przyszłych asów kontrwywiadu zorganizowano dla niepoznaki w koszarach jednej ze stołecznych jednostek. Zamelduję się u Abakumowa, pomyślałem, a później zobaczymy.

Kierowca, którego mi przydzielono, prowadził pewnie, choć bez nadmiernej ostrożności. Potężne, rozsadzające mundur mięśnie pozwalały domniemywać, że zajmuje się nie tylko wożeniem oficerów, którzy dostąpili zaszczytu posiadania własnego środka transportu. Podobne wątpliwości wzbudzał jego refleks – zanim wsiadłem do wozu, specjalnie upuściłem teczkę z dokumentami, złapał ją, zanim dotknęła ziemi. Z niedbałą, nieledwie cyrkową zręcznością. Taaak, szofer trafił mi się niezwykajny...

Z zewnątrz koszary wyglądały normalnie, żeby nie powiedzieć: przeciętnie.

Wysoki na dwa metry mur zwieńczony drutem kolczastym, budka wartownicza, szlaban, nic nadzwyczajnego. Kiedy przejechaliśmy przez bramę, sytuacja zmieniła się radykalnie. Drogę zastąpiło nam kilku żołnierzy, zawarczały czołgowe silniki i zza niepozornych budynków wyjechały dwa T-34.

– Proszę wysiąść z pojazdu, przedstawić dokumenty – rzucił szorstko porucznik z oznaczeniami gwardyjskiego pułku powietrzno-desantowego na mundurze.

Do samochodu podszedł tylko on, reszta asekurowała go z odległości parunastu metrów. Wysiadłem i przedstawiłem dokumenty. Bardzo powoli i ostrożnie. Nie raz bywałem pod lufą automatu, ale czołgowe działa to już, kurwa, przesada. W dodatku pamięć podsuwała mi parametry techniczne armaty F-34 i używanego do zwalczania siły żywej i celów lekko opancerzonych pocisku OF-350. Tak jakbym nie mógł się bez tego obyć... Widać rzeczywiście umysł działał sprawniej, potwierdzała się teza Nikonowa, tylko że wolałbym doświadczać tego w nieco innych okolicznościach.

– Poczekajcie przy wozie! – polecił oficer, odchodząc. – I żadnych gwałtownych ruchów!

Cholera by to wzięła! Miałem nadzieję, że nikomu nie drgnie palec na spuście... Zaprezentowałem porucznikowi legitymację GRU, ale może powinienem pismo od Głównodowodzącego? Bo jeśli któryś z dzielnych czołgistów walnie, to nie będzie co zbierać. *Oskołoczno-fugasnyj snariad* rozrywa się na sześćset do ośmiuset odłamków, każdy o masie powyżej grama, tworząc pole śmierci o powierzchni osiem na pięć metrów i rażąc pięćdziesiąt procent celów na obszarze trzydzieści na piętnaście metrów. Tu nie da rady schować się za samochodem...

Po dłuższej chwili przepuszczono mnie dalej. Samego, kierowca pozostał w wozie. Porucznik poprowadził mnie do głównego budynku, zostawił pod gabinetem, wskazawszy drzwi wymownym gestem. Znaczy mam się zameldować...

Wiktor Siemionowicz Abakumow siedział za niewielkich rozmiarów biurkiem – zapewne zajął miejsce dowódcy garnizonu – i z posępną miną kontemplował jakieś dokumenty. Cztery romby na pagonach wskazywały na stopień komisarza bezpieczeństwa państwowego drugiej rangi, co odpowiadało generałowi-pułkownikowi w armii.

Zameldowałem się. Suchym, oficjalnym tonem, nie siląc się na uprzejmości czy entuzjazm. Miałem wszystkiego dosyć. Ledwo wyszedłem ze szpitala, a już przychodzi mi latać na posyłki, a to dla GRU, a to dla Abakumowa. Kto wie czy i komisarz Beria nie znajdzie dla mnie jakiegoś zadania? Do tego jeszcze Tima... Mimo tego, co powiedział generał Iliczow, jakoś nie chciało mi się wierzyć, że Genkom ot tak wypuści chłopaka.

– Siadajcie! – rozkazał krótko Abakumow.

Cóż było robić? Usiadłem.

– Kiedy możecie przystąpić do pracy? – zapytał bez żadnego wstępu.

- Jeśli chodzi o obserwację...
- Chodzi o rozwiązywanie realnych problemów! – warknął, wchodząc mi w słowo.
- Poobserwować możecie później. Ci białogwardziści wam nie uciekną!

Białogwardziści? Ach, pewnie chodzi o instruktorów...

- W czym mogę być pomocny?
- Marnujemy czas i pieniądze na szkolenie idiotów i tchórzów, ludzi, którzy w ogóle nie powinni tu trafić! Wczoraj jeden zsiadał się ze strachu na wieży spadochronowej, a parę dni temu straciliśmy „trójkę młodych, obiecujących komsomolców” – zacytował z pogardą Abakumow – podczas zajęć strzeleckich. Nie potrafili wysiedzieć w rowie w czasie ostrzału!

Znaczy próbowali uciekać, a na zajęciach używano prawdziwej amunicji. No ładnie...

- Myślę, że wstępna selekcja nie powinna sprawić specjalnych problemów – odparłem spokojnie.

– Wstępna selekcja?! – zawył Abakumow, waląc pięścią w stół. – Mamy opinie psychologów, rekomendacje organizacji partyjnych i czort wie co jeszcze! A mimo to ponad trzydzieści procent ochotników nie potrafi przejść podstawowego cyklu treningowego!

Przybrałem odpowiednio współczujący wyraz twarzy, ale w rzeczywistości z trudem udało mi się opanować śmiech. Sprawa była prosta: ze względu na wojnę większość ludzi, którzy nadawali się do czegokolwiek, już dawno otrzymała swoje przydziały. Nie bardzo było z czego wybierać. Tworząc swoją organizację, Abakumow wyprowadził część kadr z innych organizacji – słyszałem, że oparł się głównie na funkcjonariuszach *osobych oddziałów* NKWD – ale nie dotyczyło to przecież rekrutów. Ci byli tacy sami jak wszędzie: wiejskie chłopaki, które widziały wojnę tylko w kinie, komsomolcy marzący o wojskowej karierze, wszelkiego typu dekonnicy i dzieci partyjnych bonzów, którym do tej pory udało się utrzymać z dala od frontu. Tylko że nic nie trwa wiecznie: na wojnę poszedł nawet syn towarzysza Stalina, nie sądziłem więc, aby dzieci aparatczyków miały więcej szczęścia. A jak rozwał takiego na treningu, przyjdzie się tłumaczyć nawet Abakumowowi. W dodatku niedługo Smiersz wejdzie do akcji, a wtedy towarzysz Stalin zażąda wyników. Taaak, sytuacja nie do pozazdroszczenia...

- Jestem pewien, że w ciągu tygodnia uda mi się dopracować szczegóły i przystąpić do selekcji – odparłem pewnie.

Abakumow uniósł brwi w udanym zdziwieniu.

- Twierdzicie, że wasza metoda lepiej się sprawdzi niż testy psychologiczne? – zapytał.

Już nie krzyczał; albo opanował się błyskawicznie, albo udawał tylko, że traci panowanie nad sobą. Cokolwiek by o nim powiedzieć, na pewno nie był głupi.

Cyniczny, bezwzględny, a nawet okrutny – tak, ale nie głupi. Plotki głosiły, że osobiście torturuje przesłuchiwanym, tego nie robił chyba nawet Beria. Nie ma co mówić, spotkałem kolejnego niezwykłego człowieka... Wliczając szofera, to już dzisiaj drugi.

– Jestem pewien – potwierdziłem lakonicznie.

– No, no...

Abakumow zapalił papierosa. Rozpoznałem zapach: Hercegowina Flor. Towar jedynie dla prominentów, podobno ulubiony tytoń towarzysza Stalina. Podpułkownik Razumowski nie został poczęstowany, najwyraźniej mój rozmówca nie odczuwał przymusu zastosowania się do burżuazyjnych reguł dobrego wychowania...

– Trzy dni – rzucił wreszcie ostro. – A przy selekcji będę asystował osobiście.

A asystuj sobie, asystuj! Z trudem powstrzymałem się przed splunięciem na dywan. Ech, wziąć by tego gnoja, wysłać na linię frontu tak jak stoi, w mundurze bezpieki. Tam by mu dopiero zrzędła mina. Co prawda komisarzy nie rozstrzelowano już na miejscu na mocy wydanego wcześniej przez Hitlera „Kommissarbefehl”, ale nie znaczyło to wcale, że ich los się jakoś szczególnie poprawił. Po prostu zdychali w obozie albo katowni Gestapo. A i nasi żołnierze nie pałają miłością do enkawudzistów. Niejeden bezpieczeniak zarobił kulę w plecy. Od swoich...

– *Tak toczno!*

Odprawiony energicznym gestem odmeldowałem się i pomaszerowałem do samochodu. Jeśli dobrze pójdzie, to złapię jeszcze dzisiaj Nikonowa. Zanim wyrwę Kotuszewa z łap komisarza Berii, wypadało wyjaśnić pewne kwestie.



Nikonowa zastałem w kostnicy. Nie żebym się zdziwił, białogwardyjskie sympatie lekarza uniemożliwiły mu pracę w zawodzie. Obecnie mógł badać jedynie zwłoki. W rzeczywistości Nikonow był neurologiem, jednym z najlepszych, a może i najlepszym w kraju.

– Potrzebuję waszej konsultacji, profesorze – powiedziałem, zapalając papierosa.

Nie jestem specjalnie wrażliwy, ale zapach kostnicy działa mi na nerwy.

– Konsultacji? – mruknął medyk, formując z papierosowego dymu idealne kółeczko.

Tak, w odróżnieniu od Abakumowa mam zwyczaj częstować rozmówców, kiedy sam palę...

– Znowu wizje?

– Nie! Chodzi o Kotuszewa.

- Kotuszewa? Przecież powiedzieliście, że wszyscy zginęli!
- Wczoraj poinformowano mnie, że Tima żyje, choć ma problemy ze zdrowiem.

Poważne problemy.

Nikonow milczał przez chwilę, myślałem, że zarzuci mnie pytaniami, jednak ostrożność przemogła: lepiej zbyt wiele nie wiedzieć.

- A konkretnie?
- Postrzał w głowę, uszkodzenia mózgu – wyjaśniłem zwięźle.
- Gdzie się znajduje? Kto nadzoruje leczenie?
- Leży w szpitalu NKWD, co do tej drugiej sprawy, nie mam zielonego pojęcia.
- W szpitalu NKWD?!
- A jakże! Umieszczono go tam na osobisty rozkaz towarzysza Berii.

Zanim Nikonow zdążył zaprotestować – wiedziałem, że nie będzie chciał się wdawać w przepychanki z bezpieczeńką! – pokazałem mu dokument podpisany przez Głównodowodzącego.

- Rozumiem, że nie mam wielkiego wyboru? – zapytał kwaśno.

Bez słowa wzruszyłem ramionami. A jaki ja miałem wybór? Nikonow był jedynym lekarzem, do którego miałem jakie takie zaufanie.

- Czego ode mnie oczekujecie?
- Na razie diagnozy, później zobaczymy – odparłem wymijająco.
- Chcecie go stamtąd zabrać?

Przytaknąłem bez słowa. Pewnie, że chciałem, nie wiedziałem tylko, jak ustosunkuje się do tego komisarz Beria. Moje pełnomocnictwa dotyczyły konkretnej misji i gdybym zaczął się awanturować o sprawę zupełnie niezwiązaną z tematem, zapewne otrzymałbym szybko inny dokument – na przykład bilet w jedną stronę na Kołymę... Z drugiej strony możliwe, że Genkom nie zechce stawiać sprawy na ostrzu noża: pomijając wszystko inne, Kotuszew podlegał GRU, a nie NKWD, nie popełnił żadnego przestępstwa, a i czas nie był po temu, aby drażnić *wojennuju razwiedku* czy choćby pułkownika Razumowskiego. Śledztwo można przeprowadzić na wiele różnych sposobów i towarzysz Beria doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Niechby i nie był winien tym masakrom, wystarczy, że w moim raporcie znajdzie się wzmianka o braku kontroli nad powierzonym mu resortem, a szef NKWD będzie się musiał mocno tłumaczyć. I nie ma żadnej pewności, że skutecznie, towarzysz Stalin nie sływał z miłosierdzia. Może istotnie sprawa nie była tak beznadziejna, jak mi się wydawało?

- I gdzie go umieścicie? – przerwał mi zadumę Nikonow.
- Bo ja wiem? Może w „Trzynastce”?
- Dobry pomysł, Warwara Siemionowna mogłaby go mieć na oku.

Warwara Siemionowna... Niezła myśl. Ta potrafi zatroszczyć się o pacjentów. Jeśli ktokolwiek jest w stanie postawić Timę na nogi – generał Iliczow nie był w tej kwestii

optymistą – to tylko ona.

– À propos Warwary Siemionowny... – swobodnie użyłem przyswojonego z jakiegoś słownika terminu.

– Tak?

– Czy mi się wydaje, czy ona rzeczywiście dziwnie się do mnie odnosi?

– Jeżeli macie na myśli, że troszczy się o was, to i owszem – potwierdził chłodnym tonem lekarz.

– Jak o każdego innego pacjenta? – poddałem chytrze.

– Niezupełnie.

– Więc? – naciskałem.

Nikonow milczał, jakby zastanawiał się, czy odpowiedzieć na moje pytanie, czy może spróbować się wykręcić, wreszcie westchnął z rezygnacją:

– Jesteście podobni do jej syna – oznajmił. – Jak dwie krople wody. Tyle że Jura był nieco wyższy.

– Co się z nim stało?

– Był narkomanem, morfinistą. Obracał się w dość szczególnych kręgach: zapoznani poeci, artyści, przedrewolucyjna inteligencja. Ktoś doniósł, że ich nastawienie wobec władzy radzieckiej jest niezupełnie... prawomyślne. Zorganizowano obławę, Jurij próbował uciekać. Ot i wszystko.

– Nie aresztowano Warwary Siemionowny?

– Nie, ujęło się za nią kilku byłych pacjentów, generałów.

– Więc ona...

– Tak, widzi w was syna – odburknął ze zniecierpliwieniem. – Przypuszczam, że niczego wam nie odmówi.

Więc to takie buty... Przynajmniej wiem, że nie miałem omamów i zachowanie siostry oddziałowej istotnie było niezwykłe. Pożegnałem się krótko z Nikonowem i pomaszerowałem dziarsko do samochodu: cokolwiek by o tym mówić, posiadanie własnego środka transportu ułatwiało życie. A plan na dzisiaj miałem napięty, musiałem jeszcze spotkać się z *biesprizornikami*.



Kazałem kierowcy zaparkować kilka ulic od budynku, nie było sensu szukać bezdomnych dzieciaków gdzieś dalej, za dużo fadygi. Tuż obok znajdowały się sklepy spożywcze i kino, niezależnie od tego, czy postanowią zaspokoić głód, czy nieco bardziej wysublimowane potrzeby, powinienem ich zauważyć.

Nie musiałem długo czekać: mała, umorusana, wyglądająca góra na siedem lat

dziewczynka podeszła do stojących w kolejce ludzi, prosząc o datki. Z pewnej odległości ubezpieczało ją paru starszych chłopców. Nawet nieźle to wymyślili...

Po jakiejś półgodzinie zniknęła za węglem, zapewne żeby komuś przekazać wyżebrane pieniądze. Wskoczyłem pospiesznie z wozu, pobiegłem za małą. Na wszelki wypadek poluzowałem zamykający kaburę rzemień. Lepiej zachować ostrożność, mieszkające na ulicy dzieciaki słynęły z brutalności – tylko tak mogły przeżyć.

Złapałem ją za kołnierz wyświechtanego, zbyt dużego palta. Stojący obok nastolatek gwizdnął donośnie, najwyraźniej wzywając pomocy. Ustawiłem się plecami do ściany, ostentacyjnie położyłem dłoń na rękojeści pistoletu.

– Zawołaj szefa – poleciłem.

– Puść ją! – warknął dzieciak, sięgając do kieszeni.

Z westchnieniem wyciągnąłem broń, mocniej przytrzymałem szarpiącą się dziewczynkę.

– Pogadamy? – zaproponowałem.

W zaułku pojawiło się kilku starszych chłopców, ani chybi ochrona.

– Czego chcesz? – Do przodu wysunął się chudy, piegowaty rudzielec.

– Ty tu rządzisz?

– Ja.

Z pełnych respektu spojrzeń pozostałych dzieciaków wywnioskowałem, że mówi prawdę.

– Mam do ciebie interes.

– Najpierw puść Inę!

Hmm... Ina. Zdrobnienie od Lenina, a może Oktiabrina? Pewnie rodzice dziewczuszki chcieli zaznaczyć swoje oddanie dla idei rewolucji, tylko że, jak widać, niewiele to pomogło ich córce. Nikt nie tułał się po ulicach z własnej woli.

Wyciągnąłem garść rubli i włożyłem dziewczynce do kieszeni palta.

– To zadatek – zaznaczyłem.

Zakląłem pod nosem: kiedy tylko puściłem kołnierz, mała bestia kopnęła mnie w kolano. Dzieciaki zerwały się do biegu, ale rudzielec powstrzymał je stanowczym gestem.

– O co chodzi?

Powiedziałem mu. Na twarzy dziewczuszki odbiło się obrzydzenie, inni pootwierali ze zdziwienia usta. Jedyne rudy wyrostek zachował kamienną twarz. Widać nie takie propozycje już słyszał. Nie mógł mieć więcej niż trzynaście, czternaście lat, ale jego oczy bardziej pasowałyby do zmęczonego życiem starca. Były równie wyblakłe i pozbawione nadziei.

– Po ile od sztuki? – spytał.

– Pięć kopiejek. Za wyjątkowo dorodne płacę dziesiątaka.

– A jak nałapiemy więcej, niż potrzeba?
– Biorę każdą ilość. W przyszłości, o ile dobrze się sprawicie, mogę mieć dla was i inne propozycje.

– Gdzie mamy dostarczyć towar?

– Do koszar na Siemionowską. Nie leżcie w oczy wartownikom, bo was pogonią, czekajcie na mnie. Powinienem tam być około dziewiątej.

Nie było żadnego pożegnania, nikt nie podał mi dłoni, po prostu chudzielec odwrócił się i odszedł. No i dobrze, jeszcze by mnie jakieś wszy oblażyły. Miałem nadzieję, że dzieciaki zrobią to, o co je prosiłem, w innym wypadku będę miał kłopoty. W końcu obiecałem Abakumowowi, że zorganizuję mu selekcję...



W kolejce stało ponad stu kursantów, najwyższy czas rozpocząć imprezę. Na terenie koszar znajdowało się kilka podobnych punktów, ale komisarz Abakumow zaszczyił swoją obecnością akurat ten, którego działanie nadzorowałem. Nie żebym się zdziwił, wiedziałem, że nie odpuści. Sprawa była zbyt ważna: jeśli Smiersz zawiedzie pokładane w nim nadzieje, Abakumow zapłaci za to pierwszy.

– Zaczynamy! – rozkazałem.

Młody, muskularny, przypominający z wyglądu bohaterów socrealistycznych plakatów mężczyzna wszedł do przedsionka, rozebrał się pod okiem dwóch instruktorów i nagi przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. To liczyło sobie zaledwie cztery metry kwadratowe, większe nie było potrzebne.

Instruktorzy wyszli na zewnątrz, jeden z nich pociągnął za sznurek, otwierając umieszczoną pod sufitem klatkę. Niemal natychmiast z wnętrza budynku doszedł nas przeraźliwy, pełen obłądnego strachu krzyk.

Mimo że kursanci mieli nakazane milczenie, usłyszałem za plecami ciche, nerwowe szepty. I dobrze – im więcej plotek, tym lepiej.

– Co tam się dzieje? – zapytał Abakumow, marszcząc brwi.

Znaczy nie doniesiono mu jeszcze o mojej transakcji z *biesprizornikami*...

– Twierdziliście, że nawet jeśli ktoś nie zaliczy testu, obejdzie się bez strat w ludziach!

– I podtrzymuję swoje zdanie – odparłem stanowczo. – To tylko...

Nie dokończyłem, w drzwiach stanął pierwszy poddany selekcji kandydat do Smiersza. Nagi, jak go Pan Bóg stworzył, zasłaniający twarz rękoma. Już nie przypominał bohaterskich traktorzystów czy przodowników pracy socjalistycznej: spomiędzy palców ciekła mu krew, rany widać było też w okolicy genitaliów i na

przedramionach.

– Razumowski! – warknął Abakumow. – Natychmiast wytłumaczcie, co to wszystko znaczy!

Upewniłem się, że do poszkodowanego podeszli sanitariusze, gestem nakazałem kontynuować procedurę.

– Może odejdziemy na bok? – zaproponowałem.

Odeszliśmy, choć mina mojego rozmówcy świadczyła, że znajduje się on na granicy wytrzymałości nerwowej.

– To tylko szczur, towarzyszu – wyszeptałem przyciszonym tonem.

– Co takiego?!

– Szczur – powtórzyłem cierpliwie. – Choć prawda, że dorodny, sam go wybierałem... Mamy przecież wyselekcjonować ludzi, którzy będą w stanie pokonać strach, obrzydzenie, wykazać się siłą woli i bez namysłu wykonywać rozkazy – przypomniałem. – Szczury rzadko kiedy bywają agresywne, ale w pomieszczeniu dwa metry na dwa nie mają wyjścia, zaatakują. Tym bardziej że każdy kursant otrzymuje polecenie: zabić szczura. Dorosły osobnik mierzy sobie około trzydziestu centymetrów, nie licząc ogona, ale potrafi bez szkody dla zdrowia zeskoczyć z trzeciego piętra, co w przypadku człowieka odpowiadałoby wysokości sześćdziesięciu metrów, zmuszony do walki może wybić się na wysokość twarzy dorosłego mężczyzny, a jego zęby są w stanie przegryźć blachę, cegłę i beton. Dla zaskoczonego, rozebranego do naga człowieka to groźny, a przede wszystkim wywołujący strach przeciwnik, choć nie sądzę, aby doszło do wypadków śmiertelnych – zakończyłem.

Jakby dla ilustracji mojego małego wykładu, z budynku wybiegła kolejna kursantka. Ubrana, choć ze śladami krwi na ustach i dłoniach. Wolałem nie zastanawiać się, jak zabiła swojego szczura...

– Widzicie? – powiedziałem. – Mamy już pierwszą zweryfikowaną pozytywnie.

Z zadowoleniem zauważyłem, że do kobiety podchodzą instruktorzy, natychmiast izolując ją od tłumu. Tak jak zarządziłem. Nie można pozwolić, żeby podzieliła się swoimi doświadczeniami, czy może nawet doradziła, jak zabić szczura. Nie dzisiaj. Być może za jakiś czas test ze szczurem spowszednieje – na dłuższą metę nie da rady powstrzymać plotek – wtedy wprowadzi się dodatkowe atrakcje, jednak jeszcze nie teraz. Dziś każdy sam zmierzy się ze swoim strachem.

– Myślicie, że to podziała? – odezwał się niepewnie Abakumow.

– Jestem pewien. To rodzaj terapii wstrząsowej – wyjaśniłem. – Przeważnie w trakcie szkolenia stopniuje się bodźce, stosując coraz silniejsze, jednak my nie mamy na to czasu. Dlatego musimy zacząć od drugiej strony: jeśli ktoś da sobie radę teraz, mało co zaskoczy go w przyszłości, wszystko wyda się mniej straszne niż walka bez broni i ubrania z rozwścieczonym szczurem.

– Może i macie rację? – mruknął z namysłem Abakumow. – Zobaczymy. Tak czy owak, zastanówcie się, w jaki sposób można jeszcze usprawnić proces szkolenia, no i liczę na waszą obecność na zajęciach.

Westchnąłem w duchu: nie wyglądało, aby dowódca Smiersza zadowolili się markowaniem przeze mnie roboty. Trzeba będzie od czasu do czasu pojawić się w koszarach, a przecież czeka mnie jeszcze praca dla GRU. O zleconej przez towarzysza Stalina misji wołałem nawet nie myśleć.

– Tak jest! – odpowiedziałem pośpiesznie.



Pokryta śniegiem Moskwa wyglądała obco i nieprzyjaźnie, może sprawiał to widok pospiesznie przemykających przez ulice przechodniów? Temperatura oscylowała wokół minus piętnastu stopni, nic dziwnego, że nie widziało się spacerowiczów. Ja co prawda nie marzłem – kolejny plus posiadania własnego auta – ale tak czy owak, było mi nie do śmiechu. Po raz kolejny studiowałem rysunek Swietłany Wołkowej. Niestety, nie mogłem pochwalić się najmniejszym nawet sukcesem: zagadka nadal pozostawała nierozwiązana. Ptak i zwierzę wyglądające na jelenia, co to, do cholery, mogło znaczyć? Moi poprzednicy pokazali bazgroły naukowcom, usiłując uściślić, co konkretnie przedstawiają. Bezskutecznie. Jajogłowi po prostu ich wyśmiali – córka Wołkowa nie miała talentów plastycznych i szkic nie poddawał się analizie. Nie bardziej niż twórczość przeciętnego przedszkolaka...

– Jesteśmy na miejscu – poinformował mnie szofer.

No tak, szpital NKWD. Zobaczymy, czy rzeczywiście nie będzie problemów z przeniesieniem Timy do „Trzynastki”.

W holu powitał mnie ordynator i – jakżeby inaczej! – znajomy mi ochroniarz Genkoma... Ten ostatni chwilowo stanął skromnie z boku.

– Wszystko gotowe do transportu pacjenta! – zameldował nerwowo wysoki, szczupły lekarz.

– Proszę przenieść go do sanitarki – poleciłem.

– On w zasadzie sam chodzi, ale jeśli sobie życzycie, to ja oczywiście...

– Wsadźcie go po prostu do samochodu! – przerwałem niecierpliwie.

– Natychmiast!

Na pierwszy rzut oka Tima wyglądał całkiem normalnie: żadnych widocznych opatrunków, spokojny, zdecydowany krok, mundur jak spod igły. Tylko pustka w oczach chłopaka mówiła, że coś jest nie w porządku. Jego wzrok prześliznął się po mnie, nie zatrzymując nawet na chwilę, tak jakbym był jedynie elementem

umeblowania. Niezbyt interesującym elementem.

Z całej siły zacisnąłem pięści: nie mogę się tu rozkleić, nie przy tych ludziach, nie w szpitalu NKWD!

Poczekalem, aż Tima znajdzie się w sanitarce, dopiero wtedy ruszyłem do wyjścia. Ochroniarz Genkoma przytrzymał mi drzwi, ale zamiast mojego samochodu wskazał inny wóz: czarny opel, ostatni krzyk mody w NKWD... Cóż mogłem zrobić? Skorzystałem z uprzejmego zaproszenia. Jak przypuszczałem, Ławrentij Pawłowicz Beria nie mógł się mnie doczekać.

Jechaliśmy w milczeniu – nie było o czym gadać. Wiedziałem, że trasa mojej karocy wiedzie na Łubiankę, a nad tym, co mnie czeka w głównej kwaterze ludzi o „gorących sercach i czystych dłoniach”, wolałem się nie zastanawiać. Jakby co, Genkom mnie oświeci...

I znowu stałem na baczność przed ogromnym biurkiem, wpatrując się w ścianę, jakieś dziesięć centymetrów powyżej nalanej twarzy komisarza Berii. Nie patrzyłem mu w oczy: wymiana spojrzeń to wyzwanie, a ja nie jestem samobójcą. Czekalem, aż *Gienieralnyj Komissar Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* raczy mnie zauważyć. Doczekałem się już po minucie.

– Siadajcie, Razumowski – burknął Beria.

Genkom przekładał jakieś papiery, ale widziałem wyraźnie, jak drżą mu ręce: pozorował pracę tylko na mój użytek.

– Co myślicie o tym wszystkim? – zapytał.

Nie poprosiłem o doprecyzowanie, rzecz była oczywista – chodziło o prowokacje, jakich dokonywali ludzie w mundurach NKWD. Ale co ja mu mogłem powiedzieć? Dzień i noc przeglądałem akta sprawy – tych było już dwanaście tomów – lecz nie zawsze „więcej” znaczy „lepiej”. Świadkowie nie wiedzieli nic konkretnego, czemu trudno się dziwić: w naszym kraju nie opłaca się zaglądać władzy w rękaw, szczególnie w czasie akcji pacyfikacyjnych. A i czekiści potrafią zabezpieczyć teren tak, żeby nie było komu opowiadać o tym, co się stało. Łatwo ze świadka stać się ofiarą, bardzo łatwo... Obecnie w niemal każdej gazecie można przeczytać o dokonywanych przez okupanta egzekucjach, ale nigdzie nie znajdzie się wzmianki, że na długo wcześniej, zanim przyszli do nas Niemcy, ziemia skrywała już wiele masowych grobów. Z lektury dokumentów dało się wyciągnąć tylko jeden wniosek: sytuacja pogarszała się w zastraszającym tempie. O ile w czasie pierwszych przesłuchań dominującym wśród świadków uczuciem był strach, teraz górę brała nienawiść do NKWD, a może i do państwa radzieckiego. W to, że mordercy mogą być przebierańcami, nikt nie wierzył. Wyznaczenie niezależnego śledczego pozwalało się domyślać, że i sam towarzysz Stalin miał daleko idące wątpliwości w tej sprawie.

– Jestem na etapie studiowania akt – odparłem.

– To wszystko?!

– Dopiero kilka dni temu wypisano mnie ze szpitala – zauważyłem.

Myślałem, że mnie uderzy albo chociaż krzyknie, ale nie, Beria zacisnął jedynie usta w wąską linię przypominającą ślad po cięciu brzytwą.

– Zajęliśmy się tym waszym Katuszewem – powiedział, pozornie zmieniając temat.

– Obecnie jest już porucznikiem – zaznaczył z ledwie widocznym uśmieszkiem.

Nie potrzebowałem tłumacza, aby zrozumieć, co chce mi przekazać Genkom: nawet jeśli byłem dla niego chwilowo nietykalny, pozostawał jeszcze Katuszew. Ten nie był nikim ważnym: ot, zwykły poruczniczyna. A fakt, że przewieziono go z jednego do drugiego szpitala, niczego nie zmieniał: Ławrentij Pawłowicz miał długie ręce.

Mimo że spodziewałem się czegoś w tym rodzaju, zalała mnie fala gorącej jak lawa wściekłości. Zapamiętam wam to, towarzyszu Generalny Komisarzu! Zachowam we wdzięcznej pamięci po kres swoich dni! Albo waszych...

Tymczasem milczałem, starając się zachować obojętny wyraz twarzy. Kto wie? Może i w moje okienko zajrzy kiedyś słońeczko? I jakkolwiek fantastycznie by to zabrzmiało, będę mógł odpłacić za wszystko towarzyszowi Berii?

Widząc, że nie reaguję na zawołaną groźbę, Genkom przerzucił kilka papierków, po czym wbił we mnie spojrzenie przekrwionych oczu.

– Na pewno macie już jakieś spostrzeżenia – powiedział. – Jesteście w końcu doświadczonym oficerem...

Choć Beria starał się złagodzić ton, i tak zabrzmiało to jak zgrzyt żelaza po szkle: w gardle Generalnego Komisarza bulgotała agresja i bezsilna złość, być może podszyte strachem. Bo mimo ogromu władzy, jaką dysponował, pamiętał – musiał pamiętać! – o swoich poprzednikach: Jagodzie i Jeżowie. Także swego czasu niemal wszechmocnych...

W NKWD przejmowano władzę, wydzierając ją z martwych rąk poprzednika. I pierwszą rzeczą, jaką robił nowy szef tej instytucji, było upewnienie się, że stary spoczywa na przepisowej głębokości dwóch i pół metra pod ziemią. Taka, kurwa, tradycja...

– Na tym etapie trudno powiedzieć coś konkretnego – odparłem wykrętnie. – Jednak wydaje mi się, że można wykluczyć niemiecką dywersję, więc...

– A to niby dlaczego?! Uważacie, że to niemożliwe?! Przecież wróg naciska tak silnie, że trzeba tworzyć nowe struktury kontrwywiadu!

– To nie ten poziom – mruknąłem.

– Wyjaśnijcie! – zażądał Genkom, nerwowo wyłamując palce.

– Teoretycznie wszystko jest możliwe – zacząłem ostrożnie. – Teoretycznie. Tylko że w tych akcjach brało udział kilkadziesiąt osób. I nikt ze świadków nie miał najmniejszych wątpliwości, że to NKWD...

– To nie NKWD! – zawył Beria. – To wrogowie partii i narodu radzieckiego

podszycający się pod pracowników NKWD!

Twarz Generalnego Komisarza poczerwieniała, na szyi pojawiły się sine żyły. Odchrząknąłem zaniepokojony; jeszcze trochę i szlag go trafi na miejscu. Nie żebym specjalnie żałował, jakby co, ale wolałem się nie tłumaczyć, co robię sam na sam z trupem Ławrentija Pawłowicza. Wątpiłem zresztą, aby w takim wypadku dano mi szansę wytłumaczenia czegokolwiek.

– Spokojnie, towarzyszu! – Uniosłem w pojednawczym geście dłoń. – Nikt nie ma zamiaru was oskarżać. Musicie jednak przyznać, że i w waszej instytucji bywały problemy, zdarzało się nawet, iż działały w niej wrogie elementy.

Mówiąc to, starałem się bardzo, żeby nie okazać satysfakcji: to przecież poprzednika Berii, Jeżowa, zmuszono do złożenia samokrytyki, w której przyznał, że przez jego niedbalstwo do NKWD i prokuratury przeniknęli „wrogowie narodu”. Zarzut ten, jak i wszystkie inne, nie mógł zostać postawiony bez udziału obecnego Genkoma. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Jeśli dawniej w szeregach bezpieki można było znaleźć czarne owce, to dlaczego nie dzisiaj? Wyglądało, że niszcząc swojego poprzednika, towarzysz Beria sam wykopał sobie grób.

– Więc myślicie... – wymamrotał Genkom.

– Oczywiście można przypuścić, że maczali w tym palce Niemcy – przyznałem. – Kto wie co wykaże śledztwo? Jednak nie wszyscy świadkowie byli prostymi kołchoźnikami, zdarzali się i tacy, którzy na co dzień mieli do czynienia z organami bezpieczeństwa: miejscowy sekretarz partii, kilku działaczy Komsomołu, weterani i przebywający na urlopie żołnierze. Ci natychmiast wychwyciliby najmniejszy fałsz w zachowaniu czy słowach napastników, zauważyli błędy w dokumentach albo umundurowaniu. Tymczasem nic z tego, wszyscy byli przekonani, że mają do czynienia z prawdziwymi pracownikami NKWD.

– Myślicie, że Niemcy to głupcy?! Dobrze wyszkoleni agenci wroga mogli z powodzeniem udawać naszych!

– Mogli – przytaknąłem. – Tym bardziej jeśli rekrutowano ich spośród zdrajców. Wtedy odpadałyby kwestie językowe i wiele innych.

– Więc przyznajecie, że to prawdopodobne?!

– Raczej: możliwe – poprawiłem. – Widzicie, towarzyszu, nawet jeśli przyjąć taką wersję, nasuwa ona sporo wątpliwości.

– Mianowicie?

– Dokumenty, zachowanie, procedury w czasie akcji, baza, transport – wymieniałem zwięźle.

– A możecie to bliżej naświetlić?

– Nie tak łatwo podrobić dokumenty NKWD.

– Ale przecież nie jest to niemożliwe – stwierdził Beria, odzyskawszy panowanie nad sobą.

– Zgoda. Jednak papiery to jedynie część problemu. Ci ludzie zachowywali się jak funkcjonariusze organów bezpieczeństwa.

– To znaczy?

Westchnąłem bezradnie. Przecież nie mogłem użyć zwrotu „z wynikającą z poczucia bezkarności arogancją”.

– Założę się, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć moglibyście odróżnić oficera po cywilnemu od przechodnia z ulicy – powiedziałem. – To kwestia pewnej manieri, gestów, postawy, wreszcie tonu głosu. To samo, choć w nieco innym zakresie, dotyczy też pracowników NKWD. Oni także reprezentują władzę, przywykli do wydawania rozkazów i tego, że ich polecenia są wykonywane. To się wyczuwa.

– To wszystko?

– Nie, towarzyszu Generalny Komisarzu, nie wszystko. Ci ludzie otoczyli wioskę, przeprowadzili selekcję i rozstrzelali wybrane osoby. Znamy opisy tysięcy podobnych akcji przeprowadzonych na naszych obywatelach przez Niemców. Oni mają inne procedury, stosują odmienne rozwiązania taktyczne. Tymczasem napastnicy działali według wzorców NKWD... Oczywiście – uprzedziłem protest Genkoma – i to można pozorować, ale w tej sprawie nagromadziło się zbyt dużo takich zbiegów okoliczności: dokumenty NKWD, zachowanie charakterystyczne dla pracowników organów bezpieczeństwa, taktyka NKWD, wreszcie napastnicy przyjechali samochodami używanymi przez NKWD... Za dużo tego na przypadek. Do tego jeszcze pozostaje kwestia bazy.

– Nie rozumiem?

– Jeśli to niemieccy dywersanci, muszą mieć gdzieś swoją bazę operacyjną – wyjaśniłem cierpliwie. – Nie byle jaką bazę – podkreśliłem. – Taką, gdzie bez wzbudzania podejrzeń zmieści się nie tylko trzydziestu chłopów, ale i kilka ciężarówek. Wyobrażacie sobie coś podobnego w okolicach Moskwy?

– Dlaczego akurat Moskwy?!

– Sprawcy działali w różnych miejscach, ale centrum tego obszaru stanowi Moskwa, logiczne, że mają bazę gdzieś tutaj. Podsumujmy – zaproponowałem. – Trzydziestu dywersantów znających doskonale rosyjski, przeszkolonych na wzór NKWD, dysponujących dokumentami i transportem NKWD oraz bezpieczną kryjówką w stolicy. Niemożliwe! – podsumowałem bezlitośnie. – A przynajmniej bardzo mało prawdopodobne... Do tego informacje, jakie posiadają: przecież zabijają krewnych frontowych żołnierzy, przeważnie z wybranych, elitarnych jednostek. To dowodzi, że mają dostęp do danych, jakie są w posiadaniu jedynie służb specjalnych.

– Takich jak na przykład wasza – wtrącił złośliwie Beria.

– To prawda – przyznałem. – I nasza...

– Więc może powinniście działać w tym kierunku?!

– Prowadzę śledztwo wielotorowo – odparłem, zachowując kamienny wyraz

twarzy.

Towarzysz Beria parsknął nieelegancko, ale nie podjął tematu. Milczał przez dłuższą chwilę, wpatrując się we mnie nieobecny wzrokiem.

– Informujcie mnie na bieżąco – polecił w końcu.

– Tak jest! – odparłem służbiście, podrywając się z krzesła.

Z wrodzoną bystrością zorientowałem się, że właśnie zostałem odprawiony. No i dobrze: miałem jeszcze wiele do zrobienia. Przede wszystkim musiałem zatroszczyć się o Timę. Co prawda pismo od generała Iliczowa wystarczyło, aby potraktowano go jak każdego innego pacjenta „Trzynastki”, jednak tak czy owak wypadało pogadać z Warwarą Siemionowną i Nikonowem. Chciałem, żeby medyk dokładnie zbadał chłopaka. Może wykryje coś, na co nie zwrócili uwagi w szpitalu NKWD? Oby...



Warwara Siemionowna rozpoczynała dyżur po południu, tak więc podjechałem pod kamienicę, w której mieszkała. Niedługo powinna wyjść do pracy. Co prawda do szpitala nie było daleko, ale marsz po sięgającym wyżej kostek śniegu przy temperaturze minus piętnaście nie należy do przyjemności. Kto wie? Może zaoferowawszy podwiezienie, zarobię u niej dodatkowe punkty? Zależało mi, żeby osobiście zajęła się rehabilitacją Timy. O ile możliwa będzie jakakolwiek rehabilitacja...

Niemal ją przegapiłem – ubrana w liche, wytarte paletko, nienadające się nawet na wiosenne spacerki, okutana wełnianą chustą przypominała wiejską babinę, a nie postrach szpitala numer trzynaście.

– Warwaro Siemionowna! – krzyknąłem.

Pośliznęła się, odwracając, wyskoczyłem z wozu, podtrzymałem ją pod ramię.

– Wsiadajcie – zaprosiłem. – Podrzucę was do szpitala.

– Saszka – wymruczała niewyraźnie przez warstwy wełny. – Co ty tu robisz?

– Czekam na was, Warwaro Siemionowna. Chciałbym, żebyście zajęli się pewnym pacjentem. To mój podwładny – wyjaśniłem, widząc pytające spojrzenie siostry oddziałowej. – Dopiero niedawno dowiedziałem się, że żyje.

– Co mu jest?

– Uszkodzenie mózgu wywołane postrzałem w głowę.

– Jesteś pewien, że da się z tym cokolwiek zrobić?

– Nie jestem – odburknąłem. – Ale muszę spróbować, Tima uratował mi życie. Będziecie mieli na niego oko?

Skinęła głową, poprawiając chustę. Dopiero teraz zauważyłem, że trzęsie się

z zimna.

– Nie macie czegoś cieplejszego? – spytałem zniecierpliwiony. – Przy takiej temperaturze raz-dwa złapiecie zapalenie płuc.

– Wczoraj napadli mnie tuż pod domem, zabrali kożuszek i czapkę. Dobrze, że się na tym skończyło – dodała, wzruszając ramionami. – Miesiąc temu sąsiada pchnęli nożem. Zmarł w drodze do szpitala.

Napadli? Pociągnąłem za skraj wełnianej płachty, odsłoniłem twarz Warwary Siemionowny: podbite oko, rozcięta warga, siniaki na policzkach. Nieźle ją urządzili, gady. Kobieta ratuje życie żołnierzom, a tu jakieś gnojki biją ją przed własnym domem, pomyślałem ze złością. Trzeba będzie coś z tym zrobić, ale przede wszystkim załatwić jej jakieś normalne ubranie; jeśli się rozchoruje, w niczym mi nie pomoże.

– Zawracaj na Smoleński – poleciłem kierowcy.

Na placu Smoleńskim, w rejonie dawnego rynku, znajdował się sklep dla uprzywilejowanych. Zaopatrywać się w nim mogli jedynie partyjni działacze wysokiego szczebla, generalicja i posiadacze tytułu Bohatera Związku Radzieckiego. Spełniałem ten ostatni warunek.

– Spóźnię się na zmianę – zauważyła nerwowo Warwara Siemionowna. – I gdzie ty mnie w ogóle ciągniesz?

– Do sklepu, trzeba wam kupić jakiś porządny płaszcz.

– Zwariowałaś?! Przy obecnym zaopatrzeniu? Zresztą nie mam pieniędzy.

– Ja zapłacę.

– W żadnym wypadku! To absolutnie...

– Nie będziemy o tym dyskutować – uciąłem zimno. – Albo przyjmiecie ode mnie wszystko, co wam kupię, albo wysadzę was w tej chwili i nie zobaczymy się nigdy więcej. A o opiekę nad Timą poproszę inną pielęgniarkę.

– Nie biorę łapówek!

– Zatrzymaj się! – poleciłem kierowcy.

Przyhamował z piskiem opon. Może miał dosyć krzyków Warwary Siemionowny? Nic dziwnego, ja też.

– To nie łapówka, głupia babo! – wycodziłem przez zaciśnięte zęby, rezygnując ze zwracania się do siostry oddziałowej na wy.

Miałem jej dosyć, miałem wszystkiego dosyć. Skończyła mi się cierpliwość na dzisiaj. Już widok Timy z martwymi jak wypchanego zwierzaka oczyma nie poprawił mi humoru, później rozmowa z Genkomem, a teraz jeszcze przedrewolucyjnego chowu pensjonarka usiłuje skakać mi na głowę z powodu swoich niezłomnych – a jakże! – zasad moralnych.

– Ja...

– Nie skończyłem! – upomniałem ją gniewnie. – Nie pytałem, skąd wzięłaś pieniądze na te śmierdzące olejki, które we mnie wcierałaś, ani dlaczego zajmowałaś

się mną po dwudziestoczerogodzinnym dyżurze, zamiast pójść do domu się wyspać. Przyjąłem to z wdzięcznością. I teraz albo zrobisz to samo, albo wyjdiesz z wozu i podrepczesz do szpitala, napawając się po drodze swoją wyższością moralną. Wybieraj!

Warwara Siemionowna wpatrywała się we mnie, jakby zobaczyła ducha, niespodziewanie zaszklily jej się oczy i po posiniaczonej twarzy pociekły łzy.

– Przepraszam, Saszka – powiedziała pokornie. – Zrobię wszystko, co chcesz.

Kierowca ruszył bez rozkazu, w czasie jazdy napawałem się błogą ciszą. Nie wiem, dlaczego milczała Warwara Siemionowna, ja byłem po prostu wyczerpany. Misja dla Stalina, rozwiązywanie zagadki dla GRU, pomoc w szkoleniu agentów Smiersza... Za dużo tego naraz, zdecydowanie za dużo. I żeby tu chodziło tylko o pracę, ale nie, los ma dla Razumowskiego zawsze coś specjalnego! Najważniejsza była, rzecz jasna, misja zlecona mi przez Głównodowodzącego. Niestety... Bo nie miałem złudzeń: nawet gdybym jakimś magicznym sposobem ustalił winnych zbrodni popełnionych na rodzinach żołnierzy, przecież nie załatwiało to sprawy. Jak zareaguje Beria, jeśli okaże się, że wśród sprawców są jego ludzie? Czy nie postara się zamknąć gęby pułkownikowi Razumowskiemu, zanim ten zdąży zameldować o wszystkim towarzyszowi Stalinowi? A co zrobi *wojennaja razwiedka*, kiedy wyjaśni się, że to jednak nie Beria i NKWD? Czy daruje mi zaprzepaszczenie wyjątkowej i niepowtarzalnej szansy na odegranie się na konkurencji? A jeśli nie zdązę? Jeśli rozwścieczeni masakrami żołnierze zaczną się buntować na większą skalę? I żebym do tego wszystkiego miał jeszcze wolne ręce, ale nie! – muszę przecież rozwiązywać rebusy i nadzorować trening prowadzony przez białogwardzistów na emeryturze... Ech, chuj by to strzelił!



Kierownik specklepu, mały, tłusty człowieczek, nie zrobił na mnie dobrego wrażenia, ja na nim najwyraźniej także. Ujął legitymację Złotej Gwiazdy w dwa palce, jakby to było coś nieprzyjemnie pachnącego, skrzywił twarz w wymuszonym uśmiechu.

– Niestety, towary, jakie wam przysługują, pułkowniku, skończyły się wczoraj. Musicie poczekać do następnego miesiąca.

Rozejrzałem się wokoło: sklepowe półki uginały się pod ciężarem puszek z kawiozem, luksusowych wędlin, wytwornej porcelany, na manekinach i wieszakach pyszniły się futra, suknie balowe i wszelkiego typu damskie fatalaszki. Rzeczywiście widać, że brak towaru...

– Chyba się nie zrozumieliśmy – stwierdziłem sucho.

– Najwyraźniej – przytaknął, przywołując gestem dwóch barczystych sprzedawców.

– Może pójdziemy już stąd, Saszka? – spytała nieśmiało Warwara Siemionowna.

– Znakomity pomysł! – oznajmił kierownik, obrzucając ją pogardliwym spojrzeniem.

Ekspedienci stanęli u boku pryncypała z groźnymi minami. Westchnąłem z żalem: ech, wbić by pięść w kałdun grubasa, trzasnąć głupią mordą o beton, a później zająć się tymi dwoma dekownikami... Chciałaby dusza do raj! Niestety, skóra na moich dłoniach dalej była różowa i delikatna, najmniejszy uraz groził kolejnymi tygodniami w bandażach. Nie dla mnie mordobicie, nie dla mnie...

Dlatego odebrałem jedynie legitymację i pokazałem drugi dokument, ten od towarzysza Stalina. Lekceważenie momentalnie spęzło z twarzy tłuszciocha, zastąpiła je maska zwierzęcego przerażenia.

– Ja natychmiast... Wybaczcie, nie wiedziałem! My oczywiście...

– Buty, czapka, futro – poleciłem zwięźle. – Dla niej. – Ruchem głowy wskazałem Warwarę Siemionownę.

– Natychmiast! – powtórzył.

Jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki wokół zaroilo się od ekspedientów, pociągnęli oszołomioną Warwarę Siemionownę w stronę półek. Machnięciem dłoni odesłałem ocierającego pot z czoła kierownika, przysiadłem na podsuniętym przez kogoś krzeselku. Nieoczekiwanie poczułem zmęczenie. Albo nerwy, albo jeszcze nie całkiem doszedłem do siebie. Tak czy owak, trzeba uważać, jeszcze tego brakuje, żebym ponownie wylądował w szpitalu.

Zakupy musiały trwać dobrą chwilę, bo z półsnu wyrwało mnie dopiero nieśmiałe chrząknięcie. Siostra oddziałowa, już w nowym futrze i butach, stała przede mną, demonstrując dwie czapki.

– Jak myślisz, którą wybrać? – spytała.

– Bo ja wiem? – Wzruszyłem obojętnie ramionami. – Nie znam się na tym.

– Obie są oczywiście znakomitej jakości – pospieszył z wyjaśnieniami kierownik. – Jednak sobole...

– Ta druga jest z pyżyka – weszła mu w słowo Warwara Siemionowna. – Pamiętasz ten wierszyk?

*Czyżyk-pyżyk, gdzie ty był?
Na Fontankie wódki pił!*

Jasna cholera! Pyżyk to inaczej renifer. Znaczy zwierzak z rogami, jak na rysunku Wołkowej. Czyżyk i renifer! Rozwiązałem zagadkę! No, prawie rozwiązałem, bo

trzeba jeszcze wyjaśnić, co to znaczy.

Zerwałem się na równe nogi, zakręciłem Warwarą Siemionowną jak w tańcu.

– Bierzcie czapkę z pyżyka – poradziłem. – To bardziej po proletariacku. Sobole niech noszą burżuje!

Kierownik ponownie pobałdł jak trup, czyżby obawiał się oskarżenia o obrót nadmiernie luksusowymi towarami? A i chuj z nim! Co mnie to obchodzi? Niech się pomęczą gnida!

– Idziemy, Warwaro Siemionowna, bo spóźnicie się do pracy! – zawołałem, rzucając na stół kilka banknotów.

Cena była niewygórowana, najwyraźniej partia dbała o kieszenie aparatczyków, w normalnym sklepie za te pieniądze nie kupiłbym nawet porządnych walonek. A tu proszę: solidne skórzane buty, futro i czapka z renifera. Naród radziecki funduje...

Pobiegliśmy do samochodu, zaśmiewając się jak dzieci po splątaniu figla. Humor poprawił mi się radykalnie. Nich żyją czapki z pyżyka!



Gapiałem się na kartkę z wypisanym wierszykiem, od czasu do czasu recytowałem go w głos. Nie pomagało. Nadal nie mogłem zrozumieć, w czym rzecz. Rzuciłem wszystkie inne sprawy, skoncentrowałem się na zagadce, jaką zadała nam Swietłana Wołkowa. Do terminu spotkania z Wilczycą pozostały trzy dni...

Do tego wszystkiego nie wychodził mi z głowy Tima. Nie wątpiłem co prawda, że Warwara Siemionowna zajmie się nim w odpowiedni sposób, ale niepokoił mnie dalszy los chłopaka: jeszcze dziś Nikonow miał przeprowadzić wszelkie niezbędne analizy. Czy badania potwierdzą diagnozę lekarzy NKWD? Czy Timka do końca życia będzie musiał żyć w psychuszce? Ech, szlag by to...

Siłą woli odsunąłem od siebie natrętne myśli, po raz kolejny spojrzałem na kartkę. Dalej, Razumowski! Analizuj i wyciągaj wnioski, bo czas leci! Cokolwiek by o tym mówić, najwyraźniej dziewczucha nie była aż taką wariatką, za jaką miał ją Iliczow: wybrała łatwy do odgadnięcia kod, wierszyk o czyżyku znali wszyscy. Aczkolwiek – zauważyłem z pewną satysfakcją – moi poprzednicy nie dali rady skojarzyć rysunku z rymowanką. No dobrze, co mi to daje? Wierszyk musi zawierać informację o miejscu następnego spotkania. Jak brzmi całość?

Czyżyk-pyżyk, gdzie ty był?

Na Fontankie wódka pił!

Wypił riumku, wypił dwie –

Zakrużyłos' w gołowie!

Dwie ostatnie linijki można sobie odpuścić: wiedza, ile szklanek wódki wypił czyżyk, nie pomoże mi znaleźć Święty Wołkowej. Drugi wers odpowiada wprawdzie na pytanie: gdzie? Tyle że nijak się to nie klei. Fontanka to rzeka w Leningradzie. Jedna z rzek. Popularnie nazywa się tak i nabrzeże wzdłuż Fontanki. I co z tego? Córka Wołkowa żyła w Moskwie i w tejże Moskwie była widziana jeszcze miesiąc temu. W żaden sposób nie mogła znaleźć się w Leningradzie. W dodatku Fontanka to zbyt duży obszar, aby traktować go jako miejsce spotkania albo choćby punkt, gdzie można znaleźć kolejną wskazówkę. Uch, jakbym dorwał to dziewczusko...

No dobrze, ale dlaczego *czyżyk-pyżyk*? Przecież czyżyk to ptak, a renifer bydlę z rogami. Tymczasem w wierszyku oba słowa połączone są ze sobą, tak jakby chodziło o tę samą rzecz. A na rysunku widnieją przecież osobno... Nie jestem biologiem, ale przecież wiem, że nie ma czyżyka z rogami, ani też skrzydlatego renifera! Co tu jest, kurwa, grane?!

Spokojnie, Razumowski, spokojnie... A gdyby przypuścić, że to kolejna aluzja? Rysunek wskazuje co prawda na wierszyk, ale niekoniecznie musi być on ostatecznym rozwiązaniem zagadki. A co, jeśli to tylko odwołanie się do czegoś zupełnie innego? Tylko czego? Co symbolizuje ów wymieniony w rymowance *czyżyk-pyżyk*? Założywszy, że cokolwiek symbolizuje...

Podeksytowany zerwałem się na równe nogi, chwyciłem za telefon. Sam tego nie wyjaśnię, potrzebny mi fachowiec. Ktoś, kto zna historię Moskwy i Leningradu, wszelkiego typu legendy i lokalny folklor.



Profesor Łobanowski, wysoki, postawny mężczyzna w okularach, wpatrywał się we mnie z pobłażliwym uśmiechem na ustach. Elegancki garnitur, jak i otaczający go zapach jakiejś nieznannej mi, ale z pewnością kosztownej wody kolońskiej wskazywały, że uczonego korzysta ze sklepów tylko dla wybranych. Ostatnio stałem się wyczulony na podobne sygnały... Pewnie był gwiazdą uczelnianej organizacji partyjnej, a może nawet współpracował z jakimś ministerstwem? Mogło to też wskazywać na kontakty z NKWD. Pan profesor był prorektorem Moskiewskiego Uniwersytetu imienia Łomonosowa, a u nas – niezależnie od talentu i rzeczywistej wiedzy – nie robiono kariery ot tak.

Jego postawa wyraźnie wskazywała, że nie jest ani wystraszony, ani specjalnie przejęty faktem mojej wizyty. Jedno i drugie mogło stanowić problem – sprawa

Święty Wołkowej była tajemnicą *wojennej rozвідki*. Nie ma co ukrywać: wstydliwą tajemnicą... Tymczasem należało zmusić Łobanowskiego nie tylko do udzielenia pomocy w kwestii rymowanki, ale i sprawić, żeby nie ważył się nigdzie o tym rozpowiadać.

Spotkaliśmy się w gabinecie rektora, gdzie profesor zajął miejsce gospodarza, co uczynił z niewymuszoną elegancją i zapewne długo ćwiczoną wprawą... Mógł sobie na to pozwolić, gdyż uniwersytet wraz z całą kadrą został ewakuowany jeszcze w październiku 1941 roku i obecnie znajdował się w Swierdłowsku. Łobanowski miał przygotować powrót uczelni do Moskwy. Taak, nie wyglądało, aby pan profesor wystraszył się legitymacji *wojennej rozвідki*... Trzeba będzie sięgnąć po czarodziejską różdżkę. Mogłem też spróbować znaleźć innego fachowca, ale czas gonił. Do tego Łobanowski był autorem kilkunastu książek z zakresu historii Moskwy i Leningradu, powszechnie uznawano go za czołowy autorytet w tej dziedzinie. Niestety, przyjdzie mi zaryzykować... Bo jeśli towarzysz Stalin dowie się, że użyłem wydanego mi dokumentu w śledztwie niedotyczącym masakr dokonywanych przez prawdziwych czy rzekomych enkawudzistów, pojadę karmić białe niedźwiedzie. Chyba że rozstrzelają mnie na miejscu... W odróżnieniu od kierownika specklepu Łobanowski wyglądał na człowieka, który mógł dotrzeć do Gławkoma, bądź to samodzielnie, bądź poprzez NKWD. Niestety, po zastanowieniu musiałem przyznać, że jego kontakty z tą instytucją są więcej niż prawdopodobne. Inaczej nie zrobiłby kariery, nie zostałby prorektorem. No i czort z tym! Tak czy owak, trzeba spróbować.

– Potrzebna mi wasza konsultacja – zacząłem.

– W sprawie? – Łobanowski jedynie uniósł brwi.

– Interesuje mnie historia Moskwy i Leningradu – odparłem równie zwięźle.

Nieoczekiwanie w oczach mojego rozmówcy pojawiła się obawa.

– Jestem bardzo... zajęty – odpowiedział. – Rozumiecie, z polecenia rektora muszę...

Tym razem to ja uniosłem brwi i Łobanowski urwał w pół słowa. Polecenie rektora, dobre sobie! Obaj wiedzieliśmy, że priorytet mają potrzeby wojska. Jeden mój telefon i rektor nie tylko zwolni Łobanowskiego z obowiązków, jakie mu wyznaczył, ale i sam zaśpiewa „Katuszę”, jeśli będzie trzeba. Rozumiałbym, jeśli facet odmówiłby mi wprost, to mieściłoby się w granicach normy: ot, zwykła przepychanka w stylu „kto ważniejszy”? Jednak najwyraźniej nie o to chodziło, Łobanowski usiłował mi coś powiedzieć, coś między wierszami.

– Więc odmawiacie...

– Absolutnie nie! – wykrzyknął. – Chciałem tylko poinformować, że moja... asystentka zajmuje się tą tematyką od lat i w odróżnieniu ode mnie nie ma obecnie żadnych specjalnych zadań.

– Wasza asystentka?

– Pomagała mi w zbieraniu materiałów.

Łobanowski nerwowym gestem poprawił krawat i odchrząknął, zasłaniając usta dłonią. Facet w ewidentny sposób kłamał. Jednak czego dotyczyło kłamstwo? Niestety, nie orientowałem się w niuansach życia akademickiego.

– A konkretnie, w czym wam pomagała?

– Rozumiecie, podstawą tekstu naukowego jest pewna idea, reszta to kwestie techniczne. Jednak każdą tezę trzeba udokumentować, poszukać w archiwach odpowiednich dokumentów i...

– I tym właśnie zajmowała się wasza asystentka?

– Tak jest.

I znowu nerwowe, stłumione dłonią kasznięcie. A więc takie buty... Większość ludzi nie umie kłamać, kłamstwo powoduje u nich dyskomfort. Dlatego małe dzieci często zasłaniają twarz, kiedy mówią nieprawdę. Dorośli, rzecz jasna, tego nie robią, ale wyjąwszy tych, którzy przeszli specjalne przeszkolenie, kłamiąc, nadal wykonują charakterystyczne gesty. Na przykład zasłaniają usta pod pretekstem kasznięcia... Znaczą profesor Łobanowski podpisał się pod pracami jakiejś Bogu ducha winnej uniwersyteckiej wyrobniicy. Że też się tego od razu nie domyśliłem! No i dobrze, nie będę musiał pokazywać czarodziejskiej różdżki. A z babą sobie poradzę. Jeśli taki dupiek jak Łobanowski ją sterroryzował...

Zapisawszy adres kobiety, pożegnałem się ku nieskrywanej uldze prorektora. Dochodziła dziewiętnasta, ale postanowiłem jeszcze dziś złożyć wizytę „asystentce”. Czas naglił.



Olga Majkowska mieszkała niedaleko Arbatu w nad podziw schludnej dziewiętnastowiecznej kamienicze. Także świeżo pomalowane drzwi z elegancką mosiężną tabliczką wyróżniały się spośród innych. Lokatorzy większości wielorodzinnych „komunalek” nie zwracali uwagi na wygląd swoich mieszkań. Po czorta? I tak inni zabrudzą i zniszczą... Wdusiłem przycisk elektrycznego dzwonka, po chwili zastukałem energicznie. Dopiero po jakiejś minucie usłyszałem szcęk zamka. W progu stanęła młoda – nie dałbym jej więcej niż osiemnaście, góra dwadzieścia lat – dziewczyna w białym fartuszk. Służąca? No, no... Nieźle sobie żyją nasi naukowcy.

– Moje nazwisko Razumowski. Ja do Olgi Majkowskiej – powiedziałem, demonstrując legitymację *wojennej rozwiadki*.

Bez słowa odebrała ode mnie płaszcz i czapkę, gestem zaprosiła do środka. Ku

swojemu zdziwieniu nie usłyszałem żadnych głosów zza ściany, choć kwatera była dwupokojowa. Przecież niemożliwe, żeby mieszkała sama? Do tego jeszcze ze służącą?

– Słucham? – odezwała się, wskazując mi wygodny fotel.

– Może najpierw zawołasz gospodynię? – zaproponowałem rozdrażniony.

– Niestety, jestem sama – odparła, uśmiechając się z rozbawieniem.

W innym wypadku pewnie wykorzystałbym sytuację, dziewczyna była prawdziwą pięknoscią: wysoka, zgrabna, o wyraźnie kobiecych kształtach. Uroku dodawały jej czarne jak skrzydło kruka włosy i przepastne, niemal antracytowe oczy kontrastujące z mleczną cerą. Ech, gdyby nie ta durna zagadka...

– Muszę porozmawiać z Olgą Majkowską – powtórzyłem cierpliwie. – Możesz mi powiedzieć, gdzie ją znajdę?

– Już ją pan znalazł, pułkowniku.

Z kpiącym uśmiechem zdjęła fartuszek i skłoniła mi się niczym na balu oficerskim. Przedrewolucyjnym balu oficerskim. Drobne, bose stopy dziewczyny tonęły po kostki w puszystym i zapewne cennym dywanie. Dobrze, że starannie wytarłem buty.

– Czym mogę służyć? – spytała.

– Potrzebna mi konsultacja z zakresu historii Moskwy i Leningradu – odpowiedziałem, przypatrując się dziewczynie z niedowierzaniem. – Wszystko, o czym będziemy rozmawiali, jest tajemnicą państwową – uprzedziłem.

– Tajemnicza historia Leningradu? Czego to ludzie nie wymyślą... – w głosie mojej rozmówczynie pojawił się wyraźny chłód. – Kogo reprezentujecie, pułkowniku?

Zbaraniałem. Toż przed chwilą pokazywałem jej dokumenty!

– Nie umiecie czytać? – warknąłem. – Myślałem, że pracownicy naukowci...

– Jestem ślepa – powiedziała spokojnie.

Dopiero teraz zauważyłem, że choć zwrócona w moją stronę, kieruje spojrzenie nieco w bok. Tak jakby posługiwała się bardziej słuchem niż wzrokiem.

– Jakim sposobem poznaliście mój stopień wojskowy? Jak odebraliście ode mnie płaszcz?

– To naprawdę nic trudnego – zapewniła. – Wyczułam pod palcami oznaczenia na szynelu. Wiedziałam, że macie na sobie jakieś okrycie, a w swoim domu nie muszę używać laski.

– Niemożliwe! Wasza koordynacja ruchowa...

– To zainteresowanie osobiste czy zawodowe? – spytała z psotnymi ognikami w oczach.

Nie chciało się wierzyć, że nie widzi...

– I takie, i takie.

– No dobrze, podajcie mi jakiś przedmiot – zaproponowała.

Podszedłem do niej, wyciągnąłem jeszcze raz legitymację. Wyjęła mi ją z dłoni.

- Jakim cudem...?
- Poruszyliście się i usłyszałam szelest ubrania – wyjaśniła rzeczowo. – Do tego zapach i ciepło waszego ciała.
- Co takiego?!
- Wyczuwam ciepło ludzkiego ciała z odległości metra. Zapach z kilku, a bywa – skrzywiła się bezwiednie – że i z kilkunastu...
- Kapałem się dzisiaj – odburknąłem obronnym tonem.
- Przecież nie powiedziałam, że to przykry zapach – stwierdziła, powstrzymując uśmiech.

Szczerzyłem się dobrą chwilę, zanim uświadomiłem sobie, że dziewczyna i tak tego nie widzi.

- Wracając do sprawy...
 - Nie jesteście z NKWD – stwierdziła, oddając mi dokumenty.
 - Skąd wiecie?
 - Poznałam po dotyku. Miałam okazję trzymać w dłoni legitymację tej instytucji.
 - Cóż, może w takim razie zgadniecie sami?
 - Dlaczego nie? Proszę podać mi rękę, pułkowniku.
- Jej palce zbadały dokładnie moją dłoń, zatrzymały się na nadgarstku.
- Poparzenia albo odmrożenia – wymruczała. – Niedawno zaleczone. Zgrubienia w dziwnych miejscach. Tak jakbyście często używali szabli albo noża. Drobnie blizny sprzed wielu lat. Te na pewno po nożu. Kostki pięści jak u boksera... Ćwiczycie walkę wręcz i nożem – orzekła w końcu. – Jesteście zwiadowcą, prawda?

- *Wojennaja razwiedka* – przyznałem.
- W czym mogę wam pomóc?
- Muszę spotkać się z kimś w określonym miejscu. Problem w tym, że nie wiem gdzie...
- Nie rozumiem?
- Miejsce spotkania opisano dość ogólnie. Dlatego potrzebuję waszej pomocy.
- Słucham.
- To rysunek ptaka i renifera. Aluzja do wierszyka o czyżyku-pyżyku.
- Sprytne – powiedziała.
- Pewnie! – burknąłem. – Tyle że na rozwiązanie zagadki zostały mi niecałe trzy dni...

- Czyżyk-pyżyk... Taaak...
- Po wyrazie twarzy Majkowskiej poznałem, że wpadła na jakiś trop.
- Co grozi osobie, z którą się spotkacie? – spytała niespodziewanie. – Bo jak rozumiem, to nie jest wasz przyjaciel?
- Co grozi? Też mi pytanie! A cóż ja mogłem zrobić córce Wołkowa?
- Kopniak poniżej krzyża!

– Ale...

– Towarzyszko Majkowska – przerwałem jej bezceremonialnie – zdajecie sobie sprawę, że jako obywatelka Związku Radzieckiego jesteście zobowiązana pomagać mi ze wszystkich sił. Nie stawiając jakichkolwiek warunków – podkreśliłem z naciskiem.

– Albo?

Przez twarz dziewczyny przemknął grymas pogardy.

– Albo poniesiecie konsekwencje swojego uporu. Daleko idące konsekwencje.

– Straszycie mnie więzieniem?

– Nie. Ale jeśli jeszcze raz zadacie mi jakieś głupie pytanie, zamiast odpowiedzieć na moje, pocałuję was. I będę kontynuował do skutku – odezwałem się z udaną surowością w głosie.

I znowu w jej oczach zabłysła iskierka rozbawienia, ale dłoń skryła się w fałdach spódnicy. Zuch dziewczyna! Pewnie miała tam nóż lub niewielki, damski pistolecik. To drugie było bardziej prawdopodobne: użycie noża na ślepo to nie najlepszy pomysł. Ciekawe, kto ją tak wyszkolił? Kto załatwił broń? Jedno nie mieściło mi się w głowie – jakim cudem ten kretyn Łobanowski nakłonił ją, żeby oddała mu wyniki własnych badań? Bo przecież nie siłą ani szantażem, z tego, co widziałem, dziewczucha prędzej odstrzeliłaby mu łeb. Może byli kochankami? Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie mam ochoty rozpatrywać tej opcji.

– Pistolet czy nóż? – spytałem.

Przez chwilę milczała, wydymając z urazą wargi.

– Pistolet – mruknęła wreszcie. – I nie całuję się z nieznajomymi.

– Przecież się przedstawiłem!

– Nie widziałam was. Może macie zajęczą wargę i nos jak kartofel?

– Przecież nie możecie...

– Mogę, rękoma.

Przysiadłem się bliżej, zamknąłem oczy, kiedy jej dłonie zaczęły badać moją twarz krótkimi, delikatnymi muśnięciami podobnymi do dotyku motyli skrzydeł. A przecież wystarczyłoby, żeby sięgnęła teraz po pistolet czy nóż... Nie sięgnęła.

– Cóż – przyznała niechętnie. – Nie jesteście tacy najgorsi.

– Wielkie dzięki!

Zachichotała jak mała dziewczynka.

– To co z tą zagadką? – przypomniała.

– Wierszyk musi się kojarzyć z jakimś miejscem, ale chyba nie z Fontanką. I bardziej z Moskwą niż Leningradem.

– I tak, i nie – stwierdziła po chwili. – Obiecujecie, że nie będzie żadnych aresztowań?

– Dlaczego was to obchodzi? I czemu mielibyście mi wierzyć?

– Tyle pytań...

– Więc?

– Straciłam wzrok ponad rok temu, w czasie bombardowania. Musiałam zastąpić go innymi zmysłami. Zorientuję się, jeśli skłamięcie.

Nieoczekiwanie zacząłem sobie wyobrażać, jak wrażliwą ma skórę. Jeśli rzeczywiście potrafi wyczuć ciepło ludzkiego ciała z pewnej odległości, a nie miałem powodu jej nie wierzyć, jak zareagowałyby na dotyk czy pocałunek?

Ostrożnie, koniuszkami palców pogładziłem jej włosy. W dotyku przypominały jedwab. Odepchnęła łagodnie moją rękę, ale nie zagroziła mi bronią. Ciekawe dlaczego, bo raczej nie ze strachu? Ech, Razumowski, Razumowski...

Oddychała spokojnie, choć jej postawa świadczyła o pewnym napięciu. No i nic dziwnego: sam na sam z obcym, nie ma co ukrywać, nieco nachalnym facetem...

– Obiecujecie? – ponagliła po chwili.

– Nie, niczego nie obiecuję. Nie wiem, jak rozwinie się sytuacja – odparłem stanowczo.

– No dobrze – westchnęła. – Przynajmniej szczerze. Co do waszej zagadki: chodzi o Imperialną Szkołę Prawniczą. Założono ją w tysiąc osiemset trzydziestym piątym roku na wniosek krewnego cara Mikołaja I, księcia Piotra Oldenburskiego, na brzegu Fontanki. Miała kształcić prawników na potrzeby sądów i administracji państwowej. Posiadała status równy liceum w Carskim Siole. Najzdolniejszym absolwentom przyznawano dziewiątą i dziesiątą rangę, co odpowiadało stopniom sztabskapitana i porucznika w armii. Reszta obejmowała stanowiska w zależności od wyników nauki. Uczniów szkoły nazywano czyżykami-pyżykami ze względu na czupurne zachowanie, mundury żółto-zielonego koloru i noszone w zimie czapki z renifera. Wśród absolwentów byli kompozytorzy Czajkowski i Sierow oraz poeta Aksakow. Władza radziecka zlikwidowała szkołę, a w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku czekiści oskarżyli jej absolwentów o przynależność do organizacji monarchistycznej. Nazwano to „sprawą licealistów”.

To już wiadomo, dlaczego miła Olga tak się dopytywała, czy nie będzie aresztowań...

– Oni rzeczywiście chcieli powrotu monarchii?

– O to, pułkowniku, powinniście zapytać swoich kolegów z NKWD. Ja jestem tylko historykiem.

– Nie mam zbyt wielu kolegów wśród czekistów – odparłem zimno. – A pytam was.

Należało ustalić kolejność dziobania. Majkowska była niewątpliwie sympatyczną dziewczyną, ale wydawało się, że potrzebuje przypomnienia, kto tu rządzi.

– Z tego, co mi wiadomo, OGPU przedstawiło trzy „niepodważalne dowody” istnienia takiej organizacji – powiedziała wreszcie. – Absolwenci spotykali się co roku dziewiętnastego października, w Dniu Licealisty, istniała kasa samopomocy dla

byłych uczniów szkoły i w razie śmierci kolegów zamawiali nabożeństwa żałobne. Podobno w czasie mszy modlono się też za carską rodzinę...

– Skąd ta wzmianka o picciu wódki? To tylko tak, dla rymu?

– Nie – uśmiechnęła się Majkowska. – Niedaleko szkoły znajdował się szynk kupca Niefiodowa. Starsi „licealiści” odwiedzali go ukradkiem wieczorami, w cywilnych ubraniach. Wracali w stanie mocno wskazującym...

– Ile macie lat?

– Dwadzieścia dziewięć – odparła z lekkim zdziwieniem. – Jakie to ma znaczenie?

– Żadnego. Dobrze się trzymacie, jak na swój wiek.

Myślałem, że się uśmiechnie, ale nie wyglądało, aby moja uwaga ją rozbawiła.

– Herbaty? – zaproponowała.

– Chętnie.

Dwadzieścia dziewięć lat... W takim razie musiała urodzić się w tysiąc dziewięćset czteremnaście lat. W dwudziestym piątym miała jedenaście lat. Za mało, żeby przypadkiem zainteresować się „sprawą licealistów”. Takich procesów były setki, jeśli nie tysiące. Co pozostawało? Pewnie wśród oskarżonych znalazł się ktoś z jej rodziny albo znajomych. Możliwe też, że po prostu nie lubiła komunizmu... Trzeba zerknąć do akt. Zawsze warto wiedzieć, z kim ma się do czynienia.

Tymczasem Majkowska wlała do szklanek nieco esencji, uzupełniła wrzątkiem z samowara. To wszystko spokojnymi, precyzyjnie odmierzonymi ruchami. Co ciekawe, po szklanki i imbryk sięgała lewą, a nie prawą ręką, jak po broń. Podsunęła mi miseczkę z konfiturą z malin, po czym wyszła z pokoju. Wróciła z ciepłymi jeszcze bułeczkami. To już wiadomo, skąd ten fartuszek: kiedy przyszedłem, musiała krzątać się w kuchni.

Skosztowałem herbaty, smakowała znakomicie. Mocna, z lekkim dymnym posmakiem. Bułeczki i konfitury były równie dobre, najwyraźniej towarzyszka Majkowska miała nie tylko naukowe talenty.

– Pyszności – pochwaliłem, odsuwając od siebie talerz z wypiekami. – Wróćmy do naszej zagadki.

– Myślałam, że ją rozwiązaliśmy?

– Tylko częściowo, nadal nie wiem, gdzie mam oczekiwać tej... osoby. Leningrad odpada.

– A to dlaczego?

– Ona mieszka w Moskwie. Ta osoba – poprawiłem się pospiesznie, ciekawy, czy zauważy moje potknięcie.

Zauważyła. Gdybym nie obserwował jej twarzy, mógłbym przegapić reakcję: ot, lekkie, niemal niedostrzegalne ściągnięcie brwi. Nic więcej. Jeśli miała ochotę skomentować, to bez trudu ją zwalczyła. Znaczący panuje nad sobą. Taaak... Interesujące.

– I co z tego?

– Jakim cudem mogłaby znaleźć się w Leningradzie? Miasto jest otoczone, docierają do niego tylko transporty wojskowe. A te są sprawdzane nie to, że raz, ale po dziesięć razy. Wykluczone, żeby zdołała tam dotrzeć. Miejsce spotkania musi znajdować się w Moskwie!

Majkowska odchrząknęła dyplomatycznie, wyraźnie nieprzekonana.

– Skoro tak uważacie... – powiedziała.

– A wy dalibyście radę dostać się do Leningradu? – spytałem wyzywającym tonem.

Jej twarz zmroziła błyskawica gniewu.

– Co to ma być? Chcecie mnie podpuścić?! Nie wyrobiliście planu aresztowań?!

No, no... ta mordercza pogarda w głosie. Chyba miała już do czynienia z ludźmi „o czystych dłoniach i gorących sercach”, tarczą i mieczem proletariatu...

– Nie jestem z NKWD – oznajmiłem. – Rzadko kiedy kogoś aresztuję. Bywa, że zabijam, ale nie aresztuję. I nie zamierzam was podpuszczać. No a przynajmniej nie w tym celu, co sądzicie.

– A w jakim jeszcze?!

– Naprawdę muszę tłumaczyć?

Nie do wiary, ale zaczerwieniła się.

– To...

– Pomyślałby kto, że ty mnie nie prowokowałaś! – przerwałem jej, celowo rezygnując z grzecznościowego „wy”. – Dlaczego mnie nie wolno?

Zobaczmy, czy oburzenie weźmie górę nad ciekawością, czy odwrotnie?

– W jaki niby sposób? I nie zrobiłam niczego, co upoważniałoby was, pułkownika Razumowski, do takiej poufałości!

Ech, kobiety... One zawsze chcą mieć wszystko naraz. Tylko że tym razem nie wyjdzie.

– Macie rację – stwierdziłem z obłudną skruchą. – Porzućmy kwestie... osobiste, skoncentrujmy się na zagadce. Bez poufałości.

Olga Majkowska wymamrotała pod nosem kilka słów w nieznanym mi języku. Ponieważ zasyczały jak wrzucone do wody rozpalone żelazo, nie potrzebowałem tłumacza, żeby zrozumieć, że raczej nie było to błogosławieństwo.

– Spotkanie musi się odbyć w Moskwie – wróciłem do tematu. – Problem gdzie? Co się stało z tą szkołą prawniczą?

– O ile pamiętam, budynek przekazano Instytutowi Rolniczemu. Do dzisiaj mieszkają tam wykładowcy, ale chyba nie ma zajęć – odparła po chwili milczenia.

– Nic więcej nie kojarzy się wam z Imperialną Szkołą Prawnicy?

Zaprzeczyła gestem.

– W takim razie dziękuję wam za pomoc, towarzyszek Majkowska.

Odprowdziła mnie do drzwi. Pożegnaliśmy się krótko i oficjalnie. Bez poufałości.

W drodze do domu uświadomiłem sobie, że się uśmiecham. Pierwszy raz od czort wie kiedy.



Następnego dnia z samego rana zameldowałem się w gabinecie generała Iliczowa. Do spotkania z córką Wołkowa zostało czterdzieści osiem godzin. Zreferowałem zwięźle wszystko, czego udało mi się dowiedzieć na temat zagadki, włącznie z informacjami uzyskanymi od Majkowskiej.

Wysłuchawszy meldunku, Iliczow skinął głową, czy to aprobując moje ustalenia, czy też przytakując swoim myślom.

– Wnioski? – rzucił.

– Moim zdaniem, istnieją trzy kierunki poszukiwań: szkoła prawnicza, uczelnia związana z rolnictwem albo miejsce, gdzie mieszkają wykładowcy pracujący w jednej lub drugiej instytucji. Pierwsza wersja wydaje mi się najbardziej prawdopodobna.

– Możemy długo szukać – mruknął Iliczow.

– Niekoniecznie. Jeśli stosuje się schemat „lustrzanego odbicia” i miejsce spotkania jest odpowiednikiem innego, trzeba je jakoś oznaczyć. Dla pewności. To oczywiste dla każdego agenta. Tam musi być jakiś znak.

– Nie mamy do czynienia z agentem, tylko z dwudziestoletnią kokainistką!

– Tak czy owak, to córka Wołkowa – zauważyłem. – Może znać podstawy łączności konspiracyjnej.

– Czego potrzebujecie dla sfinalizowania operacji?

– Na tym etapie dwudziestu, trzydziestu ludzi. Trzeba sprawdzić kilka, może kilkanaście sporych budynków. Później paru pracowników operacyjnych.

– Zwariowaliście?! Chcecie ją zatrzymać? Jeśli Wołkow...

Milczałem, nie wchodzi się w słowo szefowi *wojennej rozwiędki*, ale generał sam urwał zdanie.

– Myślicie, że ona wymyka się spod kontroli?

– To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Problem nawet nie w zagadkach czy złośliwości tej małej idiotki: prędzej czy później dziewczucha wymyśli coś, czego nie będziemy w stanie ogarnąć. Po prostu będzie tak naćpana, że straci poczucie rzeczywistości. A wtedy...

Tym razem ja nie dokończyłem, sprawa była jasna: jeśli Swieta nie wyjdzie na kontakt, nie poda kolejnego hasła, Wołkow zerwie operację.

– Może wystarczy ją śledzić?

– Wątpię. Podejrzewam, że nie jest sama. To znaczy samodzielnie podejmuje

decyzje, inaczej nie zadałaby nam tej głupiej zagadki z czyżykiem-pyżykiem, ale pewnie ktoś ją ubezpiecza.

– Uważacie, że nasi ludzie nie dadzą sobie z tym rady?

Westchnąłem głęboko: Iliczow, podobnie jak i jego poprzednik, nie pracował nigdy w terenie, stąd jego wiedza na temat technik operacyjnych była niewielka albo żadna. Problem w tym, że jeśli mam rację i Swietę będzie ktoś obserwował, próba wysłania za nią naszych ludzi skończy się spektakularną klęską. Jednak jak to wytłumaczyć generałowi?

– Problem nie w naszych ludziach – zacząłem ostrożnie. – W pewnych sytuacjach inwigilacja jest po prostu niemożliwa.

– Sądzicie, że osoba, która jej pilnuje, o ile w ogóle jest ktoś taki, zauważy naszą ekipę? Przecież możemy przydzielić do tego kilku lub nawet kilkunastu agentów, samochody...

– To nic nie da.

– Wyjaśnijcie – zażądał Iliczow.

– Aby samemu zauważyć ogon, trzeba długiego szkolenia. Jednak jeśli mamy kogoś do pomocy, sprawa robi się banalnie prosta. Wystarczy, że ta druga osoba wie, jaką trasą pójdziemy, i będzie na nas czekała w kilku wcześniej wybranych punktach. Osoba śledzona prowokuje inwigilujących, jej pomocnik obserwuje efekty.

– Nie rozumiem?

Przez chwilę miałem ochotę zaproponować generałowi, żeby przeczytał sobie jakiś skrypt o kontrinwigilacji i nie zawracał mi głowy. Musiało się to odbić na mojej twarzy, bo usta Iliczowa drgnęły w powstrzymywanym uśmiechu, a oczy zabłyśły rozbawieniem.

– Wytłumaczcie jak rekrutowi – zaproponował. – Przecież czasem zajmujecie się szkoleniem.

Zacisnąłem zęby jak po uderzeniu w żołądek: rzeczywiście zajmowałem się. Ostatnio szkoliłem Wierę...

– No dobrze – powiedziałem. – Wyobraźcie sobie, że sprawdzacie, czy nie jestem śledzony. Miejsce pierwszego spotkania: park. Kiedy wchodzę do parku, już tam jesteście. Zachowujecie się jak każdy ze spacerowiczów, z jednym wyjątkiem: obserwujecie mnie. Najpierw u wejścia do parku. Staracie się zapamiętać osoby, które pojawiły się razem ze mną. Później zmieniam tempo, poruszam się szybciej. Jeśli ktoś mnie śledzi, musi zrobić to samo, aby nie stracić mnie z oczu. Nie ma innego wyjścia, bo ekipa inwigilacyjna nie wiedziała, gdzie się pojawię, i nie mogła wcześniej obstawić terenu. Wasze zadanie jest proste: sprawdzacie, kto w tym samym momencie co ja przyspieszył kroku. Śledzący mnie ludzie mogą być geniuszami i zachowywać się tak, że ich nie zauważę, ale w żaden sposób nie są w stanie ukryć zmiany tempa przed wami. Nie ma takiej możliwości. Po raz drugi spotykamy się na ulicy, niedaleko

przystanku tramwajowego. Wchodzę do tramwaju i tuż przed odjazdem wyskakuję. Obserwujecie, czy ktoś powtórzy mój manewr.

– Jeśli ekipa liczy kilka osób, to ten, kto wszedł za wami do pojazdu, może w nim zostać, a obserwację podejmą pozostali – wtrącił Iliczow.

– I owszem. Tylko zaraz potem zerkam na zegarek, jakbym sobie o czymś przypomniał, i wbiegam w najbliższą bramę, żeby poprzez podwórka przedostać się na inną ulicę. Wy tymczasem sprawdzacie, czy ktoś za mną poszedł. Po raz kolejny czekacie na mnie u wejścia do metra. Schodzę w dół, a po minucie czy dwóch zawracam. Dla niepoznaki mogę odegrać pantomimę sugerującą, że zapomniałem pieniędzy. Jak myślicie, ilu przypadkowych przechodniów wejdzie wraz ze mną i w chwilę później zrezygnuje z podróży?

– No tak – mruknął generał. – Teraz rozumiem... Jednak trudno przewidzieć, co zrobi Wołkow, jeśli dowie się, że złamaliśmy umowę. Bo przecież ten... obserwator zauważy, że zgarnęliśmy dziewczuchę, i go o tym poinformuje?

– I owszem – przytaknałem. – Jednak nie martwiłbym się tym specjalnie. To jego dziecko, nie będzie ryzykował, wiedząc, że ją mamy. Sugerowałbym, żeby poinformować go o okolicznościach sprawy. To znaczy o jej nałogu. Niech wie, że nie mieliśmy innego wyjścia. Bo jakby nam zadała kolejną zagadkę po działce kokainy...

Iliczow znużonym gestem rozmasował skronie: cóż, stanowisko szefa wywiadu wojskowego to nie synekura. Wołkow był tylko jednym z jego problemów, z pewnością nie najważniejszym.

– Niech będzie – zdecydował. – Zgarnijcie ją!

Obaj wiedzieliśmy, że to tymczasowe rozwiązanie. Chodziło jedynie o doprowadzenie operacji do końca, później rozpoczną się łowy. Wołkow musiał zdawać sobie sprawę, że grożąc *wojennej razwiedce*, podpisuje na siebie wyrok śmierci. Jego wykonanie to tylko kwestia czasu. *Głównoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije* nie wybacza zdrady. Nigdy i w żadnych okolicznościach...



Do zatrzymania Swiety Wołkowej przygotowaliśmy się, jakby była agentem operacyjnym najwyższej klasy. Fiasko miałoby daleko idące konsekwencje nie tylko dla *wojennej razwiedki*, ale i pułkownika Razumowskiego. Dlatego osobiście dopilnowałem, aby wszystko było dopięte na ostatni guzik: wyjścia można było zablokować w ciągu kilku sekund, z zewnątrz obstawiała gmach kilkunastoosobowa ekipa, wystarczyło krzyknąć, żeby wezwać wsparcie. Na Swietę czekałem sam.

Miejsce spotkania znaleźliśmy bez trudu, tak jak przypuszczałem, na zewnętrznej

ścianie budynku ktoś nagryzmolił rysunek ptaka i renifera. Podobnie jak na drzwiach damskiej toalety... Cóż, Swietłana miała najwyraźniej specyficzne poczucie humoru. Kręciłem się na korytarzu już cztery godziny: nie wiadomo, kiedy córka Wołkowa raczy się zjawić.

Ani ja, ani inni pracownicy wywiadu wojskowego nie wyróżnialiśmy się w tłumie, wśród studentów Wszechniowskiego Zaocznego Instytutu Prawa zdarzali się ludzie i po pięćdziesiątce. Błąd Swietłany Wołkowej. Jeden z wielu. W innym miejscu bylibyśmy dużo bardziej widoczni. A może po prostu nie zwracała uwagi na takie detale, sądziła, że nic jej nie grozi? Jakkolwiek by było, dzisiaj zrozumie, że poczucie bezpieczeństwa to złudzenie. Wyjątkowo niebezpieczne złudzenie...

Jeden z umieszczonych pod sufitem głośników zachrypiał, informując, że wykład profesora Kotowskiego zostanie przełożony na przyszły tydzień. Nie wzbudziło to niczyjzego zdziwienia, profesor Kotowski rzeczywiście miał mieć następnego dnia zajęcia. Jednak w istocie wiadomość stanowiła jedynie sygnał: Swieta pojawiła się na terenie uczelni. Nareszcie!

Rozpoznałem ją od razu, fotografie wiernie oddawały jej wygląd: krępa sylwetka, nieładna, lekko puciołowata buzia i zadziwiająco zgrabne nogi. Ot i Swietłana Wołkowa. Wilczyca. Choć w przestępczym półświatku nosiła ksywę Swietka-Konfietka. Też mi Cukierczek...

Dziewczyna pewnym krokiem podeszła do toalety, zniknęła wewnątrz. Za moimi plecami rozległ się brzęk tłuczonego szkła, błyskawicznie skorzystałem z okazji, aby podążyć w ślad za małą Wołkową. Lepiej, żeby nikt nie zobaczył, jak znikam w babskim kiblu...

Czekała naprzeciwko drzwi z założonymi za plecy rękoma. Pogardliwa mina świadczyła, że czuje się panią sytuacji.

– Hasło – rzuciłem krótko.

– Poproś ładnie – wycedziła.

No, no, rozhulało się dziewczuszko. A może moi poprzednicy ją tak rozbestwili? W tym momencie nie miało to już znaczenia.

– Hasło – powtórzyłem.

Odpowiedziała wulgarnym gestem i słowami, jakie ostatni raz słyszałem na dworcu w Saratowie. U panienki, która nie doszła do porozumienia z klientem...

Zdzieliłem ją w twarz i wbiłem palce pod obojczyk, atakując jeden z nerwów. Nie krzyknęła, nie była w stanie, ból okazał się zbyt silny.

– Hasło – wyszeptałem jej do ucha.

Tym razem podała je natychmiast. To znaczy zaraz jak doszła do siebie... Uciskając tętnicę szyjną, pozbawiłem ją przytomności i wyniosłem na korytarz.

– Rozstapcie się, towarzysze! – zawołałem. – Niech ktoś wezwie doktora!

– Ja jestem lekarzem! – zawołał niemłody mężczyzna z bródką. – Co się stało?

– Zemdlała, padając, uderzyła się w głowę – poinformowałem podniesionym głosem.

– Ja mam samochód, mogę ją zawieźć do szpitala – zaofiarował się inny, w wytartym palcie.

Po chwili jechaliśmy już do siedziby GRU. Brodacz rozmasował Swietłanie szyję, podsunął pod nos watę skropioną amoniakiem. Kiedy otworzyła oczy, założył jej kajdanki.

– Pozdrowienia od *wojennej rozwiadki* – powiedział.

W oczach dziewczyny ujrzałem zwierzęce przerażenie. Zrozumiała, że poprzednie życie bezpowrotnie się skończyło. Nie sądziłem, żeby trzeba było ją do czegośkolwiek przekonywać: robi wszystko, co jej każemy. Nie będzie z nami walczyć ani się buntować. Nawet w myśli. Bo od dziecka wiedziała, co ją może spotkać. Widziała, co spotyka innych w podobnej sytuacji. Być może jej arogancja była jedynie próbą zapomnienia o lękach, które dręczyły nas wszystkich? Wątpiłem, aby w naszym kraju znalazł się choć jeden człowiek, który nie zastanawiał się, co będzie, jak przyjdą po niego? I nie budził się zlany zimnym potem. Swieta była już po drugiej stronie. Wewnątrz koszmaru.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Dyżurny poinformował mnie, że Poliakov jest chwilowo zajęty, przesłuchuje podejrzanego. Zastanawiałem się, czy nie zawrócić, do pełnego szczęścia brakowało mi jeszcze tylko wmieszania się w sprawę kolejnego seryjnego zabójcy. Jak w zeszłym roku... W końcu pomaszerowałem jednak do wskazanego przez milicjanta gabinetu. Nie wiedziałem, ile czasu zajmie przesłuchanie, a wypadało się przywitać. Podobno Poliakov odwiedzał mnie w szpitalu, lecz ochrona go nie wpuściła. Podejrzewałem w tym rękę NKWD. Towarzysz Beria niechętnie patrzył na moją przyjaźń z zastępcą komendanta miasta Moskwa. Tak czy owak, w razie czego mogłem Poliakowa posłać w cholerę, w końcu wykonywałem misję dla towarzysza Stalina.

Pilnujący drzwi milicjant wpuścił mnie bez problemów, widać wszyscy już wiedzieli o moich układach z szefem albo Poliakov wydał odpowiednie dyspozycje. Przesłuchiwany, ogromne chłopisko pod czterdziestkę, z ogorzałą, pokrytą siniakami twarzą, wpatrywał się tępo w ścianę.

– Nie pamiętam – mamrotał. – Nic nie pamiętam.

Widząc mnie, Poliakov zerwał się z krzesła, zmiądzzył w niedźwiedzim uścisku.

– Nie tak mocno, matołku, połamiesz mi żebra – stęknąłem.

– Kiedy cię wypisali?

– Niedawno. Odwiedziłbym cię wcześniej, ale wrobili mnie...

Milicjant przerwał mi gestem oznaczającym: „Nie teraz!”. No tak, nie byliśmy sami.

– Co z tym tutaj? Ty go tak urządziłeś?

– Skąd! – skrzywił się Poliakow. – Patrol.
– Co zrobił?
– Wczoraj w nocy wymalował słowo „Lenin” na ścianie jednej z kamienic na Tagance.

Odetchnąłem: znaczy nie seryjny morderca.

– W czym problem? Dlaczego osobiście się tym zajmujesz?

– Bo sprawa może być polityczna.

– Nie rozumiem?

– Słowo „Lenin” wypisane zostało na wysokości trzeciego piętra. Dodam, że nie ma tam ani rusztowań, ani drabiny. W dodatku facet był pijany w sztok, nie wie, skąd wziął farbę, a sam wiesz, jak jest teraz z zaopatrzeniem! Nie wie, jakim cudem wlaź na ścianę, nie wie, co chciał napisać. Zgarnął go patrol, kiedy mieszał kolejny kubeł farby. Biorąc pod uwagę jego stan, wątpię, żeby chciał napisać „Lenin wodzem proletariatu”... Chociaż kto wie? – dodał po chwili zastanowienia.

Uśmiechnąłem się mimo woli, żebym miał tylko takie problemy...

– Aresztuj go za chuligaństwo – zaproponowałem. – Zaznacz, że miał wykonać napis w rodzaju tego, co zacytowałeś, ale spił się i zamiast w dzień zrobił to w nocy. Nie tak jak trzeba. Dodaj mu kilka paragrafów w rodzaju naruszenia dyscypliny pracy i marnowania mienia państwowego. Ze względu na farbę wszyscy uwierzą, że to było zamówienie jakiejś instytucji.

– A jeśli ją ktoś ukradł? Nie dostaliśmy co prawda zgłoszenia, ale...

– I nie dostaniecie – zapewniłem. – Sam zauważyłeś, że sprawa może być polityczna. Nikt się nie przyzna, że jest w to zamieszany. Nawet pośrednio.

– A jaką instytucję mam wpisać?

– Jaką chcesz, nie sądzę, żeby ktoś sprawdzał. Jeśli się boisz, wpisz komendę milicji. Przecież możecie zamówić kilka napisów wychwalających wodza rewolucji?

– Pewnie – westchnął milicjant. – Tym razem ci daruję – zwrócił się do zatrzymanego. – Ale jak ci przyjdzie w przyszłości ochota na malowanie haseł propagandowych... – Zacisnął potężne pięści.

– Ja nigdy... Towarzyszu, ja...

– Murajew! – ryknął Poliakow. – Wyprowadzić tego artystę ludowego! Napijesz się? – spytał, kiedy zostaliśmy już sami.

– Odrobinę, mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

– No ja też – westchnął. – Praca.

Wydobył z sejfu butelkę wódki, rozlał.

– Za powrót na linię frontu!

Trąciliśmy się, zabrzęczało szkło. Drugą kolejkę naląłem sam. Stojąc. Wypiliśmy za tych, co odeszli. Tym razem w milczeniu.

– Opowiadaj – rzucił.

Opowiedziałem. Później długo siedzieliśmy w ciszy. Żaden z nas nie sięgnął więcej po wódkę. Nie ten nastrój...

– Odwiedzisz staruszki? – zainteresował się.

– Nie wiem – mruknąłem. – Być może.

Lubiłem dawne damy dworu, jednak ich obecność zbyt mocno przypominałaby mi o przeszłości. Obie przepadały za Wierą i chłopakami. Być może kiedyś będę w stanie to zrobić. Zasługiwały na to, żeby poznać okoliczności śmierci moich ludzi z ust kogoś, kto był jej świadkiem. Pewnie chciałyby też odwiedzić Timę, niezależnie od jego kondycji...

To przypomniało mi, że miałem wstąpić do Nikonowa, zapytać, jak tam Kotuszew. Nie żeby mi się spieszyło, gdyby medyk miał dobre wieści, sam przyszedłby do mnie albo zatelefonował. Musiałem też skontaktować się z córką Michałycza. Jak jej tam było? Elena Szewieliewa? Obietnica to obietnica. Być może zresztą panienka nie będzie miała ochoty na pracę w GRU? To załatwiłoby sprawę. Tak czy owak, trzeba było ruszać. Na nostalgiczne wspominki przy wódce przyjdzie czas po wojnie. O ile ją wygramy, o ile dożyję...

Pożegnawszy się z Poliakowem, wróciłem do zaparkowanego przed komendą samochodu, wydałem dyspozycje kierowcy. Kierunek: ulica Frunze.



Dziewczyna, która otworzyła drzwi, wyglądała na dwadzieścia, może dwadzieścia kilka lat. W kwadratowej twarzy o czystych, surowych rysach było coś, co przypominało Michałycza.

– Elena Szewieliewa? – upewniłem się.

– Tak jest – odparła, nie ruszając się z miejsca.

Czekałem, aż zapyta, po co przyszedłem. Nie zapytała. Stała, mierząc mnie spokojnym spojrzeniem stalowych jak u ojca oczu.

– Może wpuścisz mnie do środka? – zaproponowałem zniecierpliwiony.

– Może wpuścę – stwierdziła chłodno.

No, no, dziewczyna z charakterem. Widać, że córka Michałycza: niedaleko pada jabłko od jabłoni. Ostatnio jakoś miałem szczęście do niezwykłych kobiet. Najpierw Majkowska, teraz ta. W zasadzie można by doliczyć i Warwarę Siemionownę. Aż człowiek miałby ochotę spotkać dziewczuszkę, która zamiast przewiercać go spojrzeniem czy demonstrować przewagę intelektualną, byłaby bardziej zainteresowana eksponowaniem swojego biustu. Albo innych walorów... nieintelektualnych. Ech, marzenie ściętej głowy. Nie do kobiet ci teraz, Razumowski,

nie do kobiet...

– Podpułkownik Razumowski – przedstawiłem się, demonstrując legitymację. –
Przychodzę z polecenia twojego ojca.

– Wejdźcie – zaprosiła.

Pokoik nie imponował rozmiarami, ot, klitka trzy na trzy metry. Zza ścian dochodziły rozmowy – wreszcie normalna „komunałka”! – i dźwięki muzyki z radia. Ściany obwieszane były rysunkami.

– To twoje? – Wskazałem ruchem głowy.

– Moje – przytaknęła.

I znowu ani jednego zbędnego gestu, żadnego niepotrzebnego słowa. Trochę dziwne, biorąc pod uwagę jej wiek...

– Lubisz rysować?

– Uczę się w Moskiewskim Artystycznym Liceum Akademickim – wyjaśniła zwięźle.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia jeden, kończę czwartą klasę.

Przytaknąłem, nadal zastanawiając się, co robić. Czy jest sens narażać dziewczynę z powodu dziwnych przeczuć jej ojca, niedoszłego jakuckiego szamana? A może wystarczy po prostu zapytać?

– Służę w wywiadzie wojskowym, twój ojciec prosił mnie, żebym cię wziął do siebie. To śmiertelnie niebezpieczna robota. Na początek będziesz musiała przejść trening, którego nie wytrzymałaby większość żołnierzy. Nie wszystkim udaje się go przeżyć. Dosłownie – dodałem.

– Gdzie poznaliście mojego ojca? Nic mi o was nie pisał.

– W szpitalu – mruknąłem. – Wymusił na mnie obietnicę tuż przed operacją. Nie zdążył...

– To on potrafił – przyznała z lekkim, ledwo widocznym uśmiechem. – Wymuszać obietnice.

– Więc?

– Zgoda.

– Rozbieraj się.

– Co takiego?!

– Słyszałaś! – rzuciłem niecierpliwie. – Bieliznę możesz zostawić.

Myślałem, że sprzeciwi się po raz kolejny, zaprotestuje, ale nie, bez słowa wykonała polecenie. Była ładnie zbudowana, szczupła, lecz nie wiotka. Postawa prawidłowa, kręgosłup prosty.

– Przejdź kilka kroków. Tak, teraz się zatrzymaj.

Dobrze, czyli nie ma płaskostopia...

– Stań na rękach.

Staneła bez specjalnego trudu, choć przy ścianie.

– W porządku, możesz się ubrać.

Kiedy dopinała spódnicę, rzuciłem jej złotą pięciorublowkę. Bez trudu złapała monetę. Znaczący refleks też niezły.

– Będę z wami pracować?

Roześmiałem się mimo woli. To ci dopiero entuzjazm!

– Może kiedyś. Na razie musisz pokazać, że dasz sobie radę. Nie będzie lekko – uprzedziłem.

Bez słowa wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „No i co z tego?”. Cóż, zobaczymy. Na razie zawiozę dziewczuchę do koszar, niech pokaże, co jest warta. A zacznie jak wszyscy, od spotkania ze szczurem...



Oddałem Elenę pod opiekę oficera dyżurnego, po czym poszedłem na salę gimnastyczną. Jeden z byłych białogwardzistów prowadził tam teraz zajęcia. Czas było rzucić okiem na instruktorów.

Wszedłem do pomieszczenia niepostrzeżenie: kursanci tworzyli krąg wokół średniego wzrostu mężczyzny pod sześćdziesiątkę. Facet wyglądał na kompetentnego, mimo wieku trzymał się prosto, a oszczędne, w pełni kontrolowane ruchy pozwalały się domyślić, że nadal dysponuje niebagatelną sprawnością fizyczną. Mówił spokojnie, nie podnosząc głosu: na sali panowała pełna skupienia cisza.

– Istnieje kilka rodzajów siły – stwierdził. – I wiele ćwiczeń, które pomogą rozwijać każdą z nich. My skoncentrujemy się na treningu siły absolutnej i dynamicznej. Pierwsza stanowi maksimum możliwości organizmu, druga jest niezbędna przy wykonywaniu szybkich, nagłych ruchów. Będziemy oczywiście trenować też wytrzymałość, ale w taki sposób, że nie spowoduje to specjalnego rozrostu masy mięśniowej. Lepiej, żebyście nie wyglądali na siłaczy. Zaczniemy od określenia waszych indywidualnych możliwości. A teraz do roboty! – Wymownym gestem wskazał rozmieszczone w paru miejscach sztangi i komplety odważników.

Kilku asystentów podzieliło kursantów na grupy i po chwili wokół rozlegał się szczeł żelastwa i wysilone okrzyki.

Obserwowałem właśnie, jak jedna z dziewcząt próbuje podnieść nad głowę dwunastokilowy odważnik, kiedy poczułem czyjś badawczy wzrok. Instruktor przypatrywał mi się bez skrępowania.

– Pułkownik Razumowski, prawda? Majko – przedstawił się z oszczędnym ukłonem. – Może i wy poćwiczycie? – zaproponował.

Na chudej, wilczej twarzy pojawił się lekki uśmieszek, błysnęły ciemne oczy.

– Dlaczego nie? – odparłem, ściągając bluzę. – Prowadźcie.

Stałem w kolejce wraz z innymi.

– Pierwsza próba: podniesienie sztangi z ziemi i podrzucenie jej do piersi – poinstruował Majko.

– A inne?

– Wyciskanie odważników nad głowę i przysiady ze sztangą.

Zacząłem ostrożnie, po krótkiej rozgrzewce podniosłem sześćdziesiąt kilogramów. Bez specjalnego problemu podrzuciłem sztangę do klatki piersiowej. Jak zauważyłem, i tak był to dużo lepszy wynik, niż uzyskali ćwiczący przede mną młodzieńcy. Tylko jeden podniósł siedemdziesiąt pięć kilogramów.

– Spróbujecie dziesięć więcej? – spytał Majko.

Już nie prowokował, raczej oceniał na zimno moje możliwości.

– Spróbuję – potwierdziłem.

Zanim wylądowałem w szpitalu, wykonywałem to ćwiczenie z dziewięćdziesięciokilogramową sztangą. Rozmasowałem krzyże, natarłem dłonie talkiem, dotknąłem żelaznego gryfu. Z głuchym stęknieniem dźwignąłem ciężar. Udało się: siedemdziesiąt kilogramów. Żaden rekord, a mimo to zachwiałem się na nogach. Widać sporo mi jeszcze brakowało do dawnej sprawności.

– Koniec na dzisiaj. – Pokręciłem głową. – Wystarczy.

– A może spróbujecie nieco inaczej? – rzucił lekkim tonem. – Pokażę wam kilka sztuczek, w końcu macie nas oceniać, pułkowniku.

Zrobiło się cicho, kursanci odstąpili w tył, dopiero teraz któryś zauważył leżącą na ławeczce bluzę, zerknął na pagony i szeptem przekazał spostrzeżenia kolegom.

– Mianowicie?

– Po pierwsze, róbcie to mniej dynamicznie, wolniej, tuż przed dźwignięciem sztangi naprężając wszystkie mięśnie.

– Po drugie?

– Po drugie widać, że powątpiewacie w swoje możliwości, pewnie niedawno wyszliście ze szpitala?

– Tak.

– Co to było: kontuzja, rana?

– Odmrożenia – odparłem krótko.

– Wyciągnijcie przed siebie ręce na wysokość pasa, włożymy wam w dłonie stukilową sztangę. Będziecie musieli ją jedynie przez chwilę potrzymać w tej pozycji. Później osiemdziesiąt kilogramów wyda wam się niewielkim ciężarem.

No, no, ciekawa koncepcja. Nie zaszkodzi spróbować. Co najwyżej walnę tym żelastwem o podłogę i zniszczę kilka klepek.

Tymczasem Majko zawołał dwóch asystentów i za moment trzymałem już sto

kilogramów żelaza. Dałem radę przez jakieś dwie sekundy.

– Teraz osiemdziesiątka.

Napreżyłem mięśnie nóg, talii i ramion, poderwałem sztangę z ziemi, podrzuciłem. Poszło jak z płątka: osiemdziesiąt kilogramów. Białoogwardzista nie białoogwardzista, a jednak znał się na swojej robocie!

Wokół rozległy się oklaski, kilka dziewcząt spojrzało na mnie spod opuszczonych rzęs. Może ta cała kontrola to nie taki głupi pomysł? Choć nie wypada wykorzystywać podziwu kursantek. Niestety...

– Możecie powiedzieć mi coś o innych instruktorach? – zagadnąłem.

– Oczywiście. Jeśli chcecie, oprowadzę was po szkole, wszyscy mają zajęcia.

– Poproszę.

Majko wydał dyspozycje i wyszliśmy na zewnątrz.

– Tatiana Orłowa prowadzi zajęcia z zakresu psychologii, Iwan Dymitrow zajmuje się szkoleniem strzeleckim, ja treningiem fizycznym i walką wręcz.

– Jest was tylko troje?

– To zależy, co macie na myśli. Także wśród asystentów znajduje się kilka osób z... przedrewolucyjnymi korzeniami.

Uśmiechnąłem się pod nosem, ciekawy termin: przedrewolucyjne korzenie.

– Co robiliście... wcześniej?

– Można powiedzieć, że to, co wy – stwierdził spokojnie.

– U kogo?

– Kołczak, później Denikin.

– A pozostali?

– Dymitrow i Orłowa zajmowali się kontrwywiadem. Po klęsce działali jakiś czas w partyzantce.

No, no, niezłe towarzystwo! Tylko dlaczego pozostawiono ich przy życiu, zamiast rozwalić pod pierwszą lepszą stodołą, jak było to wówczas we zwyczaju?

– Pewnie zastanawiacie się, jakim cudem jeszcze żyję? – odezwał się Majko.

– Owszem – potwierdziłem.

– Byłem płastunem – poinformowałem, jakby to wszystko wyjaśniało.

– A dokładniej?

Kojarzyłem mętnie, że w wojsku kozackim nazywano tak zwiadowców. Jednak co z tego? Jeśli złapano by go na szpiegowaniu, zginąłby tym bardziej. I raczej nie miałby szybkiej czy łatwej śmierci...

– Władzę radziecką zainteresowało to, czego mogłem nauczyć waszych ludzi. Później pracowałem nad programem nowego systemu walki wręcz. I tak tu trafiłem. – Wzruszył ramionami.

– A wasi koledzy?

– O to musicie spytać ich osobiście, ja nic na ten temat nie wiem.

W jego głosie pojawiły się chłodne nuty. Chyba nie przepadał za swoimi towarzyszami, mimo wspólnych „przedrewolucyjnych korzeni”. Warto zapamiętać.

– No dobrze, kogo odwiedzimy najpierw?

– Może Orłową?

– Niech będzie.

Tatiana Orłowa rezydowała w sporym, kilkupokojowym domku. Jedno z pomieszczeń zamieniono na salę balową: nawoskowany parkiet, lustra, kinkiety. Sama Orłowa musiała mieć swoje lata, ale nadal imponowała urodą. Żadnych zmarszczek w kącikach oczu, idealnie napięta, gładka skóra, włosy o barwie wrzosowego miodu. Tylko przepastne zielone oczy zdradzały wiek. Pewnych rzeczy nie można ukryć.

Nie zwróciła uwagi na nasze przybycie, kontynuowała wykład.

– Być może będziecie musieli nawiązać znajomość z kimś, kto posiada potrzebne wam informacje lub w inny sposób jest wam niezbędny. Jednak nie powinno to wyglądać na waszą inicjatywę. W pewnych sytuacjach lepiej nie przejawiać nadmiernej aktywności, niech on czy ona zagadną was pierwsi.

– A to niby w jaki sposób? – odezwała się szczupłutka dziewczuszka w okularach.

Podobnie jak inni kursanci wpatrywała się w instruktorkę jak zahipnotyzowana. Widać było, że towarzysza Orłowa nie ma problemów z zainteresowaniem słuchaczy.

– Zasada jest prosta: musicie zaintrygować osobę, o którą wam chodzi. Największą uwagę przyciąga zachowanie odbiegające od przeciętności, ale, rzecz jasna, nie może ono wychodzić poza ramy ogólnie przyjętych norm. Możesz na przykład obserwować obiekt przez jakieś dwadzieścia sekund. Bez ruchu, nieprzerwanie. Tak, aby osoba, o którą ci chodzi, to zauważyła. Później przez następną godzinę zupełnie nie zwracać na nią uwagi, aby wreszcie przy bliskim kontakcie krótko spojrzeć jej w oczy. W dziewięciu przypadkach na dziesięć takie zachowanie sprowokuje do nawiązania znajomości. Rzecz jasna, działa to tylko na osoby przeciwnej płci.

– Kiedy będziemy mogli spróbować? – zapytał krótko ostrzyżony chłopak, budząc rozbawienie kolegów.

– Na najbliższej zabawie – odparła niespeszona instruktorka. – Myślę, że nie dalej jak za tydzień. Kilka dni potrwa załatwianie formalności: trzeba zaprosić żołnierzy z okolicznych jednostek. Będziemy urządzać je często, przynajmniej raz w tygodniu. Z oczywistych względów.

– Żołnierzy?! – wykrzyknął z oburzeniem inny młodzieniec.

– Także personel pomocniczy: radiotelegrafistki, pielęgniarki, telefonistki – wyjaśniła Orłowa z uśmiechem.

Dopiero teraz skinęła nam głową, nieznacznym gestem wskazała kursantów, jakby chcąc spytać, czy przerwać zajęcia. Na migi nakazałem jej kontynuować.

Wymknęliśmy się z sali, cicho zamykając za sobą drzwi.

– I jak wam się to podoba?

– Myślę, że Orłowa wie, co robi – odparłem wykrętnie.

– To co, na strzelnicę?

– Chodźmy.

Dymitrow okazał się szczupłym, niewysokim facecikiem o nieprzyjemnej, szurzej twarzy. Kiedy weszliśmy, demonstrował właśnie dziwną pozycję strzelecką, trzymając pistolet bokiem, równoległe do ziemi.

– Przy bliskim kontakcie i tak nie wykorzystuje się przyrządów celowniczych, a ułożenie broni bokiem, na płask, pozwala na lepsze skupienie strzałów. Pamiętajcie, że w większości przypadków nie będziecie mieli czasu na celowanie ani powolne wyciskanie spustu. Przyjdzie wam działać w ułamku sekundy. W takich okolicznościach u strzelca o niewielkich i średnich umiejętnościach przy gwałtownym naciśnięciu spustu lufa odchyła się w prawo bądź w lewo. Jeśli trzymamy pistolet normalnym chwytem, istnieje duże prawdopodobieństwo, że chybimy: szerokość sylwetki przeciwnika wynosi zaledwie kilkadziesiąt centymetrów. Przy ułożeniu broni na płask lufa przemieszcza się nie w kierunku lewo – prawo, ale góra – dół. To znacznie zwiększa prawdopodobieństwo trafienia, bo wysokość człowieka liczymy przeważnie od półtora metra w górę. A teraz zobaczcie, jak to działa.

Dymitrow przykleknął i trzymając pistolet bocznym chwytem, oddał serię strzałów tak szybko, że brzmiały niemal jak ogień z broni automatycznej.

– Co on robi? – spytałem zdziwiony. – Po czorta tracić czas na wygibasy?

– A jak myślicie? Na co to wygląda?

– Na unik przed kulą?

– Blisko! – roześmiał się Majko.

Tymczasem jeden z kursantów zerknął przez lornetkę na tarczę strzelniczą.

– Dwie dziewiątki, reszta w sam środeczek! – zameldował podekscytowany.

Dymitrow strzelał na dwadzieścia pięć metrów. Cholerny magik, nic dziwnego, że nasi ich nie trzasnęli...

– Jak on celował? Taką odległość trudno zaliczyć do bliskiego kontaktu. – Zmarszczyłem brwi.

– Można celować i przy bocznym uchwycie, choć to wyższa szkoła jazdy – stwierdził Majko.

– A te ćwiczenia gimnastyczne?

– Może wyjdziemy – odchrząknął – to zademonstruję. Nie chodzi o unik przed kulą – powiedział, gdy staliśmy już na korytarzu. – A przynajmniej niezupełnie. Wyobraźcie sobie, że dochodzi do starcia, a ja jestem waszym przeciwnikiem. Wyjmujemy broń, teraz!

Wyszarpnąłem tetetkę z kabury, wycelowałem. Podobnie jak Majko, tyle że on

klęczał już poniżej linii strzału. No tak, teraz wszystko jasne: żeby go trafić, muszę opuścić lufę. Kiedy to zrobię, żaden unik go nie uratuje, tylko że on może strzelać natychmiast, a ja dopiero za chwilę...

– Sprytne – przyznałem.

– Wpadnijcie kiedyś wieczorem, prowadzimy wtedy zajęcia dla kadry – zaproponowałem.

– Żebym się nie ośmieszył w oczach przyszłych gwiazd kontrwywiadu?

– Coś w tym rodzaju – odparł z udawaną powagą.

– Miałbym do was prośbę...

– Tak?

– Elena Szewieliewa – powiedziałem. – Nowa kursantka. Czy moglibyście się nią zająć w trybie... indywidualnym? Dopiero dzisiaj dołączyła do grupy.

– Jeśli przejdzie wstępne testy...

– Przejdzie, o to się nie martwcie. To córka przyjaciela – wyjaśniłem, widząc pytający wzrok instruktora. – Poprosił mnie, żebym się nią zaopiekował.

Majko skinął głową, na szczęście nie skomentował. Sam wiedziałem, że to, co zorganizowałem młodej Szewieliewej, raczej nie mieściło się w definicji słowa „opieka”. Trudno, takie czasy...



Zalegające chodniki lepkie błoto sprawiało, że przeklinałem decyzję, aby dojechać do domu piechotą. Przeważnie szofer podwoził mnie pod samą bramę, ale dzisiaj jakiś niewytłumaczalny impuls nakazał mi wysiąść wcześniej. Przez tydzień nie doczyszczę butów, pomyślałem z niesmakiem. Tak kończy się zabawa w szpiega...

Zakląłem wściekle, poślizgnąwszy się przy przechodzeniu przez jezdnię. Brakuje tylko, żebym się wywalił. Widoczność była niemal zerowa: zaciemnienie. Moje kroki odzywały się echem na pustych ulicach, od dwudziestej drugiej obowiązywała godzina milicyjna. Zerknąłem na fosforyzujące wskazówki zegarka: dochodziła północ. Tak to jest, jak człowiek zasiedzi się w pracy... Po zwizytowaniu zajęć prowadzonych przez białogwardyjskich instruktorów siadłem do pisania raportów. Jeden dla Abakumowa, drugi dla *wojennej rozwiadki*. Na razie zarówno generał Iliczow, jak i szef Smiersza byli ze mnie zadowoleni. Oby jak najdłużej. Ponieważ najwyższy czas, żeby zająć się sprawą powierzoną mi przez Gławkoma. I daj Boże, żebym ją rozwiązał, zanim tajemniczy wróg znowu zaatakuje, bo wówczas zarówno towarzyszy Stalin, jak i Beria zażądają ode mnie rezultatów. Na wczoraj. Ech, biednemu zawsze wiatr w oczy...

Musiała się poruszyć, inaczej nie dostrzegłbym jej w ciemności. Po chwili usłyszałem suchy, stłumiony dłońią kaszel. Podeszedłem bliżej, błysnąłem latarką. Na moment. Jeśli napatoczy się jakiś patrol, następne kilka godzin spędzę na posterunku milicji lub w garnizonowym pierdlu.

Poznałem ją od razu; mała gadzina, która kopnęła mnie w kolano, kiedy gadałem z *biesprizornikami*. Ciekawe, czy jest sama, czy nieopodal czają się jej kumple? Tylko o co może im chodzić? Dotrzymałem słowa, uczciwie zapłaciłem dzieciakom za złapane szczury.

– Czego? – burknąłem, kładąc dłoń na kaburze.

– Czeka ją na was – poinformowała.

– Kto taki?

– Nie wiem. Jest ich pięciu albo sześciu. Siedzą w dwóch samochodach. Jeden spaceruje przed domem. Mają pistolety – dodała po namyśle.

– Kto cię przysłał? – spytałem szybko.

– Nikt.

Złapałem ją za rękaw, przykucnąłem. Nie broniła się, tylko przymknęła oczy, jakby w obawie przed uderzeniem.

– Jak długo tu czekasz?

– Jakiś czas. – Pociągnęła nosem. – Nie mam zegarka.

– Dlaczego mnie uprzedziłaś?

Bez słowa wzruszyła ramionami.

– Jesteś sama?

– Tak.

Rozejrzałem się wokół nieufnie, ale nie zauważyłem niczego podejrzanego. Inna rzecz, że widziałem na odległość wyciągniętej ręki...

– W porządku – mruknąłem. – Dziękuję.

Nie sprawdzając nominałów, podałem jej jakiś banknot i garść bilonu. Przyjęła pieniądze i rozpląnęła się w nocnym mroku.

Co się, u diabła, dzieje? Kto na mnie czeka? Zasadzka? Bzdura! Ludzie Berii zdjęliby mnie z ulicy, nie zawracając sobie głowy podchodami. Pozdrowienia od Abakumowa? Toż rozmawiałem z nim dzisiaj! A i on by się nie szczypał, jakby co. Niepodobieństwo. Cóż, niedługo sam się przekonam.

Na wszelki wypadek odbezpieczyłem pistolet. Wystarczy, że wystrzelę, a w ciągu minuty czy dwóch ściągną tu patrole z całej okolicy. Jeśli ktoś chce mnie porwać albo zabić, nie da rady zmyć się niezauważony. Z drugiej strony to nonsens: mała nie zauważyłaby fachowo zastawionej pułapki, stąd wniosek, że moi goście wcale się nie kryli. O ile rzeczywiście chodzi im o mnie.

Samochody zauważyłem z odległości kilkunastu metrów: zostały zaparkowane tuż przy budynku i upiorne niebieskie światło sączące się przez zasłonięte okna nieco

rozjaśniało ciemności. Z daleka widać też było ogniki przynajmniej dwóch papierosów. Znaczy nie zasadzka. No i dobrze. Nadal jednak pozostawało pytanie, czego chcą nieznajomi? Co prawda jedna z moich sąsiadek cieszyła się uzasadnioną opinią rozrywkowej dziewczyny, ale wątpiłem, czy nawet do niej wielbiciele przyjeżdżają w dwa wozy.

Po namyśle – strzeżonego Pan Bóg strzeże! – przełożyłem pistolet do lewej kieszeni, jakby co, będę miał przewagę zaskoczenia. Widząc uzbrojonego w broń krótką człowieka, przeważnie zwracamy uwagę na kaburę i prawą rękę potencjalnego przeciwnika. Na krótki dystans mogłem strzelać i z lewej, przez kieszeń.

Jeden z mężczyzn wyszedł mi na spotkanie, zaświecił w oczy latarką.

– Podpułkownik Razumowski? – spytał.

– We własnej osobie – mruknąłem, nie zdejmując palca ze spustu.

– Kirasow – przedstawił się krótko.

Co za Kirasow? Facet nie podał swojego stopnia wojskowego, choć był w mundurze, ale za cholere nie mogłem dostrzec, co ma na pagonach, nie wyjaśnił, kto go przysyła. Tak jakby sprawa była oczywista.

– Wsiadajcie! – polecił.

Aha, już ja ci wsiadę! Mamusia dawno ostrzegęła, żeby nie chodzić nigdzie z obcymi wujkami.

– Na co czekacie?!

Właśnie zabierałem się, żeby mu objaśnić, dokładnie i z detalami, gdzie może wsadzić sobie swoje polecenia, kiedy mnie oświeciło. Był tylko jeden Kirasow, który mógł liczyć na to, że każdy rozpozna jego nazwisko: pułkownik Kirasow, adiutant Stalina.

W mgnieniu oka znalazłem się w wozie, po chwili pędziliśmy już wyludnionymi o tej porze ulicami Moskwy. Kirasow spojrzał na mnie spod oka, tak jakby czekał, aż zarzucę go pytaniami, ale milczałem. Nie było o czym gadać, towarzysz Stalin mógł mnie wezwać tylko z jednego powodu: ataków dokonywanych przez fałszywych czy też prawdziwych enkawudzistów. Problem w tym, że nie bardzo miałem o czym raportować. Przeczytałem wszystkie dokumenty związane ze sprawą i musiałem stwierdzić, że tym razem czekiści nie popełnili żadnego błędu. Sprawcy całego zamieszania nie zostawili nawet najmniejszej poszlaki, która mogłaby naprowadzić na ich trop. Oczywiście brak informacji jest także swego rodzaju informacją, ale wątpiłem, żeby Głównodowodzący docenił takie podejście.

Ciemna bryła Kremla sprawiała zaskakujące wrażenie: przed wojną jarzyła się setkami świateł. Dwukrotnie sprawdzono nasze dokumenty, broń zdałem na posterunku przy bramie wjazdowej. Na terytorium Kremla poruszaliśmy się w tempie niespiesznego spaceru: obowiązywało ograniczenie prędkości do pięciu kilometrów na godzinę. Kilkakrotnie zauważyłem mdłe błyski luf wielkokalibrowych karabinów

maszynowych. Plotki głosiły, że załoga Kremla jest gotowa do odparcia ataku z ziemi i powietrza. Cóż, w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego ta pierwsza ewentualność wydawała się już mało prawdopodobna, ale jeszcze rok temu...

U wejścia do jednego z korpusów ponownie zatrzymała nas warta, wysiedliśmy z wozu, Kirasow poprowadził na drugie piętro. Obecność uzbrojonych po zęby żołnierzy i lakoniczny napis: *Osobyj siektor* świadczyły, że jesteśmy u celu.

Mój przewodnik zapukał energicznie w drzwi bez jakichkolwiek oznaczeń i po chwili stałem już na baczność w gabinecie Gławkoma. Stalin wydał mi się drobniejszej postury niż na plakatach i filmach, przygarbiony, z grymasem znużenia na twarzy siorbał herbatę, pozornie nie zwracając na mnie uwagi. Tuż obok na brzeżku krzesła siedział Ławrentij Pawłowicz Beria. *Komissar Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* miał mocno nietęgą minę. No i nie dziwota, pewnie musiał się gęsto tłumaczyć: mimo upływu czasu jego ludzie nadal nie potrafili wyjaśnić, kto i dlaczego morduje rodziny żołnierzy.

– Siadajcie, pułkowniku – powiedział Stalin.

Głos miał ochryply i zmęczony, mówił wolno, niemal ślamazarnie, ale w każdym jego słowie pobrzmiwał podskórny, wyraźnie słyszalny ton, pogłos, w którym można było wychwycić poczucie władzy.

Usiadłem.

– Herbaty?

Zanim zdążyłem otworzyć usta, przywódca Związku Radzieckiego napełnił moją szklankę, nieco drżącą ręką podsunął cukiernicę.

Upiłem kilka łyków, nie czując smaku napoju. Bałem się. I miałem powód. Kiedyś – rzecz jasna, wyłącznie na własny użytek – porównałem Berię do wściekłego psa. Gdyby rozwinąć tę myśl, Stalin byłby tygrysem szablozębym... Mimo że na razie zachowywał się jak dobroduszny wujaszek, nie kupowałem tego. Zbyt często widziałem efekty rozkazów Gławkoma, to przecież w jego imieniu stukali nad ranem do drzwi „ludzie o gorących sercach i czystych dłoniach”, to na jego polecenie wysyłano setki tysięcy, może miliony do łagrów, to on podpisał rozkaz numer dwieście dwadzieścia siedem, w którym polecał rozstrzeliwać „tchórzy i panikarzy”. To jego wola wreszcie zmieniała losy nie tylko ludzi, ale i narodów. Czuję się jak przed walką na bagnety: chwila nieuwagi i jesteś trupem.

– Właśnie rozmawialiśmy z Ławrentijem Pawłowiczem na temat wiadomej wam sprawy – powiedział. – Ławrentij zapewnił mnie, że to niemiecka prowokacja. A co wy o tym sądzicie?

Zmierzony ciężkim spojrzeniem spod krzaczastych brwi, o mało upuściłem szklankę. Niespodziewanie porwała mnie złość – jeszcze trochę i zemdleję jak nastoletnia dziewczica, którą ktoś uszczypnął w tyłek. Nie doczekacie się, gady!

– O sprawie czy teorii towarzysza Generalnego Komisarza? – spytałem chłodno.

– Chętnie wysłucham waszej opinii w obu kwestiach – zapewnił Stalin, nabijając fajkę.

– Myślę, że na razie mamy zbyt mało danych, żeby potwierdzić udział niemieckich dywersantów w tych atakach – zacząłem ostrożnie. – Nie jest to wykluczone – zaznaczyłem – ale wiele detali świadczy o czymś przeciwnym.

– A konkretnie? – zainteresował się Gławkom.

Spokojnie, punkt po punkcie przedstawiłem mu wszystkie argumenty przemawiające przeciwko udziałowi Niemców w sprawie. Tak jak wcześniej komisarzowi Berii. Stalin słuchał z przymkniętymi oczyma, zdawało się, że podzemuje.

– Uważacie zatem, że to nasi? – upewnił się, gdy skończyłem.

– W tym momencie ta hipoteza wydaje się najbardziej prawdopodobna – potwierdziłem.

– Hipoteza – burknął Gławkom. – Popatrz, Ławrentij, jakich słów uczą w *wojennoj razwedce*. Razumowski niby nasz, a gada niczym burżuazyjny profesor.

Siłą woli powstrzymałem chęć, aby rozluźnić kołnierzyk. Nagle wydał mi się zbyt ciasny.

– Ale to dobrze – zakonkludował Stalin. – Musimy być mądrzejsi od burżujów. Przeczytaliście te akta? – rzucił znienacka.

– *Tak toczno!*

– I jakie wnioski? Co sądzicie o śledztwie przeprowadzonym przez towarzyszy z NKWD?

No ładnie, teraz mam ocenić działania Generalnego Komisarza i żeby nie było za łatwo – w jego obecności... Jeśli go skrytykuje, niewątpliwie mi się odwdzięczy. Jeśli nie, Stalin może zażądać wyjaśnień, dlaczego śledztwo nie przyniosło efektów. Tym razem ode mnie. Tak źle i tak niedobrze. Ech, chuj by to strzelił! Cóż, pozostaje mi tylko powiedzieć prawdę, niezależnie od konsekwencji, tu i teraz na pewno nie wydumam żadnego szatańsko sprytnego planu.

– Nie zauważyłem żadnych uchybień – odparłem, patrząc prosto w oczy Gławkoma. – Niemniej jednak należy spodziewać się kolejnych tego typu ataków i wątpliwe, żeby udało nam się szybko je powstrzymać.

– A to dlaczego?

– Ci ludzie, kimkolwiek by byli, znaleźli nasz słaby punkt. Niestety, niewiele możemy zrobić, przyjdzie czekać, aż popełnią błąd.

– Przyjdzie czekać, powiadacie?

– Tak jest. Mamy związane ręce.

– Wyjaśnijcie.

Stalin nadal mówił spokojnym tonem, choć jego głos zabrzmiał jak zgrzyt żelaza po szkłe. Widać było, że jest wściekły. Nie dziwiłem mu się, pewnie doszedł do

podobnych wniosków co ja, problem w tym, że nie były one zachęcające...

– Nie możemy ogłosić, że w kraju szaleje grupa dywersantów w mundurach NKWD, bo sprowokowałyby to wiele osób do stawiania oporu prawdziwym pracownikom organów bezpieczeństwa. Nawet plotka sugerująca, że nie potrafimy zabezpieczyć własnych tyłów, mogłaby mieć katastrofalne następstwa. Szczególnie gdyby się wydało, że celem są rodziny frontowych żołnierzy. Stąd jakakolwiek akcja na większą skalę jest wykluczona: zbyt wiele osób trzeba by wtajemniczyć.

– Czyli uważacie, że nic nie można zrobić?

– *Nikak niet!* Można i trzeba, ale ostrożnie.

– Co proponujecie?

– Nie czuję się kompetentny... – zacząłem niepewnie.

– To ja decyduję, kto jest, a kto nie jest kompetentny – odparł Stalin, obrzucając mnie spojrzeniem spod krzaczastych brwi. – Kontynuujcie.

– Wiemy, że dywersanci działają w promieniu kilkuset kilometrów od Moskwy, gdzieś tutaj znajduje się ich baza. Dlatego...

– Słyszałeś, Ławrentij? Siedzą pod twoim nosem, a ty ich nie złapałeś!

Gienieralnyj Komissar Gosudarstwiennoj Biezopasnosti zacisnął usta, lecz nie odezwał się słowem. Cóż, drażnienie towarzysza Stalina w tym akurat momencie nie było najlepszym pomysłem...

– Nie sądzę, żeby to się zmieniło – podjąłem. – Nie mogą oddalać się za bardzo od swojej bazy. To pozwala nam podjąć działania, które mogą doprowadzić do schwytania bandy, a z pewnością utrudnią im kontynuowanie akcji.

Upiłem kilka łyków herbaty, zaschło mi w gardle.

– No dalej! Przedstawcie swój genialny pomysł! Bo Ławrentij Pawłowicz zaproponował jedynie wzmożone kontrole na drogach i przy wjeździe do Moskwy oraz izolację miejsc, gdzie może dojść do kolejnych... incydentów.

– To także pomoże – odparłem. – Jednak proponowałbym też przeprowadzenie okresowych ćwiczeń. W nieregularnych odstępach czasu. Zadaniem byłoby schwytanie dywersantów przebranych w nasze mundury. Trzeba obiecać awanse i urlopy wszystkim, którzy przyczynią się do ujęcia grupy. I, rzecz jasna, od czasu do czasu wysyłać w teren pozorantów oraz nagradzać żołnierzy, którzy ich złapią. Nie zaszkodziłaby też plotka, że dowództwo może sprawdzać pracę patroli i posterunków bez uprzedzenia. To powinno na tyle podnieść czujność, że prawdziwi dywersanci będą mieli utrudnione zadanie.

– Co ty na to, Ławrentij?

– Myśleliśmy już o tym – odparł Beria ze złym błyskiem w oku. – U nas, w NKWD.

A jakże! Myśleliście! Toż *Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł* słynie szeroko jako kuźnia intelektów...

– Jednak co z żołnierzami, którzy natrafiają na prawdziwych bandytów? Przecież oni potraktują ich jak kolegów, a tamci nie będą mieli żadnych skrupułów! – kontynuował.

Chciało mi się śmiać: Ławrentij Pawłowicz Beria w roli zatroskanego o los niewinnych nie brzmiał zbyt wiarygodnie.

– Razumowski? – Stalin scedował na mnie odpowiedź.

– Żołnierzom płacą za podejmowanie ryzyka – odparłem obojętnie. – Jeśli kontrolujący zachowają się zgodnie z procedurami przewidzianymi na takie okoliczności, mają spore szanse. Jeśli nie, będą mieli problem... Tak czy owak, nie mamy wyjścia. Musimy czekać, aż tamci popełnią jakiś błąd, coś, co pozwoli ich zdemaskować. Jeżeli dojdzie do walki, prawdopodobieństwo, że czegoś nie dopilnują, znacząco wzrośnie.

– Rozumiem, że żaden z was nie liczy na to, że sprawcy zostaną zatrzymani na gorącym uczynku?

– Niestety, tak to wygląda – przyznałem. – Oni mają przewagę zaskoczenia, bo nie wiemy, gdzie zaatakują, wykorzystują też po mistrzowsku... respekt, jakim obywatele naszego kraju darzą organy bezpieczeństwa.

– Chyba za duży ten respekt – warknął Stalin, obrzucając Berię wiele mówiącym spojrzeniem.

W duchu wzruszyłem ramionami, choć sam przecież użyłem tego słowa. Respekt? Wszyscy wiedzieliśmy, że chodzi o podszyte paniką przerażenie, jakie wzbudzały mundury NKWD. Nikt nie miał pewności, czy to nie po niego przyszli czekać. Stąd wiadomo było, że ostatnie, co ludziom przyjdzie do głowy, to sprawdzanie, czy nie są oni przebierańcami. Zresztą jak na razie wiele wskazywało, że tajemniczy dywersanci mogą okazać się podwładnymi komisarza Berii. Mimo gorących protestów Ławrentija Pawłowicza...

– Więc to wszystko, co może zaproponować NKWD i *wojennaja razwiedka*?!

– Pracujemy dzień i noc! – zapewnił żarliwie Beria.

Ja milczałem. Miałem co prawda ochotę przypomnieć, że wywiad wojskowy nie ma ze sprawą nic wspólnego, ale uznałem, że okoliczności nie sprzyjają raczej szczerzej wymianie poglądów. Wyglądało, że towarzysz Stalin szuka winnych. Biorąc pod uwagę, że w gabinecie znajdowaliśmy się tylko we trójkę, łatwo było przewidzieć, kto ma największe szanse, aby zostać kozłem ofiarnym...

– Widać za mało pracujecie! A wy co, Razumowski?! Dwanaście tomów akt i nic? Nawet najmniejszego śladu? A przecież śledztwo przeprowadzono bez żadnych uchybień! – zaakcentował ironicznie.

Beria spojrzał na mnie niespokojnie: mimo faktu, że był drugą osobą w państwie, w obecnej sytuacji o jego karierze mógł zdecydować każdy drobiazg, na przykład zdanie podpułkownika Razumowskiego... Poprzednicy Ławrentija Berii także

wydawali się wszechmocni. Do czasu.

Westchnąłem bezwiednie, należało wyciągnąć asa z rękawa. Choć czort jeden wie, czy to as, czy może zwykła blotka?

– Jak powiedziałem, nie mam żadnych zastrzeżeń co do sposobu przeprowadzenia śledztwa – odparłem. – Jednak w trakcie studiowania dokumentów nasunął mi się pewien pomysł...

– Pomysł, powiadacie? – uniósł brwi Stalin. – W takim razie przedstawcie go, pułkownik. A ciebie, Ławrentij, nie będę zatrzymywał, na pewno masz wiele pracy. No i jestem pewien, że Razumowski nie powie niczego, o czym nie pomyśleliście wcześniej u siebie, w NKWD – dodał z dobrodusznym uśmiechem.

Beria przełknął dzielnie złośliwość i wyszedł, pożegnawszy się krótko z Gławkomem. Mnie nie zaszczycił nawet skinieniem. Cóż, jakoś to przeżyję...

– Słucham – ponaglił mnie Stalin.

– W toku śledztwa przesłuchano niejakiego Awrama Martyszkę. Ten człowiek był świadkiem masakry w wiosce Sierpuchowka. Zeznał, że...

– To Żyd? – niespodziewanie przerwał mi Gławkom.

– Nie mam pojęcia – odparłem zgodnie z prawdą. – W dokumentach odnotowano tylko jego personalia.

– Kontynuujcie.

– Martyszka stwierdził, że jeden z napastników wyglądał jak Kola Piewcow, dawny mieszkaniec wioski.

– I co, czekiści nie sprawdzili tego Piewcowa?!

– Ależ sprawdzili! Piewcow okazał się poetą i mimo że ma na miejscu rodzinę, nie odwiedzał jej od lat. W dodatku kilkunastu świadków potwierdziło jego alibi na czas ataku: uczestniczył w jakimś turnieju literackim.

– Wy jednak mimo wszystko podejrzewacie tego Piewcowa?

– *Nikak niet, towariszcz Gławnokomandujuszczij!* Piewcow jest niewinny, jednak ten Martyszka to prosty chłop: jeśli stwierdził, że jeden z napastników wyglądał jak Piewcow, to znaczy, że tak było. Po prostu musimy szukać kogoś podobnego do Piewcowa. Być może uda się sporządzić coś w rodzaju portretu pamięciowego bandyty. Oczywiście trzeba będzie jeszcze raz przesłuchać świadka, tym razem pod nieco innym kątem, niż robili to enkawudziści, popracować z grafikiem...

– Z grafikiem? – skrzywił się Stalin. – Sami wspominaliście o konieczności zachowania tajemnicy. Macie kogoś zaufanego?

– Tak, to córka zmarłego niedawno pułkownika Szewieliewa. Obecnie uczy się wraz z kadrami Smiersza. Znakomicie rysuje i nie jest gadatliwa. Nie dam rady wszystkiego sam załatwić, będę potrzebował kilku osób do pomocy.

– W porządku – mruknął Stalin. – Jak trzeba, to trzeba. Więc sporządzą ten portret i co dalej?

– Jeśli się uda, będzie go można rozesłać po całym kraju i...
– Mówiliście, że dywersanci siedzą w Moskwie!
– Najprawdopodobniej tak jest, ale co nam szkodzi poszerzyć obszar poszukiwań? Kim by nie byli ci ludzie, kiedy podobiznę jednego z nich dostaną patrole milicji, władze wojskowe i NKWD, zrobi im się ciasno. Wtedy ich dostaniemy. Mam zamiar odwiedzić też Piewcowa.

– W celu?

– Sam nie wiem – przyznałem. – Wygląda, że nie ma nic wspólnego z atakiem na Sierpuchowkę, ale lepiej jeszcze raz sprawdzić. Mógł też zauważyć coś dziwnego albo spotkać kogoś podobnego do siebie. Nie pojedę tam oficjalnie, tylko jako poeta z Moskwy. Może dzięki temu dowiem się więcej niż śledczy z NKWD?

– Jako poeta? Jesteście pewni, że dacie radę? – w głosie Stalina zabrzmiała wyraźna nutka ironii.

– Wiecie, towarzyszu... – Odchrząknąłem niepewnie. – Ta nowoczesna poezja... Nie sądzę, żebym miał specjalne problemy. W dodatku...

– Tak?

– W młodości sam pisałem wiersze.

– Widzę, że jesteście wszechstronnie utalentowani – zauważył Stalin z rozbawieniem. – To dobrze, właśnie takich ludzi nam trzeba! Gdybyście na coś natrafili, na cokolwiek – zaznaczył z naciskiem – skontaktujcie się z moim adiutantem.

– *Tak toczno!* – zawołałem, zrywając się na baczność.

Znaczy audycja skończona. Wreszcie...



ROZDZIAŁ PIĄTY

Budzik zadzwonił o siódmej – normalnie wstaję pół godziny wcześniej, ale wczoraj miałem ciężki dzień. A przede mną kolejny.

Nastawiwszy wodę na kąpiel, wróciłem do sypialni i z niechętnym stęknieniem sięgnąłem po ciężarki. Czułem się, jakby przejechał po mnie tramwaj, ale mimo to poświęciłem kilka minut na gimnastykę. W moim fachu lenistwo nie popłaca, a rachunek za brak sprawności fizycznej bywa wysoki.

Usmażyłem jajecznicę, zagryzłem paroma kromkami chleba. Śniadanie jak śniadanie, choć nie smakowało nawet w połowie tak dobrze jak wtedy, gdy robiła je Natasza. Natasza... Miałem nadzieję, że moja była sąsiadka zje dzisiaj coś więcej niż miskę zupy z brukwi: nasze państwo nie cacka się z więźniami. Przydział żywności w łagrach zależy od wykonanej roboty, a normy bywają wyśrubowane. I żeby tylko to. Bo zarówno wśród więźniów, jak i strażników można spotkać swołocz, która dla przyjemności lub zabawy pozbawi cię tego, co ci zostało: ostatniej kromki chleba, ubrania, godności...

Z ponurych rozmyślań wyrwały mnie dźwięki muzyki: sąsiad słuchał radia Moskwa. Ech, też mi się zebrało na wspominki! Pospiesznie dokonałem porannych ablucji, założyłem mundur. Ostatnio jakby przyciasny. Trzeba coś z tym zrobić, zanim będzie za późno. Tylko ciekawe kiedy? Wątpiłem, żeby towarzysza Stalina czy Berię martwiła moja kondycja. Zapiąłem zegarek, skontrolowałem czas: powinienem zdążyć. Zegarek to jedna z nielicznych cennych rzeczy, jakie posiadam, nie licząc carskiego złota. Jeszcze dwa lata temu był własnością pewnego niemieckiego pułkownika o nazwisku zaczynającym się na „von”. Fosforyzujące wskazówki,

sekundnik, kwadry księżycy i czort wie co jeszcze. Krótka seria dla pilotów. Schaffhausen. Solidna firma, nie to, co nasze.

Szoferowi kazałem jechać prosto na komendę, miałem sprawę do Poliakowa. Jeśli zrealizuję swój pomysł, być może Abakumow da mi spokój na jakiś czas.

Poliakow przyjął mnie bez zwłoki, choć mina szeryfa miasta Moskwa świadczyła, że jest wyraźnie nie w humorze. Jeszcze raz pogratulowałem sobie w duchu, że ten facet jest moim przyjacielem. Mieć go za wroga byłoby niedobrze. Bardzo niedobrze.

– Coś taki skwaszony? – spytałem z ciekawością.

– Problemy – odburknął.

– U ciebie? – zdziwiłem się.

Ze względu na pełnioną funkcję – Poliakow był zastępcą komendanta milicji – jego władza w Moskwie nie miała sobie równych. Przekonałem się o tym osobiście w zeszłym roku. A tu patrzcie państwo: problemy.

– Co konkretnie?

– Długo by opowiadać. – Skrzywił się niechętnie. – Z czym przyszedłeś? Bo rozumiem, że nie jest to wizyta towarzyska?

– Chciałbym, żeby kilkunastu, może kilkadziesiątu kursantów Smiersza brało przez jakiś czas udział w pracy twoich ludzi. Chodzi o asystowanie w dochodzeniach dotyczących poważnych przestępstw: morderstw, napadów z bronią w rękę i tym podobnych.

Poliakow zastanowił się przez chwilę, wreszcie wzruszył ramionami.

– Nie widzę przeszkód – stwierdził.

Nie zapytał, co to Smiersz, najwyraźniej sprawa formowania nowych struktur kontrwywiadu nie była dla niego tajemnicą.

– Dasz radę do jutra przesłać mi listę najlepszych śledczych?

– Bez problemu. Ci twoi kursanci będą mogli pomagać? Wiesz, przesłuchiwać świadków czy coś w tym stylu? To by znacznie ułatwiło sprawę.

Przytaknąłem. Nie wątpiłem, że ludzie Poliakowa zwałą na nich najgorszą robotę, ale w końcu i tego przyszłe gwiazdy kontrwywiadu muszą się nauczyć. A tak korzyści będą obopólne i można mieć pewność, że milicjanci podejną do nowych obowiązków z dużo większym entuzjazmem niż w wypadku, gdyby kursanci byli jedynie obserwatorami.

– No to załatwione – zakonkludował Poliakow. – I jeszcze jedno: przez jakiś czas lepiej do mnie nie przychodź. Jeśli będzie trzeba, spotkamy się na mieście albo u staruszek.

– Aż tak źle?

– Nie za dobrze – przyznał ponuro. – Szykuje się kolejna czystka.

Musiałem mieć zdziwioną minę, bo Poliakow zapewnił mnie, że wiadomość pochodzi z zaufanego źródła. Nie miałem powodu mu nie wierzyć, w Moskwie

niewiele rzeczy działo się bez wiedzy „Polaka”, ale informacja była zastanawiająca. Komu mogłoby zależeć na antagonizowaniu ludzi w środku wojennej zawieruchy? Stalinowi? Wątpliwe. Prawda, że nadal ścigano zaciekle „wrogów ojczyzny”, ale rzecz szła o prawdziwe lub rzekome przewinienia związane z prowadzeniem wojny: zdradę, tchórzostwo w boju, szpiegostwo... Przecież nawet więźniom siedzącym za przestępstwa kryminalne dawano możliwość wstąpienia do armii i odkupienia win! Państwo dogadało się z cerkwią, otwierano zamknięte dziesiątki lat temu kościoły, jeszcze w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym zlikwidowano znenawidzony powszechnie Związek Wojujących Bezbożników. Jednym słowem, robiono wszystko, żeby skonsolidować społeczeństwo wokół idei obrony kraju. A tu nagle czystka...

– Kogo chcą tym razem załatwić?

– Polaków.

– Kogo?!

– Przecież mówię: Polaków. W rzeczywistości chodzi o mnie i kilka innych osób o polskich korzeniach, co przeszkadzają klice, do której należał kiedyś Baranow. Okazuje się, że nasz nieodżałowanej pamięci generał miał przyjaciół, a co ważniejsze, współników. Nie wiedziałem o tym, myślałem, że chce po prostu pozbawić mnie wpływów.

Gwizdnąłem w duchu: Baranow... W zeszłym roku doszło do starcia między Baranowem a moim kumplem. W rezultacie Baranow zginął w wypadku samochodowym, a Poliakov rządził Moskwą.

– No dobrze, ale co ty masz z tym wspólnego? Wiem, że tak cię nazywają, ale...

– Mój dziadek był Polakiem – wszedł mi w słowo milicjant. – Zesłali go do Rosji po powstaniu styczniowym. Podobno jego rodzina była tak znana w Polsce, że postanowił nie używać prawdziwego nazwiska. Nie chciał im psuć opinii w oczach carskich władz. Tamci musieli dobrze posmarować kogo trzeba, bo pozwolono mu zmienić nazwisko. Urzędas, który wypełniał papiery, nie grzeszył wyobraźnią, stąd Poliakov. – Wzruszył ramionami.

– Myślałem, że Polak to ksywa od nazwiska...

Milicjant nie odpowiedział, wpatrywał się ponuro w przestrzeń.

– I co ci mogą zrobić?

– Jeśli maszyna ruszy, to wszystko, co zechcą, sam wiesz, jak to jest.

Wiedziałem. Jeśli ktoś trafi w łapy czekistów, powie wszystko, co mu każą, potwierdzi najbardziej idiotyczne oskarżenia.

– No dobrze, ale czy góra o tym wie?

– Tak jakby. Wahają się. Z jednej strony po ewakuacji armii Andersa niewiele trzeba, żeby poszczuć bezpiekę na Polaków, z drugiej rozważa się podobno utworzenie kolejnej polskiej armii, tym razem komunistycznej. Sporo Polaków bije się też po naszej stronie, ostatnio odznaczono kilku za męstwo w walkach o Leningrad.

No tak, do tego prowokacje dokonywane przez prawdziwych czy rzekomych enkawudzistów... Rzeczywiście nie najlepsza pora do rozpoczynania kolejnej czystki. Przynajmniej logicznie rzecz biorąc. Tylko kto u nas kieruje się logiką? Jeśli Stalin lub Beria dojdą do wniosku, że dobrze by było odwrócić uwagę od prawdziwych problemów...

– Kto za tym wszystkim stoi?

– Niejaki Fomienko. Generał-pułkownik Fomienko.

– Nie możesz go jakoś spacyfikować?

– Nie da rady, to nie ten poziom co Baranow czy Kutiepow. Pan generał chodzi wszędzie z ochroną, naprawdę fachową ochroną, jego willa jest strzeżona niewiele gorzej niż Kreml, ma układy w armii, partii i NKWD...

– Znaczą z Berią?

– Nie, trochę niżej, ale niewiele. Akurat Beria odnosi się do niego niechętnie, bo wyczuwa, że rośnie mu konkurent, ale na razie nie może Fomienki ruszyć. Zresztą do tej pory specjalnie się nie starał, bardziej niepokoją go inni wojskowi, jak choćby Żukow.

No tak, Żukow. Wschodząca gwiazda, aktualny pupil Gławkoma. W sumie nie ma czego zazdrościć: większość protegowanych towarzysza Stalina nie żyje. Tak się jakoś złożyło...

– Mówisz, że nie tylko ty jesteś na celowniku?

– Owszem.

– Rozumiem, że chodzi o osoby wpływowe, nie możecie załatwić tej sprawy wspólnie?

– Żartujesz! Próbowałem gadać z Rokossowskim, ale pogonił mnie w diabły. W sumie mu się nie dziwię, gdyby czekał dowiedzieli się o naszej rozmowie, byłby to gotowy argument za polskim spiskiem. On zresztą wierzy, że go nie ruszą.

– Kiedy zaczną?

– Jeśli ktoś z samej góry tego nie zastopuje, to za dwa, trzy miesiące.

Westchnąłem frasobliwie: nie interesuję się polityką, stąd nie kojarzyłem nawet nazwiska Fomienki. Jeśli jednak sprawa jest tak poważna, jak przedstawia Poliakov, czystkę mogą powstrzymać wyłącznie dwie osoby: Beria i Stalin. Ten pierwszy w zasadzie tylko w jeden sposób; aresztując ambitnego generała-pułkownika wraz z kumplami. Problem w tym, że jeśli Fomienko jest taki mocny, nawet *Gienieralnyj Komissar Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* musiałby mieć jakieś podstawy do oskarżenia. Realne podstawy. Tu nie wystarczy byle donos...

– Masz jego akta? – spytałem.

– A jakże! – odburknął. – Tyle że nic z nich nie wynika. Facet lubi baby i wódkę, no i prowadzi rozliczne interesy, w które zamieszana jest niemal cała partyjna góra. Rzecz jasna, wszyscy kradną na potęgę, ale nie bardzo można to wykorzystać, bo

zanim dojdę, co jest grane, i zdobędę dowody, będzie po sprawie. Zresztą kto wie jakich ma współników? Lepiej tego nie ruszać.

– To prawda – mruknąłem. – Nie tędy droga. Lubi wódkę i baby, powiadasz?

– No i co z tego? A kto nie lubi? Nie jest żonaty, więc nawet jeśli mu jakąś podstawić, to skandalu z tego nie będzie. On zresztą nie zadaje się z kurwami, preferuje te „porządne” – zaznaczył z przekąsem Poliakov.

– Znaczący amatorki? – upewniłem się.

– Dokładnie.

Uśmiechnąłem się pod nosem, większość znanych mi kobiet uchodzących za porządne różniła się od dziwek tylko jednym: nie brały pieniędzy za swoje usługi. Natomiast słowo „wierność” oba gatunki pań uważały jedynie za hasło w słowniku.

– Daj mi te papiery – powiedziałem.

– Po cholere? Lepiej trzymaj się od tego z daleka. Gdybyś miał jakieś szanse, sam poprosiłbym cię o pomoc, ale tak... – Rozłożył bezradnie ręce.

– Jasne, aresztują cię, a wszystkich twoich znajomych zostawią pewnie w spokoju?

– Pewnie nie, ale ty możesz się wywinąć. Jesteś z *wojennoj razwiedki*, no i w zeszłym roku zapunktowałeś u Berii. Tytuł Bohatera Związku Radzieckiego też nie w kij dmuchał. Masz spore szanse.

Może i tak. Tylko że jeśli pozwolisz aresztować przyjaciół, to kto będzie cię bronił, kiedy przyjdą po ciebie? A Poliakov pomógł mi już wcześniej, ryzykując głowę. Nie, ten wariant odpada. Nie będę siedział bezczynnie, patrząc, jak kopią mu grób. Fakt, że miał w sobie polską krew, był w moich oczach dodatkowym plusem: Polacy słynęli jako znakomici żołnierze i beznadziejni stratedzy. Bili się do końca, nawet jeśli z góry było wiadomo, że sprawa jest przegrana. Warto kogoś takiego mieć za plecami, niezależnie od tego, czy napierdalasz się w portowej knajpie, czy bawisz w wielką politykę.

– Tak czy owak, przyjrzę się temu – zdecydowałem.

– Jak chcesz, ale uważaj – ostrzegł Poliakov. – To straszny skurwysyn.

Też mi nowina! W naszym szczęśliwym kraju droga do kariery – jakiegokolwiek kariery – wymoszczona jest trupami. Dosłownie. Ja sam przecież Saszkę Riumina i Kutiepowa... A ilu jeszcze zabiję lub wydam na śmierć? Jednego byłem pewien: z powodu generała-pułkownika sumienie dręczyć mnie nie będzie.

– Spotkamy się u staruszek?

– Niech będzie – zgodziłem się niechętnie.

Jeśli podejmę jakieś działania przeciwko Fomience, lepiej, żeby mnie nie widziano w towarzystwie Poliakowa. Chociaż na wizytę u przedrewolucyjnych arystokratek nie miałem specjalnej ochoty. Wiedziałem, czym to się skończy: będę musiał opowiedzieć im o śmierci Wiery i Pietki. Z najdrobniejszymi, wywracającymi bebechy szczegółami. Inaczej się nie da. Nie miałem pojęcia, czy jestem już na to gotowy.

Wracając do mieszkania, bo przecież nie mogłem promenować z aktami Fomienki pod pachą, myślałem o Timie. Trzeba zajechać do szpitala, pogadać z Warwarą Siemionowną i Nikonowem, sprawdzić, w jakiej kondycji jest porucznik Kotuszew. Ech, Tima, Tima... Lepiej ci było zdechnąć tam, pod lasem, niż wylądować w psychuszce. Być może istnieją gdzieś na świecie szpitale dla psychicznie chorych, w których pacjenci mają się dobrze i traktowani są jak ludzie. Być może. Na pewno jednak nie u nas. Jak sam czułbym się na miejscu Kotuszewa? Czy w ogóle cokolwiek bym czuł? Kiedy go ostatni raz widziałem, wyglądał, jakby żył w swoim niedostępnym dla postronnych świecie. Jednak byłem pewien, że gdzieś wewnątrz tej skorupy, która została po Kotuszewie, żyje coś, co pozostało z dawnego Timy. I krzyczy z przerażenia. Gdyby to o mnie chodziło, albo sam zakończyłbym te męczarnie, albo modlił się, żeby zrobił to kto inny. Bo ile mogę go bronić przed psychuszką? Miesiąc, dwa, pół roku? Trwa wojna i prędzej czy później wyślą mnie na misję, z której nie wrócę. Co wtedy?

Cóż, nie ma chyba zbyt wielu opcji do wyboru: jeśli nic nie da się zrobić, jeżeli nie będzie szans na poprawę, oddam Timce ostatnią przysługę. Byłem pewien, że i on uczyniłby to dla mnie.



Nikonowa zastałem u Warwary Siemionowny, siostra oddziałowa miała coś na kształt własnego gabinetu. Wygospodarowano go z niewielkiego składziku: jedna z drobnych korzyści wynikających z funkcji. Choć formalnie nie przysługiwał jej osobny pokój, nikt nie protestował, Warwara Siemionowna cieszyła się reputacją osoby, z którą lepiej nie zadzierać.

– Herbaty? – zaproponowała, ledwo stanąłem w progu. – A może kawy?

Proszę, jaki wybór... Ani chybi wdzięczni pacjenci podarowali. Bo w naszym kraju od czasów rewolucji kawa ma opinię „burżuazyjnego napoju” i jak można się domyślić, nie jest specjalnie popularna. Słyszałem, że ze względu na wojenne czasy Niemcy musieli wprowadzić rozmaite ersace kawy: a to z dębowych żołądzi, a to z jęczmienia czy cykorii. U nas nie było takiej potrzeby, mało kto pijał ją wcześniej.

Poprosiłem o kawę. Bogiem a prawdą kosztowałem jej ze trzy razy w życiu i nie powiem, żebym był zachwycony, ale przyda mi się zastrzyk energii. Byłem znużony wielogodzinnym ślęceniem nad dokumentami.

– Co u Kotuszewa? – spytałem szorstko.

Podświadomie obawiałem się odpowiedzi. Cóż, trudno o dobre rokowania u pacjenta z uszkodzonym mózgiem.

– Można kontynuować rehabilitację – odparł ostrożnie Nikonow. – Zapewne przyniesie to pewne efekty, jednak nie ma mowy o pełnym powrocie do zdrowia.

– Jakie efekty?

– On już teraz potrafi o siebie zadbać – wtrąciła pospiesznie Warwara Siemionowna. – Nie trzeba go prowadzić do łaźni czy toalety, sam daje sobie radę przy posiłkach.

– Ale?

– Większość funkcji mózgu poza podstawowymi jest zaburzona. Do tego porucznik Kotuszew ma problemy z pamięcią krótkotrwałą – odparł Nikonow.

– Co to znaczy?

– On wie, jak się ubrać lub zapiąć guziki, bo opanował te umiejętności jeszcze w dzieciństwie, a ta warstwa pamięci pozostała niemal nienaruszona, jednak późniejsze... – Wzruszył wymownie ramionami. – Czasami można nauczyć pacjenta pewnych rzeczy od nowa, tu nie da rady, bo on na następny dzień niczego nie pamięta.

Zacisnąłem zęby: a więc nie ma już dla Timy nadziei... Do końca życia będzie funkcjonował na poziomie fizjologii, wykonując polecenia pielęgniarzy. Te najprostsze, bo bardziej skomplikowanych nie zrozumie.

– Nie róbcie niczego pochopnie! – odezwał się zaniepokojony medyk.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że ściskam kurczowo rękojeść na wpół wyciągniętego pistoletu.

– Mam patrzeć, jak człowiek, który uratował mi życie, zdycha w psychuszcze?!

– Schowaj broń! – warknęła Warwara Siemionowna tonem, którego nie powstydziliby się sierżant musztrujący rekrutów.

Odruchowo wykonałem polecenie.

– Nie mogę się nim opiekować w nieskończoność! Mamy wojnę! Co będzie, jeśli...

– Odpukaj w niemalowane! Nic ci się nie stanie – powiedziała twardo. – A ja mogę się nim zająć. Jakby co – dodała ciszej.

– Rozumiem, że to ostateczna diagnoza? – rzuciłem do Nikonowa.

– Możecie oczywiście zwrócić się do innego specjalisty – odparł sztywno. – Jednak...

– Och, daj spokój! – ofuknęła go Warwara Siemionowna. – Do innego specjalisty, też coś! Nie ma nikogo lepszego – zapewniła.

– Czyli nie ma żadnej nadziei?

– Na gruncie medycznym: nie – Nikonow starannie dobierał słowa.

Zmarszczyłem brwi: co znaczy na gruncie medycznym? A na niemedycznym jest? Spiał się facet czy co?

Jednak lekarz nie wyglądał na pijanego, choć jego twarz zastygła w grymasie zakłopotania. O co tu, do cholery, chodzi?!

– Warwaro Siemionowna, gdybyście mogli zostawić nas na chwilę...

Siostra oddziałowa skinęła głową i wyszła bez słowa protestu.

– Słucham! – rzuciłem, kiedy zostaliśmy sami.

– Moim zdaniem, żadna konwencjonalna terapia nie przyniesie większego skutku.

Powody wam wyjaśniłem. Jednak istnieje inna opcja...

– Mianowicie?

– Krew – odparł, unikając mojego wzroku. – Księża Doskonałych twierdzi, że krew mistrza wśród wielu innych efektów powoduje coś, co sekciarze nazwali „odżywianiem mózgu”, a co zapewne polega na wszechstronnym usprawnieniu jego funkcji. To jest dokładnie to, czego potrzebuje porucznik Katuszew.

– Zwariowaliście!

– To jedyna szansa.

– Nie mamy krwi mistrza!

– Rzeczywiście – przyznał. – Za to możemy mieć waszą.

– Przecież...

– Wyzdrowieliście wbrew wszelkim oczekiwaniom – przerwał mi bezceremonialnie.

Przez chwilę oddychałem głęboko, starając się uspokoić. Gdyby Nikonow był ze trzydzieści lat młodszy, pewnie dałbym mu po pysku. Jego oczy jarzyły się jak wilcze ślepia: przedrewolucyjny profesor chciał eksperymentu, najwyraźniej nadal fascynowała go zagadka Doskonałych. Problem w tym, że królikiem doświadczalnym miał być Tima... To dlatego wyprosił Warwarę Siemionownę, wstydził się namawiać mnie przy niej do szamańskich praktyk!

– Przecież zdajecie sobie sprawę, że to tylko zabobony – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

– Być może, jednak wyzdrowieliście, mając szansę jedną na tysiąc – przypomniał.

– Jeśli chcecie, pokażę wam waszą kartę z wpisami lekarzy. Sami zobaczycie, co prognozowali...

– Jakie mogą być skutki uboczne?

– Żadne – odparł natychmiast. – Przynajmniej rozpatrując rzecz na gruncie medycyny. Jaką szkodę może mu wyrządzić kilka kropel waszej krwi rozpuszczonej w odrobinie wody?

– Przecież się na tym nie skończy! A te ćwiczenia oddechowe?!

– Nic mu się nie stanie – zapewnił. – Co najwyżej zwiększy pojemność życiową płuc. Zresztą będę go obserwował i w razie czego powstrzymam.

– A zagrożenia pozamedyczne? – spytałem cicho. – Bo zakładamy, że w tych sekciarskich teoriach istnieje racjonalne jądro, prawda? Co, jeśli rzeczywiście moja krew jest czymś w rodzaju...

– ...katalizatora – odpowiedział.

– Co wtedy? – kontynuowałem. – Przypuśćmy, że istotnie wywoła to jakąś reakcję,

ale nie do końca taką, jak sobie wyobrażacie. Bo ja nie jestem mistrzem...

– Rzeczywiście – przyznał bez ogródek. – W takim wypadku mogą być problemy. Jednak nie widzę innej drogi. Jeśli macie lepszy pomysł, to nie krępujcie się... Można przecież zostawić wszystko tak, jak jest. Porucznik Kotuszew jest niekłopotliwym pacjentem, a Warwara Siemionowna obiecała, że się nim zaopiekuje. Tu, w „Trzynastce”, nie będzie mu źle.

Spojrzałem na Nikonowa gniewnie: miałem graniczące z pewnością przekonanie, że medyk usiłuje mną manipulować. Znał mnie na tyle, aby wiedzieć, że żadne naciski nie przyniosą efektu. Więc siedział – gadzina! – z pozornie obojętną miną, czekając na mój ruch. Przecież nie mogłem odwrócić się i wyjść, w końcu chodziło o Timkę!

Wysiłkiem woli zdusiłem wściekłość, sięgnąłem po papierosa. Jeśli Warwara Siemionowna będzie miała coś przeciwko paleniu w jej gabinecie, chętnie przedyskutuję z nią tę kwestię. Byłem w odpowiednim nastroju.

– Czym to się może skończyć? Ten wasz eksperyment?

– Mój eksperyment? Ja tylko...

Nie powiedziałem ani słowa, ale Nikonow sam urwał zdanie, widać mimo wszelkich starań nie do końca udało mi się wytłumaczyć emocje. Czuję, że otacza mnie aura lodowatego gniewu.

– Sami zadecydujcie – wymamrotał w końcu. – Nikt nie potrafi przewidzieć, jakie będą skutki uboczne tej... procedury. O ile takowe w ogóle wystąpią.

Milczałem długo, rozważając wszystkie za i przeciw. Medyk także sięgnął po papierosa i ćmił go, popatrując na mnie nerwowo. Co robić? Co robić, do cholery?! Nie trzeba mieć dyplomu z psychiatrii czy neurologii (tak, załapałem już parę słów liczących więcej niż trzy sylaby!), aby przewidzieć, że albo moja krew nie wywoła nijakiej reakcji, albo może doprowadzić do śmierci czy ostatecznej demencji Kotuszewa. Chyba że go wyleczy...

– Gdyby to zadziałało – powiedziałem, przerywając ciszę – jakie są szanse, że Tima powróci do pełnego zdrowia?

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł Nikonow. – I rzecz nie tylko w tym, że nikt przed nami tego nie próbował, problem tkwi w samej koncepcji. Zakładamy, że wasza krew wywoła poprawę funkcjonowania mózgu porucznika. Jednak rodzaj i zakres tych zmian pozostają poza sferą nawet najśmielszych domysłów. To czysta ruletka. Najlepiej by było, gdyby dotyczyły one tych obszarów, które uległy uszkodzeniu. Jednak równie dobrze wasza krew może spowodować noktolopię czy coś w tym rodzaju, nie wpływając w żaden sposób na to, co chcielibyśmy poprawić.

– Noktoco?

– Widzenie w ciemnościach – wyjaśnił lekarz.

No, to akurat nie byłoby takie złe, ale rozumiałem, o co chodzi: zmiany, nawet te pozytywne, niekoniecznie poprawią sytuację Kotuszewa. Ech, szlag by to...

– W porządku, zróbcie, co trzeba – poleciłem.

Cóż, niezależnie od ryzyka zawsze to jakaś szansa. Nawet nikłe prawdopodobieństwo poprawy jest lepsze niż pewność, że Kotuszew spędzi resztę swoich dni w charakterze bezmózgiej kukły. Lepiej już umrzeć. A jeśli mu się pogorszy, osobiście zakończę jego męczarnie.

– Co do krwi... – zaczął niepewnie Nikonow.

– Na co czekacie?! – warknąłem, podwijając rękaw. – Bierzcie!



Postawiłem kołnierz płaszcza, wcisnąłem ręce do kieszeni: zimny marcowy wiatr chłostał opustoszałe ulice. Do godziny milicyjnej brakowało kilkunastu minut, ale niemal nie spotykało się już przechodniów. Po rozmowie z Nikonowem postanowiłem wrócić do domu piechotą – musiałem jakoś rozładować napięcie. Szkoda, że nie można komuś dać w mordę, skóra na dłoniach wygoiła mi się na tyle, że mogłem rozpocząć ćwiczenia z workiem bokserskim. Niestety, to nie to samo, co dobra bójka... A nawet chuligani woleli unikać przyłapania po dwudziestej drugiej. Areszt to nic strasznego, ale *blatni* obawiali się przymusowego wcielenia do wojska: zasady nie pozwalały im służyć państwu w jakikolwiek sposób. Splunąłem, przypomniawszy sobie o napadzie na Warwarę Siemionownę. Muszę się tym zająć w wolnej chwili, żadna tyłowa gnida nie będzie okradała kogoś, kto ratuje od śmierci żołnierzy!

Skręciwszy w Pionierską, usłyszałem ostry kobiecy głos. Po chwili zawtórował mu śmiech. Ten był zdecydowanie męski i nieprzyjemny. No, no... Czyżby los postawił jednak na mojej drodze jakiegoś żulika? Oby. Bo wyraźnie potrzebowałem chwili... odprężenia. Wolałbym co prawda relaksować się w towarzystwie jakiejś miłej panienki, ale jak na razie kandydatki na kochankę nie tłoczyły się pod moimi drzwiami. W sumie nic dziwnego: nie miałem czasu nawet wyjść do kina, nie mówiąc o uczestnictwie w balu garnizonowym, gdzie miałbym pewnie szansę kogoś poderwać. Chyba nawet na froncie mieli lepiej: te wszystkie siostrzyczki, telefonistki, dziewczuszki regulujące ruch... Pieprzona wojna!

Jeden wykręcał jej ręce za plecy, drugi niespiesznie bił po twarzy. Ich kumpel kulił się na ziemi: widać kobieta próbowała walczyć. Z bolesnych jęków leżącego bandziora można było wywnioskować, że nie bez powodzenia. Zuch dziewczyna! Każdy kiedyś umrze, ale jeśli ktoś ma nas posłać do piachu, to niech najpierw zachłyśnie się własną krwią!

Solidnym kopniakiem w skroń unieszkodliwiłem powalonego i postąpiłem krok naprzód. Maltretujący kobietę bandyta zbudowany był jak zapaśnik, mimo mroku

widziałem szerokie niczym wrota stodoły bary, wzrostem przewyższał mnie co najmniej o dwie głowy. A przecież nie należę do krasnoludków. Może i dobrze, że był odwrócony tyłem? Nie odzyskałem jeszcze pełni sił.

Kopnięciem pod kolano posłałem go na klęczki, uderzyłem otwartymi dłońmi w uszy, zakrzywione na kształt szponów palce wbiłem w oczodoły. Zakrzyczał w męce, łapiąc mnie za nadgarstki. Zanim wzmocnił uścisk, wykonałem ruch podobny do szarpnięcia. Poczulem lepka, kleistą wilgoć. Olbrzym upadł jak podcięte drzewo, nie wydawszy głosu.

Ostatni bandzior pchnął na mnie kobietę i wyciągnął nóż zza cholewy. Roześmiałem się. Właśnie zmarnował swoją jedyną, choć prawda, że dość problematyczną szansę: gdyby przyłożył babie nóż do gardła, mógłby spróbować ucieczki, szachując mnie zakładniczką. Teoretycznie. Bo nieznajoma obchodziła mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Cóż, nie jestem rycerzem w świetlistej zbroi.

Wykonał wypad, ciął niczym szablą. Osłoniłem się ramieniem – płaszcz z grubego sukna powinien powstrzymać ostrze, skontrolowałem, uderzając podstawą dłoni. Chrupnęła miażdżona kość nosowa. Pchnął na oślep – uszkodzenie nosa powoduje silne łzawienie – po czym rzucił się do ucieczki. Nie ubiegł daleko: powaliłem go, a gdy leżał, skrzyłem kark.

Sapnąłem z satysfakcją, wreszcie udało mi się upuścić trochę pary: towarzysze Stalin, Beria i Abakumow dbali, żeby mi nie zabrakło mocnych wrażeń. Niestety, w ich obecności musiałem trzymać nerwy na wodzy. Nawet spływająca po dłoni strużka krwi – a jednak ciachnął mnie, gadzina! – nie zepsuła mi humoru. Zresztą rana była powierzchowna, inaczej krwawiłbym jak zarzynana świnia.

Cichy jęk przypomniał mi o kobiecie. Ta pełzała na kolanach, najwyraźniej szukając czegoś w błocie. Czyżby martwiła się o torebkę? Ech, baby...

– Jak się czujecie? – spytałem. – Coś wam zginęło?

– Laska – wymamrotała niewyraźnie.

Jej głos wydał mi się znajomy.

– Jaka, do licha, laska?!

– Normalna. Jestem ślepa.

Jednym ruchem podniosłem ją na nogi, spojrzałem w posiniaczoną twarz: Majkowska. Moja konsultantka-histeryczka.

– Co tu robisz, na litość boską?!

– Wracałam ze szpitala – odburknęła. – Przechodzę okresowe badania wzroku. Istnieje niewielka szansa na poprawę.

– Z „Trzynastki”?

– Owszem.

– Przecież to szpital dla prominentów?

– Może jestem nieślubnym dzieckiem sekretarza obwodowej organizacji partyjnej!

– warknęła wyraźnie zirytowana. – Pomożecie mi szukać tej laski? Muszę jakoś wrócić do domu, a tu zaraz godzina milicyjna.

– Spóźniłaś się – poinformowałem, zerknąwszy na zegarek. – Już po dwudziestej drugiej.

Uśmiechnąłem się mimo woli, kiedy rzuciła kilka słów z gatunku takich, jakich raczej nie powinny znać porządne dziewczynki. Mimo że przed chwilą ją pobili, nie sprawiała wrażenia ofiary. Twarda dziewczucha! Widać i wśród intelektualistów zdarzają się ludzie z charakterem. Konsultantka Majkowska coraz bardziej mi się podobała.

– Niestety – westchnąłem, grzebiąc czubkiem buta w błocie. – Już po lasce.

– Co to znaczy?

– Chyba użyłaś jej niezgodnie z przeznaczeniem – wyjaśniłem grzecznie. – Jest połamana.

– I co ja teraz zrobię? Kiedy trafię na jakiś patrol...

Uniosłem brwi, słysząc niepewność w jej głosie. Ciekawe, czego obawia się panna Majkowska? Przecież wystarczyło spojrzeć na jej twarz, aby zrozumieć, że została napadnięta. A gdyby poinformowała jeszcze, że nie widzi, każdy patrol odstawiłby ją pod drzwi mieszkania. Prawda, że sprawdziwszy wcześniej dokumenty...

– Idziemy. – Złapałem Olgę pod ramię.

– Gdzie?

– Do mnie. Mieszkam parę ulic stąd, a do ciebie daleko.

– Jak to sobie wyobrażacie?

– Przenocuję cię, a jutro odprowadzę do domu. Albo pożyczę laskę – dodałem cierpko, czując, że sztywnieje. – Chyba jakąś znajdę.

– Naprawdę wolałabym...

– Och, daj spokój! Obiecuję, że nie będę nastawał na twoją cnotę. Muszę cię obejrzeć, możesz być ranna, a i ja sam...

– Co wam jest? – przerwała mi z niepokojem.

– Nic specjalnego, draśnięcie. Ale lepiej to opatrzyć.

– Nie podziękowałam wam jeszcze...

– To prawda, nie podziękowałaś – odparłem, powstrzymując śmiech.

Milczała przez chwilę, wydymając gniewnie wargi.

– Dziękuję – burknęła wreszcie. – Co z nimi? – spytała.

– Z kim? – nie zrozumiałem w pierwszej chwili.

– Z tymi bandziorami.

– Jeden nie żyje – odparłem obojętnie. – Co do pozostałych, nie mam pojęcia. Nie sprawdzałem.

– To może sprawdźcie? A jeśli się pozbierają i jeszcze kogoś napadną?!

– Możesz mi mówić na ty. A oni nie napadną – odparłem beztróska.

– Naprawdę?

Uuu... Niedobrze. Głos Majkowskiej brzmiał głucho i niepewnie, bez śladu zadziorności, jaką demonstrowała jeszcze przed minutą. Widać poziom adrenaliny wrócił do normy i dziewczyna zaczęła myśleć, co by się z nią stało, gdybym nie interweniował. Jak mi się rozklei, będę musiał ją nieść. Nie żeby była ciężka, ale wstyd przyznać, moja kondycja pozostawiała wiele do życzenia. Odzwyczajone od wysiłku mięśnie pulsowały bólem, jakbym rozładował wagon węgla.

– Naprawdę.

– Możecie... Możesz wyjaśnić?

Westchnąłem bezradnie: a co tu wyjaśniać? Wątpiłem, żeby trzeba się było martwić powalonym przez dziewczynę bandytą. Kopnąłem go z taką siłą, że czułem, jak kość skroniowa kruszy się pod moim butem. Jeśli nie umarł natychmiast, zabije go uraz mózgu. Olbrzym z wyłupionymi oczyma? No, ten może przeżyć. Chyba żeby nie... Tak czy owak, ślepy, z uszkodzonym błędnikiem (bo i nad jego uszami popracowałem niezłe) będzie miał problem z trafieniem łyżką do talerza. Kolejny napad? Wolne żarty! Jeśli już, to tylko w marzeniach...

– Może innym razem? – zaproponowałem. – Do mnie już niedaleko. Odpocznijmy, zjemy coś...

– Ja...

Zakląłem pod nosem: ledwo zdążyłem uskoczyć. Majkowska zgięła się w pół i zaczęła wymiotować. Ot, nagroda za dobre serce! Gdybym nie zaproponował jej żarcia, pewnie wytrzymałaby jeszcze trochę...

– Przepraszam, nie chciałam...

– Nic się nie stało, chodźmy.

– Ubrudziłam was? Macie... Masz mokrą rękę – powiedziała, ocierając usta chusteczką.

– Nie, nie ubrudziłaś. Chodźmy! – powtórzyłem niecierpliwie.

Ręce rzeczywiście mi się kleiły, ale z innego powodu. Spróbujcie wydrzeć komuś oczy i nie upaprać się przy tym...

– Zgubiłam rękawiczki – powiedziała nieobecny tonem.

– Raczej nie wrócimy ich szukać – stwierdziłem cierpko.

Na szczęście już widziałem moją kamienicę: Majkowska coraz bardziej ciążyła mi na ramieniu.

– Uwaga, schody – uprzedziłem.

Usłyszałem skrzypnięcie otwieranych drzwi. No tak, sąsiedzi zawsze czujni: a nuż uda się nasmarować jakiś donosik. Z tym też będę musiał coś zrobić, trzeba pokazać współlokatorom, że kablowanie nie zawsze popłaca.

Obejrzałem się: Ira Worobiowa. Specjalistka od uprawiania cytryn w doniczkach i autorka kilkunastu donosów opisujących stosunki niejakiego Razumowskiego

i Nataszy Pokrowskiej... Poczekaj, suczko, już ja ci odpłacę! W pierwszej wolnej chwili! Sąsiadka zauważyła mój ruch, błyskawicznie skryła się w mieszkaniu.

– Kto to był? – spytała Majkowska.

– Nikt ważny. Poczekaj chwilę – poleciłem, wyciągając klucze.

– Nigdzie się... nie wybieram.

Wprowadziłem dziewczynę do sypialni, ostrożnie usadziłem w fotelu.

– Kąpiel? – zaproponowałem.

– Masz ciepłą wodę?!

– Nie, ale nagrzeję w pół godziny.

– Chętnie – odparła, obejmując się ramionami, jakby w ochronie przed chłodem.

Zerknąłem na termometr: wskazywał dwadzieścia stopni, więc to pewnie reakcja na stres. Po kąpeli i kolacji jej przejdzie. Tylko żeby nie zarzygała mi dywanu...



Postawiłem na ogniu kolejny gar z wodą, jeszcze dwadzieścia minut i kąpiel będzie gotowa. Podszedłem cicho pod półotwarte drzwi sypialni: konsultantka Majkowska nadal spała. Cóż, nie ma pośpiechu, dopiero szósta rano. Poprzedniego dnia dziewczyna czuła się nieszczególnie, wypła tylko gorącą herbatę (nie nalegałem na więcej, nie lubię czyścić dywanu) i po kąpeli poszła spać. Nie musiałem zaglądać do niej co kilka minut, ale trzeba przyznać, że widok znajdowałem całkiem interesujący: rozrzucone na poduszce ciemne włosy, widoczna aż po smukłe udo zgrabna noga, kusząco wydęte wargi... Gdyby sytuacja była inna, pewnie konsultantka Majkowska nie leżałaby w moim łóżku sama, ale dziś jakoś nie wypadało naciskać. No nic, jutro też będzie dzień...

Z zadumy wyrwał mnie gwizd czajnika, popędziłem do kuchni, zaparzyłem herbatę. Czas coś zjeść, na ósmą musiałem być w pracy.

Pojawiła się w drzwiach, kiedy otwierałem konserwę, zaspana, przecierając kułakami oczy niczym małe dziecko.

– Dzień dobry – powiedziała z ziewaniem.

– Dzień dobry – mruknąłem, starając się patrzeć w inną stronę.

Sprezentowałem jej wczoraj swoją pizamę, ale spodnie okazały się zbyt luźne, tak więc panna Majkowska zatrzymała jedynie górę. Ta sięgała jej do pół uda – teoretycznie. Bo gdy podniosła rękę, podjeżdżała sporo wyżej...

– Śniadanie? – odezwała się z nadzieją w głosie.

– Konserwa, chleb, herbata – ogłosiłem ponurym głosem menu.

– Może być, nie jestem wybredna – stwierdziła, siadając ostrożnie.

Wzięłem ją za rękę, pomagając znaleźć kubek z gorącym napojem i talerz.

- Czy mi się wydaje, czy jesteście dzisiaj w nie najlepszym humorze? – spytała.
- Spałaś w moim łóżku – przypomniałem. – Wypadałoby mówić sobie po imieniu.
- Niech ci będzie... Saszka – odparła, uśmiechając się tak, że momentalnie wywietrzały mi z głowy wszelkie myśli o jedzeniu. – Jak rana?
- Draśnięcie... – zbagatelizowałem. – Zagoi się raz-dwa.
- To skąd ten nastrój? – kontynuowała uparcie.

Zamknąłem oczy, policzyłem w myślach do dziesięciu.

- Szanowna towarzyszeko Majkowska...
- Tak?
- Jestem zapracowanym człowiekiem i nie mam czasu na podtrzymywanie więzi towarzyskich...
- Może podałybyś słoik z miodem – przerwała mi bezceremonialnie.
- Skąd wiesz, że mam miód?!
- Po zapachu, to akacjowy, prawda?
- A bo ja wiem? Nie jestem pszczelarzem.

Precyzyjnym ruchem posłodziła herbatę, oblizała łakomie łyżkę.

- Wracając do więzi towarzyskich? – ponagliła.
- Nie pamiętam już, kiedy w mojej kuchni siedziała ostatnio półnaga kobieta – wyjaśniłem przez zaciśnięte zęby. – Dlatego prosiłbym was uprzejmie, towarzyszeko, o skromne zachowanie, chyba że chcecie stać się głównym daniem – ostrzegłem.
- Mam problem z oczyma, nie z mózgiem – odparła. – Potrzebujesz specjalnego zaproszenia?

Nie potrzebowałem. Już nie... Jej skóra była gładka i wrażliwa, tak jak sobie wyobrażałem, w dotyku przypominała gorący jedwab, włosy pachniały konwalia. Oddawała żarliwie pieśczoty, choć w jej gestach była jakaś mimowolna, zdawałoby się, nieśmiałość. Brałem ją pospiesznie, niemal brutalnie, by kolejne kwadransy spędzić na czułych, delikatnych pieśczotach, poznając każdy centymetr ciała, kosztując smakujących miodem warg. W końcu leżeliśmy objęci, słuchając swoich oddechów, czując rytm serc poprzez spoconą skórę. Nie rozmawialiśmy, każde z nas bało się, że pierwsze wypowiedziane słowo umniejszy i strywializuje to, co się stało. To, co się stawało. Lepiej było trwać w wieży milczenia, zamieniając każdą chwilę w wieczność. Dopóki się da.



Kierowca wysadził mnie na Dzierżyńskiego, na podwórko, gdzie znaleziono ciało,

pomaszerowałem sam. Przyda się obejrzeć okolicę, być może miejsce, w którym dokonano morderstwa, zostało wybrane nie bez przyczyny. No i przejdę się, ochłonę: od samego rana nie wychodziła mi z głowy Majkowska. Olga... Potrzebowałem odrobiny łózkowej gimnastyki, a dostałem... czort wie co. Nigdy nie miałem problemów z kobietami, a tu raptem dopadła mnie jakaś ostrożność, żeby nie powiedzieć – nieśmiałość. I skąd? Dlaczego? Nie mogłem się połapać. Ech, czasem sobie myślę, że ten cały ateizm to tylko propaganda, tak jak wiele innych koncepcji lansowanych przez nasze władze, a w rzeczywistości gdzieś tam wysoko, ponad chmurami, siedzi sobie rozczochrany facet z brodą, który bawi się nami niczym mały chłopczyk ołowianymi żołnierzami. I śmieje się do rozpuku...

– Towarzyszu pułkowniku, kursantka Szewieliewa melduje...

Przerwałem jej stanowczym gestem, szkoda czasu na prężenie się i strzelanie obcasami. Przywitałem się uściskiem dłoni z przydzielonym do sprawy milicjantem, obrzuciłem taksującym spojrzeniem kursantów: dwie dziewczyny, dwóch chłopaków. Wszyscy poza koleżanką Szewieliewej wyglądali na inteligentnych, tamta za to miała w nadmiarze walorów pozaintelektualnych; potężne piersi niemal rozsadzały mundur, udami mogłaby pewnie łupać orzechy kokosowe. A mówiłem, żeby przysyłać jedynie osiagających najlepsze wyniki!

– Nazwisko? – zwróciłem się szorstko do dziewczyny.

– Żelazowa – odpowiedziała, spoglądając na mnie kokieteryjnie spod opuszczonych rzęs.

– Jak wasze oceny? Plasują się powyżej średniej?

– Nie rozumiem? – Zamrugła zaskoczona.

– Zadałem proste pytanie: czy wasze oceny pozwalają na uczestnictwo w tych zajęciach? O ile pamiętam, miało to dotyczyć tylko najzdolniejszych.

– Niezupełnie, ale...

– Wynocha – poleciłem zwięźle. – Kiedy przyjadę do koszar, na moim biurku ma leżeć raport opisujący, jak tu trafiłaś. Z podaniem nazwiska osoby, która cię zarekomendowała!

– Ja tylko...

– Won!

Dziewczyna z ceglastymi wypiekami na policzkach wykonała „w tył zwrot” i odmaszerowała. W oczach pozostałych kursantów wychwyciłem błysk skrywanej satysfakcji. Zapewne Żelazowa nie była ulubienicą kolektywu...

– Podziwiam wasze oddanie sprawie – odezwał się policjant, uśmiechając półgębkiem. – Zrezygnować z takiej... uczennicy.

– Nazywacie się Safronow?

– Owszem – odparł z ledwie zauważalnym chłodem.

Kojarzyłem go z komendy, należał do najlepszych detektywów Poliakowa.

– Zamknijcie się. I gdybyście mieli coś do picia... – poprosiłem po namyśle.

Wydobył zza pazuchy niewielką piersiówkę, wręczył z kpiącym ukłonem. Cóż, chyba się dogadamy: ustaliliśmy, kto tu rządzi, i dałem do zrozumienia, że nie mam zamiaru wykorzystywać swojego stanowiska. Na ulicy jak w okopach – tylko głupek zraża sobie podwładnych.

Łyknąłem zdumiewająco dobrego koniaku, skinąłem w podziękowaniu głową.

– Gdzie trup? – spytałem.

Policjant bez słowa wskazał za siebie: zwłoki zabezpieczono brezentową płachtą.

– Niedawno mżyło – wyjaśnił.

Wyraziłem pomrukiem aprobatę: znaczy ślady powinny być nienaruszone. Świetnie!

– Podejdźcie bliżej! – rozkazałem. – Szewieliewa, zabierz brezent. Dobrze, co widzicie?

– Kobieta, około trzydziestu lat, ładna – powiedział z namysłem wysoki, szczupły chłopak o aparycji uczonego.

– Nazwisko?

– Gurłanow, towarzyszu pułkowniku!

– Jak zginęła? – spytał drugi. – Nic nie widać.

Ten z kolei wyglądał jak wiejski parobek: szeroki w barach, przysadzisty, z piąchami niczym bochny chleba. Jednak widoczna w oczach żywa inteligencja przeczyła pierwszemu wrażeniu. Był równie bystry jak Gurłanow.

– Przewrót ją na bok – przyzwoliłem. – Tylko ostrożnie!

Krwi było niewiele – jedynie wąska szkarłatna plama na szyi i między łopatkami. Policjant uniósł brwi. Ja także.

– Ktoś dźgnął ją nożem – stwierdził Gurłanow. – Od tyłu.

– Czymś podobnym do noża – poprawił go ostrożnie krępy kolega. – Oстрыm narzędziem. Po sekcji powinniśmy wiedzieć więcej.

– Jak się nazywasz?

– Lewartow, *towariszcz połkownik!*

– Możesz coś jeszcze dodać?

– Nie widać śladów walki: żadnych siniaków, zadrapań, krwi pod paznokciami.

– Safronow – zwróciłem się do policjanta – co o niej wiemy?

– Ada Makarenko, dwadzieścia osiem lat, księgowa. Wygląda, że szła do pracy, choć miała dzisiaj wolne – powiedział, wskazując na solidną, wypchaną dokumentami torbę.

– Aktywistka? – rzucił pytająco Gurłanow.

– Wątpię – mruknąłem.

– Dłaczego? – spytała Szewieliewa.

– Przyjrzyj jej się bliżej – zaproponowałem, odstępując w tył. – Tylko bez

dotykania!

Przez dłuższą chwilę kursanci kręcili się przy zwłokach, ale ich miny świadczyły, że nie są ani trochę mądrzejsi.

– Mogę zerknąć? – Lewartow wskazał torbę.

Skinąłem przyzwalająco głową.

– Buchalteria – stwierdził z rozczarowaniem w głosie.

Parsknąłem śmiechem.

– A czego się spodziewałeś? Pisemnego wyznania mordercy?

– No nie, ale...

– A jeśli w tych dokumentach coś jest? – weszła mu w słowo Szewieliewa. – Tylko my tego nie widzimy. Może trzeba powołać eksperta?

– Możliwe – przyznałem. – Jednak na razie spróbujcie wyciągnąć wnioski z danych, jakie mamy do dyspozycji.

– Tu nie ma żadnych danych! – burknął Gurłanow. – Niczym niewyróżniający się trup i tyle!

– Wręcz przeciwnie. – Westchnąłem. – Mamy całe mnóstwo ciekawych faktów.

– Mianowicie? – uniósł brwi Lewartow.

– Obejrzyjcie jej dłonie – zaproponowałem.

– Nie widać śladów walki – odparł chłopak posłusznie. – Ale to już mówiłem. Ma zadbane dłonie, pomalowała nawet paznokcie, nic dziwnego: nie pracowała fizycznie.

– Włosy?

– Normalne...

– Szewieliewa?

– Ma trwałą ondulację.

– Dobrze, co jeszcze?

– Chyba nic szczególnego...

Spojrzałem na wyraźnie zmieszanych kursantów; cóż, nie ma sensu spodziewać się cudów, jak na pierwszy raz, i tak było nieźle.

– Szewieliewa, wyciągnij przed siebie ręce!

– Ale...

– No dalej!

Dziewczyna z lekko naburmuszoną miną zademonstrowała dłonie. Szczupłe, zadbane, lecz bez manicure.

– Różnice?

– Nieumalowane paznokcie! – zameldował Gurłanow.

– Dlaczego nieumalowane?

– Wiecie, jak trudno dostać... – zaczęła Szewieliewa. – Zaraz! Manicure i ondulacja! Ona nie szła do pracy! Nikt nie chodzi do roboty tak odstawiony!

– Na pewno nie skromna księgowa – uściśliłem.

– Więc gdzie, jeśli nie do pracy? – zapytał bezradnie Gurłanow.
– Podsumujmy – zaproponowałem. – Trwała ondulacja, manicure, perfumy Krasnaja Moskwa, puder na policzkach, nylonowe pończochy... Mam wymieniać dalej?

– Ona szła do kochanka – wymamrotał Safronow.

– Na to wygląda – przytaknąłem.

– To on ją zabił!

Potwierdziłem nieartykułowanym pomrukiem, zapaliłem papierosa.

– Niby w jaki sposób? – zmarszczyła brwi Szewieliewa. – Każdy mógł się zakraść od tyłu i...

Urwała, widząc mój uśmiech.

– Co takiego?

– Widziałaś, ile jest krwi?

– Niewiele...

– No właśnie.

– Nie rozumiem.

– Napastnik wbił jej nóż, a raczej coś w rodzaju sztyletu, w kręgosłup na wysokości szyi. Przerwał rdzeń kręgowy.

– I co z tego?

– Nie tak łatwo uderzyć w konkretny punkt, ona zresztą ma na sobie płaszcz i szalik.

Mina Szewieliewej wskazywała, że dalej nie rozumie.

– Spróbujmy wyobrazić sobie tę scenę – zaproponowałem. – Przejdź się kawałek spacerowym krokiem, a któryś z chłopaków spróbuje wbić ci nóż w szyję.

Dziewczyna ruszyła przed siebie z niepewną miną, a Gurłanow piórem imitującym broń zadał jej cios w kark.

– Uderzyłeś z góry do dołu – zwróciłem mu uwagę. – To mało precyzyjny cios. Za cholerę nie trafiłbyś w kręgosłup.

– Więc jak to się według was odbyło? – zapytał z lekkim wyzwaniem w głosie.

– Podejść do mnie, Elena – nakazałem. – A teraz obejmij mnie i przytul.

Szewieliewa wykonała polecenie z pąsowym rumieńcem na policzkach. Odchyliłem kołnierz płaszcza dziewczyny, pogłaskałem ją po karku. Powolnym, niemal niezauważalnym ruchem wyjąłem nóż z rękawa i zamarkowałem pchnięcie oburącz.

– Widzieliście? – spytałem. – Tylko w taki sposób morderca mógł uderzyć dokładnie tam, gdzie chciał. Kiedy go obejmowała. Wymacał odpowiedni punkt i pchnął...

– Myślicie, że on nosi nóż w rękawie, tak jak wy? – odezwał się Safronow.

– Przypięty do przedramienia – doprecyzowałem. – W ten sposób najłatwiej można

go wydobyć. Gdyby miał go u pasa czy w bucie, trudno by było użyć go niepostrzeżenie.

– Musi być żołnierzem...

– Prawdopodobnie – przyznałem. – Albo przeszedł szkolenie w służbach specjalnych. W tysiąc dziewięćset czterdziestym wydano specjalnie dla NKWD skrypt o walce fińskim nożem. Jedną z technik to obrona przed obchwytem przez wbicie noża w plecy napastnika...

– W plecy, a nie niemal podstawę czaszki – zauważył Lewartow, studiując ranę.

– To tylko luźne skojarzenie – zapewniłem. – Tak czy owak, osobiście stawiałbym na żołnierza. Zwiadowcę albo kogoś z jednostki szturmowej lub desantowej.

– A to niby dlaczego? – zainteresował się Safronow.

– Narzędzie zbrodni wygląda na sztylet – wyjaśniłem. – My takich nie produkujemy. Mój nóż to NR-40: *noż rozwiędniczka* z tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Za to nasi zachodni sojusznicy używają noża szturmowego, czy raczej sztyletu, Fairbairn-Sykes Commando Knife. Trochę takich zabawek trafiło i do nas w ramach bratniej pomocy. Rozdzielono je wśród żołnierzy, enkawudziści rzadko kiedy wdają się w walkę wręcz...

– Skąd wiecie?

– Sam mam kilka takich.

– To dobra broń?

– Znakomita – przyznałem.

– To dlaczego nosicie nóż naszej produkcji? Jest lepszy?

– Zależy do czego – odparłem dyplomatycznie.

– A konkretnie?

– Może wrócimy do naszego morderstwa? – zdecydowanie zmieniłem temat.

Przecież nie będę tłumaczył, że po kształcie rany można określić rodzaj użytej broni: milicjant sam świetnie o tym wiedział. Problem w tym, że sztylety FS były rzadko spotykane i łatwo dawało się ustalić ich właścicieli. Odwrotnie niż użytkowników NR-40, które produkowano w setkach tysięcy, o ile nie milionach... Nie żebym miał się czego obawiać, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Skąd mogłem wiedzieć, kiedy i w jakich okolicznościach użyję broni? Lepiej na zimne dmuchać.

– W zasadzie wszystko już wiemy – powiedział Safronow, wzruszając ramionami.

– Wezwę ekipę i dokonamy aresztowania.

– Kogo aresztujemy? – zapytał zdziwiony Gurłanow.

– Aresztuję – zaakcentował milicjant. – Ja i moi ludzie. Makarenko była księgową w fabryce konserw. Jej dyrektor parę miesięcy temu wrócił z frontu: w wyniku kontuzji uznano go za niezdolnego do służby. Odłamek granatu uszkodził mu kolano – dodał wyjaśniająco. – To przystojny facet tuż przed czterdziestką. Służył w piechocie morskiej.

– Dlaczego ją zabił?

– Bo ja wiem? Może zaszła w ciążę? A może go szantażowała? Te papiery świadczą, że chciała pogadać i o sprawach służbowych. Jeśli wykryła jakieś przekręty... Dowiemy się – zapewnił.

– Co do tego aresztowania... – Szewieliewa spojrzała na mnie błagalnie.

– No dobrze – westchnąłem. – Możecie obserwować akcję. Z daleka – zaznaczyłem. – I macie wykonywać wszystkie polecenia towarzysza Safronowa. Czy to jasne?

– *Tak toczno!* – wykrzyknęli unisono kursanci.

Dzieciaki, pomyślałem, odchodząc. Pełne entuzjazmu, odważne, przekonane o własnej nieśmiertelności i o tym, że walczą za słuszną sprawę. Ja już od dawna nie byłem pewien, czy istnieją jakiegokolwiek słuszne sprawy, starałem się po prostu przeżyć, choć czasem żałowałem utraconej naiwnej wiary z czasów, kiedy wszystko było proste i czarno-białe. Ech, Razumowski, Razumowski, też ci się zebrało na filozofowanie... A tu trzeba brać się do roboty: jeszcze dzisiaj musiałem złożyć wizytę Rozie Pankratowej. Rozalia Pankratowa była jedną z kilkunastu moskiewskich piękności, co do których miałem pewność, że zainteresują generała Fomienkę. Inna rzecz, czy w ogóle będzie chciała ze mną gadać. Obracała się w takich kręgach, że wystarczy jeden jej telefon i będę miał problemy. Naprawdę duże problemy. Prawda, że posiadałem informację, która mogła, choć nie musiała, zainteresować Pankratową. No nic, zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja. Tym razem stawką było życie Poliakowa i być może moje. W sumie nic nadzwyczajnego, przyzwyczaiłem się.



Restauracja „Astoria” stanowiła ulubione miejsce spotkań moskiewskiej elity, stąd goście hotelu „Centralny”, do którego należała, nie zawsze potrafili się odnaleźć w atmosferze dyskretnej, niemalże przedrewolucyjnej elegancji. Co bardziej wrażliwi na komunistyczne pryncypia stołowali się gdzie indziej.

Mnie nie przeszkadzał szelest wieczorowych sukien, aromat tytoniu Hercegowina Flor czy smak gruzińskiego koniaku KS. Piłem już zresztą lepsze trunki niż serwowany w „Astorii”, leżakujący podobno ponad dziesięć lat Konjak Staryj. Nie żebym narzekał: miękki, bogaty smak trunku z ledwie wyczuwalną nutą wanilii i czekolady mógł zadowolić nawet najbardziej wybrednych smakoszy. Tyle że nie przyszedłem tu dla rozrywki – obserwowałem Rożę Pankratową. Niestety, styl zabawy, jakiemu hołdowała Pankratowa, powodował, że ani na moment nie pozostawała sama. Zawsze kręcili się wokół niej jacyś mężczyźni i przynajmniej jedna

z licznych przyjaciółek. Tymczasem musiałem zamienić z nią choć parę słów na osobności... Cóż, prędzej czy później moja Różyczka wyjdzie przypudrować nosk albo postanowi zmienić lokal. Wtedy ją dopadnę.

Nieoczekiwanie zagrała muzyka, orkiestra zaczęła od „Pożegnania Słowianki”. Ktoś wstał, za nim inny, podniosłem się i ja. Po chwili wszyscy słuchali marsza na stojąco. *Proszczanije Sławianki* to nie hymn, nawet nie „Międzynarodówka”, ale od dziesięcioleci ta właśnie melodia żegna odchodzących na front. Pewnie i dzisiaj brzmi na peronach dziesiątków, może setek dworców naszego kraju, mieszając się z łkaniem odprowadzających żołnierzy kobiet i turkotem kół pociągów. Tak było, tak jest i tak będzie, kiedy nasze mogiły dawno porośnie trawa. Bo są rzeczy, które się nie zmieniają: miłość, śmierć i wojna...

Poczułem wilgoć na policzkach, niezbornym gestem sięgnąłem do kieszeni. Nie każdy może wyruszyć do boju w takt marsza, żegnany łzami najbliższych, wiedząc, że jeśli zginie, ktoś oznaczy jego mogiłę, zawiadomi rodzinę. Nie każdy... Gdzie jest grób Wiery Turkuł? Gdzie pochowano Pietkę? Czy w ogóle ich pochowano? Może po prostu leżą gdzieś w bezimiennym dole?

Orkiestra zakończyła tęskną nutą, po chwili rozległy się pierwsze takty walca. Bywalcy „Astorii” ruszyli w tany. Upuściłem chusteczkę; zanim zdążyłem się schylić, przydeptała ją jakaś damska stopa w wytwornym pantofelku. Usłyszałem wygłoszone skruszonym tonem przeprosiny. Niech to diabli: Pankratowa!

– Najmocniej przepraszam – powtórzyła, mierząc mnie uważnym spojrzeniem.

Dałem znać gestem, że nic się nie stało, ale mimo to stanęła przy moim stoliku, jakby na coś czekała. Odruchowo podsunąłem jej krzesło – o dziwo, skorzystała z zaproszenia.

– Nie wygląda pan na kogoś, kto chce się zabawić – zauważyła.

– Czasem robimy dziwne, niepojęte rzeczy – odparłem. – Potrafimy się sami zaskoczyć.

– To prawda – przyznała.

Skinąłem na kelnera, poleciłem dostawić kieliszek i zakąski. Kiedy umoczyła usta w alkoholu, przyjrzałem jej się dokładnie. Na pewno nie mieściła się w klasycznym kanonie piękna: odrobinę zbyt ostre rysy i nos z lekkim garbkiem psuły nieco idealny owal twarzy, nie powodując jednak wrażenia dysharmonii. Nieskazitelna brzoskwiniowa cera i wyraźnie wyczuwalna aura zwierzęcej witalności czyniły ją nad wyraz atrakcyjną. Nie miałem wątpliwości, że Fomienko połknie przynętę. Pozostawało – bagatela! – dogadać się z Rozą.

– O czym pan myśli, pułkowniku? – spytała.

– O pani – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– To takie banalne – westchnęła ze znużeniem.

– Ręczę, że w moich myślach nie ma niczego banalnego. Kiedy skończymy

rozmowę, będzie pani smutna, może wściekła lub przestraszona, ale na pewno nie znudzona.

- Przecież rozmawiamy.
- Nie tak, nie tutaj.
- Przecież gdybym się nie przysiadła...
- Sam bym pani poszukał – zapewniłem.

Ponownie otaksowała mnie wzrokiem, tym razem dokładniej. Jej spojrzenie zatrzymało się na medalu Złotej Gwiazdy.

- Dlaczego pan płakał?
- A dlaczego pani płacze? – odbiłem pytanie.
- O czym chcecie ze mną rozmawiać? – podjęła po chwili milczenia.

Fakt, że porzuciła dystygowaną, choć trącą przedrewolucyjnym porządkiem formę „pan” na korzyść bezpiecznej i ogólnie akceptowanej „wy”, był znamieny. Rozalia Pankratowa czuła się niepewnie.

- Nie tutaj. – Pokręciłem głową.
- Więc gdzie?
- U pani.
- Zwariowaliście!

Bez słowa położyłem na blacie zniszczoną czarno-białą fotografię. Postać na zdjęciu była ledwo widoczna, ale dało się w niej rozpoznać Rożę.

– Za godzinę w twoim mieszkaniu – powiedziałem. – O ile chcesz się dowiedzieć, skąd to mam.

Nie czekając na reakcję Pankratowej, rzuciłem na stół kilka banknotów i wyszedłem z restauracji. Samochód czekał na mnie tuż przy wejściu do hotelu.

- Na Proletariacką – zadysponowałem.
- To na Wróblích Wzgórzach? – spytał szofer.
- Tak, niedaleko uniwersytetu.
- Aha, to już trafię – mruknął.

Po raz kolejny zadumałem się nad kwalifikacjami przydzielonego mi przez Iliczowa kierowcy i jak zwykle nie doszedłem do żadnych wniosków, choć fakt, że znał świetnie miasto, nie ulegał wątpliwości. Prawda, że miałem ważniejsze problemy: jeśli Pankratowa nie zgodzi się na mój plan albo szepnie komuś o jedno słowo za dużo, nie uratuje mnie nawet dokument wydany przez Stalina. Po prostu przydarzy mi się jakiś wypadek i tyle... A Poliakowa zlikwidują w ramach antypolskiej czystki.

Nagle poczułem senność: wyczerpany napięciem ostatnich dni organizm domagał się odpoczynku. A przecież to nie okopy, nie linia frontu, wokół sami swoi. Teoretycznie... Przymknąłem oczy i ukołyszany szumem silnika zapadłem w drzemkę.



Mieszkanie Rozy Pankratowej charakteryzowały przepych i bynajmniej nie socjalistyczna elegancja: meble z kaukaskiego orzecha, kryształ, porcelanowe bibeloty, bucharskie dywany... Do tego wszystkiego, rzecz jasna, służąca. Cóż, najwyraźniej Roza odnosiła określone korzyści z racji swoich... znajomości.

Gospodyni czekała na mnie w salonie, bawiąc się nerwowo naszyjnikami z pereł. Perły były prawdziwe, znam się na tym – taka praca.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytała szorstko, nie krępując się obecnością służącej.

– Wyślij ją gdzieś – zażądałem, konsekwentnie zwracając się do Róży w poufalej formie.

– Nie mam przed Leną tajemnic!

– Nie miałaś – sprostowałem. – Do dzisiaj...

Zacisnęła usta, lecz wiedziałem, że spełni moje żądanie. Musiała się dowiedzieć, skąd mam zdjęcie. Za wszelką cenę. Dopiero później może zacząć wierzgać.

– Kup szampana u Mitenki – poleciła w końcu.

Odziana w biały fartuszek starsza kobieta obrzuciła ją pełnym niepokojem spojrzaniem i z wyraźnym ociąganiem opuściła mieszkanie.

– Więc? – rzuciła agresywnie Pankratowa.

– Chwileczkę.

Błyskawicznie, choć z konieczności pobieżnie – nie miałem czasu na zaglądnienie do szaf! – sprawdziłem pozostałe pomieszczenia, dopiero po zakończeniu kontroli wróciłem do salonu.

– O co chodzi? – ponagliła.

– Przecież już wiesz – odparłem, sadowiając się w wygodnym fotelu. – O twojego męża...

– Co z nim?! I skąd te poufałości? Nie pozwoliłam wam...

Powstrzymałem ją znużonym gestem. Nie udawałem, krótka, niespełna godzinna drzemka niewiele pomogła, byłem na skraju wytrzymałości. No i nic dziwnego: misja dla towarzysza Stalina, usługi dla Abakumowa i *wojennej rozwiędki*, niedawna bójka... Za dużo tego dobrego, pomyślałem posępnie. Zdecydowanie za dużo.

Przedstawiłem się Pankratowej, pokazałem dokumenty. Musiałem ją przekonać, że reprezentuję instytucję, która rzeczywiście może coś wiedzieć na temat jej małżonka.

– Zwracaj się do mnie po imieniu – poprosiłem. – To konieczne. Nie mam zamiaru zmuszać cię do żadnych... poufałości, ale musimy zachowywać się, jakby coś nas łączyło.

– A to niby dlaczego?!

– Bo kogoś może zainteresować fakt dziwnej znajomości pułkownika Razumowskiego i Rozy Pankratowej.

– Dziwnej?

– Nie zwracasz się przecież na pan do swoich kochanków – zauważyłem.

Milczała przez moment. Nie dlatego, żebym ją zszokował – o bujnym życiu erotycznym Różycki wiedziała cała Moskwa. Chodziło o co innego: fotografia przypominała jej, że jest mężatką. Niewiele wiedziałem o Pankratowej, nie miałem czasu, żeby ją dokładnie prześwietlić. Czort wie dlaczego zaczęła się kurwić. Może ze strachu, że spotka ją los męża? Możliwe, że chciała mu pomóc, wyciągnąć z łagru? W gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia, liczyło się co innego: czy zechce się zemścić...

– Ja...

Ponownie wyjąłem zdjęcie, położyłem na stole.

– Oni cię oszukują – powiedziałem. – Piotr nie żyje. To wszystko, co po nim zostało.

Twarz Pankratowej zastygła na podobieństwo greckiej maski: równie tragiczna i groteskowa jak one. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Słyszałem tylko jej chrapliwy, wysilony oddech i stukot paciorków z rozerwanego naszyjnika. Uderzały o blat jeden po drugim, toczyły się przez chwilę i upadały na dywan. Stuk-puk, stuk-puk...

– Zginął już dwa lata temu, w czasie spławu drewna – kontynuowałem. – Utonął. W końcu wyciągnęli go z wody, stąd fotografia: nigdy się z nią nie rozstawał.

Jej krzyk przypominał krakanie kruka: powtarzała imię męża raz za razem, bez końca, wodząc wokół oszalałym wzrokiem. Wreszcie zerwała się, pobiegła do łazienki. Przez dobry kwadrans słyszałem odgłosy torsji.

Korzystając z jej nieobecności, przeszukałem pomieszczenie, zerknąłem do torebki. Nie znalazłem niczego podejrzanego, Roza była dokładnie tym, za kogo się podawała: prowadząc rozwiązłe życie żoną zdrajcy... Później czekałem cierpliwie, aż się uspokoi. Mogłem sobie pozwolić na cierpliwość, jej reakcja świadczyła, że wygrałem. Mimo to czułem w ustach smak popiołu: więc przez te wszystkie lata Roza podkładała się pułkownikom i generałom tylko po to, żeby pomóc mężowi. Pomóc za wszelką cenę, wiedząc, że jeśli nawet wydarzy się cud i major Pankratow powróci, to jedynie po to, aby nazwać ją dziwką i zażądać rozwodu. U nas, w Rosji, nie wybacza się kobietom zdrady...

Kiedy weszła do pokoju, wyglądała jak wcześniej: na powrót elegancka, wytworna, otoczona dyskretnym zapachem drogich perfum. Tylko w jej oczach czaiła się pustka. I śmierć. Generał-pułkownik Fomienko był już trupem.

– Co mam zrobić? – spytała.

- Twojego męża zadenuncjował niejaki Kobuzow. Generał Fomienko...
- Sławka Kobuzow?!
- Tak, kapitan Wiaczesław Kobuzow. Obecnie pułkownik Kobuzow...
- Przecież on był...
- Przyjacielem Piotra? I owszem, do czasu.
- Wiem, gdzie mieszka, zrobię wszystko, żeby...
- Nie chodzi o niego – wszedłem jej w słowo. – Twojego męża oskarżono o szpiegostwo i dywersję na rzecz Niemiec. Kobuzow był tylko narzędziem. Rozkaz wydał generał Fomienko. Twój mąż zauważył dość dziwne rozbieżności w dokumentach: chodziło o kradzież i spekulację mieniem wojskowym na wielką skalę. Bał się, że w proceder zamieszany jest jego bezpośredni przełożony, więc zgłosił to Fomience. Ten był wówczas dowódcą moskiewskiego okręgu wojskowego. Problem w tym, że za wszystkim stał właśnie Fomienko...
- Co mam zrobić? – powtórzyła.
- Musisz zwrócić na siebie uwagę Fomienki. Powiem ci, gdzie i kiedy można go spotkać, detalami zajmiesz się sama. Jednak najważniejsze, żeby to on pierwszy cię zaczepił. Najlepiej przy świadkach. W restauracji nie powinno być z tym problemu.
- Dlaczego tak? To może długo potrwać. Gdybym sama...
- Nie! Musisz być poza wszelkim podejrzeniem!
- Nie zależy mi. – Wzruszyła ramionami. – Już nie.
- Bez słowa wziąłem Rożę za rękę, pomogłem wstać, po czym wbiłem palce pod żebra, jednocześnie zatykając usta.
- Dlaczego? – wyszeptalem jej do ucha. – Bo mimo że jest ci obojętne, czy przeżyjesz, czy umrzesz, są różne rodzaje śmierci. A ty nadal czujesz ból. Zrozumiałaś?!
- Przytaknęła, zagryzając wargi.
- Kiedy się bliżej poznacie – kontynuowałem jakby nigdy nic – schowasz w jego willi tę gazetę.
- Sięgnąłem do teczki, wyłożyłem na stół kolorowe, angielskojęzyczne pismo.
- Co to takiego? – Popatrzyła w oszołomieniu na okładkę.
- Nie dziwiłem się Pankratowej. U nas nieczęsto spotyka się zdjęcia nagich kobiet figlujących z osiołkami. Wolimy bardziej konwencjonalne... układy. Gdzie nam do Europy!
- To pisemko dla panów o dość... specyficznych upodobaniach.
- Widzę! – parsknęła z obrzydzeniem.
- Nieważne. Nie! Nie dotykaj! Wewnątrz jest coś innego...
- Co takiego?
- To. – Ostrożnie ołówkiem przewróciłem kartki.
- W jakim to języku?

- Po białorusku. Generał Fomienko jest Białorusinem z pochodzenia.
- W czym to pomoże, na litość boską?! Gołe baby z osłami?!
- Okładka i parę stron to tylko kamuflaż. Nie sądzę, żeby cię rewidowali, ale jakby co, powiesz ochronie, że to dla niego. Wątpię, żeby chcieli oglądać obrazki albo mu o tym donieśli: rzecz jest z gatunku wstydlivych. Wewnątrz jest wydawana przez faszystów gazetka „Peramoga”. To po białorusku „zwycięstwo”. Jeśli znajdą ją u Fomienki, nic go nie uratuje... Tylko pamiętaj, żeby nie dotykać jej bez rękawiczek!
- Mam schować tę gazetę?
- Tak. Wrzuć za szafę albo włóż między książki w bibliotece, tak żeby przez dzień, dwa nikt jej nie znalazł.
- I to wystarczy?
- W zupełności.
- Aresztują go?
- Aresztują.
- Na pewno się nie wywinie?
- Nie ma szans, komisarz Beria niespecjalnie go lubi. Rozumiesz, Genkom boi się konkurencji...
- A Kobuzow?
- Jeśli zgarną Fomienkę, to i jego współpracowników.
- Co ich czeka?
- To, co zwykle – odparłem obojętnie. – Długie, krwawe i bolesne śledztwo. Później śmierć.
- Kiedy mam zacząć?
- Jutro.
- Podaję jej z pamięci przykładowy rozkład dnia Fomienki. W sumie nic skomplikowanego: wieczorami generał zwykł odwiedzać raptem dwie restauracje, obie luksusowe. Jeśli Roza nie zastanie go w jednej, wystarczy, że zwizytuje drugą.
- To wszystko?
- Prawie.
- Co jeszcze?
- Masz jakieś znaki szczególne?
- Nie rozumiem...
- Blizny, pieprzyki, cokolwiek.
- Owszem, ale w miejscu, którego nie zamierzam wam pokazywać, pułkowniku!
- Niestety, będziesz musiała – odparłem zimno. – To nasza legenda.
- Jaka legenda?!
- Widziano nas ze sobą. Teraz nikogo to nie obchodzi, ale kiedy zaczniesz się cyrk z Fomienką... Jeśli śledczy cię spytają, powiesz, że byliśmy kochankami.
- Was także będą przesłuchiwać?

– Całkiem możliwe, dlatego muszę cię zobaczyć naga. I bądź uprzejma wreszcie zapamiętać, żeby zwracać się do mnie po imieniu! Roztargnienie może cię drogo kosztować! A co gorsza, i mnie – dodałem ciszej.

Rozebrała się sprawnie i bez cienia kokieterii, obróciła na pięcie jak modelka. Miała niewielkie znamię na podbrzuszu. Powstrzymałem ją gestem, gdy sięgnęła po bieliznę.

– To wszystko? – upewniłem się.

– Nie, jeszcze blizna na stopie. Nastąpiłam na gwóźdź, gdy byłam dzieckiem.

– W porządku – mruknąłem i zacząłem zdejmować bluzę. – Teraz ja.

– A reszta? – spytała, dotykając szram na moim torsie. – Nagły atak wstydlivosti?

– Nie powinnaś pamiętać wszystkiego, nie po tak krótkiej znajomości – wyjaśniłem. – To, co widzisz, wystarczy.

Uśmiechnęła się ironicznie, ale nie skomentowała. Ja także nie miałem zamiaru niczego wyjaśniać, choć byłem zaniepokojony: mimo niezaprzeczalnej urody Pankratowej patrzyłem na nią jak chirurg na ciało w prosektorium. Miałem nadzieję, że to chwilowa... niedyspozycja, a nie kolejny etap choroby, którą zarazili mnie Doskonali. Co prawda moja znajoma z Leningradu, Nadia Elizarowna, nie zdradzała żadnych oznak oziębłości, ale czort wie jak to wyglądało u mężczyzn. Pożegnałem się pospiesznie, popędziłem do samochodu: zanim wyjadę, lepiej sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku.



Konsultantkę Majkowską na szczęście zastałem w domu. Otworzyła mi drzwi ubrana w biały kuchenny fartuszek, ze śladami mąki na dłoniach i policzku. Pocałowałem ją bez słowa, po czym porwałem na ręce. Pisnęła zaskoczona, choć nie wyglądała na niezadowoloną.

– Poczekaj, Saszka! – zawołała ze śmiechem. – Muszę...

– Którędy do sypialni?

Zaczerwieniła się po nasadę włosów i zatkała mi nos i usta tak, że musiałem ją puścić.

– Nie jestem sama – wymruczała cichutko i jak mi się wydawało, z nutą zakłopotania w głosie.

No nie, jeśli to Łobanowski, to zastrzelę gada... Jednak w kuchni nie zastałem profesora Łobanowskiego, siedział tam natomiast Majko. Były białogwardzista i instruktor Smiersza... Również w fartuszkach i upapranych mąką. Ani chybi pichcili coś we dwoje.

- Co tu robicie? – wymamrotałem zaskoczony.
- Mógłbym spytać o to samo! – warknął.
- Tato!

No jasne! Że też od razu się nie domyśliłem, dopiero teraz dostrzegłem rodzinne podobieństwo: oboje mieli taki sam kształt brwi i identyczny kolor oczu. Majkowska i Majko... Bez zmiany nazwiska Olga nie mogłaby pracować na uczelni, a i tak pewnie potrzebowała protekcji. Dzieci białogwardzistów nie mają u nas lekkiego życia. To dlatego pozwalała Łobanowskiemu kraść wyniki swoich badań! Pan profesor odwdzięczał się jej, chroniąc przed aktywistami partyjnymi, kapusiami i inną swoloczą. Bez jego poparcia Olga mogłaby co najwyżej sprzedawać piwo na dworcu. Tak, teraz wszystkie elementy układanki trafiły na swoje miejsca. Znaczący Łobanowski nigdy nie był jej kochankiem...

- Przyszedłem się pożegnać – odparłem. – Jeszcze dzisiaj wyjeżdżam.
- Skąd się znacie?
- Wasza córka pomogła mi kiedyś w wyjaśnieniu pewnych kwestii związanych z historią Leningradu.
- Uratował mnie przed bandytami – powiedziała Olga. – Wiesz, kiedy wracałam ze szpitala.

– Mówiłem ci, żebyś nie włóczyła się sama po nocy – burknął Majko.

Jednak widać było, że wyjaśnienia córki zrobiły na nim wrażenie. Z twarzy byłego białogwardzisty zniknął wściekły grymas, w jego wzroku mogłem wyczytać zmieszaną z odrobiną rozbawienia rezygnację. Zdjął fartuch i pomaszerował do przedpokoju. Cóż mi pozostało? Poszedłem za nim...

– Razumowski – westchnął, wciągając buty – nie chcę sobie nawet wyobrazić, co będziecie robić, kiedy stąd wyjdę. Ale jeśli ją skrzywdzisz, wyrwę ci serce i każę zeżreć. I to nie jest przenośnia...

- Tato! – upomniała go ponownie Olga. – Jestem już dużą dziewczynką!
 - W tym cały problem – stwierdził, całując córkę.
- Wyszedł, nie zaszczyciwszy mnie nawet spojrzeniem.
- Naprawdę wyjeżdżasz? – spytała.
 - Naprawdę.
 - Chyba nie na front?
 - Nie. – Roześmiałem się. – Będę brał udział w warsztatach poetyckich.
 - W czym?!
 - Przecież mówię: w warsztatach poetyckich. Starsi, doświadczeni poeci będą kształcić narybek. Młodych, obiecujących...

Przerwała mi pocałunkiem. Usta Olgi smakowały konfiturą z wiśni – widać seans kucharzenia połączony był z degustacją. W mgnieniu oka znaleźliśmy się w sypialni. Pomogłem jej wyswobodzić się z ubrania, później sam zrzuciłem mundur. Czekala na

mnie naga, z zaróżowioną od dotyku moich palców skórą, bezwstydną i niewinna zarazem. Wyglądała jak figurka z miśnieńskiej porcelany, ale wystarczyło ją objąć, by zniknęło wrażenie kruchości: jej ciało było gibkie, silne i spragnione miłości. Nie oszczędzaliśmy się, znacząc nawzajem zębami i paznokciami, przeplataliśmy chwile dzikiej namiętności okresami niemal modlitewnego skupienia i delikatnych jak muśnięcie motyli skrzydeł pieszczot. Wreszcie odpłynąłem w sen, czując ciepło przytulonej do mnie Olgi.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wpatrywałem się tępych wzrokiem w stół, słuchając monotonnego głosu recytującego swoje wiersze adepta szlachetnej sztuki rymowania. Starłem się nie ziewać – nie wypadło. Tematyka utworów była zróżnicowana, choć niemal w każdym powtarzały się peany na cześć towarzysza Stalina, Armii Czerwonej i komunizmu. Od czasu do czasu wspomniano o deptaniu obmierzłej głowy faszystowskiego gada. Sam nie wiem, kiedy rozpocząłem ćwiczenia oddechowe według metodyki przedstawionej w księdze Doskonałych. Zawsze to jakieś zajęcie...

Sam kurs okazał się przeraźliwie nudny, kilkakrotnie łapałem się na tym, że przysypiam. Cóż, ani prezentowane przez moich towarzyszy toporne wierszydła, ani wykłady na temat jambów i trochejów nie budziły mojego zainteresowania. Nie budził go i człowiek, dla którego tu przyjechałem: Nikołaj Piewcow okazał się typowym wiejskim cwaniaczkiem. Pozbawiony jakichkolwiek zalet i talentów usiłował wspiąć się po drabinie społecznej, bombardując miejscową organizację partyjną przyprawiającymi o mdłości, posuniętymi do granic lizusostwa tekstami. Nie ma co ukrywać, że z pewnym powodzeniem – najwyraźniej władza radziecka potrzebowała Koli Piewcowa albo takich jak on...

Wyjaśniłem też ponad wszelką wątpliwość, że Piewcow nie posiadał nie tylko brata bliźniaka, ale nawet podobnego z wyglądu krewnego. Pozostawała tylko jedna opcja: być może któryś z napastników przypominał mniej czy bardziej nadzieję radzieckiej poezji... Miałem zamiar wrócić tu z Eleną i sporządzić portret Piewcowa. Być może i inni świadkowie przypomną sobie podobnego do Kolki bandytę?

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Marfy Fiodorowny Kardanadze.

– Wasza kolej, Razumowski – powiedziała.

W odróżnieniu od pozostałych wykładowców Marfa Fiodorowna była prawdziwą poetką. Problem w tym, że swoją karierę rozpoczęła jeszcze przed rewolucją, a i teraz wolała pisać o miłości zamiast o wykuwaniu w ogniu komunizmu kolejnej pięcioletki. Dlatego powierzano jej najmniej znaczące funkcje. Lekko przygarbiona, o wyrazistych rysach twarzy i przyprószonych siwizną włosach, rzadko kiedy zabierała głos. Przeważnie ograniczała się do krótkich, wygłaszanych bez cienia emocji uwag na temat metrum czy biografii któregoś z dawnych poetów. Nigdy nie wypowiadała się na temat jakości wierszy kursantów.

*Morze leniwie liże brzeg,
wiatr toczy kolorową piłkę.
Ktoś zgubił ją i później płakał
czy tylko odszedł gdzieś na chwilę?*

Kiedy usiadłem, na sali zapadła głucha cisza, przyszli poeci nie wiedzieli, co powiedzieć: w wierszu ani razu nie wymieniłem słowa: „Stalin”, „Lenin” czy choćby „komunizm”. Pierwszy otrząsnął się z zaskoczenia Kola Piewcow.

– Towarzysz Razumowski po raz kolejny udowodnił, że obce są mu troski prostych ludzi radzieckich – stwierdził. – Co gorsza, nie interesuje go nawet wojna, jaką toczy nasza ojczyzna z hitlerowskimi hordami. To już nie jest poezja, to kontrrewolucja! A i formalnie nic nadzwyczajnego.

– Pewnie – odparłem. – Gdzież mi do waszych jakże subtelnych rymów! Jak to było?

*Kowal ciężko młotem bił,
aż komunizm obronił...*

Kilka osób zachichotało, Marfa Fiodorowna rozkaszała się, zakrywając dłonią usta.

– To nie jest powód do żartów! – warknął Piewcow. – A moje wiersze oceniali już lepsi od was, Razumowski!

– Pierwszy sekretarz Bojko? – rzuciłem domyślnie.

– Ja... Ja tego tak nie zostawię! Zapłacicie za to! I wy! – Wskazał Kardanadze.

– Koniec zajęć na dzisiaj – ogłosiła Marfa Fiodorowna.

Piewcow wypadł z sali jak oparzony. Zapewne popędził donieść miejscowej organizacji partyjnej o kontrrewolucji na kursach poetyckich. Przez moment zastanawiałem się, czy rzeczywiście można zostać aresztowanym z powodu pisania

wierszy... niezaangażowanych. Nie żeby mnie to specjalnie nurtowało, miałem poważniejsze problemy. Czas było wracać do Moskwy.

– Uważajcie na siebie, Razumowski – ostrzegła Marfa Fiodorowna. – Piewcow wam nie daruje.

Machnięciem dłoni zbyłem jej obawy, pomaszerowałem do hotelu. Pociąg do Moskwy odjeżdżał za godzinę.



Spakowałem plecak, przebrałem się w mundur pułkownika. W kursie uczestniczyłem jako porucznik wojsk łączności – wolałem nie zwracać na siebie uwagi. Teraz nie miało to już znaczenia, a jako porucznik musiałbym co chwila trzaskać obcasami przed każdym patrolem. Miasto zapchane było wojskiem, tędy przechodziła jedna z głównych linii kolejowych. Mnie interesował jedynie odcinek Gorki – Moskwa.

Miałem nadzieję, że Szewieliewa będzie w stanie sporządzić portret napastnika, którego widział Martyszka, bazując na fizjonomii Piewcowa. Kto wie, może śledztwo wreszcie ruszy z miejsca? Bo jeśli tajemniczy dywersanci znowu zaatakują, nie tylko towarzysz Beria będzie się musiał tłumaczyć przed Gławkomem...

Narzuciłem płaszcz – dni nadal były chłodne – i dźwignąwszy plecak, poszedłem się wymeldować. Błada jak ściana recepcjonistka zerknęła tylko na mnie i nie zadając żadnych pytań, wypełniła dokumenty. Co się, do cholery, dzieje? Skąd taka niefrasobliwość?

– Porucznik Razumowski?

– Mniej więcej – odburknąłem, mierząc niechętnym spojrzeniem kapitana w mundurze NKWD.

Nie dziwiłem się jego pomyłce, miałem na sobie stary szynel bez dystynkcji, dużo cieplejszy od regulaminowego.

– Pozwólcie z nami.

Dopiero teraz dostrzegłem rozstawionych w strategicznych punktach czekistów. Blokowali wyjście z hotelu, dwóch pilnowało nawet okien.

– O co chodzi? – Uniosłem brwi.

– Dowiedzie się na miejscu.

– To znaczy gdzie?

– Na razie jedziemy na Szewczenki – poinformował.

Parsknąłem śmiechem – na ulicy Szewczenki znajdowała się szkoła, w której urządzono kursy poetyckie. Marfa Fiodorowna słusznie ostrzegała: Piewcow nie miał zamiaru puścić płazem publicznego upokorzenia. A to gadzina!

– Jedźmy – westchnąłem.

W kilka minut znaleźliśmy się na miejscu: szkoła mieściła się niedaleko hotelu. Enkawudziści zaprowadzili mnie na salę gimnastyczną, gdzie czekali już wszyscy kursanci i wykładowcy. Dowodził niewysoki, puciołowaty major.

– Jesteście wreszcie. – Zmierzył mnie ciężkim spojrzeniem.

– Jestem – przyznałem. – Mówcie, w czym rzecz, mój pociąg odchodzi za dwadzieścia minut.

– Chyba nie zdążycie – stwierdził z krzywym uśmiechem. – Ten obywatel – wskazał Piewcowa – oskarża was o antykomunistyczną propagandę.

– Na podstawie?

– Dowodem są wasze wiersze i zeznania świadków.

– A co konkretnie zeznają świadkowie?

Enkawudzista poczerwieniał ze złości.

– Uważajcie, Razumowski! – wysyczał.

– Może zaczniemy od tego, że przedstawicie się, majorze? – zaproponowałem, podnosząc głos.

Prowadzone szeptem rozmowy ucichły.

– Co takiego?!

– Macie obowiązek się przedstawić – odparłem zimno.

– Major Mikułow! – warknął, wyciągając legitymację. – A teraz...

– A teraz oddacie honory starszemu rangą i kawalerowi medalu Złotej Gwiazdy! – przerwałem mu ostro, rozchylając płaszcz. – Natychmiast!

Mikułow wpatrywał się we mnie przez chwilę z otwartymi ustami, później stanął na baczność i zasalutował.

– On był porucznikiem! – zawył niespodziewanie Piewcow. – To dywersant! Dywersant!

Bez słowa sięgnąłem do kieszeni, podałem czekałście wydany przez Stalina dokument.

Twarz majora z czerwonej stała się sinoblada, kilkakrotnie potrząsnął głową, jakby nie wierzył własnym oczom. Cóż, nie dziwiłem mu się: papiery robiły wrażenie.

– W czym mogę wam pomóc? – wyjąkał wreszcie przez ściśnięte gardło.

Rozejrzałem się wokół: wszyscy wpatrywali się we mnie, jakby wyrosła mi druga głowa. Tylko Marfa Fiodorowna stała ze spuszczoneymi oczyma, dotykając rozbitej wargi.

– Kto ją uderzył?

– Piewcow – wymamrotał.

– Zadzwońcie na stację, zatrzymajcie pociąg – zadysponowałem. – A tego tu poetę ludowego dostarczycie do Moskwy. Na Łubiankę.

– Bez rozkazu przełożonych...

– Wytlumaczę wszystko towarzyszowi Berii – zapewniłem.

Nie przejmując się rozpaczliwymi krzykami zakuwanego w kajdanki Piewcowa, podszedłem do Marfy Fiodorowny.

– Za co on was tak? – spytałem.

– Powiedziała, że w waszych wierszach nie ma niczego kontrrewolucyjnego – odparła cicho.

Dotknąłem delikatnie jej wargi, pocałowałem w policzek.

– Czytaliście Biblię?

Spojrzała na mnie z namysłem.

– Dlaczego pytacie?

– Tam jest taki fragment, bodajże z księgi Salomona: „Lepszy żywy pies od martwego lwa”. Powinniście powtarzać go sobie na głos każdego dnia przed snem – wyjaśniłem cierpko.

Uśmiechnęła się samymi koniuszkami ust.

– Być może – przyznała. – Co ze mną będzie?

– Teraz? Nic specjalnego. Nie sądzę, żeby NKWD dalej wam dokuczało. Przynajmniej przez jakiś czas...

– Dziękuję.

– *Proszczajcie sudarnia.*

Skłoniłem się przed kobietą jak na białogwardyjskim balu oficerskim, ucałowałem dłoń.

– Aresztant w drodze do Moskwy, pociąg czeka na stacji – zameldował nerwowo Mikułow.

Skinąłem głową, wyszedłem z sali, nie oglądając się na nikogo. Pożegnałem się już z jedyną osobą, z którą warto było się żegnać.



Koła pociągu stukały w monotonnym rytmie, z oddali dochodziły dźwięki harmoszki. Choć skład był przepelniony urlopowiczami wracającymi na front, podróżowałem w pustym przedziale. Przysługiwało mi miejsce w wagonie dla wyższych oficerów. Od czasu do czasu korytarzem przeszedł ktoś z obsługi, bywało, że zajrzała zgrabna czarnulka w mundurze konduktora, proponując herbatę z samowara, ale nikt mi się nie naprzykrzał. A szkoda... Może trzeba było jednak wracać jako porucznik łączności? W ścisłości, hałasie, pijąc wraz z innymi domowej roboty samogon i rycząc na cały głos „Katuszę”? A tak miałem zbyt dużo czasu na myślenie, adrenalina nie pozwalała zasnąć. Co zastanę w Moskwie? Przed samym wyjazdem kazałem Poliakovowi, żeby

wysłał do NKWD kilka donosów na Fomienkę. Jeśli Pankratowa wykonała swoją część zadania, sprawa powinna być zakończona i Fomienko otrzymał już apartament na Łubiance. Jeśli nie, jeżeli coś poszło nie tak, zgarną mnie zaraz na dworcu. Albo zabiją...

Nawet jeżeli mój plan się powiódł, pozostawała kwestia, co dalej robić z Rozą Pankratową? Bo Różyczka była żywą bombą zegarową, czort wie kiedy zadziała zapalnik, ale że wybuchnie – wiadomo. Oszukiwano ją przez lata, łudząc nadzieją na powrót martwego od dawna męża, a i ja nie byłem z nią do końca szczery. Na szczęście nie zauważyła tego, ale kto wie jak długo potrwa jej ślepotą? Prędzej czy później zacznie się zastanawiać, skąd u *wojennoj razwiedki* akta majora Pankratowa. Przecież sprawę prowadzili czekiści, bo zarzucono mu szpiegostwo. Gdybyśmy zajmowali się sprawą każdego żołnierza niesłusznie oskarżonego przez bezpiekniaków, nasze archiwa zajmowałyby pół Moskwy. Sęk w tym, że Piotr Pankratow rzeczywiście był niemieckim szpiegiem... Co się stanie, kiedy ktoś poinformuje o tym Rozę? Jeśli udowodni, że tym razem enkawudziści nie wybili zeznań z niewinnego człowieka, lecz złapali prawdziwego zdrajcę? A Fomienko i Kobuzow spełnili jedynie swój obowiązek?

– Herbaty, towarzyszu pułkowniku?

Odpowiedziałem konduktorze nieco wymuszonym uśmiechem, przecząco pokręciłem głową. To był jeszcze jeden problem: dziewczyna wyraźnie mnie kokietowała, a tymczasem moje zainteresowanie miało co najwyżej estetyczny charakter... Co się, do cholery, dzieje?! Nie żebym był chory – spędzony z Olgą wieczór wykazał, że nie mam na co narzekać (konsultantka Majkowska także się nie skarżyła), ale dlaczego nie reaguję na widok ładnych dziewcząt? Znaczy nie reaguję jak dawniej? Zaczarowali mnie czy co?

Konduktorka zmarszczyła brwi i mocniej niż trzeba zatrzasnęła drzwi przedziału. Oj, niedobrze ze mną, niedobrze. Toż widać, że dziewczucha chciała mi zaoferować coś jeszcze oprócz herbaty... Nie miałem zamiaru kombinować z dwiema kobietami jednocześnie – to nie w moim stylu, ale dawniej skradłbym jej choćby całusa. Teraz myślałem tylko o Oldze. Wariactwo...

Uchyliłem okno, zapaliłem papierosa. Cóż, miejmy nadzieję, że choć z Piewcowem się powiedzie i za kilka dni będę mógł rozesłać portret pamięciowy jednego z dywersantów. Do tego być może zarobię kilka punktów u towarzysza Berii: fakt oddania Kolki w ręce NKWD powinien go przekonać o mojej szczerości. W sumie rzecz była bez znaczenia – i tak bez jego zgody nie mógłbym rozesłać portretu do placówek bezpieki. Do Moskwy jechał też Awram Martyszka, tyle że ten zamieszka w nieco bardziej komfortowych niż Piewcow warunkach... No, nie ma co żałować gada: kto mieczem wojuje, od miecza ginie. W końcu Kolka chciał mnie wydać właśnie w łapy NKWD.

Co prawda nie ulegało wątpliwości, że Piewcow nie ma nic wspólnego z mordowaniem rodzin żołnierzy, ale czy wyjdzie żywy z Łubianki, to inna rzecz. Czekiści nie lubili wdawać się w subtelności i problemy – także potencjalne – rozwiązywali, uzupełniając podejrzanym niedobory ołowiu w organizmie. Parę gramów, a jaka różnica...



Na dworcu nie zauważyłem niczego podejrzanego, ale wolałem sprawdzić, czy nie jestem śledzony: gdybym zaprowadził czekistów do mieszkania byłych dam dworu, pewnie nie pożyłyby długo.

Kilkakrotnie zmieniłem środek transportu, udało mi się nawet złapać taksówkę: te ze względu na brak benzyny rzadko wyjeżdżały na trasę. Kiedy ostatecznie przekonałem się, że nie mam ogona, pojechałem na Arbat.

Zanim zapukałem, zerknąłem na zegarek – dochodziła trzynasta. Poliakov powinien już na mnie czekać. Chyba żeby nie... Na wszelki wypadek poluzowałem zabezpieczający kaburę rzemień: nie miałem zamiaru dać się aresztować.

Ujrzawszy mnie, Maria Aleksandrowna pobladła, jakby zobaczyła ducha. Co, do cholery, czyżby Poliakov jej nie uprzedził? Nie kryjąc się, sięgnąłem po broń.

– Wszystko w porządku? – spytałem nieufnie.

Zamiast odpowiedzieć, starsza pani rzuciła mi się na szyję.

– Praskowia! – zawołała. – Zobacz, kto nas odwiedził!

Po chwili siedziałem już w salonie na honorowym miejscu. Nadal z dłonią przy kaburze. Nie wyczuwałem w zachowaniu obu kobiet niczego podejrzanego, ale wolałbym sprawdzić wszystkie pomieszczenia. Tyle że robiąc to, śmiertelnie obraziłbym staruszki...

– Tacy goście! – wymamrotała Praskowia Aleksandrowna, stawiając przede mną butelkę koniaku. – Tacy goście...

– Goście? – Zmarszczyłem brwi.

– Przyszedł i Nikołaj, ale...

– Tak?

– Zasnął jakąś godzinę temu...

– Zasnął?!

– On – Praskowia Aleksandrowna spuściła wzrok – jest nieco niedysponowany.

– Zachorował?

– Niezupełnie...

Odsunąłem kieliszek, przyjrzałem się uważnie staruszkom: wyraźnie coś ukrywały.

– Co się stało?

– Cóż, odwiedził nas z samego rana – odparła Maria Aleksandrowna. – Poczęstowałyśmy go wódką. Później poprosił o więcej i teraz śpi. – Wzruszyła wymownie ramionami.

– Spił się?! – zawołałem z niedowierzaniem.

– On nigdy tak się nie zachowywał – pospieszyła z wyjaśnieniami Praskowia Aleksandrowna. – Tylko dzisiaj. Ledwo przyszedł, wyczałował nas obie – zaczerwieniła się – i zawołał o wódkę.

Cóż, wyglądało, że mój plan zadziałał, tylko Poliakov za wcześnie zaczął świętować. Chyba że wręcz odwrotnie... Tak czy owak, wypadało się upewnić. Nawet jeśli będę musiał go obudzić.

– Gdzie on jest?

– W pokoju gościnnym. Leży na dywanie. Chciałyśmy położyć go na łóżku, ale nie dałyśmy rady...

– Praskowio Aleksandrowna – odezwałem się karcąco – w waszym wieku niebezpiecznie dźwigać duże ciężary. A tego matosa trzeba było zostawić tam, gdzie padł.

– W końcu tak zrobiliśmy – odparła z figlarnym błyskiem w oku.

– No dobrze – westchnąłem. – Chodźmy.

Szeryf miasta Moskwa leżał zwinięty w kłębek, tuląc do siebie dużą puchową poduszkę. Trąciłem go nogą, nie zareagował. Zatkaną mu nos i usta, ale odwrócił się jedynie, osłaniając rękoma głowę.

– Ile on wypił?

– Jakies półtora litra – odparła nieśmiało Maria Aleksandrowna. – Może trochę więcej...

Szlag by to trafił! Przy takim znieczuleniu nie obudzi go nawet resekcja wątroby!

Nie dbając specjalnie o delikatność, dźwignąłem Poliakowa z podłogi i dowlokłem do łóżka. Na szczęście łoże było wyraźnie zeszlowieczne: duże i solidne. Inne mogłoby nie wytrzymać, mój przyjaciel ważył przynajmniej sto kilogramów.

– Tak lepiej – stwierdziła z aprobatą Praskowia Fiodorowna, przykrywając milicjanta kocem.

Jej siostra w tym czasie zdążyła zdjąć mu buty.

– Może wrócimy do salonu? – zaproponowałem.

– Oczywiście, Aleksandrze Nikołajewiczu, posiedzimy, porozmawiamy...

Kiedy znowu zasiedliśmy za stołem, starsze panie natychmiast napełniły mi kieliszek, podsunęły zakąski. Żadna nie wspomniała nawet słowem o Wierze czy chłopakach, wiedziałem, że czekają, aż sam poruszę ten temat. Więc zacząłem opowiadać. O zasadzce, o tym, jak uszedłem z życiem... Nie przerywały mi, milczały, nawet gdy skończyłem. Po twarzach staruszek widziałem, że moja opowieść nie była

dla nich zaskoczeniem, widać Poliakov odwiedził je wcześniej. No i dobrze – nie wiem, jak bym sobie poradził, gdyby któraś zasłabła lub zaczęła histeryzować.

– Musiało być wam ciężko – odezwała się wreszcie Praskowia Aleksandrowna ze współczuciem w głosie.

– Ciężko? – parsknąłem. – Przecież przeżyłem.

– W tym sęk – mruknęła. – Pewnie winicie się za to wszystko...

Nie odpowiedziałem.

– Kiedy możemy odwiedzić Timę? – zapytała Maria Aleksandrowna.

– Kiedy chcecie. Ale najpierw dajcie mi znać: to szpital wojskowy, nie wpuszczą was ot tak.

– Jutro? – zaproponowała.

– Niech będzie jutro – westchnąłem.

I tak musiałem odwiedzić „Trzynastkę”. Trzeba było sprawdzić, co się dzieje z Timą, a i Warwara Siemionowna pewnie czekała na moją wizytę. Nawet pomijając wszystko, co dla mnie zrobiła, warto podtrzymywać znajomość z siostrą oddziałową. Kto wie kiedy się przyda?

– Wracając do Poliakowa – z rozmysłem zmieniłem temat. – Nie mówił, że przyjdę?

– Mówił, ale nie byliśmy pewne, czy znajdziecie dla nas czas – odparła Praskowia Aleksandrowna. – W końcu już dawno wyszliście ze szpitala...

Spuściłem wzrok.

– Nie chodziło o czas – wymamrotałem. – Nie mogłem zdobyć się na odwagę, żeby powiedzieć wam o Wierze i Pietce. A i Tima przecież, mimo że żyje...

Staruszka bez słowa pogładziła mnie po ramieniu, podsunęła napełnione po brzegi szkło. Opróżniłem je odruchowo, zakąsiłem marynowanymi grzybkami. Zanim się spostrzegłem, któraś z sióstr ponownie naląła mi wódki.

– Wystarczy – stwierdziłem stanowczo. – Bo jeszcze trochę i mnie także będzie potrzebne łóżko.

– Cóż, prawda, że dawno nie nocowali u nas mężczyźni, ale może najwyższy czas to zmienić? – powiedziała z psotnym uśmiechem Maria Aleksandrowna.

– Kuszająca propozycja – przyznałem. – Jednak muszę jeszcze dzisiaj kogoś odwiedzić. Przyjaciółkę – dodałem, widząc uniesione brwi starszej pani.

– Może przyprowadzicie ją do nas kiedyś? – zaproponowała.

Parsknąłem śmiechem. Dlaczego nie? Córka białogwardzisty i damy do towarzystwa ostatniej carycy. To ci dopiero dobrane towarzystwo...

– Przyprowadzę – obiecałem.

Wezwałem samochód i pożegnawszy się mimo protestów staruszek, kazałem wieźć się do koszar. Musiałem pogadać z Eleną Szewieliewą, uprzedzić ją, że przyjdzie nam jutro odwiedzić Łubiankę. Lepiej, żeby dziewczyna wiedziała, czego się spodziewać.

Dopiero po załatwieniu tej sprawy miałem zamiar odwiedzić Olgę. Jak to się mówi: najpierw praca, później przyjemność.



Szewieliewa po raz kolejny wymazała fragment brwi i kilkoma kreskami nadała im nieco inny kształt. Teraz twarz przedstawionego na portrecie dywersanta miała mocno sardoniczny wyraz. Tak miał wyglądać człowiek, który ubrany w mundur NKWD mordował cywilów w wiosce Sierpuchowka. Przynajmniej w oczach Awrama Martyszki.

Sporządzenie podobizny zajęło dziewczynie niemal całe przedpołudnie – zajechaliśmy na Łubiankę z samego rana. Jeśli Martyszka nie wprowadził nas w błąd, jeden ze sprawców rzeczywiście przypominał Piewcowa. Od Kolki różniła go jedynie bardziej masywna szczęka i odmienny kształt brwi. Można się było pomylić...

– Jesteście pewni, że on tak wyglądał? – spytałem surowo.

– Całkowicie! – zapewnił nerwowo Martyszka.

Nie dziwiłem mu się, wizyta na Łubiance to nic przyjemnego. Nawet w charakterze świadka.

– Jesteście wolni na dzisiaj – poinformowałem. – Ale nie wyjeżdżajcie jeszcze z Moskwy.

Martyszka przytaknął gorliwie i wysliznął się z oddanego nam do dyspozycji gabinetu. Szewieliewa spojrzała na mnie ze zdziwieniem: wiadomo było, że facet nigdzie nie wyjedzie. W naszym szczęśliwym kraju nawet na wyjazd do cioci trzeba mieć zezwolenie odpowiednich organów. Na piśmie. Zaczynam gonić w piętę...

Wyszedłem pierwszy, starając się trzymać na dystans od Szewieliewej. Uśmiechnąłem się, słysząc wściekłe warknięcie. Cóż, dziewczyna nie była specjalnie zadowolona z tego, co kazałem jej zrobić: natarte jakimś zjełczalym tłuszczem, zlepione w strąki włosy, obłożone brudem paznokcie, twarz postarzona specjalnym makijażem... Wszystkie te starania okazały się całkowicie zbędne – Genkom Beria był dzisiaj zbyt zajęty, aby poświęcić nam choć chwilę swojego cennego czasu. A ja nie miałem zamiaru odrywać go od pracy. Jednak jego upodobanie do młodych dziewcząt było zbyt znane, żebyśmy pozwolili Szewieliewej ryzykować. Na szczęście szef NKWD miał teraz inne problemy: wszystkie gazety informowały o wykryciu „białoruskiego spisku” i aresztowaniu Fomienki oraz jego najbliższych współpracowników. Mógłbym się założyć, że gdzieś tutaj, piętro czy dwa niżej, w dźwiękoszczelnej celi przesłuchiowano właśnie generała-pułkownika. Być może w obecności samego Berii: waga sprawy była zbyt duża, żeby *Gienieralnyj Komissar Gosudarstwiennoj*

Biezopasnosti odważył się powierzyć to podwładnym. Pewnie niedługo przyjdzie mu jechać na Kreml, do towarzysza Stalina. I zameldować o postępach śledztwa...

No i dobrze: odwiedzę go jutro lub pojutrze z portretem dywersanta, ale bez Szewieliewej. Strzeżonego pan Bóg strzeże – jak mawiano przed rewolucją. A ja przecież obiecałem Michałyczowi opiekować się jego córką.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, szofer bez pytania uchylił nieco szybę. Tłuszcz, którym natarła włosy Elena, śmierdział.

– Towarzyszu pułkowniku – odezwała się poirytowanym tonem dziewczyna – najpierw każecie mi robić z siebie czupiradło, a później traktujecie mnie jak trędowatą!

– Od razu trędowatą – zaprotestowałem niemrawo. – Jednak sama musisz przyznać, że ten smalec, czy czego tam użyłaś, dziwnie pachnie...

Szewieliewa parsknęła jak rozzłoszczona kotka, kierowca odchrząknął z rozbawieniem.

– Kiedyś musiałem udawać martwego – odezwał się niespodziewanie. – Leżałem przez osiem godzin wysmarowany krwią i owinięty świńskimi flakami w czterdziestostopniowym upale. To był dopiero smród...

Dziewczyna wydeła wargi, nie wyglądało, żeby uwaga szofera poprawiła jej nastrój.

– Kiedy wreszcie będę to mogła zmyć?!

– Jak tylko przyjedziesz do koszar.

– A wy? Weźmiecie udział w dzisiejszych zajęciach?

– Nie mam czasu, może jutro – rzuciłem niecierpliwie, ucinając rozmowę.

Poleciłem kierowcy zatrzymać wóz u wejścia do szpitala. Chciałem sprawdzić, co u Timy, na wieczór umówiłem się z Olgą...

Porucznika Kotuszewa i Nikonowa zastałem na sali gimnastycznej. Medyk rzucał w chłopaka niewielką gumową piłeczką. Niestety, Tima nie wykazywał najmniejszej chęci współpracy: ani razu nie złapał piłki.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Próbuję zbadać jego koordynację ruchową, ale nic mi nie wychodzi – poinformował posępnie lekarz. – A przecież widziałem, że potrafi poruszać się błyskawicznie!

– To skutek... terapii?

– Tak mi się wydaje, wczoraj kucharka potknęła się, niosąc chorym posiłek. Kotuszew złapał wazę z zupą, zanim się rozbiła. Zrobił to tak szybko, że gdybym mrugnął w tym czasie, niczego bym nie zauważył.

– Ćwiczyliście z nim oddychanie?

– Tak, on jest w stanie wstrzymać oddech na kilka minut. Bez najmniejszego wysiłku.

Spojrzałem na Katuszewa: stał w swobodnej pozie, kierując wzrok gdzieś pomiędzy mnie i Nikonowa. Na pewno nie koncentrował uwagi na żadnym z nas, ale i nie bujał w obłokach. Jak zmusić go do udziału w ćwiczeniach? Najwyraźniej proste polecenie nie wystarczało... A może odwołać się do odruchów? W końcu chłopak trenuje od kilkunastu lat, nawet jeśli ma problemy z pamięcią, być może uda się uaktywnić wypalone wcześniej w mózgu kody? Tylko jak to zrobić? Pomyślmy... Wszystkie ćwiczenia sprowadzają się do wyuczenia zachowań, które mogą okazać się przydatne w wypadku zagrożenia. Tak, trzeba go zmusić do reakcji! Sprawić, żeby uwierzył, że jego życie jest w niebezpieczeństwie! Wziąłem piłeczkę od Nikonowa i odwróciłem się, stając plecami do Tima.

– Granat! – krzyknąłem, ciskając piłkę zamaszystym ruchem.

Katuszew skoczył, złapał ją w locie i odrzucił natychmiast, kończąc ruch bezbłędnym przewrotem przez bark.

No, no... Szybkość i precyzja ruchów chłopaka porażały. Widać moja krew rzeczywiście działała. Tylko dlaczego nie na mnie? Wróciłem już do formy, ale daleko mi było do tego, co zademonstrował przed chwilą Tima.

– Znakomicie – powiedział z zadowoleniem Nikonow. – Moglibyście go jeszcze jakoś sprowokować?

Cóż, spróbujmy.

– Granat! – wrzasnąłem ponownie.

Jednak tym razem Tima nawet nie drgnął, całkowicie ignorując piłeczkę. Znaczy nie jest taki głupi... No dobrze, zobaczmy, jak poradzi sobie w walce wręcz.

Skoczyłem, uderzając z rozmachem, ale chłopak nie podjął najmniejszej próby obrony, skulił się tylko, kwitując cios żalonym jękiem. Cholera! Co się dzieje?

– Czekaście! – Nikonow złapał mnie za rękę. – On was przecież zna. Może nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje, ale nie będzie z wami walczył. Co by zrobił, gdybyście uderzyli go jeszcze przed tym... wypadkiem? Jeśli uznałby, że zasłużył na karę, raczej by się nie bronił, prawda?

– Nie biłem swoich ludzi! – warknąłem.

– Rozumiem – łagodził medyk. – Nie o to chodzi. Po prostu gdzieś na poziomie podświadomości on nadal uważa was za swojego przełożonego czy przyjaciela.

Albo ojca, pomyślałem. Szlag by to...

– Poczekajcie tu – poleciłem. – Spróbuję załatwić sprawę inaczej.

Gabinety lekarzy mieściły się na pierwszym piętrze, gdybym ubrał się w biały chałat, nałożył czapkę, może owinął twarz jakimś szalikiem...

Kilka pomieszczeń było zamkniętych, w kolejnym siedziały dwie lekarki, wreszcie natrafiłem na otwarte i puste. Przebrałem się pospiesznie, porwałem pachnącą perfumami Krasnaja Moskwa kwiecistą chustę i ruszyłem do wyjścia. W progu zderzyłem się ze szczupłą, sympatyczną blondynką w okularach.

– Podziwiam wasz gust – odezwała się zimno – ale jestem dość przywiązana do tej chusty. Rozumiecie, prezent od matki...

– Oddam ją wam za chwilę – obiecałem.

– Lubicie przebierać się w damskie ciuchy? – spytała z ciekawością.

– Skąd wam to przyszło do głowy?!

– Pomyślmy: nałożyliście mój fartuch, czepek chirurgiczny, zabraliście chustę... Nie chcecie aby kolczyków do kompletu?

– To wszystko potrzebne jest mi do rehabilitacji pacjenta!

– I jak będziecie go rehabilitować?

– Jeśli chcecie zobaczyć, to chodźcie do sali gimnastycznej!

– Z przyjemnością.

Posapując gniewnie, pomaszerałem przodem. Czy ja, kurwa, wyglądam na amatora przebieranek?!

Przed wejściem na salę osłoniłem twarz chustą, z okrzykiem rzuciłem się na Katuszewa. Chłopak zrobił unik i spróbował mnie podciąć, ale wszystko to o wiele za wolno. Zasypałem go gradem uderzeń i kopnięć, starając się nie bić zbyt szybko. Kiedy skrócił dystans, przerzuciłem przez plecy. Obawiałem się, że zrobi sobie krzywdę, padając na twardą drewnianą podłogę, ale wylądował na parkiecie z kocią zręcznością, zerwał się i natychmiast kontratakował. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że z każdą chwilą walczy coraz lepiej. W końcu jego ciosy zaczęły przechodzić przez moją gardę, kilkakrotnie tylko cudem uniknąłem nokautu albo i czegoś gorszego. Ponownie spróbował mnie podciąć, skontrolowałem. Wtedy poczułem jego dłonie na gardle: Katuszew zmylił mnie, markując podcięcie, po to, by znaleźć się za moimi plecami. Nie zdążyłem nawet się wystraszyć, choć wiedziałem, że to koniec. Tima powalił mnie błyskawicznie i uderzył kantem dłoni w bok szyi. Nie, nie uderzył – zamarkował uderzenie! Dopiero teraz zauważyłem, że przesiąknięta potem chusta zsunęła mi się z twarzy. Grunt to mieć szczęście...

– Poćwiczmy jeszcze kiedyś, *komandir*? – zapytał.

Głos miał schrypnięty, każde słowo wymawiał z wahaniem, jakby musiał zastanowić się nad jego znaczeniem. No i nie dziwota: odezwał się po raz pierwszy od wielu miesięcy...

– Poćwiczmy, Tima – wydyszałem. – Poćwiczmy...

Z zadowoleniem stwierdziłem, że chłopak wygląda na dużo bardziej przytomnego niż przed chwilą. Może warto zabrać go do koszar, powierzyć opiece ojca Olgi? Jak dobrze pójdzie, codzienne treningi pozwolą mu odzyskać choć część dawnej sprawności, daj Boże, nie tylko tej fizycznej... Tak, gra była warta świeczki: jeszcze dzisiaj porozmawiam o tym z białogwardzistą Majką!

– Ależ mnie wystraszyliście – wymamrotał, podchodząc, Nikonow. – Myślałem, że już po was...

– Nieważne! – Machnąłem ręką. – Grunt, że zadziało.

– Ciekawy sposób rehabilitacji – stwierdziła blondynka. – Ale chyba dość...
fatygujący?

Bez słowa oddałem jej chustę i ubranie.

– Może jednak weźmiecie kolczyki? – zaproponowała, popatrując na mnie kokieteryjnie. – Na pamiątkę...

Gdyby nie Olga, pewnie skorzystałbym z wyczytanej w oczach lekarki propozycji. Teraz jedynie odpowiedziałem uśmiechem, choć dziewczyna była nad wyraz sympatyczna. Dlaczego nie spotkałem jej wcześniej? Obecnie moje myśli zajmowała jedynie konsultantka Majkowska. Ech, życie... Najpierw żadna warta grzechu kobieta nie zwracała na mnie uwagi, teraz mam nadmiar chętnych.

– Dziękuję, ale nie.

– Może pomóc wam w rehabilitacji?

– O ile mi wiadomo, jesteście chirurgiem, Emmo Wasiliewna – odezwał się z wyraźnym rozbawieniem Nikonow. – Na razie nie potrzeba nam waszej pomocy. Ale jakbyśmy chcieli coś wyciąć porucznikowi, natychmiast was zawiadomimy...

– Psujecie całą zabawę – burknęła lekarka.

Pożegnała nas nonszalanckim machnięciem ręki i odeszła, kręcąc zgrabną pupą. Jak zauważyłem, udało jej się przyciągnąć uwagę nie tylko moją i Timy, ale i Nikonowa... Ot, stary lubieżnik!

– Profesorze! – zawołałem z udanym zgorszeniem.

– Odwalcie się, Razumowski – odparł, nie odrywając oczu od dziewczyny. – W moim wieku to już wskazanie medyczne.

– Gapić się na młode kokietki?!

– A jakże! Od razu człowiekowi krew żywiej krąży w żyłach, a o sprawność naczyń krwionośnych trzeba dbać – stwierdził z kamiennym wyrazem twarzy. – Mówię wam to jako neurolog.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, do sali wpadł jeden z żołnierzy ochrony.

– Pułkownik Razumowski?! – krzyknął.

– To ja – odparłem, marszcząc brwi.

Co znowu, do cholery?! Oby to nie było coś poważnego.

– Wzywają was – wyjaśnił. – Przed szpitalem czeka samochód.

– Edwardzie Piotrowiczu – zwróciłem się do Nikonowa – niedługo przyjadą tu starsze panie, chciały koniecznie odwiedzić Timę. Zajmiecie się nimi?

– Oczywiście. Ale takie wycieczki w ich wieku...

– Oddałem im do dyspozycji swoje auto z kierowcą – wyjaśniłem. – Przywiezie je i odstawi do domu.

– Aha, no to w takim razie nie widzę problemu.

– Pułkownik! – ponaglił mnie żołnierz. – To podobno coś pilnego.

– Idę już, idę – mruknąłem.

Ciekawe, komu się tak spieszy? Pewnie znowu trzeba będzie zrobić coś na przedwczoraj. A tak się cieszyłem na wieczór z Olgą...

Samochód, czarny ZIS-101 rzeczywiście czekał na mnie pod szpitalem. Co za czort? Stalin, Beria czy Iliczow przysłałiby raczej jakąś inną maszynę. Co prawda Głównodowodzący lubił czasem pokazać się w aucie rodzimej produkcji, ale na co dzień używał luksusowego packarda twelve, a w jego garażu zdecydowanie przeważały wozy zachodnich marek: packardy, buicki, cadillaki... Czyżby Abakumow? Tak, to chyba jedyne wyjaśnienie: szef Smiersza nie był jeszcze na tyle pewien swojej pozycji, żeby zadawać szyku, rozbijając się w autach sprowadzanych od imperialistów...

Odetchnąłem, widząc w wozie jedynie szofera; gdyby ktoś miał do mnie pretensje, przysłałby i eskortę.

– Gdzie jedziemy? – spytałem.

– Do koszar, na Siemionowską – odparł kierowca.

A więc jednak Abakumow. No cóż, zobaczymy, czego życzy sobie dowódca kontrwywiadu. Żeby mi tylko oko nie zbielało...



I znowu stałem na baczność w gabinecie Abakumowa, wpatrując się w ścianę ponad głową komisarza bezpieczeństwa państwowego drugiej rangi. Heroicznym wysiłkiem woli starałem się utrzymać poważny wyraz twarzy, już wiedziałem, dlaczego zostałem zaproszony: szef Smiersza zmienił gabinet... Rozwalono jakieś ściany, przeprowadzono generalny remont i teraz pomieszczenie w niczym nie przypominało klatki, w jakiej po raz pierwszy przyjął mnie Abakumow. Biurko, za którym siedział towarzysz komisarz, było większe niż u Genkoma Berii. Podejrzywałem, że z niewiele dłuższych pasów startowych korzystały nasze samoloty na lotniskowcach... No, to akurat głupi pomysł, na miejscu Abakumowa zmierzyłbym meble w gniazdku Ławrentija Pawłowicza na Łubiance i zamówił przynajmniej o parę centymetrów mniejsze. Nie warto się wywyższać. Beria nie jest co prawda takim karłem jak jego poprzednik Jeżow, ale i nie imponuje wzrostem, pewnie traktuje swoje biurko jako przedłużenie fiuta. Jeśli się obrazi, może wyrównać różnicę w parametrach, na przykład skracając Abakumowa o głowę.

– Otrzymałem wasz raport – odezwał się szef Smiersza, udając, że nie zwraca uwagi na otoczenie. – Na temat Żelazowej.

Przez dobrą chwilę zastanawiałem się, co za Żelazowa, w końcu skojarzyłem

nazwisko z osobą: pogoniłem ją, dowiedziawszy się, że została skierowana na zajęcia wraz z najlepszymi kursantami po znajomości.

– Tak jest! – przyznałem.

– Co do niej macie? Nie dała wam? I po cholere! czepiacie się instruktora, który ją zarekomendował?

Szlag! Czy on jest naprawdę taki głupi, czy tylko udaje?

– Decyzja i tak należy do was, towarzyszu komisarzu – odparłem chłodno. – Ja tylko przedstawiłem wam, jak się rzeczy mają. Uznałem to za swój obowiązek wobec was i Smiersza. Za kilka miesięcy wszyscy kursanci otrzymają swoje przydziały i założę się, że będą one rozdzielane według rezultatów, jakie osiągnęli. Każdy, kto wskoczy na miejsce, na które nie zasłuży, stworzy zagrożenie dla całej organizacji i dla was osobiście, bo nie da rady wykonać zadania. Dobrze wiecie, że wiele takich spraw będzie kontrolował Głównodowodzący. A bardzo wątpię, żeby towarzysza Stalina wzruszył fakt, że Żelazowa pozostaje w ciągłej gotowości... bojowej i jest niezawodna niczym karabin Mosina.

– A ten instruktor?

– To kretyn, którego trzeba się jak najszybciej pozbyć! I nie chodzi o fakt, że pieprzy się z kursantkami, ale o to, że nie rozumie, co robi. Żelazowa grzałaby mu łóżko za dodatkowe żarcie, zaliczenie egzaminu czy zwolnienie z dyżuru. Tymczasem on nie dość, że wchodzi w cudze kompetencje, to jeszcze naraża siebie i innych na niebezpieczeństwo! Widziałem Żelazową, to idiotka, a skierowano ją do szkolenia o sporym poziomie ryzyka. Pierwszą sprawą, w jakiej brali udział kursanci, było śledztwo dotyczące morderstwa dokonanego przez żołnierza elitarniej jednostki. Udział w nim wymagał sporej wiedzy, inteligencji i przede wszystkim ostrożności. Tymczasem Żelazowa myśli tylko o tym, jak rozłożyć nogi przed kolejnym chłopem. Prędzej czy później naraziłaby całą grupę albo sama zginęła. A tłumaczyć się z tego przyszłoby wam, towarzyszu, a nie instruktorowi...

– No tak – mruknął Abakumow. – Co racja, to racja. Nadam bieg sprawie zgodnie z waszymi sugestiami, ale radzę, uważajcie na Tkaczenkę. To niezła gnida.

I kto to mówi, pomyślałem gniewnie. Facet, który słynął z tego, że osobiście bił do nieprzytomności przesłuchiwanym, będąc już zastępcą ministra spraw wewnętrznych...

– Postaram się uważać – obiecałem.



Wśliznąłem się niepostrzeżenie do baraku: uwaga wszystkich kursantów skupiała się

na instruktorze. Majko stał między kompletnym ludzkim szkieletem a Eleną Szewieliewą. Dziewczyna zastygła w niewygodnej pozycji, trzymając wyciągnięte przed siebie ramię. Podobnie jak kościotrup, choć temu pewnie było wszystko jedno...

– W okolicy nadkłykcia przyśrodkowego kości ramiennej nerw łokciowy przebiega tuż pod skórą. – Majko wskazał na połączone drutem kości. – Można go wyczuć pod palcami – dodał, ujmując obnażone ramię Szewieliewej. – Bierz! – polecił, wręczając jej nóż. – Atak na nerw łokciowy spowoduje, że przeciwnik poczuje ogromny ból i najprawdopodobniej nie będzie mógł utrzymać niczego w dłoni. Ot, tak!

Krzyk Szewieliewej zbiegł się z brzękiem uderzającej o beton stali.

– Siła fizyczna wroga nie ma tu żadnego znaczenia – kontynuował.

– To dlaczego pokazujecie wszystko na Elenie? – zapytał któryś z kursantów.

– Bo jest ładniejsza od ciebie – zripostował Majko. – Ale jakbyś chciał sprawdzić...

– Nie, nie! Wierzę wam na słowo! – Chłopak wycofał się pospiesznie.

Zawtórował mu śmiech rówieśników.

– No dobrze – odezwała się jedna z dziewcząt. – A co robić później, po rozbrojeniu?

– Pułkownik Razumowski? – Majko scedował na mnie pytanie.

O co temu facetowi chodzi? To on ma prowadzić zajęcia, a nie ja!

– Powalić na ziemię – mruknąłem.

Kursanci przypatrywali mi się z takim natężeniem, jakbym zaraz miał lewitować. Co tu się, do cholery, dzieje?!

– Jestem za słaba – przyznała dziewczyna. – Bez trudu mogę rzucić Elenę czy nawet większość chłopaków, ale już taki Lewartow – wskazała kolegę – jest dla mnie zbyt ciężki.

– Powiedziałem „powalić”, a nie „rzucić” – doprecyzowałem. – Pokaż, jak byś to zrobiła – rozkazałem.

Szewieliewa zamarkowała cios, dziewczyna złapała ją za rękę i przerzuciła przez biodro.

– Jakiej siły to wymagało? – spytałem. – W skali od jednego do dziesięciu?

– Bo ja wiem? Z siedem – stwierdziła niepewnie.

Podszedłem do Szewieliewej, jedną dłoń położyłem dziewczynie na czubku głowy, drugą ująłem pod brodę.

– Spróbuj z takiej pozycji skrócić jej głowę – zaproponowałem. – W ten sposób zmusisz ją do upadku, nie wysilając się specjalnie.

Kursantka błyskawicznie powaliła Elenę na posadzkę.

– Ile siły użyłaś? Według tej samej skali?

– Dwa, może trzy – odpowiedziała.

– Nigdy nie używaj więcej siły, niż musisz – powiedziałem. – I nie ćwicz technik, które wymagają znacznego wysiłku. Są nic niewarte. Możesz spotkać przeciwnika,

który będzie przewyższał cię znacznie siłą i wagą, możesz być ranna czy wyczerpana, wreszcie wrogów może być kilku...

– Tak jak wtedy, kiedy uratowaliście tę kobietę niedaleko szpitala? – spytała.

Aha, to już wiadomo, w czym rzecz: były białogwardzista zrobił mi reklamę. Tylko po czorta? Kiedy ostatnio się widzieliśmy, nie wyglądał na zachwyconego moją skromną osobą.

– Mniej więcej – odburknąłem niechętnie.

– Wracamy do zajęć – rozkazał Majko. – Postarajcie się znaleźć u partnera nerw łokciowy. Tylko bez fanatyzmu! – uprzedził surowym tonem. – Kto przesadzi, dostanie dodatkowy dyżur w kuchni!

Odpowiedział mu zbiorowy jęk – widać karę stosowano nie po raz pierwszy – i kursanci podjęli ćwiczenia.

– Może wyjdziemy? – zaproponował Majko. – Mam do was kilka pytań.

– Nie pozabijają się?

– Nie powinni, moi asystenci wszystkiego dopilnują.

– Słucham – powiedziałem po chwili.

– Roza Pankratowa – rzucił. – Co was z nią łączy?

– Dlaczego pytacie? – Zmarszczyłem brwi.

– Widziano was w jej towarzystwie – odparł, mierząc mnie chłodnym spojrzeniem.

– Pamiętajcie, co wam obiecałem?

Pamiętałem, a jakże! Mowa była o wrywaniu serca... Miałem ochotę posłać Majkę do diabła – to ci dopiero troskliwy tatuś! – ale przede wszystkim musiałem go zniechęcić do interesowania się Pankratową. Gdyby ktoś to zauważył, skutki mogłyby być opłakane nie tylko dla niego.

– Trzymajcie się od niej z daleka! – warknąłem, piorunując go wzrokiem. – To sprawa polityczna!

– Chyba nie zrozumieliśmy się poprzednim razem – odparł ze zwodniczą łagodnością w głosie.

Złapał mnie za ramię twardymi jak żelazo palcami, zacisnął chwyt. Z trudem stłumiłem jęk – stary miał krzepę, to mu trzeba było przyznać. Uderzyłem go drugą ręką, spróbowałem uderzyć, ale nie wiedzieć jak i kiedy znalazłem się na ziemi. Następne minuty dłużyły mi się niemiłosiernie: takiego lania nie zebrałem już dobre kilkanaście lat. Raz czy dwa zdołałem go dosięgnąć, lecz większość moich uderzeń mijała cel, a ja z nużącą regularnością lądowałem w błocie. Z ziemi podrywał mnie celnie wymierzony kopniak i wszystko zaczynało się od początku...

– To naprawdę sprawa polityczna! – wycharczałem, gramoląc się na czworaki. – Rozę przesłuchują w sprawie Fomienki!

– Tego generała? – spytał zaskoczony Majko.

– Tak!

– I wy...

– To, co robiłem z Pankratową, nie powinno was obchodzić! A jeśli zadacie o jedno pytanie za dużo i zainteresuje się wami bezpieka... – urwałem z rozmysłem.

– Więc rozmawialiście z nią służbowo?

Nie odpowiedziałem. Nieoczekiwanie Majko podał mi rękę, pomógł stanąć na nogi.

– Wybaczcie – wymamrotał. – Może nie powinienem wyciągać pospiesznych wniosków, ale nie cieszycie się dobrą opinią, jeśli chodzi o kobiety...

– A to dlaczego?!

– Słyszałem, że w zeszłym roku uwiedliście żonę przyjaciela, a teraz dziewczyna siedzi w łagrze...

Zgrzytnąłem zębami: pierdoleni plotkarze! Ciekawe, co jeszcze o mnie rozpowiadają?! Choć trudno zaprzeczyć, że na pierwszy rzut oka rzecz istotnie nie wyglądała najlepiej. Nic dziwnego, że Majko obawiał się o córkę.

– To nie tak! – odparłem gniewnie. – Dostała dwudziestkę, bo jej mąż wstąpił do Hiwi!

– Opowiedzcie mi o tym? – spytał.

– Nie!

– W porządku – powiedział. – Wierzę wam.

Podniosłem wzrok zaalarmowany tonem mężczyzny: w głosie Majki brzmiała ulga, jakby właśnie podjął decyzję, która zwolniła go z obowiązku zrobienia czegoś nieprzyjemnego. Bardzo nieprzyjemnego.

– A gdybyście mi nie uwierzyli?

Ojciec Olgi wzruszył ramionami. W geście nie było nawet cienia groźby, ale poczułem dreszcze na plecach: gdybym się nie wytłumaczył, Majko zabiłby mnie bez wahania. Biorąc pod uwagę to, co zademonstrował przed chwilą, także i bez trudu...

– W takim razie cieszę się, żeśmy to sobie wyjaśnili – wycedziłem sarkastycznie.

– Masz jaja, chłopcze. – Roześmiał się nagle. – To dobrze. Będziemy kontynuować?

– Co takiego?

– Lekcję. Chyba przyda ci się trochę zajęć w trybie indywidualnym.

– Może nie dzisiaj? Bo będę miał siniaki na siniakach...

– Miałem na myśli innego typu trening. Chciałbyś słyszeć tykanie ręcznego zegarka z odległości kilku, może kilkunastu metrów? Albo wyczuć zapach smaru do broni? Nauka konkretnych technik nie jest najważniejsza: grunt, żeby wiedzieć, kiedy je stosować.

– Coś takiego jest w ogóle możliwe? – spytałem z niedowierzaniem.

– Tak, choć efekty zależą od osobistych predyspozycji. Sam wiesz, jaką przewagę mogłoby to dać.

Wiedziałem. Nieraz przychodziło mi walczyć w absolutnych ciemnościach,

gdybym mógł kierować się wtedy słuchem lub węchem...

– W takim razie chętnie. Jeszcze jedno: mam dla was nowego ucznia. Trzeba się nim zająć także indywidualnie. Na razie lepiej, żeby nie ćwiczył w grupie.

– Z powodu?

Opowiedziałem mu o Katuszewie, pominąłem jedynie sprawę kuracji, jaką zaordynował mu Nikonow.

– W porządku, zajmę się nim. A teraz chodź ze mną, pomogę ci się doczyścić i pokażę parę sztuczek.



Położyłem zegarek tuż przy uchu, po chwili odsunąłem nieco dalej. Nadal słyszałem cichutkie tykanie: tik-tak, tik-tak... Jakieś dziesięć centymetrów, niezły wynik, jak na parę dni ćwiczeń. Zatrzymałem oddech, dopóki szum w uszach nie przeszedł w spazmatyczne dudnienie. Wdychając smakujące jak wino powietrze, starałem się łowić wszelkie nieuchwytnie na co dzień zapachy. Wszyscy jesteśmy zwierzętami, ale tysiące lat życia w miastach zniszczyły nasze instynkty i osłabiły zmysły. Jednak jeśli doprowadzimy organizm do skraju wytrzymałości, ten, czując zagrożenie, zacznie pracować na wysokich obrotach, wychwytywać sygnały, jakich normalnie nie zauważa. Przez moment. Zastanówmy się: lekka woń wódki, zapach pasty do butów, smażone mięso. Skąd, u licha, ta wódka i mięso? Buty – wiadomo – stoją wyczyszczone w przedpokoju, jakieś cztery, może pięć metrów od łóżka. Nic nadzwyczajnego, nie żałowałem wczoraj pasty. Przeszedłem się po pokoju, powąchałem obrus na stole – tak! – musiało mi się rozlać trochę wódki. Pozostało wyjaśnić, co z tym mięsem. Nie jadłem smażeniny przynajmniej z tydzień, niemożliwe, żebym coś wyczuł po takim czasie. Nie ten poziom wrażliwości. Przynajmniej na razie. Hmm... A jeśli to ktoś z sąsiadów? Z piętra na piętro przechodziły rury z wodą, jakieś kable, pewnie znalazłyby się szpary, przez które da radę wyczuć zapachy z innego mieszkania.

Ubrałem się pospiesznie, wyszedłem na korytarz. Słysząc było szum wody i szcęk naczyń, dochodziła szósta rano, kamienica budziła się do życia. Żadnego zapachu smażonego mięsa. Zszedłem piętro niżej, ale poczułem tylko woń przypalonych kartofli. Parter? Tak! Spod drzwi Iry Worobiowej dochodził aromat smażonego mięsa. Worobiowa... Obiecałem sobie solennie i nie pierwszy raz, że jeszcze dobiore się do tej suki. Moja sąsiadka bombardowała milicję i NKWD donosami na temat współlokatorów, w tym niejakiego pułkownika Razumowskiego. Trzeba coś z tym zrobić, bo w końcu może jej się poszczęścić i donosik trafi na kogoś, kto postanowi

potraktować go poważnie.

Wróciłem do mieszkania, zrobiłem kilka kanapek, nastawiłem wodę na herbatę. Co prawda przedpołudnie miałem wolne – zaleta nienormowanego dnia pracy, ale właśnie dlatego mi się spieszyło. Chciałem spędzić kilka godzin z Olgą. Czort wie kiedy znowu będę miał okazję.

Jak zwykle, jadąc do Olgi, zrezygnowałem ze służbowego samochodu. Skorzystałem z metra, resztę drogi przeszedłem na piechotę. Na słupach ogłoszeniowych rozlepiono plakaty informujące o najnowszych premierach filmowych. Zatrzymałem się na chwilę, zerknąłem na ofertę moskiewskich kin. Co my tu mamy? Od ósmego marca puszczano „Nieuchwytnego Jana”. „Były student praskiego uniwersytetu Jan Smudek podróżuje po Czechosłowacji, wzywając w audycjach radiowych do aktywnej walki z faszyzmem. Codziennie o godzinie dwunastej radio Wolność nadaje audycje przedstawiające prawdę o Związku Radzieckim. Hitlerowskie grupy pościgowe padają z nóg, usiłując znaleźć nieuchwytnego patriotę”.

Mój Boże, chyba bym zwymiotował... Ciekawe, czy Jan Smudek wspomniał w swoich audycjach o naszym ataku na Finlandię czy Polskę albo o okupacji Litwy, Łotwy i Estonii? Pewnie umknęły mu takie drobiazgi. Nie mówiąc już o fakcie, że w realnym świecie rozbijający się po czeskich drogach luksusowym autem student zostałby pewnie zatrzymany w parę godzin od pierwszego wyjścia w eter...

No dobrze, poszukajmy czegoś mniej głupiego. „Kotowski”: biografia *kombryga* Kotowskiego. Eee... W szkole wojskowej musiałem uczyć się jej na pamięć. Odpada. „Partyzanci na stepach Ukrainy”. Znowu o wojnie... Szlag by to trafił! Obejrzałbym chętnie jakąś komedię, niechby nawet melodramat. Wojny miałem powyżej dziurek w nosie.

Klnąc z cicha, wszedłem w bramę kamienicy, w której mieszkała Olga, pomaszerowałem na drugie piętro. Otworzyła mi niemal natychmiast, tak jakby czekała tylko na dzwonek. Przywitaliśmy się długim pocałunkiem, chwilę potrwało, zanim dotarłem do salonu.

– Zaraz przyniosę coś do jedzenia – powiedziała.

Objąłem ją w pól, posadziłem na kolanach.

– Może później – zaproponowałem. – Jestem po śniadaniu. Na razie wolałbym...

– Nie dzisiaj – przerwała mi z rumieńcem na policzkach. – Trafiliście na pechowy dzień miesiąca, pułkowniku Razumowski.

– Cóż – westchnąłem. – Nie to nie. A całować można?

– Nawet trzeba – stwierdziła z szelmowskim uśmiechem.

Wodząc ustami po szyi Olgi, zauważyłem, że zapach jej skóry miesza się z wonią jakichś nieznanymi mi perfum.

– To nie jest Krasnaja Moskwa – powiedziałem.

– Nie – przyznała, przymykając oczy.
Jak zwykle od razu wiedziała, o co mi chodzi.
– Może zdradzisz mi sekret?
– To zainteresowanie osobiste czy zawodowe, towarzyszu zwiadowco?
Pisnęła, kiedy ugryzłem ją w ucho.
– Odpowiadaj albo pożałujesz! – zagroziłem.
– Jak bardzo pożałuję? – judziła.
– Bardzo!
– W takim razie chyba nie będę się spieszyła...
Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zadzwieczał dzwonek.
– Spodziewasz się kogoś? – spytałem.
– Nie teraz. Ojciec miał przyjść dopiero wieczorem – odparła z lekkim niepokojem w głosie.

– Jeśli to listonosz albo sąsiadka, to zastrzelę gadzinę! – warknąłem. – Zostań tutaj!
– poleciałem. – Ja otworzę.

Jednak za drzwiami nie było listonosza, stał tam natomiast pułkownik Poliakov. W mundurze i przy orderach, z mocno niewyraźną miną.

– Co ty tu robisz?! Jak mnie znalazłeś?!

Powiodłem za jego wzrokiem, odwróciłem się: Olga... Stała tuż za mną z rozburzonymi włosami, na wpół rozpiętą bluzką, zaciśniętymi w pięści dłońmi. Cóż, nie sądziłem, żeby Poliakov długo zastanawiał się nad charakterem naszej znajomości.

– Przepraszam – wymamrotał milicjant. – Ale to pilna sprawa. Gławkom cię wzywa. Natychmiast. Czekam na ulicy – dodał.

Przez chwilę słyszałem oddalające się kroki, później zapadła cisza.

– Saszka?

– Tak?

– To jakiś generał? – spytała niepewnie Olga.

– Skąd, pułkownik milicji.

– Nie on! Gławkom! *Gławnokomandujuszczij...*

Westchnąłem bezradnie, nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Saszka!

– Nie, to nie generał, to towarzysz Stalin...

Spodziewałem się, że Olga wpadnie w histerię lub stanie się podejrzliwa: w końcu niewielu oficerów mających kontakt z Głównodowodzącym zadaje się z rodzinami białogwardzistów... Nic z tych rzeczy, najwyraźniej konsultantka Majkowska uczyniona została z twardszego materiału.

– Więc raczej nie zdążysz na obiad – stwierdziła tylko.

– Raczej nie – przyznałem, doprowadzając do porządku mundur.

Nie ma co ukrywać, że i Olga zdążyła mi to i owo rozpiąć.

– To Shalimar – powiedziała, zmieniając z rozmysłem temat. – Zapach stworzył w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym Jacques Guerlain. U nas można go kupić tylko od przemytników.

– Dziwna nazwa – mruknąłem.

Stanąłem przed lustrem, jeszcze raz skontrolowałem, czy wszystko w porządku. Cholera, na szyi miałem ślad po zębach Olgi! Tuż powyżej brzegu kołnierzyka. Miejmy nadzieję, że nikt nie zwróci na to uwagi...

– Guerlaina zainspirowała historia cesarza Szahdżahana.

– A to co za czort?!

– Władca muzułmańskiego imperium w Indiach, piąty z Wielkich Mogołów. Zakochał się w kobiecie, która przeszła do historii pod imieniem Malika-i-Dżahan Mumtaz-i-Mahal, co oznacza po persku: Władczyni Świata Umiłowana Ozdoba Pałacu. Kiedy zmarła w czasie porodu, wybudował na jej cześć mauzoleum Tadż Mahal, uznawane przez wielu za najpiękniejszą budowlę świata. Podobno cesarz poznał swoją wybrankę w ogrodach Shalimar...

Dopiero teraz zwróciłem uwagę na głos Olgi: mówiła miękkim, kojącym tonem. Dziewczyna nie tylko nie okazywała strachu, ale chciała mnie uspokoić. Coś takiego jeszcze mi się nie przydarzyło... Czyżby martwiła się bardziej o mnie niż o siebie? Niepodobieństwo! Chyba...

– Wszystko będzie dobrze – zapewniłem bez specjalnego przekonania.

Oboje wiedzieliśmy, że Stalin nie wzywałby mnie z jakiegokolwiek powodu, na pewno nie będzie to nic przyjemnego: w trybie alarmowym przychodzą tylko złe wieści.

Uśmiechnęła się dzielnie, choć usta jej drżały.

– Na pewno – przytaknęła.

Pocałowałem ją w policzek, ale przywarła do mnie niczym tonący do koła ratunkowego, nakryła ustami wargi.

– Uważaj na siebie, Saszka – szepnęła. – Uważaj...

Zbiegając po schodach, starałem się myśleć tylko o powodach, dla których Stalin mógł po mnie przysłać, na rozważania o moim związku z Olgą przyjdzie czas później. O ile będzie jakieś później...

W samochodzie czekał na mnie jedynie Poliakov, widać szeryf miasta Moskwa postanowił nie brać ze sobą szofera. No i dobrze – im mniej osób wie o Oldze, tym lepiej.

– Co się stało? – spytałem szorstko. – Jak mnie znalazłeś?!

– Nie wiem, dlaczego wzywa cię Stalin, dostałem polecenie odnaleźć cię jak najszybciej i dostawić na Kreml – odparł, uruchamiając silnik.

– Od kogo?!

– Odwiedził mnie jego adiutant, Kirasow. Podobno ganiają za tobą od samego rana.
– Wiedzą, że się przyjaźnimy?!

– Nie sądzę. – Wydął w zamyśleniu wargi. – Wiem, że szukali cię też przez wojennuju razwiedku i NKWD.

– To dobrze. – Odetchnąłem z ulgą. – Jakim cudem mnie znalazłeś? – powtórzyłem.

– Przez tych urków. – Wzruszył ramionami.

– Jakich, do cholery, urków?!

– Tych, których zabiłeś niedaleko szpitala. Z oględzin zwłok i śladów wynikało, że załatwił ich jeden człowiek. Profesjonalista. Lekarz ustalił, że zginęli pod wieczór, więc przepytalem personel szpitala, tak na wszelki wypadek. Pomyślałem, że może ktoś coś widział albo słyszał. Dość szybko ustaliłem, że byłeś tego dnia w „Trzynastce”... To byli recydywiści, mieli na koncie gwałty, napady z bronią w ręku i morderstwa, więc pomyślałem, że nawet ty miałbyś problemy z całą trójką, gdyby nie byli zajęci kim innym. Tak dowiedziałem się o Majkowskiej, złożyłem dwa do dwóch i tyle. Kiedy Kirasow poinformował mnie, że jesteś natychmiast potrzebny na Kremlu, postanowiłem zajechać do dziewczyny i sprawdzić, czy czasem nie odbierasz właśnie wyrazów wdzięczności...

– Aha.

– Nawiasem mówiąc, moi ludzie szukali tych bandziorów: tamci od kilku miesięcy kręcili się w okolicach szpitala, wielokrotnie napadali na personel i rodziny pacjentów.

No proszę, czyżbym załatwił gnojków, którzy pobili Warwarę Siemionownę? No i dobrze, nawet jeżeli to nie oni, pewnie przez jakiś czas nie będzie chętnych do grasowania na tym terenie.

– Jak myślisz, o co chodzi Własaczowi?

Mimo woli rozejrzałem się nerwowo: mało kto odważyłby się użyć jednego z przezwisk Stalina. Robiono to tylko w zaufanym gronie – niedyskrecja mogła drogo kosztować... Ksywy „Własacz” używali głównie więźniowie i przestępcy.

– Są tylko dwie możliwości – odparłem ponuro. – Śledztwo, które prowadzę z polecenia Gławkoma, i sprawa Fomienki.

– Co za śledztwo?

Po namyśle opowiedziałem przyjacielowi o masakrach dokonywanych przez ludzi w mundurach NKWD. Kto wie? Może Poliakov wpadnie na jakiś pomysł? W końcu był jednym z najlepszych śledczych w kraju.

– Mówisz, że ci dywersanci mają bazę w okolicach Moskwy?

Przytaknąłem.

– I ten portret przedstawia jednego z nich?

– Owszem, i co z tego?

– Trzeba uprzedzić wszystkie kostnice – powiedział.

Zakląłem wściekle – powinienem sam o tym pomyśleć. Tak to bywa, gdy człowiek ma sto spraw na głowie! Sporządzona przez Szewieliewą podobizna przestępcy została rozesłana do wszystkich posterunków milicji, zapamiętał ją też na pewno każdy pracownik NKWD i GRU. Jeśli mordercy dowiedzą się o tym, że znamy twarz jednego z nich, pierwsze, co zrobią, to pozbędą się kłopotu – raz na zawsze. A byłem pewien, że się dowiedzą, musieli mieć jakieś wtyki w służbach specjalnych albo choćby milicji.

– Poleć im, żeby meldowali o wszystkich przypadkach, kiedy trafi do nich niezidentyfikowany trup!

– Coś jeszcze?

– On może mieć nie tylko zmasakrowaną twarz, ale i spalone albo oblane kwasem dłonie. Względnie w ogóle nie mieć dłoni...

– Myślisz, że to naprawdę czekaści?

Od każdego pracownika służb specjalnych pobierano odciski palców.

– Całkiem możliwe – burknąłem. – A jak z waszymi? Macie w aktach ich linie papilarne?

– Mamy – potwierdził Poliakov. – Choć wątpię, czy to milicjanci. Nie ten stopień przemocy, nie ten poziom wykszolenia.

– To mało prawdopodobne – przyznałem. – Jednak przecież w milicji służą byli żołnierze elitarnych jednostek, a nawet dawni czekaści.

– Niby tak, ale to pojedyncze przypadki. Kilkudziesięciosobowa ekipa? Zapomnij! Zresztą większość z nich pracuje dla mnie i wierz mi, że żaden nie wyjeżdżał ostatnio z Moskwy!

– Jak to pracuje? Chodzi ci o to, że jesteś ich przełożonym? – spytałem ostrożnie.

– Nie. Pomagają mi w... interesach.

No tak, czasem zapominam, że mój kumpel trzyma za jaja cały świat przestępczy stolicy: pobiera haracze od kieszonkowców i włamywaczy, kontroluje czarny rynek, burdele, nielegalne domy gry i chuj wie co jeszcze...

– Rozumiem.

– To najprawdopodobniej ktoś z bezpieki albo od ciebie – stwierdził.

– Nasi? – Pokręciłem głową. – Niemożliwe! *Wojennaja razwiedka* to dość elitarna organizacja i przede wszystkim dużo mniej liczna niż NKWD. Zauważylibyśmy od razu, gdyby grupa agentów zniknęła na dwa czy trzy dni. Niemożliwe! – powtórzyłem. – Co innego bezpieka, same oddziały ochrony pogranicza podlegające NKWD to blisko dwieście tysięcy, podobnie wojska wewnętrzne. Razem grubo ponad trzysta tysięcy. Przynajmniej tak wyglądało to na początku wojny, teraz pewnie jest ich jeszcze więcej...

– A więc zostaje bezpieka – wzruszył ramionami Poliakov.

Pod Kreml podjechaliśmy w milczeniu, żaden z nas nie miał ochoty rozważać, co

będzie, jeśli wzywają mnie w sprawie Fomienki. Teoretycznie jedynym słabym ogniwem mojego planu była Roza Pankratowa, a ta nie miała powodu kochać czekistów, ale może czegoś nie przewidziałem albo – nie daj Boże! – nie doceniłem jej inteligencji? Jeżeli zorientowała się, że nie powiedziałem jej całej prawdy...



Tym razem oczekiwał mnie tylko towarzysz Stalin, a więc raczej nie chodzi o Fomienkę: w przeciwnym wypadku byłby obecny i Genkom Beria, a ja stałbym tu nie dość, że bez broni, to jeszcze i z zerwanymi pagonami. O ile byłbym w stanie utrzymać się na nogach...

Głównodowodzący lekkim, niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy odpowiedział na moje powitanie, bez słowa wskazał leżącą na stole tekturową teczkę. Rozwiązałem tasiemki, starając się powstrzymać drżenie rąk – mogłem się założyć, że nie zawiera dobrych informacji. Rzeczywiście, nie zawierała. Chodziło o kolejny atak, tym razem na leżącą niedaleko stolicy wieś Czernogołówka. Scenariusz był niemal identyczny jak poprzednio: w ataku zginęło wielu mieszkańców wioski, brakowało tylko doniesień o torturach i gwałtach. No nic, to tylko wstępny raport.

– Co o tym sądzicie, pułkowniku? – zapytał Stalin.

Głos miał spokojny, ale mimo to drgnąłem niczym smagnięty biczem. Czasem szept jest głośniejszy od krzyku. Instynktownie wyczuwałem zagrożenie, podobnie jak w czasie niedawnej rozmowy z Majką, zapewne lada moment Gławkom zadecyduje o celowości pozostawienia przy życiu niejakiego Razumowskiego.

– Wygląda to nienadzwyczajnie – przyznałem.

Słowa z trudem przechodziły mi przez ściśnięte gardło.

– Jednak – kontynuowałem – oni tracą punkty. Lada moment można się spodziewać, że znajdziemy zwłoki mężczyzny z portretu.

– Zwłoki? – zmarszczył brwi Stalin. – Myślicie, że go zlikwidują?

– Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości – zapewniłem.

– I co to nam da? Jednego dywersanta mniej? I czy w ogóle znajdziemy trupa? Co, jeśli wywiozą go gdzieś do lasu i zakopią? Albo, bo ja wiem...? Zabetonują?

– Bardzo wątpię. Po co mieliby ryzykować bez potrzeby?

– Wyjaśnijcie. Ze wszystkimi szczegółami.

– Nie znam dokładnych liczb, ale w Moskwie codziennie umiera pewnie ze sto pięćdziesiąt, może dwieście osób. O ile nie więcej. Śmiercią naturalną, w wypadkach, na skutek chorób... Oni nie muszą chować zwłok, wystarczy, że uniemożliwią nam identyfikację: zniekształcą twarz, może dłonie. Coś takiego zdarza się i normalnie, na

przykład w wyniku wypadków samochodowych czy pożarów. Nikt się nie zdziwi. Czy raczej nie zdziwiłyby się, bo wszystkie kostnice zostały już uprzedzone, żeby natychmiast meldować o takich przypadkach. Oczywiście – przyznałem z ociąganiem – mogą zalać trupa betonem czy zakopać w lesie. Jednak to trudne i ryzykowne. Ze względu na konieczność budowy obiektów wojskowych beton jest obecnie surowcem strategicznym i trudno zdobyć choćby worek cementu. Sporządzenie betonu też nie jest takie proste, ja bym na przykład nie potrafił. A mamy przecież do czynienia z wyszkolonymi żołnierzami, nie budowlańcami. Wywiezienie zwłok do lasu? Niby można, ale rzecz nie jest łatwa. Patrole, konieczność sporządzenia dokumentacji pozwalającej na wyjazd z miasta... A żaden papier nie zabezpieczy przed sprawdzeniem bagażnika lub ładunku, o ile trafi się jakiś dociekliwy kontroler. Wątpię – zakończyłem.

– Jaki więc scenariusz przewidujecie? Bo to nie może ciągnąć się w nieskończoność, sytuacja jest na krawędzi wybuchu!

– Nie mogę zagwarantować, że to będzie ostatni atak, jednak na pewno jeden z ostatnich.

– A to niby dlaczego?!

– Ze względu na ten portret – powiedziałem. – Teraz wszystko im się posypie. Jeśli zabiją swojego kumpla i znajdziemy ciało, być może uda nam się coś wywnioskować, nawet jeżeli zwłoki będą zmasakrowane. Gdyby jakimś cudem go oszczędzili, będzie musiał się ukrywać, a wtedy ogłosimy, że działa grupa dywersantów w przebraniu naszych żołnierzy, nie wspominając, rzecz jasna, że to mundury NKWD, i poinformujemy, że rozpoznany bandyta został zlikwidowany przez swoich. Nawet jeśli nie wszyscy z nich w to uwierzą, narobimy im kłopotu. Prędzej czy później któryś pęknie. Do tego oni robią się coraz zuchwalsi: dawniej zabijali niemal wszystkich, którzy mogli ich rozpoznać. Prawdopodobieństwo, że będzie można sporządzić kolejne portrety pamięciowe, wzrasta z każdym kolejnym atakiem.

– Przecież i wcześniej pozostawiali przy życiu ludzi, którzy ich widzieli! A mówiliście, że śledztwo przeprowadzono bezbłędnie!

Westchnąłem głęboko i w oględnych słowach spróbowałem wytłumaczyć towarzyszowi Stalinowi, dlaczego niektóre ofiary przestępstw nie są w stanie opisać napastników. Na przykład w sytuacji, kiedy na ich oczach zabito bliskich, poddano ich torturom lub zgwałcono. Albo wszystko naraz...

– I nic się z tym nie da zrobić? Może trzeba było leczyć i uspokajać tych ludzi, zamiast straszyć?! I dopiero później wypytywać?!

Możliwe. Szkoda, że NKWD na to nie wpadło... Zaraz, zaraz: leczyć? Tak, to może się udać...

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że ostatnie zdanie wypowiedziałem na głos, bezceremonialnie przerywając tyradę Gławkoma.

- Przepraszam, nie chciałem...
- Stalin powstrzymał mnie gestem.
- No, gadajcie! Coście tam wymyślili?!
- W zasadzie to wy podsunęliście mi ten pomysł – sprostowałem. – Nie wiem, czy zadziała, ale nie zaszkodzi spróbować.
- Mianowicie?
- Lekarze nic tu nie poradzą, to dolegliwości psychiczne. W takich wypadkach następuje coś, co nazywa się wyparciem: człowiek usiłuje zapomnieć o wydarzeniach, które wywołują bolesne skojarzenia. Do tego dochodzi stres, stąd nawet zeznania świadków, którzy sami nie doznali krzywdy, są bardzo nieprecyzyjne. Jednak te wspomnienia nadal istnieją i mózg może je przywołać, mimo że są one niedostępne dla świadomości. Gdyby ofiary zbadał dobry psychiatra albo neurolog... Słyszałem też, że czasem pod wpływem hipnozy ludzie opisują zdarzenia, o których dawno zapomnieli. Jeśli się nie powiedzie, to trudno, ale być może damy radę ustalić wygląd kolejnych bandytów.
- Być może?
- Znam pewnego neurologa, przed rewolucją uważano go za jednego z najwybitniejszych rosyjskich naukowców – poinformowałem.
- Będzie w stanie nam pomóc?
- Trudno powiedzieć, ale tak czy owak trzeba wprowadzić w sprawę jakiegoś fachowca. Jeśli Nikonow sam nie da rady, to może chociaż zarekomenduje jakiegoś psychiatrę czy kogo tam będzie trzeba. Jest tylko jeden problem...
- Tak?
- On walczył po stronie Kołczaka i odsiedział za to kilka lat. Organizował szpitale polowe.
- Kilka lat za Kołczaka?!
- Rozumiecie, towarzyszu... – Odchrząknąłem niepewnie. – Podobno znaleźli się ludzie, którzy stanęli w jego obronie. Nikonow kazał leczyć naszych rannych na równi z białogwardzistami.
- Można mu ufać?
- Tak, w zeszłym roku pomagał nam w sprawie kanibali.
- No proszę...
- Za wiedzą i zezwoleniem towarzysza Berii – dodałem szybko.
- W takim razie nie widzę powodu, żeby nie skorzystać z pomocy tego kołczakowca. Cóż, zobaczymy, jak zadziała ten wasz pomysł.
- Nic się nie stanie, nawet jeśli nie wypali – zapewniłem.
- Chyba niezbyt dobrze wychodzi wam prawienie komplementów. Nie macie z tego powodu problemów z kobietami?

Stalin sięgnął po tytoń, obrzucając mnie wyraźnie rozbawionym spojrzeniem.

Powoli, z wysiłkiem nabił fajkę; jego dłonie pokryte brązowymi plamami drżały przy każdym ruchu. Zaciągnął się, przymykając z zadowolenia oczy.

– Bo gdyby na waszym miejscu siedział choćby taki Ławrentij Pawłowicz – podjął po chwili – zdążyłby zapewnić mnie ze trzy razy, że pomysł był mój i że jest absolutnie genialny.

– Ja...

– Nie, nie tłumaczcie się! To tylko żart. Więc jak to jest z tymi kobietami?

– Bywa – przyznałem z uśmiechem.

– Nie „bywało”, a „bywa”? I jakaż to kobieta przysparza wam obecnie trosk? Bo poprzednio chyba nie wybraliście zbyt dobrze?

Wzdrygnąłem się, spojrzawszy w oczy Stalina: błyszcząły niczym ślepia polującego tygrysa. No, no, pogratulować, towarzyszu Razumowski, daliście się nabrać jak dziecko, przez chwilę uwierzyliście w odgrywaną przez Gławkoma rolę dobrego wujka! I teraz za to zapłacicie...

– Rzeczywiście – potwierdziłem, spuszczać wzrok.

– Tylko tyle macie do powiedzenia?

– Nie wiem, co was interesuje...

– Pytałem, jaka kobieta martwi was w tej chwili? Bo Natasza Aleksandrowna Pokrowska nie stwarza już zagrożenia ani dla was, ani dla państwa.

Z trudem przełknąłem ślinę: fakt, że Stalin zna personalia mojej byłej kochanki, przestraszył mnie nie na żarty. Widać studiował moje akta, a to z kolei dowodziło niezbitcie, że jest zainteresowany osobą pewnego podpułkownika *wojennej rozwiadki*...

Co robić, do cholery? Co robić?! Najważniejsza sprawa to ustalić, co wie na mój temat. Tylko jak? Przecież go nie przesłucham? A jeśli kazał mnie śledzić...

– Martwi to za dużo powiedziane – odparłem po chwili. – Istotnie, spotykam się z pewną kobietą, córką jednego z byłych białogwardzistów, którzy obecnie szkolą Smiersz. Robię to w zasadzie z waszego polecenia...

– Ach tak? A cóż takiego wam poleciłem? Rozumiecie: człowiek się starzeje i pamięć już nie ta...

– Otrzymałem przecież rozkaz nadzorowania instruktorów Smiersza – odparłem z wymuszoną swobodą. – Tych z przedrewolucyjnymi korzeniami – nieświadomie użyłem zwrotu, jakim posłużył się Majko. – Więc nadzoruję...

– I jakie wnioski?

– Jeśli chodzi o kwestie dotyczące ich fachowości, to nie mam żadnych zastrzeżeń. Poziom, jaki prezentują, to ekstraklasa.

– A politycznie?

– Trudno powiedzieć...

– A jednak?

– Majkowska, ta, z którą się spotykam, pracuje jako historyk na uniwersytecie Łomonosowa. Nie zauważyłem u niej żadnej niechęci do władzy radzieckiej. Raczej koncentruje się na przewyciężaniu problemów, jakie sprawia jej pochodzenie.

– I jak sobie daje radę? Z tymi problemami?

– Całkiem nieźle. Pozwala korzystać z efektów swojej pracy niejakiemu Łobanowskiemu, a ten chroni ją od nieprzyjemności na uczelni.

– Łobanowski, Łobanowski... – zmarszczył brwi Gławkom. – Słyszałem gdzieś to nazwisko.

– To znany autor opracowań o Moskwie i Leningradzie – wyjaśniłem. – Tak naprawdę napisała je Majkowska.

– A to łobuz! – roześmiał się Stalin. – Niedawno dostałem od niego książkę z dedykacją! Więc dziewczyna jest nie tylko ładna, ale i bystra. Bo jest ładna, prawda?

– Owszem...

– Mam nadzieję, że dzięki temu obowiązek, a myślę tu o kontrolowaniu instruktorów, nie wydaje się wam aż taki ciężki?

Milczałem. Przecież nie będę przekomarzał się z jednym z najpotężniejszych, a może i najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Nie ta kategoria wagowa. A i moment jakby nieszczególny: kolejny atak tajemniczych dywersantów z pewnością nie wprawił towarzysza Stalina w szampański humor.

– Wiecie, czym zwróciliście moją uwagę, Razumowski? – spytał niespodziewanie Stalin.

– *Nikak niet, towariszcz Gławnokomandujuszczij!*

– Skutecznością – poinformował, czyszcząc fajkę. – Najwyraźniej macie słabość do bab, ale dopóki jesteście skuteczni, nie ma to najmniejszego znaczenia. Wracając do tematu: czego wam potrzeba, żeby doprowadzić sprawę do końca? Nie muszę chyba dodawać, jakie znaczenie ma czas?

– Pozwólcie mi zrobić wszystko po swojemu – poprosiłem. – W tej Czernogółowce. Bez NKWD. Niech czekać szukają napastników, nie mam nic przeciwko temu, ale przesłuchania i zabezpieczenie śladów zostawcie *wojennoj razwiedce*.

– Rywalizacja to rzecz godna podziwu, jednak w tej sytuacji jest raczej nie na miejscu – zauważył.

– Nie chodzi o rywalizację, a przynajmniej nie tylko o rywalizację. Nadal podtrzymuję zdanie, że śledztwo zostało przeprowadzone profesjonalnie, jednak sam fakt, że robili to ludzie komisarza Berii, mógł wpływać negatywnie na jego przebieg. Wyobraźcie sobie, jak reagowali świadkowie na śledczych z NKWD, zeznając w sprawie zbrodni dokonanych przez ludzi w mundurach tej samej instytucji...

– Uważacie, że odważyliby się coś zataić?

– Raczej przemilczeć ze strachu – poprawiłem. – To prości ludzie, skąd mogli

wiedzieć, czy śledczy nie są w zмовie z dywersantami?

– No dobrze, Razumowski, niech wam będzie. W sprawie Czernogołowki macie wolną rękę. Jednak jeśli wasze metody nie przyniosą wymiernych rezultatów... – zawiesił znacząco głos.

– Rozumiem – odparłem ponuro.

– Mam nadzieję, że rozumiecie. Naprawdę mam nadzieję...



Zerknąłem na zegarek: dochodziła północ. Za dwie godziny wyjazd do Czernogołowki. Generał Iliczow poparł w pełni moją inicjatywę, przydzielił ludzi i transport. Dowodziłem liczącą kilkadziesiąt osób grupą operacyjną, do której włączyłem też Nikonowa i Szewieliewą. Czernogołowka... Jeżeli nie znajdziemy jakiegoś konkretnego tropu, przyjdzie mi odpowiadać przed Głównodowodzącym. Osobiście. Być może pociągnę za sobą i innych, nie ulega bowiem wątpliwości, że jakby co, komisarz Beria zatroszczy się o moich przyjaciół. Na swój sposób...

Tymczasem jednak musiałem załatwić inną, kto wie czy nie pilniejszą sprawę. Czas było upewnić się, że Roza Pankratowa nie zostanie wplątana w aferę Fomienki. Co prawda czekiści pracowali w takich wypadkach według sprawdzonego od wielu lat schematu i raczej nie szukali dowodów niewinności oskarżonego, ale nie mogłem ryzykować, że gdzieś wypłynie moje nazwisko.

Podszedłem do drzwi, ostrożnie wsunąłem klucz w zamek, przekręciłem dwa razy. Drzwi stanęły otworem. Odcisk klucza zrobiłem już dawno, w czasie mojej pierwszej wizyty u Rozy. Stąpałem tuż przy ścianie: podłogi w mieszkaniu Pankratowej pokryte były drewnianymi parkietami, najwięcej skrzypiących klepek jest zazwyczaj w centrum pomieszczenia.

Przymknąłem oczy, wsłuchałem się w ciemność. Początkowo słyszałem tylko tykanie ściennego zegara – o ile pamiętałem, znajdował się w salonie – później doszedł do tego odgłos kapiącej z kranu wody, wreszcie cichutkie posapywanie. Roza spała. Jak się wydawało, sama. Jej służąca mieszkała w „komunałce” dwa domy dalej.

Nacisnąłem klamkę, zaskrzypiała lekko. Miałem ze sobą buteleczkę oleju do konserwacji broni – na wszelki wypadek, ale wolałem go nie używać. A nuż ktoś zauważy? Zostawianie śladów to ostatnie, na czym mi zależało...

Roza leżała na wznak, z rozrzuconymi na boki jak u małego dziecka rękoma. Opadłem na czworaki i centymetr po centymetrze zacząłem przybliżać się do łóżka. Wskazującym palcem dotknąłem jej skroni, znalazłem odpowiedni punkt. Nie oszukiwałem się: to nie było zabójstwo w walce, nawet nie egzekucja na wrogu,

miałem zamiar popełnić morderstwo.

Mauser Westentaschenpistole to niewielka, kieszonkowa broń z lekko chodzącym spustem. By go nacisnąć, potrzeba ułamka sekundy. Mimo to obudziła się, zanim zdążyłem to zrobić. Być może zaalarmował ją dotyk zimnej stali? A może przecucie albo zwierzęcy instynkt? Poczulem gorzką woń strachu i Roza spojrzała mi w oczy. Unieruchomiłem jej głowę, strzeliłem. Huk nie był zbyt głośny, dlatego właśnie wybrałem broń kalibru 6,35. Mauser WTP to zabawka o mocno ograniczonej skuteczności, z bardzo słabymi nabojami Browninga, ale przy strzale z przyłożenia nie ma to wielkiego znaczenia. Nie ma to żadnego znaczenia... Roza umarła momentalnie.

Włożyłem jej pistolet w dłoń, tak żeby znalazły się na nim jej odciski palców, później rzuciłem go na dywan. W chwili śmierci mięśnie natychmiast wiotczeją: żaden samobójca nie jest w stanie utrzymać broni.

Zdjęcie męża Pankratowej znalazłem na stoliku, tuż obok lampki nocnej. Położyłem je na kołdrze i wyszedłem, zamykając za sobą drzwi. Rękawiczki chirurgiczne wyrzuciłem dwa kwartały dalej, złapałem transport na dworzec. Mimo że noc była chłodna i deszczowa, przez cały czas czułem zapach gorzkich perfum.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

W posępnym milczeniu oglądałem zwłoki, dziesiątki zwłok. W Czernogołowce zginęły sto czterdzieści cztery osoby. Starcy, kobiety, dzieci... Ci, co przeżyli – dywersanci otoczyli tylko część wioski – niczego nie widzieli: rzucili się do ucieczki na odgłos pierwszych strzałów. Żadnych świadków, żadnych śladów, tylko trupy.

Moja ekipa przeszukała dokładnie cały teren, sporządziła opis każdego ciała i miejsca, gdzie je znaleziono, dokonała dokumentacji fotograficznej... Tyle że nic mi to nie dawało: większość ofiar została zastrzelona, kilka zakłutych bagnietem. Tym razem nie było żadnych gwałtów ani tortur. Dlaczego?

– Doktorze? – zwróciłem się do Nikonowa. – Co o tym sądzicie?

– Pierdolone zwierzęta! Ot, co o tym sądzę! – wybuchnął medyk.

– O zabitych – doprecyzowałem z westchnieniem. – Widzicie coś niezwykłego?

– Ni cholery!

– Nie wszystkie zwłoki jeszcze przynieśli – zauważyła Elena. – Zostało kilka z zabudowań pod samym lasem. Robią tam jeszcze zdjęcia.

– Dużo nam to da! – burknąłem. – Założę się, że...

Skrzypnęły drzwi, do sali weszli żołnierze z noszami. Prowizoryczną kostnicę zorganizowaliśmy w miejscowej remizie.

– Co tam? – spytałem.

– Jeszcze piątka – zameldował mężczyzna w mundurze porucznika. – To już wszyscy.

Nakazałem mu gestem kontynuować, sam stanąłem w kącie, zapaliłem. Tymczasem żołnierze ściągali ubrania ze zwłok, sprawdzali kieszenie, po czym

wkładali rzeczy zmarłych do specjalnych worków. Pracowali spokojnie i metodycznie, mimo że robota nie należała do najprzyjemniejszych. Cóż, *wojennaja razwiedka* to elita. Tu nie toleruje się słabości. Na powitanie kandydaci do GRU muszą przejść test, przy którym ten ze szczurem jest banalny niczym herbatka u cioci. Instruktor prowadzi kursantów w las, każdy z nich może mieć przy sobie tylko nóż i kawałek drutu. Później pokazuje im się, jak zastawić sidła. Tylko raz. I zostawia samych. Ci, którzy w ciągu doby nie złapią zająca, odpadają. Później wszyscy spotykają się na polanie. Instruktor każe im zabić zwierzaka bez użycia broni, uderzeniem głowy o drzewo. Potem muszą powiesić go za zadnie nogi, ściąć głowę nożem i wypić tryskającą z rany krew. Co do kropelki...

– Gotowe! – poinformował porucznik.

Zgasiłem niedopałek i podszedłem do zwłok ułożonych na wyszabrowanych z pobliskiej szkoły ławkach. Nos zakrywałem nasyconą mentolem chusteczką. Mimo że nie widać było jeszcze oznak rozkładu, w pomieszczeniu śmierdziało. Cóż, zwierzace to też mięśnie i w chwili śmierci wiotczą... Na razie sanitariusze zdołali umyć jedynie część ciał, przede wszystkim zajmowali się katalogowaniem ran. Nie żeby odkryli coś nadzwyczajnego, ofiary zabijano w sposób świadczący o tym, że nie stawiały żadnego oporu: jeden, dwa strzały w klatkę piersiową, kontrolny w głowę. Tylko kilka nosiło ślady po bagnietach. Czort wie dlaczego. Może próbowali walczyć, a może napastnicy chcieli się po prostu zabawić... Rzecz wymagała dokładniejszych badań.

– Pułkowniku! – odezwał się ostro Nikonow. – Podejdźcie tu.

– Co znowu?

– Zerknijcie na tych dwoje.

Zerknąłem. Mężczyzna miał chyba ze czterdzieści ran postrzałowych, obrażenia wskazywały, że bito go też kolbami i kopano.

– Ki czort? – mruknąłem. – To nie wygląda na tortury.

– Rzeczywiście – przyznał lekarz. – Raczej na zemstę. Zastrzelili go, później jeszcze tłukli...

– A za co?

– Może im się stawiał? – wtrąciła Elena.

– Enkawudzistom? I jak? Gołymi rękoma?

– A jeśli miał jakąś broń? – powiedziała niepewnie.

– Zobaczymy.

Przeszedłem dalej. Kobieta miała pewnie pod trzydziestkę, choć skorupa krwi pokrywająca twarz utrudniała określenie wieku. Jej ramiona nosiły ślady dziesiątek cięć – widać było, że broniła się przed nożem, do tego dochodziły rany postrzałowe i siniaki.

– Musiała walczyć jak wściekła – stwierdził ze zdziwieniem Nikonow.

- Gdzie ich znaleziono? – zwróciłem się do porucznika.
- Faceta niedaleko stodoły, kobietę wewnątrz.
- Ustalono ich tożsamość?
- Tak. – Mężczyzna spojrzął do notatek: – To Dymitr i Lena Kuzniecownicy.
- Małżeństwo?
- Owszem, mieli dwójkę dzieci, chłopaków: siedem i pięć lat.
- Dzieciaki też zginęły?
- Nie mam ich w spisie. Może nie było ich na miejscu? Maluchy ze wsi często bawią się w lesie.
- Ustalcie to jak najszybciej, a teraz pokażcie zdjęcia – poleciłem.
- Tak jest!

Pierwsza fotografia przedstawiała martwego Dymitra Kuzniecowa: leżał tuż przed wejściem do stodoły. Ziemia wokół zryta była ciężkimi buciorami, w trawie walały się łuski po nabojach.

Wyciągnąłem rękę po kolejne zdjęcia. Te ukazywały poszczególne elementy w przybliżeniu: ciało, ślady butów, łuski.

- Coś mi tu nie pasuje – mruknąłem.
- Co takiego? – uniósł brwi Nikonow.
- On chyba rzeczywiście próbował walczyć, widzicie te dwie łuski? To amunicja myśliwska, nie bojowa. Na dzika, może jelenia. Nie znam się na tym. Pozostałe są po nabojach do mosina i pepeszy.

– I cóż w tym dziwnego? Przecież w stodole chowała się jego żona, a wiecie, co te bydlaki robią z kobietami! Założę się, że i on się domyślił!

- Nie, nie tym razem.
- Nie rozumiem?
- Zwróćcie uwagę na jej rany, to nie są obrażenia typowe dla ofiary gwałtu.
- Może nie zdążyli jej zgwałcić albo stracili ochotę?! – prychnął gniewnie medyk.
- Jeśli Kuzniecowa któregoś postrzelił? A i ona nie czekała, aż się ustawią w kolejkę. Widać, że się broniła!

Bez słowa pokręciłem głową.

- Nie broniła się. Atakowała – sprostowałem.
- Atakowała?! Kilkunastu uzbrojonych ludzi? W mundurach NKWD?!
- Na to wygląda. Zobaczcie. – Wskazałem zwłoki. – Ma na sobie bieliznę, żadnych siniaków na piersiach czy udach. Zobaczmy twarz...

Namoczoną w wodzie ściereczką usunąłem ślady krwi. Na obliczu zmarłej kobiety zastygł grymas determinacji zmieszanej z niemal zwierzęcą furią.

- Rzuciła się na nich, ledwo weszli do stodoły – powiedziałem pewnie. – I raczej nie martwiła się o swoją cnotę.
- Więc o co? – burknął Nikonow.

– Dawajcie zdjęcia ze stodoły! – zwróciłem się do porucznika.

Kobieta leżała na boku w czerwonej od krwi sukience. Tuż obok widać było widły. I łuski, dużo łusek. Zakląłem, oglądając fotografię wideł, trudno było stwierdzić, czy plamy na ostrzu to krew.

– Trzeba to zbadać na miejscu – zdecydowałem. – Idziemy!



Stodoła była ogromna, światło elektrycznych latarek wydobywało z ciemności jakieś rupiecie, narzędzia rolnicze i części maszyn. Stryzek wypełniony był sianem. Prowadząca na górę drabina trzeszczała i chwiała się przy najmniejszym ruchu. No nic, jakby co, jest ze mną lekarz... Podłogę strychu zrobiono z nieheblowanych, kiepsko dopasowanych desek, szpary pomiędzy nimi miały po kilka centymetrów. Rozejrzałem się wokół: nic ciekawego, wyryte w sianie dziury świadczyły, że bawiły się tu jakieś dzieciaki. Normalna sprawa – sam jako dziecko spędziłem niejeden dzień na zabawach w stodole. Nie ulegało wątpliwości, że można się tu było dobrze schować. Taaak, ciekawe.

Zszedłem ostrożnie, jeszcze raz obejrzałem widły. Były zapaprane krwią niemal po nasadę. Jeśli ktoś zarobił tym w wątrobę, nie wróżyłem mu długiego życia.

– Zawołajcie miejscowego milicjanta – rozkazałem.

Jeden z żołnierzy natychmiast ruszył wypełnić moje polecenie.

– I jakie wnioski? – spytał Nikonow, zapalając papierosa.

– W zasadzie wszystko jasne. – Wzruszyłem ramionami. – Problem w czym innym: nie bardzo wiem, jak rozmawiać z dziećmi.

– Z dziećmi?!

– Jeszcze nie rozumiecie? Chłopaki Kuznieców bawili się w tej stodole. Kiedy rozległy się strzały i stało się oczywiste, że napastnicy nie są zwykłym oddziałem NKWD, oni myśleli tylko o dzieciach. Kuzniecowie... Ta część wioski została otoczona, żadnych szans na ucieczkę, więc facet złapał strzelbę i pobiegł z żoną do stodoły. To był pewnie jeden z pierwszych przeszukiwanych budynków, bo akcja ruszyła od strony lasu w kierunku drogi dzielącej wioskę na dwie części. Tak, żeby zagonić ewentualnych uciekinierów prosto pod lufy zabezpieczających szosę żołnierzy.

– Bandytów, nie żołnierzy! – poprawił z naciskiem Nikonow.

– Niech wam będzie: bandytów. Oni nie spodziewali się oporu, więc Kuznieców któregoś trafił, dlatego tak go zmasakrowali. Kiedy weszli do stodoły, widłami zaatakowała ich jego żona. Zostali zaskoczeni po raz drugi, nie myśleli o gwałcie,

tylko jak przeżyć... Pewnie skotłowali się u wejścia i w ciasnocie użyli noży, zanim któryś poszedł po rozum do głowy i zaczął strzelać. To musiało trwać kilka, góra kilkanaście sekund. Później ją wykończyli. Tylko że w efekcie mają przynajmniej dwóch zabitych albo ciężko rannych i muszą coś z tym zrobić. Założę się, że tego nie przewidzieli. Dlatego tak szybko się stąd zabrali, dlatego nie było tortur ani gwałtów. Po prostu dokończyli robotę i uciekli.

– Idzie milicjant – poinformowała Elena.

Milicjant co prawda bardziej biegły, niż szedł, widać zaniepokoiła go wizyta pułkownika *wojennoj razwiedki*. No i nic dziwnego, ja na jego miejscu także byłbym zaniepokojony. Co prawda nie mógł w żaden sposób zapobiec masakrze – w chwili ataku nie było go w wiosce – ale gdybym szukał kozła ofiarnego, nadałby się jak znalazł.

– Sierżant Tokariew melduje się...

– Dzieciaki Kuzniecowa żyją? – przerwałem mu bezceremonialnie.

– Tak – odpowiedział bez namysłu. – Są teraz u babki Anastazji. To taka miejscowa zielarka – dodał wyjaśniająco.

Przyjrzałem mu się uważniej: korpulentny, o okrągłej, dobrodusznej twarzy, mimo kojarzącego się z bronią nazwiska nie wyglądał zbyt bojowo. Jednak w jego oczach dostrzegłem błysk żywej inteligencji. Może nie był tytanem intelektu, ale z pewnością nie idiotą. Dzięki Bogu i za to – potrzebowałem pomocy sierżanta Tokariewa.

– Profesorze, jak z nimi gadać? – zwróciłem się do Nikonowa. – Tak, żeby opowiedzieli mi wszystko, co wiedzą?

– Nie jestem psychologiem i nigdy nie zajmowałem się dziećmi – zastrzegł się medyk.

– Jakież wskazówki, cokolwiek! – ponagliłem.

– Nie możecie zapytać ich wprost, musicie czekać, aż sami zdecydują się mówić.

– W porządku. A nie można tego jakoś przyspieszyć? Sprowokować?

– Bo ja wiem? Gdyby to wypłynęło podczas zabawy? – powiedział niepewnie.

– Przecież nie mogę się z nimi bawić w zabijanie mamusi! – warknąłem. – Tokariew! Czy oni się czymś szczególnie interesują? Może mają jakieś marzenia, ulubione zabawki czy zajęcia?

– Podobno starszy lubi rysować – odezwał się z namysłem milicjant. – Galina Pawłowna twierdzi, że jak na siedmiolatka, nawet nieźle mu to wychodzi.

– A Galina Pawłowna to...?

– Miejscowa nauczycielka – odparł z lekkim rumieńcem.

Nie skomentowałem zachowania sierżanta, fakt, że zapewne owa Galina była sympatią milicjanta, nie miał nic do rzeczy.

– Elena, masz przy sobie przybory? – rzuciłem szorstko.

– Jakie przybory?

- No, ołówki, pędzelki, farby i takie tam – wyjaśniłem niecierpliwie.
- Mam, miałam przecież pracować ze świadkami nad portretami tych bandziorów. Ale nie oddam ich dzieciakom! Wiecie, jak trudno dostać pędzelki z sierści borsuka?!
- Wziąłem głęboki oddech, mając zamiar wyjaśnić dokładnie kursantce Szewieliewej, gdzie mam jej pędzle, kiedy usłyszałem dyskretne chrząknięcie. To Tokariew usiłował zwrócić moją uwagę.
- Czego?!
- W szkole znajdują się chyba jakieś kredki – poinformowałem. – Na pewno ma je Galina Pawłowna, w końcu uczy dzieciaki rysunków.
- Idziemy do tej Anastazji, czy jak jej tam, a wy – poleciłem sierżantowi – zorganizujecie papier i kredki. Tylko na jednej nodze!
- Tak jest!



Zielarka Anastazja, starsza, przygarbiona kobieta o porytej głębokimi zmarszczkami twarzy, czaiła się w kącie izby, tuż przy ikonie przedstawiającej jakiegoś świętego. Odkąd wszedłem do chałupy, zdążyła przeżegnać mnie ze trzy razy. Zwariowała baba czy co? Najwyraźniej się mnie bała, choć obecność żołnierzy, Eleny czy Nikonowa bynajmniej jej nie niepokoiła. No nic, miałem większe problemy, cały czas obserwowałem dzieciaki. Widać było, że są braćmi: obaj niebieskoocy, o blond włosach i piegowatych buziach. Młodszy mazał tylko po kartce, starszy coś rysował. Wyglądali na zadbanych, świadczyły o tym czyste ubranka i porządne skórzane buty. Rodzice musieli się o nich troszczyć... Obaj sprawiali też wrażenie, że widzieli coś, czego dzieci widzieć nie powinny. Pięciolatek wpatrywał się szklanym wzrokiem w przestrzeń, pokrywając papier czarnymi, kreślonymi nerwowo bohomazami, starszy nachylił się nad kartką tak, że nie mogłem zobaczyć, co rysuje. Wreszcie wyprostował się, odsłaniając całkiem udany szkic pistoletu.

- Ładny – pochwaliłem.
- Nie odpowiedział, choć spojrzął na mnie przez chwilę. Sięgnąłem po broń, wyjąłem magazynek, sprawdziłem komorę nabożową i położyłem pistolet na stole.
- Możesz go dotknąć – zachęciłem.
- Powoli, z wahaniem wyciągnął dłoń, pogłaskał lufę.
- Umiesz strzelać, wujku? – spytał.
- Mówił cichym, przytłumionym głosem, brzmiącym, jakby dochodził zza ściany.
- Umiem.
- Zabijałeś złych ludzi?

- Tak.
- Bardzo złych?
- Ludzie, których zabijałem, krzywdzili niewinnych albo moich przyjaciół – wyjaśniłem łagodnie. – Musiałem ich powstrzymać, żeby więcej tego nie robili.
- To bolało?
- Co takiego?
- Jak ich zabijałeś.
- Tak – przyznałem. – To boli.
- Zabijesz tych, którzy skrzywdzili moją mamusię i tatusia? Tak, żeby ich bolało?
- Zrobię to – obiecałem.

Babka Anastazja przeżegnała mnie po raz kolejny.

- Mam pieniądze – poinformował chłopiec, przypatrując mi się intensywnie. – I on – wskazał brata – też ma. Zbieraliśmy na rower. Tatuś mówił, że jak coś ma być dobrze zrobione, to trzeba za to zapłacić. Zapłacimy ci, wujku.

– Twój tatuś miał rację – odparłem. – Ale nie musicie mi płacić. Zabiję ich dla was za darmo.

- Nie. – Pokręcił stanowczo głową. – Zapłacimy ci.

Wziął brata za rękę i obaj wybiegli z chałupy.

– Idźcie za nimi – rozkazałem milicjantowi. – Przypilnujcie, żeby nic im się nie stało.

Tokariew z posępną miną ruszył w ślad za chłopcami. Nie było ich z pięć, może dziesięć minut. Czekaliśmy w ciszy przerywanej jedynie mamrotaniem zielarki Anastazji. Babina przez cały czas mruzczała jakieś modlitwy. Wreszcie trzasnęły drzwi i dzieciaki stanęły przede mną, nadal trzymając się za ręce.

- Proszę – powiedział starszy, wręczając mi pieniądze. – To wszystko, co mam.

Na moją dłoń posypały się drobniaki, odruchowo przeliczyłem bilon: dokładnie rubel. Młodszy chłopiec dał mi pięćdziesiąt kopiejek.

– Wystarczy? – spytał niepewnie. – Nie mam tyle pieniędzy co Wańka, bo w zeszłym tygodniu kupiłem cukierków na targu...

- W zupełności!

– Na pewno zabijesz ich, wujku? – upewnił się starszy Kuzniecowa.

– Tak jak obiecałem. Tylko musicie mi opisać, jak wyglądali, bo widzieliście ich, prawda?

- Tak – odpowiedział. – Widzieliśmy wszystko...

Po chwili Elena siedziała już przy stole, szkicując portrety morderców. Stałem przy oknie, zapaliłem papierosa. W kieszeni czułem ciężar otrzymanych od chłopców drobniaków, przypominały mi o złożonym przyrzeczeniu. Nie raz i nie dwa wykonywałem dodatkowe i nie zawsze legalne zlecenia, choć przeważnie płacono mi za nie dużo więcej. Nigdy też moimi klientami nie były dzieci. Niemniej jednak

miałem zamiar dotrzymać słowa: dopadnę i zlikwiduję wszystkich, którzy zabili małżeństwo Kuznieców. I zatroszczę się, żeby nie mieli lekkiej śmierci. W końcu wzięłem za to pieniądze.



Sierżant Tokariew wprawnym ruchem rozbił kolejne jajko, posolił. Na patelni obok dochodziły pieczone kartofelki, wokół rozchodził się smakowity zapach smażonej wędzonki. Jeśli milicjant jest równie dobrym śledczym co kucharzem, mieszkańcy okolicznych wiosek mają szczęście.

Zastanawiałem się, czy nie wrócić do Moskwy jeszcze tego samego dnia, nic nas już nie trzymało w wiosce: Elena sporządziła podobizny dwóch napastników, mieliśmy też ogólny opis trzech innych, ale mieszkańcy Czernogółowki poprosili nas o pozostanie na noc. Zgodziłem się od razu, niespecjalnie mi się spieszyło, żeby stanąć przed Berią czy towarzyszem Stalinem. Rozumiałem też miejscowych – ludzie nie otrząsnęli się jeszcze po masakrze, czuli się zagrożeni. Obecność kilkudziesięciu żołnierzy dawała im poczucie bezpieczeństwa, tym bardziej że widzieli wystawione wokół wioski posterunki. Nie sądziłem, żeby dywersanci powrócili w to samo miejsce, ale nie miałem zamiaru ryzykować. Jeśli postanowią dokończyć dzieła, spotka ich gorące przyjęcie...

Wolni od służby żołnierze rozlokowali się w chałupach, choć, jak zauważyłem, nie zaniechali ostrożności i przyjmowali gości w liczących przynajmniej trzy osoby grupach. Cóż, wszyscy byli weteranami, bili się nie tylko na froncie, ale i na tyłach wroga, nieustanna gotowość do odparcia niespodziewanego ataku stała się ich drugą naturą. Dlatego jeszcze żyli.

– Czym chata bogata! – powiedział Tokariew, stawiając z trzaskiem dymiącą patelnię na stole.

Milicjant sam zaproponował mi gościnę, zaprosił też Nikonowa i Elenę. Nie miałem nic przeciwko odrobinie luksusu: chałupa sierżanta należała do najbardziej okazałych.

– Wiecie, *komandir*, że Anastazja uważa was za siłę nieczystą? – odezwała się z rozbawieniem Szewieliewa.

– Zauważyłem, że próbowała mnie egzorcyzmować – odburknąłem.

– W jej oczach pewnie wszyscy komuniści to wysłannicy szatana – zauważył Nikonow.

Spojrzałem na niego ostro: czyżby mało mu było odsiadki za Kołczaka? Jeszcze tego brakuje, żeby nasz gospodarz poleciał gdzieś z donosem.

– Spokojnie, nie jestem członkiem partii – odparł Tokariew. – Poza tym tu, na prowincji, jesteśmy bardziej tolerancyjni w sprawach politycznych.

No proszę, natychmiast zorientował się, w czym rzecz. Po raz kolejny skonstatowałem, że jest zadziwiająco bystry, jak na wiejskiego milicjanta.

– Od dawna tu pracujecie? – spytałem, żeby zmienić temat.

– Zacząłem dwa lata temu. Po studiach, a skończyłem wydział prawa, dostałem skierowanie do Moskwy, ale przeszkodziła mi drobna sprzeczka z miejscowym sekretarzem partii.

– O co poszło? – zainteresowała się Elena.

– Zaczął się zalecać do Galiny Pawłowny w dość obcesowy sposób. W końcu doszło do tego, że przyłożyła mu żelazkiem, a ja poprawiłem...

No, no... Znaczy chłop z jajami, choć nie wygląda na takiego. Jak widać, pozory mylą. Podskoczyć szefowi miejscowej organizacji partyjnej to nie byle co.

– Mieliście szczęście – stwierdziłem. – Mogliście trafić dużo gorzej.

Przez chwilę słychać było tylko szcęk sztućców, wreszcie Tokariew sięgnął po wódkę.

– Ojciec Galiny był generałem, pozostały mu pewne... znajomości – powiedział, rozlewając alkohol.

Ja i Nikonow dostaliśmy po pełnej szklance, sobie i Elenie odmierzył dużo skromniej. No proszę, jeszcze do tego i pije umiarkowanie. Prawdziwy skarb z niego.

– Pewnie nie macie tu wielu problemów? Nie mieliście – poprawiłem się. – Do dzisiaj...

– I tak, i nie. Ludziska u nas spokojne, większość przestępstw nie wychodzi poza rozsądne granice: mordobicie, awantury po pijanemu, kłótnie rodzinne. Raz stary Griszczuk postrzelił babę pod remizą...

– Jak to postrzelił? – zmarszczyła brwi Elena. – Chciał ją zabić?

– Skąd! Polował na dziki, remiza jest niedaleko lasu i czasem zwierzaki wychodzą wprost pod drzwi. Było wcześniej rano, szarówka, a i Griszczuk nie ma już wzroku sokoła. Do tego rozgrzewał się chłopina bimbrem swojej roboty, tak że był już trochę nie tego...

– I co, przeżyła?

– A jakże! Dostała kaczym śrutem w dupę, bo okazało się, że Griszczuk w pośpiechu pomylił naboje. Ludzie nawet go za bardzo nie winili, bo baba ma zad jak czteroletnia kobyła, więc trudno było nie trafić, a miejscowy lekarz miał kupę uciechy z wyciąganiem śrucin, bo to miejsce operacji ciekawe...

Wybuchnęliśmy śmiechem, należała nam się odrobina odprężenia. Czasem warto oderwać się od rzeczywistości, szczególnie kiedy ta jest parszywa... O szyby zabębniły ciężkie krople wiosennego deszczu, bijące od kuchni ciepło i łagodny blask naftowej lampy stwarzały wrażenie przytulności. Nikt z nas nie chciał myśleć

o dokonanej w wiosce masakrze, o dywersantach czy dzieciach Kuznieców. Nie teraz.

– Ale? – podjąłem.

– Słucham?

– Rozumiem, że poza prozaicznymi problemami macie czasami i niezwykłe? – doprecyzowałem.

– Rzeczywiście – przyznał Tokariew. – Niedawno zabito u nas niejakiego Rumiancewa. Kilkanaście uderzeń nożem w brzuch...

– Może bez detali? – poprosiła Elena. – Nie przy jedzeniu.

– Niewiele więcej jest do powiedzenia. – Milicjant wzruszył ramionami. – Początkowo wszystko wydawało się proste: Rumiancew był pies na baby i wcześniej odbił dziewczynę Miszce Korfowi.

– Korf? Czy to nie niemieckie nazwisko?

– Niemieckie – potwierdził Tokariew. – Przodkowie Miszki sprowadzili się tu jeszcze w czasach Katarzyny Wielkiej. Nieważne. – Machnął ręką. – Grunt, że jego ojciec jest pierwszym sekretarzem okręgu.

– To ten wielbiciel Galiny Pawłowny? – upewniłem się.

– Tan sam... Rozumiecie więc, że musiałem działać ostrożnie, ale myślałem, że sprawa nie będzie skomplikowana: obaj Korfowie przyzwyczajeni są do tego, że dostają, czego chcą. A jeśli nie dostają, to się mszczą... Niestety, okazało się, że Miszka ma stuprocentowe alibi. W czasie, kiedy zamordowano Rumiancewa, uczestniczył w zebraniu partyjnym. Razem z ojcem. Widziało ich ze sto osób, w tym takie, które za nimi nie przepadają.

– A wy mieliście nadzieję, że nie tylko złapiecie mordercę, ale i porachujecie się przy okazji z Korfami? – stwierdziłem z rozbawieniem.

– Coś w tym rodzaju – mruknął niechętnie milicjant. – Nie dość, że Korfowie śmieją mi się w oczy, a jestem pewien, że są w to zamieszani, mam kolejny problem: pojawił się jakiś pociotek Rumiancewa i żąda natychmiastowego wykrycia mordercy. Facet ma układy w Komsomole, więc już trzy razy wzywano mnie na dywanik. Ostatnio zasugerowano, że jeśli w najbliższym czasie nie wykryję winnego, polecą mi belki z pagonów...

– Macie problem – przyznałem sucho.

Z lekkim stęknieniem podniosłem się zza stołu i wyciągnąłem na kanapie, przezornie zabierając ze sobą szklankę z wódką.

– Pomożemy mu? – zasugerowała Elena.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Jutro musimy być w Moskwie.

– Na zasadzie konsultacji. Można to przecież potraktować jako problem intelektualny, swego rodzaju zagadkę.

– Traktuj – przyzwoliłem.

Pociągnąłem kolejny łyk alkoholu, przymknąłem oczy.

– Teoretycznie rzecz biorąc, możliwe są dwie opcje – zaczęła z zapalem dziewczyna. – Albo zbrodni dokonano w afekcie, albo morderca chciał to zasugerować. Żeby kilkanaście razy uderzyć kogoś nożem, trzeba mieć solidny powód.

– Kiedy Korfowie mają alibi – jęknął sierżant. – I nie tylko oni. Sprawdziłem wszystkich ich koleśków i podwładnych, w sumie kilkadziesiąt osób, i nic!

– Jeśli są tacy wredni, jak twierdzicie, mógł to zrobić ktoś, kto nie miał nic do Rumiancewa, a chciał jedynie obciążyć Korfów – wtrącił Nikonow. – Zabijając w taki, a nie inny sposób, wskazał na młodego Korfa. Może liczył, że ten zostanie aresztowany? Wówczas i tatuś szybko straciłby stanowisko. Nie tolerowałiby w partii ojca mordercy.

– W takim razie jestem załatwiony, nigdy nie odnajdę winnego – odparł ponuro Tokariew. – Oni podpadli tyłu osobom, że przez dziesięć lat nie sprawdziłbym ich wszystkich.

– *Komandir?*

– Czego?

– A co wy o tym sądzicie?

– Nic specjalnego, nie znam ludzi ani terenu. Może zabiła go babka Agłaja? Skoro chciała mnie egzorcyzmować? A przecież w odróżnieniu od Rumiancewa nie podszczypałem nawet żadnej miejscowej dziewczynie.

– Anastazja – poprawił odruchowo milicjant.

– Jeden czort...

– Ona czasami zachowuje się dziwnie, ale nie ma jakiejś fiksacji na tle... obyczajowym. Chodzi raczej o wspomnienia z dzieciństwa.

– Tak? – spytałem bez specjalnego zainteresowania.

– Nie znam detali, rozumiecie, ona nikomu nic konkretnego nie powiedziała, czasem tylko rozmawia sama ze sobą... Podobno kiedy była małą dziewczynką, jeszcze za cara, do wioski, w której mieszkała, przybyło kilka osób. Jej rodzice ugościli wędrowców i położyli spać w stodole. Kiedy się obudziła, wszyscy byli martwi. Wszyscy. Z całej wioski przeżyła tylko ona. Twierdzi, że tamci mieli słodką krew i roztaczali specyficzną, ledwie uchwytną woń. Bełkocze, że zabijali w całkowitej ciszy, gołymi rękoma: łamali kręgosłupy, kruszyli kości, miażdżyli głowy, jakby posiadali siłę olbrzymów. Dlatego nikt nie podniósł alarmu. Słyszałem, jak mamrotała, że pachniecie tak samo. Stąd pewnie te egzorcyzmy...

– Słodka krew? – zainteresował się Nikonow. – Ciekawe. Jak myślicie, pułkowniku...

– Myślę, że wystarczy wam wódki na dzisiaj! – warknąłem.

Jeszcze tego brakuje, żeby pan profesor zaczął snuć domysły na temat wpływu, jaki

mogła mieć na mnie krew mistrza Doskonałych. Publicznie. Ot, naukowiec, psia jego mać!

– Przepraszam – wymamrotał medyk. – Chyba rzeczywiście przesadziłem. Mieliśmy zajmować się kłopotami naszego gospodarza, a nie miejscowymi zabobonami.

– Niech wam będzie – powiedziała Elena, obrzucając go podejrzliwym spojrzeniem. – Co sądzicie o całej sprawie, *komandir*?

– Bo ja wiem? – westchnąłem. – Nie znając sytuacji, możemy sobie teoretyzować do rana. A przecież jej nie znamy. Trzeba by przesłuchać świadków, zorientować się w wioskowych układach, może kogoś postraszyć...

– Myślicie, że coś pominąłem? – odezwał się zaniepokojony Tokariew.

– Całkiem możliwe – przyznałem, odstawiając opróżnioną szklankę. – Czasem nawet najlepszy śledczy nie zwraca uwagi na to, co ma pod nosem.

Milicjant podniósł się zza stołu, ale Elena go uprzedziła, podeszła, żeby dolać mi wódki.

– Słodka krew? – mruknęła. – Ja czuję tylko zapach gorzały. Chociaż nie! Zaraz, zaraz! Toż to perfumy Shalimar! Macie oryginalne upodobania, *komandir*. Nic dziwnego, że zielarka poczuła się w waszym towarzystwie nieswojo... Auć! – pisnęła, kiedy pociągnąłem ją za ucho.

– Sio stąd, zarazo! – poleciałem.

Uciekła za stół ze złośliwym chichotem.

– Te... perfumy to prawda? – zapytał niepewnie Tokariew. – Jesteście... – urwał, nie wiedząc, jak dokończyć.

Uch, a to mnie wkopała wredna mała!

– Nie jestem – poinformowałem zwięźle. – Moja przyjaciółka lubi ten zapach, pewnie pozostał na mundurze.

– To ją ratowaliście pod szpitalem! – domyśliła się Elena.

– Coś w tym rodzaju. A ty skąd wiesz?

– Majko nam opowiadał. Wiecie, ten instruktor. Tyle że nie zdradził, o kogo konkretnie chodziło.

– Po czorta w ogóle o tym wspominał?

– Ktoś rzucił głupią uwagę na wasz temat – odparła obojętnie. – W stylu, że jesteście sztabowym pierdzistołkiem. Nie pamiętam dokładnie. Wtedy Majko powiedział nam o tych trzech urkach. I o tym, że ratowaliście jakąś kobietę.

– I co z tymi urkami? – zainteresował się milicjant.

– Jak to co? – zdziwiła się dziewczyna. – *Komandir* zabił ich gołymi rękoma. Jednemu skręcił...

– Szewieliewa! Dosyć tego!

– Jak sobie życzycie – odpowiedziała dziwnie pokornym tonem.

- Wracając do zabójstwa Rumiancewa...
- Tak? – Tokariew spojrział na mnie z nadzieją w oczach.
- Pominęliście jeszcze jedną opcję.
- Niemożliwe! – stwierdziła stanowczo Elena.
- Możliwe, smarkulo, możliwe...
- Mianowicie?

Łyknąłem wódki, ponownie ułożyłem się na kanapie.

– Mordercą może być ktoś, kto nauczył się zabijać w taki, a nie inny sposób. Uderzając wielokrotnie w brzuch. Tak więc nie musi chodzić o afekt ani podstawienie Korfów. Kto wie czy to nie zwykłe morderstwo na zamówienie?

- Dobrze sobie! To ci dopiero zawodowiec uderzający kilkanaście razy!
- Nie twierdzę, że to ktoś z najwyższej półki.
- Kogo macie na myśli? – Nikonow zmarszczył brwi.
- Naprawdę z niczym tego nie kojarzycie?
- Chyba słyszałem o podobnych przypadkach – odparł z namysłem Tokariew. – Tylko gdzie? Zabijcie mnie, nie pamiętam...

– W szkole milicyjnej, towarzyszu – podpowiedziałem cierpko.

– Już wiem! Tak zabijają na zonie i w pierdłu!

Potwierdziłem nieartykułowanym chrząknięciem.

– Ale dlaczego? – spytała Elena. – Raz w serce nie wystarczy?

Milicjant milczał, najwyraźniej nie przypominał sobie detali albo scedował odpowiedź na mnie. Westchnąłem ciężko: praca dowódcy nigdy się nie kończy...

– Tam nie ma noży, bo i skąd? – wyjaśniłem. – Więźniowie robią sobie prowizoryczne ostrza z gwoździ, śrub, nożyczek i innego żelastwa. Za krótka klinga, żeby sięgnąć serca. Aby zabić czymś takim, trzeba uszkodzić jelita, najlepiej w paru lub parunastu miejscach. Wtedy ma się pewność, że nastąpi zakażenie i ofiara umrze, bo na miejscu nie ma odpowiedniego wyposażenia i medykamentów, a nikt nie będzie wiozł zeka do normalnego szpitala.

– Obrzydliwość – skomentował Nikonow, nie precyzując, czy chodzi mu o metodę zabójstwa, czy postępowanie z więźniami.

– Jeśli na moje podwórko powrócił ktoś z łagru, to powinienem mieć informację na ten temat – oznajmił Tokariew.

– Nie sprawdziliście? – Uniosłem brwi.

– Byłem ostatnio zajęty... – wymamrotałem, spuszczać wzrok.

No ładnie, chyba go przechwaliłem. Prawda, że większość przysyłanych do każdej komendy papierów to chłam bez żadnego znaczenia, ale trafiają się i ważne dokumenty: listy gończe, instrukcje opisujące nowe sztuczki stosowane przez przestępców czy informacje, że na danym terenie pojawi się zek. Byli więźniowie, nawet gdy odsiedzieli swoje od dzwonka do dzwonka, znajdowali się pod

szczególным nadzorem. Nasze państwo nie ufało nikomu, kto choć raz znalazł się po niewłaściwej stronie krat.

– Sprawdzę to jutro z samego rana – obiecał milicjant.

– Jak chcecie. – Ziewnąłem.

Nie było się czym ekscytować: nie moje małpy, nie mój cyrk. Żebym miał tylko takie problemy jak wykrycie zabójcy Rumiancewa...

– Idziemy spać? – zaproponowała Elena, zakrywając usta.

– Jeśli nie chcecie już... – Tokariew wymownym gestem wskazał butelkę.

Nie było chętnych, więc Nikonow i Elena ułożyli się na przywleczonych z drugiego pomieszczenia materacach, ja zostałem na kanapie. Zdjąłem buty i pas, ale pistolet położyłem w zasięgu ręki. Strzeżonego... Przez chwilę słyszałem jeszcze szcęk naczyń: widać nasz gospodarz zabrał się do zmywania, później zapadłem w niespokojny, nerwowy sen. Pojawiały się przede mną jakieś postacie z zamienionymi w krwawą miazgę twarzami, ranami od kul i ostrzy, z ociekającymi posoką dłońmi – wierni towarzysze koszarów... Rozmawiałem z nimi, kłóciłem się, błagałem. Rano nie pamiętałem już, kim byli. Jak zwykle.



Po powrocie do Moskwy złożyłem raporty Berii i towarzyszowi Stalinowi. Na razie tylko na piśmie – żaden z nich nie miał czasu, żeby przyjąć mnie osobiście. Na szczęście...

Załatwiwszy formalności, pojechałem do Olgi, lecz nie zastałem jej w domu. Cóż było robić? Pewnie powinienem odwiedzić i Abakumowa, choć nie miałem na to najmniejszej ochoty. Wezwałem samochód i kazałem wieźć się na uniwersytet. Skoro poinformowałem Gławkoma o swoich kontaktach z konsultantką Majkowską, nie widziałem sensu utrzymywać dalej konspiracji.

Sekretarka prorektora poinformowała mnie, że trwa właśnie przerwa obiadowa, więc udałem się do stołówki. Olga siedziała w kącie sali, przy czteroosobowym stoliku. Samotnie. Mimo że w jadalni panował tłok, najwyraźniej nikt nie miał zamiaru dotrzymać jej towarzystwa. Właśnie kończyła zupe, kiedy podbiegł do niej jakiś grubas w okularach i napluł do talerza.

– Teraz powinno ci lepiej smakować, białogwardyjska kurwo! – wrzasnął.

Zapadła cisza, kilka osób odwróciło wzrok, lecz większość widowni kontemplowała scenę z wyraźnym zadowoleniem.

– A pan jak zwykle taki dzielny, Auguście Piotrowiczu – odezwała się Olga. – Ileż męstwa trzeba, żeby zdobyć się na coś podobnego wobec niewidomej kobiety!

Mówiła spokojnie, jednak widziałem, że wargi jej drżały.

– Mało ci jeszcze, dziwko?! – zapiał gruby. – Ja ci zaraz...

Uderzyłem go w tłusty, spocony pysk. To nie było zwykłe trzepnięcie, ale ciężki, dobrze wymierzony cios z rodzaju takich, co to łamią kości i kruszą zęby. Facet zwałił się jak kłoda. Wylałem resztkę zupy na podłogę, dźwignąłem grubasa za włosy.

– Teraz to zeżresz! – poleciłem cichym, złowrogim tonem.

– Zawołajcie ochronę! – wybełkotał.

Bez słowa wyjąłem broń i przystawiłem mu do czoła. Byłem wściekły. Po chwili zaczął zlizywać rozbryzniętą zupę i własną krew.

Pospieszny tupot ciężkich buciorów zwiastował, że ktoś jednak wezwał pomoc.

– Uważaj, Saszka! – krzyknęła Olga.

Zawtórował jej odgłos repetowanych karabinów. Odwróciłem się. Do jadalni weszło kilku żołnierzy, dowodził suchy, czarniawy major z blizną przez pół twarzy. Nienaturalny blask jednego oka i czarna rękawiczka na lewej dłoni świadczyły, że oficer swoje odwojował: jeśli stracił oko i rękę, nic dziwnego, że dostał przydział na tyły.

– Odłóżcie broń, przedstawcie dokumenty! – rozkazał.

Schowałem pistolet, podałem mu legitymację *wojennej rozвідki*.

– Co tu zaszło? – zapytał.

– Napadł na Augusta Piotrowicza! – wtrącił się starszy, nobliwy z wyglądu mężczyzna z przyciętą w szpic szpakowatą bródką. – Bez żadnego powodu! Na pewno jest pijany!

Major obrzucił go chłodnym spojrzeniem i brodacz umilkł.

– Pułkowniku? – ponaglił.

– Kiedy wszedłem do stołówki, ten człowiek – wskazałem klęczącego nadal grubasa – obraził moją przyjaciółkę i napluł jej do zupy.

– Chodzi o tę niewidomą kobietę? – upewnił się oficer.

– Owszem.

– Nic takiego nie widziałem – odburknął brodaty.

– Zarzucacie mi kłamstwo?

Wzrok mężczyzny prześliznął się po mojej piersi, zatrzymał na medalu Złotej Gwiazdy.

– Ja... Może czegoś nie zauważyłem – wymamrotał nerwowo.

– Pułkowniku Razumowski – odezwał się major – rozumiecie przecież, że to nie najlepszy sposób rozwiązywania takich problemów? No i nie przystoi wam, posiadaczowi tytułu Bohatera Związku Radzieckiego, wdawać się w awantury z takim... czymś – dokończył po chwili.

– Być może – przyznałem.

– Z drugiej strony trudno wymagać, żebyście pozwolili obrażać w swojej obecności

kobietę, w dodatku niewidomą. Tak więc proponuję zapomnieć o tym incydencie.

– W porządku.

– A ja proponuję, żeby pan pułkownik podał nazwisko swojego bezpośredniego przełożonego – powiedział ktoś, wychodząc z tłumu. – Mam zamiar poinformować go o karygodnym zachowaniu pułkownika.

No, no, czy to nie sam profesor Łobanowski? Pewnie doszedł do wniosku, że najlepiej będzie zakończyć spółkę z Olgą – widać ukradł jej dostatecznie dużo materiałów – i wyrzucić z uczelni pod jakimkolwiek pretekstem. Stąd ten dzisiejszy incydent, stąd oskarżenie o białogwardyjskie pochodzenie. Niedoczekanie twoje, gadzie!

– Jesteście wolni, pułkowniku. – Oficer oddał mi legitymację.

– Majorze Fiłatow! Proszę zatrzymać pułkownika, dopóki nie poda nazwiska przełożonego!

Fiłatow odstąpił na bok, gestem nakazał wyjść żołnierzom, tak jakby nie słyszał wrzasków Łobanowskiego.

– Możecie odejść – powtórzył.

– Majorze!

Podszedłem do Olgi, wziąłem ją pod ramię.

– Chodźmy do domu – zaproponowałem.

– Tak, Saszka – odparła cichutko.

– Jeszcze dziś złożę na was skargę, Fiłatow! Też mi ochrona!

Przez twarz majora przeleciała błyskawica gniewu, ruszył w stronę Łobanowskiego. Stanąłem mu na drodze, leciutko pokręciłem głową.

– W porządku, profesorze – odezwałem się głośno. – Chcecie poznać nazwisko osoby, której możecie zgłosić skargę na moje zachowanie? Proszę! – Wyjąłem z kieszeni oprawiony w plastik dokument.

– Co to takiego? – zmarszczył brwi Łobanowski.

– Czytajcie, na głos. Może ktoś jeszcze będzie chciał się poskarżyć?

– „W związku z wykonywaną misją podpułkownik Razumowski zostaje przydzielony do dyspozycji Głównodowodzącego. Wszystkie organy państwa i sił zbrojnych zobowiązane są do udzielenia mu wszelkiej żądanej pomocy, a także zapewnienia transportu do dowolnego wskazanego przez podpułkownika Razumowskiego miejsca na zasadzie absolutnego priorytetu”...

Łobanowski czytał coraz wolniej, z wyraźnie widocznym wahaniem.

– „Podpułkownik Razumowski otrzymuje pełny dostęp do dokumentów o najwyższej klauzuli tajności. Wszelkie pytania dotyczące zadań wykonywanych przez podpułkownika Razumowskiego kierować należy bezpośrednio do Głównodowodzącego”. Ja...

– Dalej!

– Podpisano: Stalin I. W...

– Głośniej, bo może nie wszyscy usłyszeli nazwisko mojego przełożonego!

– Iosif Wissarionowicz Stalin...

W śmiertelnej, budzącej grozę ciszy wyjąłem dokument z rąk Łobanowskiego.

– Pułkowniku – wykrztusił rozpaczliwie – musicie zrozumieć, ja...

– Podobno ofiarowaliście towarzyszowi Stalinowi książkę z dedykacją? – przerwałem mu drwiąco. – Wiecie, jedną z tych, które napisaliście, plagiatując prace Olgi? Muszę was zmartwić: osobiście poinformowałem Gławkoma, kto jest jej rzeczywistym autorem.

Rzucił się na mnie z pięściami.

– Jak śmiecie! Wy...

Strzeliłem go w twarz otwartą dłonią.

– Fiłatow! – zajęczał Łobanowski.

– Nie wiem, czego ode mnie oczekujecie, profesorze? Czytaliście przecież dokument podpisany przez Głównodowodzącego. Pułkowniku Razumowski, nie znam charakteru waszej misji, ale jestem gotów udzielić wam wszelkiej pomocy zgodnie z rozkazem towarzysza Stalina – zwrócił się do mnie.

– Wszelkiej? – upewniłem się, mierząc wzrokiem Łobanowskiego.

– Nie mnie osądzać polecenia przełożonych – odparł Fiłatow z kamienną twarzą. – Rozkazujcie!

– Przecież ja nie chciałem... nie wiedziałem... – zaszlochał Łobanowski, rozmazując kułakami łzy jak dziecko.

– Chodźmy już, Saszka – ponagliła Olga.

Zanim wyszliśmy, poprosiłem majora o kontakt w razie jakichkolwiek problemów. Odpowiedział przelotnym uśmiechem: pewnie nie sądził, aby Łobanowski odważył się go szykanować, po tym jak został publicznie upokorzony i oskarżony o plagiat. Cóż, ja też nie, ale miałem ochotę przypomnieć panu profesorowi na odchodnym, że jego władza nie jest wcale taka absolutna, jak mu się wydawało.

Nasze kroki odbijały się echem w opustoszałych nagle korytarzach uczelni, widać wieści już się rozeszły... Zastanawiałem się ponuro, ilu jeszcze pracowników uniwersytetu wyżywało się na Oldze na rozkaz Łobanowskiego? Też mi, kurwa, inteligencja! Lepsze maniery znalazłbym chyba w sztrafbacie! O dziwo, nie martwiłem się specjalnie reakcją towarzysza Stalina, choć nie wątpiłem, że niedługo na biurku Gławkoma wyląduje raport na temat dzisiejszych wydarzeń. I być może przyjdzie mi zapłacić za to, co zrobiłem.



Obudził mnie zgrzyt klucza. Zerknąłem w okno – zmierzchało. Pewnie Majko przyszedł odwiedzić córkę. Na wszelki wypadek rozpiąłem kaburę, nie znałem grubasa, któremu dałem dziś po pysku, czort wie jak zareaguje. Co prawda nie wyglądał mi na twardziela, raczej na kogoś, kto usiłuje ukryć własny strach, znęcając się nad słabszymi, ale nawet tchórzowi może odbić...

– Olga? – zawołał.

A jednak Majko. Uciszyłem go gestem, kiedy wszedł do pokoju.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony.

– Wasza córka śpi, miała dzisiaj ciężki dzień. Lepiej jej nie budzić.

– A co ty tu robisz?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, skrzypnęły drzwi i Olga znalazła się w moich ramionach. Objąłem ją, udając, że nie widzę wściekłego spojrzenia byłego białogwardzisty. Sytuacja była nieco niezręczna: dziewczyna miała na sobie jedynie kusą, sięgającą do pól uda koszulkę nocną. Przeciągnąłem dłonią po jej ramieniu – było lodowate.

– Podajcie jakiś koc – poprosiłem.

Majko wymamrotał coś pod nosem, ale posłusznie pomaszerował do sypialni i wrócił stamtąd z grubym wełnianym pledem.

– Wszystko w porządku? – upewnił się, otulając córkę.

Olga bez słowa wyciągnęła do niego rękę, ale nadal trzymała mnie kurczowo. Nie wyglądało też, żeby miała ochotę zejść z moich kolan...

– Co się stało? – powtórzył.

Przedstawiłem mu skróconą wersję wydarzeń na uniwersytecie. Kiedy skończyłem, nie skomentował, ale oczy zapłonęły mu zimnym, wilczym blaskiem. Cicho, niemal szeptem, spytał o nazwisko grubasa. Olga podała je z lekkim wahaniem, widać dobrze znała ojca. Cóż, gdybym był na miejscu profesora Łobanowskiego i jego akolitów, pisałbym testament...

– Może ubierzesz się i zrobisz nam herbaty? – zaproponował.

– Chcecie pogadać beze mnie? – domyśliła się.

– To także – przytaknął Majko.

Z ulgą zauważyłem, że głos Olgi brzmi niemal normalnie.

– Niech wam będzie – burknęła.

Zanim wyszła, pocałowała mnie ostentacyjnie. Majko skrzywił się, jakby rozgryzł właśnie coś wyjątkowo paskudnego.

– Dobiorą się do ciebie? – spytał bez ogródek, kiedy tylko Olga zniknęła za drzwiami.

– Nie sądzę. Nie teraz.

– A ta fałszywka podpisana rzekomo przez Stalina? Popierdoliło cię?! Tylko za to pójdziesz pod ścianę!

– To nie fałszywka...

– Kim ty, kurwa, jesteś? – wycedził z bezsilną wściekłością. – Mam uwierzyć, że jeden z piesków Iwana Wasiliewicza ni stąd, ni zowąd zakochał się w mojej córce? Oczywiście zupełnym przypadkiem! – dorzucił, zgrzytając zębami.

No proszę: Iwan Wasiliewicz – kolejny z pseudonimów Głównodowodzącego. Aluzja do Iwana Groźnego. Ksywka używana w kręgach – cóż za niespodzianka! – zdecydowanie niechętnych towarzyszowi Stalinowi...

– Na razie jestem nietykalny – odparłem spokojnie. – Myślę też, że nic nie grozi ani wam, ani Oldze.

– A to dlaczego?!

– Jak wiecie, obecnie nadzoruję szkolenie Smiersza. Ta sprawa ma teraz priorytet. Nawet jeśli komuś nie spodoba się moje zachowanie, nie będzie ryzykował starcia z Abakumowem. Do tego dochodzą sprawy, o których nie mogę wam powiedzieć. Stąd dokument podpisany przez Gławkoma. Ktoś, kto wystąpiłby teraz przeciwko mnie, miałby do czynienia ze Stalinem, Berią i Abakumowem jednocześnie. Nic mi nie zrobią – zapewniłem. – Przynajmniej chwilowo...

– A później?

– Może być różnie – przyznałem. – Wbrew temu, co sądzicie, ani Beria, ani Abakumow nie są mną zachwyceni. Z różnych powodów. Tolerują mnie, bo jestem im potrzebny.

– Co takiego robisz dla Stalina?

– Nic, czego musiałbym się wstydzić – odparłem chłodno. – I jeszcze jedno: bądźcie gotowi, na wszelki wypadek...

Majko zagryzł wargi, lecz nie domagał się wyjaśnień. Od lat żył na kredyt i wiedział, że prędzej czy później przyjdzie go spłacić. Z procentami. Nasze państwo czasem zapomina o przyjaciółach, szczególnie jeśli ci spełnili już swoją rolę, ale nie zdarzyło się jeszcze, żeby darowało wrogom. Nawet byłym wrogom.

– Podano herbatę – oznajmiła Olga. – Skończyliście już knuć?

– Mniej więcej – odburknąłem.

– Dobrze by było, gdyby któryś z was towarzyszył mi jutro na uczelni, ale jeśli nie macie czasu, to trudno – powiedziała, stawiając na stole konfitury.

– To najbardziej idiotyczny pomysł, o jakim... – zaczął Majko.

– Nie pytam cię o pozwolenie, tato, tylko informuję – przerwała mu bezceremonialnie.

W jej głosie wyczułem stal. Uśmiechnąłem się mimo woli: dziewczyna miała charakter! Wystraszyła się, to nie ulegało wątpliwości, ale przeżuła swój strach i wypluje go jutro w twarz Łobanowskiemu. Bez względu na konsekwencje.

– To nie jest takie niebezpieczne, jak by się wydawało – stwierdziłem. – Wątpię, żeby ktokolwiek odważył się Olgę zaczepić. Pod nieobecność rektora wszystkim kręci

Łobanowski, a temu dałem do myślenia... Z kolei ten grubas... Jak mu tam?

– August Piotrowicz Snitko – odpowiedziała Olga.

– Sporo czasu minie, zanim powróci na uczelnię.

– A to niby czemu? I gdzie jest rektor?

– Rektor przebywa jeszcze w Swierdłowsku, gdzie ewakuowano uniwersytet.

Załatwia jakieś formalności – wyjaśniłem. – A Snitko...

– Tak?

– Wytlukłem mu przednie zęby i złamałem szczękę, raczej nie da rady prowadzić wykładów.

– Świetnie, ale nie mogę tak ni stąd, ni zowąd opuścić swoich zajęć! – odparł poirytowany Majko. – A i ty masz chyba co robić?

– Mam. Poszedłbym z tobą – zwróciłem się do Olgi – ale będę musiał jutro spotkać się z Berią, a może i Stalinem.

– Trudno – mruknęła. – Pójdę sama.

– Nie, nie! Będzie cię eskortować biała gwardia.

– Nie rozumiem? – Zmarszczyła brwi.

– Nadzoruję pracę instruktorów Smiersza, w tym twojego ojca. I mogę przymknąć oko na jego nieobecność. O ile ładnie poprosisz...

– Wystarczy? – spytała, całując mnie gorąco.

– Bo ja wiem? To skomplikowana sprawa...

Olga zachichotała i znowu usiadła mi na kolanach.

– Chyba muszę się bardziej postarać – zauważyła.

– Razumowski! – warknął Majko. – Zdajesz sobie sprawę, jakie to wkurzające, kiedy córka na twoich oczach migdali się z jakimś matołkiem?!

– To część przyjemności – przyznałem.

Pogroził mi pięścią, lecz nie wyczuwałem w nim prawdziwego gniewu, raczej przemieszany z rozbawieniem niepokój. Widział, że Olga jest ze mną szczęśliwa, ale cały czas obawiał się, że wykorzystam jej uczucia w sobie tylko wiadomym celu. Rozumiałem go, sam także zaczynałem się zastanawiać, do czego może doprowadzić mój związek z konsultantką Majkowską. A było o czym myśleć, szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że wiedział o nim towarzysz Stalin.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Gławkom wskazał mi krzesło; miejsca było sporo, spotkanie miało się odbyć w kameralnej atmosferze: tylko towarzysz Stalin, Beria i ja.

Głównodowodzący zamieszał herbatę, srebrna łyżka zadzwoniła o szklanke. Beria nawet nie udawał, że interesuje go poczęstunek, jego twarz zastygła w woskową maskę, jedynie oczy zdradzały niepokój. Może obawiał się tego, co powiem? Ostatnie kilka godzin spędziłem w kostnicy, gdzie przywieziono zwłoki ze spaloną kwasem twarzą. Zdążyłem też wydać dyspozycje co do dwóch nowych portretów, jakimi dysponowaliśmy. Pozostałe były zbyt ogólne, żeby puszczać je w obieg.

– Co ustaliliście, Razumowski? – zagał Stalin.

Nie patrzył na mnie, zdawało się, że zajmuje go tylko aromatyczny napar, ale wiedziałem już, jak mylące może być takie wrażenie: nie trzeba obserwować rozmówcy, żeby przeanalizować każde jego słowo, wychwycić najmniejszy fałszywy ton...

– Tak jak przypuszczałem, pojawiły się niemożliwe do rozpoznania zwłoki – poinformowałem. – Twarz denata oblano kwasem siarkowym. To trochę... niespodziewane.

– Dlaczego? Przecież przewidzieliście, że dywersanci zabiją poszukiwanego przez nas człowieka i postarają się uniemożliwić nam identyfikację ciała?

– No tak, ale myślałem, że zniszczą też odciski palców.

– Myślicie, że mamy je w bazie?

– Jeśli chodzi o naszego nieboszczyka, to na pewno nie, inaczej zatroszczyliby się o to. To właśnie jest dziwne.

– Dlaczego?

– Do tej pory wszystko wskazywało, że napastnikami są pracownicy NKWD – wyjaśniłem. – Problem w tym, że ich linie papilarne znajdują się w aktach. Tymczasem dywersanci zniszczyli twarz jednego ze swoich, ale nic nie zrobili z rękoma. Tak jakby obawiali się, że ktoś może go rozpoznać z wyglądu, a nie po odciskach palców...

– Od początku mówiłem, że to nie moi ludzie! – wybuchnął Beria. – To wy i wam podobni rzucają oskarżenia pod adresem mojego resortu!

– Nigdy was o nic nie oskarżałem – odparłem cierpliwie. – To po prostu jedna z wersji, niestety, najbardziej prawdopodobna.

– Także teraz? – zainteresował się Stalin.

– Owszem, choć z pewnymi modyfikacjami – doprecyzowałem.

– W takim razie przedstawcie nam te modyfikacje. Z detalami.

– Dzięki znalezieniu tych zwłok wiemy, że nie wszyscy napastnicy są aktualnymi lub byłymi pracownikami NKWD. To główna zmiana.

– Nie odpowiadam za byłych czekistów! – krzyknął Beria.

– Oni muszą mieć jakieś związki z kierowaną przez was instytucją – oznajmiłem. – Choć nie wykluczam, że chodzi o pracowników technicznych: sekretarki, maszynistki czy kogoś w tym rodzaju. Ich dokumenty, zachowanie, wreszcie wiedza na temat rozmieszczenia patroli świadczą o tym, że posiadają informacje, których nie można zdobyć, nie mając źródeł w NKWD. Moi ludzie przeszledzili drogę, jaką przemierzali się dywersanci po ataku na Czernogołówkę. Konwój zauważyły dwa patrole, lecz na drodze do Moskwy było ich sześć. Pozostałe minęły bez kontroli...

– Jak to możliwe? – zapytał Stalin.

– Po prostu zjechali z głównej drogi, żeby ominąć patrolowany odcinek. Później znowu powrócili na trasę. Żeby tego dokonać, musieli znać rozmieszczenie posterunków. To się zmienia co kilka dni, aktualne informacje ma tylko NKWD.

– Co ty na to, Ławrentij?

– Być może rzeczywiście jest jakiś przeciek – przyznał po chwili milczenia Genkom. – Być może – podkreślił. – Przekonamy się o tym, dopiero gdy ich złapiemy. Dlatego teraz powinniśmy się skoncentrować na ściganiu tych bandytów.

– Razumowski?

– Zgadza się z towarzyszem Generalnym Komisarzem – odpowiedziałem spokojnie. – Obecnie najważniejsze są poszukiwania dywersantów. Jednak...

– Tak?

– Nie zaszkodziłaby kontrola pewnych procedur w NKWD. Chodzi mi o system wydawania dokumentów, druków ścisłego zachowania, przyjrzenie się osobom mającym dostęp do informacji na temat patroli. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy działali wielotorowo...

– Słusznie – mruknął Stalin. – Odrobina rewolucyjnej czujności jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

– Tak jest – wycedził Beria, mierząc mnie nienawistnym spojrzeniem.

Obaj wiedzieliśmy, że w tej sytuacji Głównodowodzącego nie zadowolą półśrodki, towarzysz Stalin dał właśnie sygnał do kolejnej czystki. Tylko że tym razem czekał nie będą przelewali cudzej krwi, lecz sami staną się ofiarami maszyny, którą pomogli stworzyć... Cóż, była w tym jakaś poetycka sprawiedliwość. Ilu ludzi posłali do piachu? Setki tysięcy, miliony? Nikt tego nie wiedział i przypuszczałem, że nigdy się nie dowie, jednak teraz myśliwi zamienią się w zwierzyń, przynajmniej na jakiś czas...

– Lepiej się postaraj, Ławrentij – poradził dobrodusznie Stalin.

W jego głosie nie było groźby, nawet nalegania, jednak Beria i tak zrobił się błąd jak ściana, pewnie wyczuł – podobnie jak ja – że cierpliwość Głównodowodzącego jest na wyczerpaniu.

– A wy, Razumowski, kontynuujcie – podjął Gławkom, sięgnąwszy po fajkę.

– Na nasze szczęście dywersanci popełnili kilka błędów. W Czernogółowce...

– Wasze oczekiwania po raz kolejny się spełniły. – Stalin rzucił mi spojrzenie spod ciężkich, jakby napuchłych powiek. – Przewidzieliście, że zaczną popełniać błędy. Choć całkiem możliwe, że bywało tak i wcześniej, tylko nikt tego nie zauważył.

Beria przełknął z trudem ślinę, ale się nie odezwał. Mądra decyzja! To nie najlepszy czas na szukanie usprawiedliwień.

– Dywersanci mają dwóch ciężko rannych albo zabitych, już wydałem polecenie, żeby przeszukać okolicę – poinformowałem. – Moim zdaniem, bandyci pozbyli się ciała w pobliżu wioski.

– A jeżeli przewieźli ich do Moskwy?

– Myślę, że nie. Zbyt duże ryzyko.

– Dobili swoich?

– Całkiem możliwe...

– Jak to wpłynie na morale w bandzie?

– W ogóle nie wpłynie – odparłem, zanim zdążyłem się zastanowić, co i do kogo mówię.

– Możecie wyjaśnić?

Westchnąłem ciężko – powinienem zbyć Stalina jakimś wymijającym stwierdzeniem, a tak sam wpakowałem się w kłopoty. Po raz kolejny...

– Sposób, w jaki działają dywersanci, wskazuje na bardzo wysoki poziom dyscypliny operacyjnej – powiedziałem wreszcie. – W Czernogółowce po raz pierwszy natrafili na zdecydowany opór. Kiedy okazało się, że napastnicy są przebierańcami, miejscowe małżeństwo postanowiło walczyć. Bronili swoich dzieci. Oględziny zwłok tej dwójki pozwalają założyć, że bandyci byli rozjuszeni, lecz niemal

od razu ktoś przywrócił dyscyplinę. Cała grupa natychmiast wycofała się z wioski, nie próbując mścić się na mieszkańcach.

– Dlaczego? – zapytał natychmiast Stalin.

– Musi nimi dowodzić ktoś z dużym doświadczeniem bojowym. Ktoś, kto wie doskonale, że nie można naprawiać błędów, ryzykując popełnienie kolejnego. Dlatego natychmiast przerwał akcję i zarządził powrót do bazy. Co do rannych... Wydaje mi się, że nawet jeśli ich zabił lub kazał zabić, nadal kontroluje sytuację. Nie będzie żadnego buntu ani zamieszania. Zresztą kto wie czy nie załatwił tego inaczej? Niekoniecznie musiał do nich strzelać, wystarczyło, że im nieco „pomógł”, wówczas ich śmierć uznano za konsekwencję ran.

– Co zrobiliście, żeby powstrzymać kolejny atak?

– Mamy nowe portrety, przekazałem je już GRU, milicji i NKWD. Trzeba też sprawdzić wszelkie przypadki zgonów, jakie miały miejsce w ostatnich dniach.

– Tylko w NKWD?

– Wszędzie, gdzie to tylko możliwe – odparłem zwięźle. – *Wojennuju razwiedku* biorę na siebie, milicją zajmie się pułkownik Poliakov. Co do NKWD...

– To już problem komisarza Berii. – Stalin zaakcentował słowo „problem”. – Sprawa jest poważna, zatem nie będę cię zatrzymywał, Ławrentij.

Genkom zrozumiał, że właśnie został odprawiony, i natychmiast zerwał się z krzesła. Zacisnąłem usta, sytuacja nie budziła mojego zachwyty. Głównodowodzący po raz kolejny – i założę się, że z rozmysłem! – dał Berii do zrozumienia, że jest z niego niezadowolony, podkreślając jednocześnie, że moje akcje idą w górę. Ile trzeba, żeby taki paranoik jak Beria uznał mnie za konkurenta i odpowiednio potraktował? Stalin wyraźnie szczył go albo na mnie, albo na *wojennuju razwiedku*. Nawet jeśli chodziło jedynie o podsycenie rywalizacji pomiędzy GRU i NKWD, moje położenie, tak czy owak, było nie do pozazdroszczenia: na cmentarzach leżało pełno wrogów Berii albo tych, których tenże uznał za wrogów...

– Chciałem was o coś zapytać – odezwał się Stalin, kiedy zostaliśmy sami.

– Słucham, towarzyszu Głównodowodzący.

– Czy to prawda, że uderzyliście w twarz profesora Łobanowskiego i pobiliście docenta Snitko?

A jednak polecili na skargę gnoje... Próbować się tłumaczyć? Wolne żarty! A co ja mu powiem? Że wkurzyło mnie, jak uniwersyteckie bydło traktuje córkę białogwardzisty?

– To prawda – przyznałem sucho.

Stalin pokiwał głową, jakby chciał przytaknąć swoim myślom, po czym starannie oczyścił fajkę.

– Dobrze zrobiliście! – powiedział dobitnie. – Tej inteligencji całkiem przewraca się we łbach! Zadedykować mi kradzioną książkę! – parsknął. – Jakbym był jakimś

paserem! A ten Snitko też niezły: publicznie pluć do cudzego talerza! Jak tak dalej pójdzie, to niedługo zaczną wygłaszać referaty, pierdząc! No ale chyba podnieśliście trochę poziom kultury wśród pracowników uniwersytetu – dorzucił z wyraźnym zadowoleniem.

Odetchnąłem dyskretnie: dzięki Bogu, że Łobanowski wkurzył Stalina. Dzięki Bogu...

– A tak w ogóle to po czorta był wam ten cyrk? Przecież nie musieliście od razu tłuc tych jajogłowych? Nie żebym miał coś przeciwko...

– Jednym z moich zadań jest kontrolowanie instruktorów Smiersza – przypomniałem. – Mam wrażenie, że Majko niespecjalnie lubi swoich kompanów i dlatego trzyma się na dystans od reszty ekipy. Gdyby chciał, pewnie mógłby powiedzieć o nich parę ciekawych rzeczy. Tyle że mi nie ufa. Ściślej mówiąc: nie ufał. Teraz, kiedy stanąłem w obronie jego córki, wygląda to nieco inaczej, przestałem już być dla niego pieskiem Iwana Wasiliewicza.

– Iwana Wasiliewicza, powiadacie? – mruknął.

Jednak nie wyglądało, żeby poczuł się urażony przezwiskiem, wręcz przeciwnie – jego oczy rozbłysły zadowoleniem. Najwyraźniej porównanie do Iwana Groźnego mu pochlebiło.

– A wracając do problemu dywersji: co macie do powiedzenia swojemu carowi, bojarze? – zażartował.

Nie podchwyciłem dowcipu, nie miejsce ani czas, żeby demonstrować poczucie humoru.

– Będą nadal atakować, ale są w coraz gorszej sytuacji. Myślę, że schwywanie bandy to kwestia miesiąca, może dwóch. Ich siły słabną: stracili trzech ludzi, nawet jeżeli jakimś cudem ci ranni przeżyją, tak czy owak będą na długo wyłączeni z akcji. W dodatku szukamy kolejnych dywersantów, zawężamy krąg podejrzanych. To nie może ciągnąć się w nieskończoność.

– A jeśli zrezygnują? Wtedy też ich znajdziecie?

Poluźniłem kołnierzyk, spojrzenie Stalina uderzyło mnie z siłą kowalskiego młota. Taaak, łatwo było nie docenić Gławkoma, ale człowiek, który ograł wszystkich konkurentów po śmierci Lenina, nie mógł być głupcem. Bezwzględny graczem politycznym, żądnym władzy tyranem, wreszcie okrutnikiem – tak! – ale z pewnością nie głupcem... Teraz błyskawicznie dostrzegł słabość mojej analizy i bezlitośnie ją ujawnił.

– Wówczas szanse na ich schwywanie rzeczywiście zmaleją – wymamrotałem.

– Chcieliście chyba powiedzieć: staną się bliskie zeru!

– Niezupełnie, nadal będziemy prowadzili pewne działania, wystarczy przecież, żebyśmy zidentyfikowali choć jednego członka bandy. Niemniej jednak wątpię, żeby odstąpili od swojego planu. Nie sądzę, aby przerwali ataki.

– Odstąpili od planu? A jaki oni mają plan? To znaczy poza destabilizacją frontu i zaplecza?

– Nie wiem – odparłem, unikając wzroku Stalina. – Na razie mamy zbyt mało danych. To znaczy jest oczywiste, że zależy im na wprowadzeniu chaosu, natomiast nie wiadomo dlaczego. Trudno powiedzieć, czy to wrogowie komunizmu, Rosji, czy też jakiś konkurent Generalnego Komisarza...

– Wrogowie komunizmu w NKWD?!

– Niekoniecznie wrogowie, to może być ktoś, kto przekazuje informacje, nic więcej – odparłem bez przekonania.

– Sami w to chyba nie wierzycie? – zauważył Stalin.

– To nie jest kwestia wiary, staram się opierać na faktach, a te są zastanawiające. Fakt, że nie zadbali o odciski palców... – Pokręciłem głową.

– Na razie mamy tylko jeden taki przypadek. Za wcześnie na wyciąganie wniosków.

– Istotnie – przyznałem. – Za wcześnie.

– No dobrze – westchnął Stalin. – Co prawda spodziewałem się po was więcej, ale jeśli cała sprawa zakończy się w ciągu miesiąca, nie będzie jeszcze tak źle. Gorzej, gdyby się przeciągała...

Powiało chłodem: Głównodowodzący wyznaczył ostateczny termin likwidacji dywersantów.

– Mówiłem o miesiącu lub dwóch – przypomniałem.

– A ja mówię: miesiąc! I ani dnia dłużej!

– *Tak toczno!* – Poderwałem się z krzesła, stanąłem na baczność.

– Siadajcie, Razumowski – machnął ręką Stalin. – Po co ta gimnastyka?

Ton jego głosu znowu brzmiał przyjaźnie, niczym u dobrodusznego wujaszka. Tylko że moim rozmówcą był człowiek, który nie bez powodu wybrał sobie pseudonim pochodzący od słowa „stal”. Każdy, kto o tym zapominał, robił to na własne ryzyko...

– Jeszcze jedno, odnośnie waszej pracy w Smierszu. W najbliższym czasie towarzysz Abakumow zaproponuje wam poprowadzenie szkolenia na linii frontu.

– Gdzie?!

– Na linii frontu – powtórzył spokojnie Stalin. – Widać zainspirował go wasz pomysł, wiecie, chodzi o udział kursantów w dochodzeniach kryminalnych moskiewskiej milicji.

– Przecież to żółtodzioby! Współpraca z milicją to co innego niż wysłanie tych dzieciaków w strefę walk – wycedziłem. – To... – urwałem, starając się powstrzymać narastającą wściekłość.

Kolejny kretyński pomysł! I kto go będzie realizował? Oczywiście Razumowski!

– ...idiotyzm – dokończył Stalin z uśmiechem. – Zgadza się z wami w całej

rozciągłości. Jednak poprowadzicie ten kurs. Obiecuję, że będzie pierwszy i ostatni.

– Co mam zrobić? – spytałem krótko.

– Kursanci będą mieli za zadanie przesłuchać grupę niemieckich jeńców według standardowej procedury: wyselekcjonować osoby podejrzane o podanie fałszywych danych i posiadające ciekawe dla nas informacje. Nic nadzwyczajnego, tyle że w warunkach frontowych. Towarzysz Abakumow sądzi, że ta wycieczka ich zahartuje.

– Jak rozumiem, nie wyjedziemy na najspokojniejszy odcinek frontu?

– Istotnie. Jednak macie przecież specjalne pełnomocnictwa, gdyby zrobiło się gorąco, możecie wykorzystać nawet sztrafbaty.

Mimo woli uniosłem brwi: robiło się coraz ciekawiej. *Sztrafnyje bataliony* składały się z oficerów, którzy podpadli czymś przełożonym. Teoretycznie dotyczyło to osób skazanych za przestępstwa kryminalne i niesubordynację na polu walki, w praktyce większość trafiała tam z przyczyn politycznych lub w wyniku zemsty jakiegoś sztabowego pierdzistołka. Znałem majora, który stał się sztrafnikiem, bo wizytujący front generał uznał, że tamten niedbale oddał mu honory... Dowództwo świetnie zdawało sobie z tego sprawę i dysponować sztrafbatami mogli jedynie dowódcy frontów. Inaczej każdy zasraniec z generalskimi gwiazdkami na pagonach gnałby przez pola minowe oddziały przewyższające nieskończenie sprawnością zwykłe jednostki. Dlatego żołnierze karnych batalionów nazywali się żartobliwie gwardzistami, bo dostawali żołd wyższy o sto rubli, tak jak w jednostkach gwardyjskich, i najlepsze wyposażenie. Inna sprawa, że nie było im czego zazdrościć: sztrafników rzucano do akcji tam, gdzie zawiedli inni. I nie oszczędzano – mieli krwią odkupić swoje winy.

– Na czym polega moje zadanie?

– Wśród niemieckich jeńców znajduje się agent Sicherheitsdienst, znamy tylko jego pseudonim: Wotan. No i stopień: *Sturmbannführer*.

– Wywiad zagraniczny SD?

– Owszem – ponuro przytaknął Stalin. – Ten człowiek to geniusz w swojej dziedzinie. I ma do spełnienia wyjątkowo ważną misję. W Moskwie – dorzucił po chwili.

– Znamy jakieś szczegóły?

– Sęk w tym, że nie... Nie sądzę, żeby wiązało się to z atakami na rodziny żołnierzy. Nie powinno... Niemniej jednak nie mam pewności: to jeden z powodów, dla których zgodziłem się wysłać kursantów Smiersza na linię frontu. I was razem z nimi.

– Jeśli to taka znakomitość, to jakim cudem znalazł się w niewoli?

– Specjalnie. Jako jeńiec dostanie się tam, gdzie nigdy by nie dotarł, pozostając na swobodzie. Do tego dysponuje niesłychanie sprawną i znakomicie zakonspirowaną siatką, która jest w stanie w każdej chwili udzielić mu pomocy. Wykona swoje

zadanie i zniknie. Robił tak już w przeszłości. Tyle że tym razem otrzymaliśmy na czas informację, która może nam pomóc go zidentyfikować. Kosztowała nas życie trzech agentów.

– A ja...

– Weźmiecie go z zaskoczenia. Nie będzie się spodziewał spotkania z kimś waszego formatu. Nie na tym etapie. Dlatego oficjalnie tylko nadzorujecie kursantów.

– Jeśli ma taką świetną siatkę, dowie się o moim przyjeździe. Powiadomi go ktoś z jego ludzi. A wtedy ucieknie, nie będzie ryzykował.

– Wątpię. Otrzymał rozkaz wykonania misji za wszelką cenę. Zresztą nie będzie miał pewności, że jest waszym celem. Ewentualne problemy rozpoczną się, kiedy go już zdemaskujecie. Wówczas musicie go natychmiast ewakuować!

– O ile dam radę go zidentyfikować – powiedziałem ze znużeniem. – Nie jestem cudotwórcą...

– Zdaję sobie sprawę, jak trudne zadanie przed wami postawiłem. Nie będę też ukrywał: do tej pory Wotan był niepokonany. Polujemy na niego od lat...

– Co takiego zrobił?

Zamiast odpowiedzieć, Stalin sięgnął po wystygłą już herbatę, upiwszy łyk, odsunął szklanekę z niesmakiem.

– To tylko plotki – odparł wreszcie. – Podobno brał udział w kaptowaniu Własowa i innych. Zawsze pozostając w cieniu, za kulisami.

Gwizdnąłem w duchu: takie buty... Własow był znakomitością: w Armii Czerwonej dosłużył się stopnia generała-porucznika, dwukrotnie został odznaczony Orderem Lenina, decyzją samego Stalina postawiono go na czele Dwudziestej Armii i rozkazano bronić przedpola Moskwy. W czasie swojej służby wykazał się wybitnymi zdolnościami dowódczymi, jednak w kwietniu zeszłego roku dostał się do niemieckiej niewoli. Początkowo osadzono go w obozie, ale już w sierpniu wystosował wraz z innymi oficerami Armii Czerwonej memorandum do władz Trzeciej Rzeszy, w którym postulował utworzenie rosyjskiej armii do walki ze stalinizmem. Nic dziwnego, że towarzysz Gławkom był nieco... zestresowany. Własow to nie byle kto, jeśli Niemcy powierzą mu dowództwo rosyjskich jednostek, możemy mieć problem. Duży problem. Wiedziałem, że wkraczające do naszego kraju oddziały niemieckie w wielu miejscach witane były kwiatami i dopiero obłąkańcza polityka Hitlera nakazująca traktować Słowian jako ludzi drugiej kategorii i idące za tym represje nastawiły sporą część społeczeństwa przeciwko najeźdźcom. Nie ma co ukrywać, że wielu obywateli Związku Radzieckiego chętnie skończyłoby z komunizmem i komunistami. Gdyby tylko dać im szansę...

Nawet jeżeli nic nie wiadomo o aktualnej misji Wotana, można przypuszczać, że ma ona podobny charakter co poprzednie: przeważnie każdy agent ekstraklasy posiada swoją specjalność. Wówczas należałoby się spodziewać, że Wotan ma za zadanie

przekonać kogoś do przejścia na drugą stronę. Biorąc pod uwagę stopień komplikacji operacji i ryzyko, jakie podejmuje sam agent, musi chodzić o kogoś z najbliższego otoczenia Stalina... Stąd i ponury nastrój towarzysza Głównowodzącego. Nawet jeśli uda się powstrzymać Wotana, pozostanie pytanie: o kogo chodziło? A tu środek wojny i nie można rozwiązać problemu z typowym dla Gławkoma wdziękiem, robiąc czystkę w Sztabie Generalnym.

– Mam pytanie – odchrząknąłem niepewnie.

– Pytajcie! – warknął Stalin z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Chodzi mi o priorytety mojej misji. Założywszy, że zidentyfikuję Wotana, co jest najważniejsze: przesłuchanie, ewakuacja na tyły czy może likwidacja agenta? Nie pytam z cichej ciekawości – zastrzegłem się, widząc, że Stalin poczerwieniał na twarzy. – Jeżeli ten człowiek jest taki dobry, to kto wie czy nie przyjdzie wybierać...

– Nie wolno wam go przesłuchiwać! Możecie mu zadawać tylko takie pytania, które pomogą go zdemaskować! Czy to jasne?!

– *Tak toczno!*

– Gdyby próbował uciec... Taaak, to dobre pytanie... W żadnym wypadku nie może ująć z życiem. Wówczas priorytetem, absolutnym priorytetem jest likwidacja.

– Zrozumiałem.

– To wszystko, możecie odejść, Razumowski. Szykujcie się do podróży. I... powodzenia.

Odmeldowałem się suchym, beznamiętnym tonem, ale przemierzając korytarze Kremla, nie mogłem powstrzymać złości. Zrugalem bez powodu wartowników, później oficera, który oddał mi broń. Jakie miałem szanse na powstrzymanie dywersantów w sytuacji, kiedy kazano mi jednocześnie ścigać nieuchwytnego ponoć agenta? Prawdopodobieństwo, że wywiążę się z obu zadań, było niewielkie. Podobnie jak to, że ujdę z życiem... Ktoś tu chyba pomylił mnie ze Świętym Mikołajem czy innym Dziadkiem Mrozem. Co to dla mnie złowić dywersantów, z którymi nie mogło sobie poradzić NKWD? Co za problem złapać szpiega widmo? Sięgnę do worka i już! Dajcie mi tylko, kurwa, renifery do kompletu!



Po przyjeździe do domu od razu poszedłem do łóżka, byłem śmiertelnie zmęczony. Chociaż od śniadania upłynęło sporo czasu – wizyta na Kremlu zajęła pół dnia – nie czułem nawet głodu, dyskusja ze Stalinem i Bериą zupełnie odebrała mi apetyt. W sumie nic dziwnego, to nie herbatka u cioci... Przewracałem się z boku na bok, jednak mimo znużenia sen nie nadchodził. Co prawda ostatnio miałem wiele

powodów do zmartwień, ale tym razem niepokoiło mnie coś konkretnego, nie mogłem oprzeć się przekonaniu, że przeoczyłem ważną poszlakę, nie dostrzegłem czegoś oczywistego. Wyczerpany napięciem ostatnich dni umysł odmawiał pracy, lecz podświadomość biła na alarm. O co, do cholery, chodzi? Przecież przeanalizowałem wszelkie dane, każdy strzęp informacji...

Poirytowany pomaszerowałem do kuchni, wyciągnąłem butelkę wódki. Cóż, chyba czas na małe znieczulenie, jak tak dalej pójdzie, jutro nie będę się do niczego nadawał, a tu wypadałoby zerknąć na pracę instruktorów, no i odwiedzić Abakumowa. Zdecydowanym ruchem napełniłem szklanke, podniosłem do ust. Jednak kiedy tylko pociągnąłem pierwszy łyk, przyszedł mi do głowy lepszy pomysł: dlaczego by nie odwiedzić Olgi? Ona także pomoże mi zasnąć, a nie będę miał później kaca... Być może istniały też i inne powody, żeby spotkać się z konsultantką Majkowską – jej towarzystwo sprawiało mi przyjemność, nie tylko na planie erotycznym. Jednak była to kwestia, której wolałem nie rozpatrywać zbyt dokładnie, brakuje mi jeszcze, żebym zakochał się w córce białogwardzisty. Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć...

Upewniłem się, że Olga jest na miejscu, i zadzwoniłem po samochód. Nie ulegało wątpliwości, że przydzielony mi przez generała Iliczowa szofer napracuje się dzisiaj, ale będzie miał przynajmniej o czym pisać w raportach. Bez wątpienia nadzorował każdy mój ruch. Nie żeby mnie to specjalnie niepokoiło, do wszystkiego można się przyzwyczaić, także do nieustannej inwigilacji. Taka praca.



Leżałem na brzuchu, poddając się pieszczocie drobnych, zwinnych dłoni. Po raz pierwszy od kilku dni moje plecy przestały przypominać sztywną deskę. Mówią, że niewidomi są świetnymi masażystami, podobno potrafią wyczuć każdy napięty mięsień. Olga masowała znakomicie – potrafię to ocenić, nie raz i nie dwa lekarz ordynował mi masaż w ramach rehabilitacji. No i żadna pielęgniarka nie podchodziła do swojej pracy z takim entuzjazmem... Tak, spotkanie z konsultantką Majkowską to był dobry pomysł.

Stopniowo zacząłem odpływać w sen – po raz kolejny tego dnia; wcześniej zdrzemnęliśmy się kilka godzin. Czułem delikatny dotyk Olgi, zapach jej perfum, gdzieś obok cicho tykał budzik.

Niespodziewanie przed oczyma stanęła mi twarz mężczyzny o grubych, nieco rozmytych rysach i krzaczastych, podobnych do dwóch gąsienic brwiach. Wydała mi się dziwnie znajoma. Gdzie ja go widziałem? I dlaczego właśnie teraz sobie o tym przypominałem? Zapach! Tak, to o to chodzi! Facet kojarzył mi się z jakimś dziwnym

zapachem, choć w jego wypadku nie był to na pewno aromat Shalimar... Myśl, Razumowski! Myśl!

Łagodnie przekręciłem się na bok, przytuliłem Olgę. Dziewczyna umościła się u mojego boku i momentalnie zapadła w sen. Nabrałem powietrza w płuca, wstrzymałem oddech. Już dawno zauważyłem, że ćwiczenia opisane w księdze Doskonałych wprawiają mnie w rodzaj transu, pozwalają skoncentrować się na konkretnym problemie. Od momentu wyjścia ze szpitala wykorzystywałem tę sztuczkę wielokrotnie. Może i teraz poskutkuje? Stopniowo dudnienie krwi w skroniach zagłuszyło wszelkie inne odgłosy, czas wstrzymania oddechu wydłużał się do nieskończoności, przed oczyma widziałem tylko ciemność. Byłem pewien, że przynajmniej przelotnie spotkałem tego mężczyznę. Jednak gdzie? W ostatnim okresie nie udzielałem się towarzysko, możliwości nie było tak wiele: komenda milicji, NKWD, koszary, gdzie szkolili się adepci Smiersza, GRU, kilka knajp, ulica, Czernogołowka, uniwersytet, wreszcie szpital... Mimo że moje myśli cały czas krążyły wokół problemu, za nic nie mogłem skojarzyć, dlaczego akurat ta twarz budzi we mnie czujność. I zapach... Dałbym głowę, że był niezwykajny. Szpital? Tam cały czas powietrze przesiąknięte jest wonią leków i środków dezynfekcyjnych. Tak, to najbardziej prawdopodobna wersja. Trzeba będzie pofatygować się do „Trzynastki”, przy okazji odwiedzę Warwarę Siemionownę.

Po godzinie, może dwóch mogłem przywołać twarz mężczyzny na każde zawołanie. Najdziwniejsze wydawało się to, że widziałem ją z bliska, ale zamazaną. Tak jakby ktoś zakrył zdjęcie cieniutką, niemal przezroczystą bibułą. Wariactwo...

W końcu otworzyłem oczy i ostrożnie wysunąłem się z ramion Olgi. Jak zwykle spościłem się w czasie ćwiczeń, więc postanowiłem wziąć kąpiel, zanim i konsultantka Majkowska zacznie narzekać na dziwne zapachy.

Otworzyła oczy, kiedy tylko wstałem z łóżka.

– Gdzieś ci się spieszy? – odezwała się groźnie.

– Do łazienki – mruknąłem. – Śpij.

– Chyba przyda nam się kąpiel – przytaknęła. – Przepociliśmy całą pościel. Lećcie grzać wodę, towarzyszu! – poleciła, ziewając. – Chociaż...

– Tak?

– Ty i tak ładnie pachniesz.

– Słucham?

– Już ci to przecież mówiłam, na samym początku naszej znajomości: ładnie pachniesz. Twój pot ma zapach piżma i miodu. Taki słodkawy.

Zatrzymałem się jak rażony gromem: czyżby coś było w bredniach babki Anastazji? Czy potwory, które wymordowały wioskę w czasach jej młodości, rzeczywiście posiadały specyficzny zapach? Podobnie jak ja? Cholera, że też nie przeczytałem do końca księgi Doskonałych!

Powąchałem podkoszulek, ale nie poczułem niczego specjalnego. W sumie nic dziwnego, każdy jest przyzwyczajony do własnego zapachu i o ile nie trzyma się przez dłuższy czas z daleka od wody, trudno mu zauważyć jakieś zmiany.

– Jesteś pewna?

– Czego?

– Tego, że dziwnie pachnę.

– Nie dziwnie, tylko przyjemnie – poprawiła. – I tak, jestem pewna. Ze względu na swój stan mam węch absolutny.

Cóż, znaczy przybył mi jeszcze jeden wpis w kalendarzyku: musiałem pogadać z Nikonowem i wypytać go, czy studiując księgę Doskonałych, nie natknął się na wzmiankę o tym, jakoby adepci sekty mieli posiadać specyficzny zapach, czy to w wyniku ćwiczeń oddechowych, czy też działania „świętej choroby”. Ech, biednemu zawsze wiatr w oczy. Tak jakby mi brakowało problemów...

– Chodź ze mną – zaproponowałem, ciągnąc Olgę za rękę.

– Gdzie?

– Do łazienki. Będziemy się kąpać.

– W zimnej wodzie?!

– Trwa wojna – powiedziałem surowo. – Wszyscy obywatele Związku Radzieckiego powinni odznaczać się heroizmem i nadludzkim hartem ducha!

– Nie znoszę zimnej wody!

– Cóż, jest i pewien bonus...

– A mianowicie?

– Jeśli zziębniemy, trzeba się będzie jakoś rozgrzać...

– Nad tym warto się zastanowić – przyznała, wydymając usta. – Niech będzie – zdecydowała. – Ale mam kilka życzeń co do tego rozgrzewania.

– Przedstawisz je w kąpieli.

Przedstawiła ze szczegółami. Później zajęliśmy się wprowadzaniem ich w życie.



Tatiana Orłowa jak zwykle rezydowała w pomieszczeniu zamienionym na salę balową. Tym razem pod ścianą umieszczono coś w rodzaju bufetu: zakąski, szampan, wódka, kilka gatunków whisky... Orłowa emanowała erotyzmem, każdy jej gest, każdy ruch pobudzał wyobraźnię, stanowił niewypowiedzianą obietnicę. Kursanci wpatrywali się w nią z napięciem, słuchając wykładu prowadzonego spokojnym, gardłowym głosem. Po raz kolejny skonstatowałem, że ta instruktorka na pewno nie ma problemu ze skupieniem na sobie uwagi uczniów...

– Wyobraźcie sobie, że musicie wywołać jakieś zamieszanie, sprawić, żeby towarzyszące wam osoby na moment przestały was zauważać – powiedziała.

– Co mamy do dyspozycji? – spytał chłopak o zwalistej sylwetce kołchoźnika.

Przypomniałem go sobie natychmiast: Lewartow. Jeden z najlepszych kursantów.

– To, co widzicie. – Orłowa zatoczyła dłonią krąg.

– Jesteśmy sami? – upewnił się Lewartow.

– Całkiem sami – potwierdziła z uśmiechem.

Z pewnym zdziwieniem zauważyłem, że chłopak nie jest specjalnie podekscytowany osobą instruktorki. Zainteresowany zadaniem, ale nic ponadto. W odróżnieniu od większości kolegów...

– Zdefiniujcie termin „zamieszanie” – poprosił inny.

Tego też kojarzyłem, brał udział w milicyjnym śledztwie razem z Eleną i Lewartowem. Jak mu tam było...? Gurłanow! Miał jakieś dziwaczne imię: Kip? Nie, Kid! Kid Gurłanow. Skrót od słów: *Kommunisticzieskij Idieał*. W pierwszych latach po rewolucji rodzice często robili to swoim dzieciom...

– Coś mało znaczącego. Wrzucenie granatu pod stół odpada – poinformowała cierpko Orłowa.

Kursanci wybuchnęli śmiechem. Gurłanow poczerwieniał i wzdrygnął się jak smagnięty batem. Dziwna reakcja na niewinny w końcu żart. No ale może chłopak zamierzał zaimponować instruktorce? Ech, te dzieciaki...

– Po czorta nam zamieszanie? – wtrąciła agresywnym tonem jakaś dziewczyna w okularach. – Przecież nie możemy zwracać na siebie uwagi, nie w miejscu publicznym.

Dziewuszka wpatrywała się w Orłową z nieukrywaną wrogością. Cóż, mało kto ją zauważy przy takiej instruktorce. Może należało częściej przychodzić na zajęcia? Z pewnością nie były nudne.

– Powodów mogą być setki – wyjaśniła Orłowa obojętnym tonem. – Pierwszy z brzegu: chcesz sięgnąć do kieszeni obiektu, a przecież nie jesteś kieszonkowcem, więc musisz go jakoś zdekoncentrować.

– Na przykład wytrącić mu niby przypadkiem coś z ręki? – domyślił się Lewartow.

– W ostateczności. To dość ograny chwyt. Jeśli trafisz na zawodowca, natychmiast stanie się czujny i zacznie pilnować kieszeni.

– Czyli najlepiej by było zrobić coś, co w pierwszej chwili nie zostanie skojarzone z nami?

– Tak.

– Mogę podejść do bufetu? – poprosił Gurłanow.

– Oczywiście.

Po chwili chłopak przeglądał już sztuczki i butelki z alkoholem.

– Co my tu mamy? – wymruczał. – Z łyżki można co prawda zrobić katapultę i...

– Ani się waź! – przerwała mu z udaną surowością Orłowa.

Naburmuszony Gurłanow wrzucił do ust przygotowaną do wystrzelenia oliwkę.

– W takim razie umyвам ręce – oznajmił.

– Trzeba to było zrobić, zanim sięgnąłeś po jedzenie – zauważyłem.

Kilka osób zachichotało, ale widać było, że większość kursantów nadal głowi się nad zadaniem. Co chwila ktoś podchodził do bufetu, przekładał sztucce, oglądał zastawę.

– A gdybym tak upuścił coś na podłogę... – odezwał się z wahaniem w głosie Lewartow. – Może obiekt by to podniósł?

– Możliwe – przyznała Orłowa. – Gdybyś miał osiemdziesiąt lat, a twój cel był pół wieku młodszy...

– Ale w przypadku kobiety ta sztuczka mogłaby zadziałać? – upewniła się Elena.

– Och, wreszcie zagadka rozwiązana! I jak zwykle przez naszą gwiazdę! – wykrzyknęła Żelazowa.

Tę też pamiętałem. Nasza znajomość była co prawda krótka, za to intensywna: pogoniłem ją, kiedy tylko zobaczyłem. Żelazowa nie zaliczała się do prymusów, ale nadrabiała to walorami pozaintelektualnymi. Tyle że nie byłem zainteresowany.

– To prawda, że udzielam się nieco częściej niż ty – odpaliła zimno Szewieliewa.

– Cóż, ja nie zostałam wyszkolona przez pułkownika Razumowskiego w trybie indywidualnym...

Lubieżny uśmiezek Żelazowej nie pozostawiał wątpliwości, co ma na myśli. Zapewne dziewczucha nie po raz pierwszy czepiała się Eleny, najwyraźniej nieobecność tej ostatniej na zajęciach, jak i fakt, że wyjeżdżała z mojego rozkazu, pobudziły wyobraźnię kursantów. Musiałem coś z tym zrobić, sama Szewieliewa nie mogła przecież powiedzieć, że brała udział w tajnej operacji, a podobne plotki mogły mi mocno zaszkodzić. Gdybym wiedział wcześniej o sprawie, wymyśliłbym, jak rozprawić się z Żelazową. Niestety, nikt mnie o tym nie poinformował i musiałem improwizować.

Kiedy wstałem, wszystkie oczy skierowały się na mnie. No, prawie wszystkie: Elena wpatrywała się w przestrzeń z zaciśniętymi zębami i ceglastymi wypiekami na policzkach.

– Widzę, że trzeba wyjaśnić kilka spraw – stwierdziłem zimno. – Ale po kolei... Najpierw wasze zadanie.

Podszedłem do stołu, poczęstowałem się whisky, po czym postawiłem szklanekę na samym brzegu stołu.

– Rozwiązanie jest banalne: musicie zrobić coś, co zadziała z opóźnieniem. Bez waszego bezpośredniego udziału.

– Jak ładunek wybuchowy z mechanizmem zegarowym? – Lewartow zmarszczył brwi.

– Mniej więcej, choć nie dosłownie...
– W jaki sposób?
– Zobaczysz za chwilę. Tymczasem kursantki Żelazowa i Szewieliewa zrobią po dwieście przysiadów. Jedna za głupotę i bezczelność, druga tylko za głupotę.
– Jestem zwolniona z zajęć fizycznych – odburknęła Żelazowa. – Mogę wam pokazać...
– Nie interesuje mnie nic, co możesz mi pokazać – przerwałem jej bezceremonialnie. – Do roboty!
– I co mi zrobicie? Usuniecie z kursu?!
– Skąd! O skreśleniu cię z listy zdecydować może tylko towarzysz Abakumow. – Uśmiechnąłem się dobrodusznie. – Mnie wolno jedynie podjąć wszelkie niezbędne środki w celu wyegzekwowania prawomocnie wydanego rozkazu. – Wymownym gestem oparłem dłoń o kaburę.

Na sali zapadła śmiertelna cisza, a pobladła Żelazowa natychmiast rozpoczęła ćwiczenia. Patrzyłem w milczeniu na oddychające coraz ciężiej dziewczęta: Elena dawała sobie nieźle radę – widać było, że dba o kondycję, Żelazowa chwiała się na nogach już po kilkudziesięciu powtórzeniach.

Nagle rozległ się ostry trzask: ze stołu spadła szklanka. W górę uniosło się kilkadziesiąt rąk, ale nikt z obecnych nie odważył się odezwać bez pozwolenia. Nagle przypomnieli sobie o regulaminie...

Nonszalanckim gestem zezwoliłem na zadawanie pytań.

– Jak to zrobiliście? – odezwał się oszołomiony Gurłanow.

– To proste. – Wzruszyłem ramionami. – Postawiłem szklankę na brzegu stołu, podkładając pod nią kostkę lodu. Kiedy lód się roztopił, przechyliła się i upadła.

– Ciekawa sztuczka – skomentowała Orłowa. – Warto zapamiętać.

Wyszedłem na środek, stanąłem naprzeciwko kursantów. Nie odezwałem się nawet słowem, ale stopniowo cichły prowadzone półgłosem rozmowy, dopinano guziki kołnierzyków, ktoś usiłował nawet wyczyścić rękawem buty.

– *Stanowis'!*

Rozkaz poderwał ich na nogi, w mgnieniu oka ustawili się w szyku.

– *Smirno!*

Kiedy stanęli na baczność, wyczytałem nagrodzonych za współpracę z moskiewską milicją, rozdałem podpisane przez Poliakowa dyplomy. Wśród szczęśliwców znaleźli się Lewartow, Elena i Gurłanow. Nikt już nie zwracał uwagi na Żelazową i pewnie tak pozostanie przez kilka dni. Później wszystko zacznie się od nowa... Mogłem ją, rzecz jasna, ukarać oficjalnie: oskarżyć o obrazę wyższego stopniem i postawić przed sądem, ale rozdmuchałoby to aferę do niesłychanych rozmiarów. Co prawda miałbym wówczas pewność, że złośliwe babsko wyląduje na zonie albo w kompanii karnej, ale na pewno nie zapobiegłoby to plotkom, co najwyżej wystraszyło złośliwców. Na

pewien czas... Taaak, muszę wymyślić coś innego.

– *Wolno! Otdielienije razojdis'!*

Gestem dałem znać Orłowej, żeby kontynuowała zajęcia, i wyszedłem z sali. Czekala mnie jeszcze rozmowa z Abakumowem: należało omówić detale operacji. Nie miałem zamiaru brać ze sobą więcej niż dwóch, trzech kursantów. I tak będę miał pełne ręce roboty, opiekując się żółtodziobami na linii frontu.



Odłożyłem z trzaskiem słuchawkę i używając słów starannie pomijanych we wszystkich słownikach, wygłosiłem opinię na temat sztabowych pierdzistołków. Właśnie usiłowałem przekonać urzędasów z sekretariatu Gławkoma o konieczności awansowania Eleny Szewieliewej do stopnia sierżanta. Mimo powołania się na wydany mi przez Stalina dokument gryzipiórek, z którym rozmawiałem, stwierdził, że nie może nic zrobić bez osobistej aprobaty Głównodowodzącego. Tak jakby ten miał czas na rozpatrywanie wniosków awansowych dotyczących nieznanym mu bliżej kursantów Smiersza...

W porównaniu z innymi moimi problemami sprawa wydawała się błaha; do zakończenia szkolenia pozostał ledwie miesiąc, w czerwcu absolwenci kursów Smiersza dostaną swoje pierwsze przydziały. Choćby Żelazowa stawała na głowie, wiele już nie zdołała. Z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, że w mojej sytuacji nawet drobiazg może zadecydować nie tylko o karierze, ale i życiu. No i dobrze by było pomóc Elenie: jeśli utemperuję Żelazową, dziewczyna mi to zapamięta. A gra była warta świeczki – miałem zamiar zaproponować Elenie przejście do *wojennoj razwiedki*. Z doświadczenia wiedziałem, że lojalność podwładnych jest bezcenna. Dosłownie... Sam awans Szewieliewej nie załatwiał sprawy, ale gdyby dokonano go z rozkazu Gławkoma, wszelkie spekulacje na temat moich stosunków z Eleną ucichłyby jak ręką odjął: nawet najgłupszy zrozumieliby, że dziewczyna musiała brać udział w operacji nadzorowanej przez towarzysza Stalina. Byłoby to idealne rozwiązanie, bo sam fakt awansu nie tylko zachęciłby pozostałych kursantów do większego wysiłku, ale i wzmocnił moją pozycję, ukazując wyraźnie, że opłaca się mi pomagać. Nie zapomniałem, że poza Eleną muszę zwerbować jeszcze kilka osób. Niestety, wszystkie te rachuby okazały się płonne w zetknięciu z oślim uporem jakiegoś kancelisty.

Ponure rozmyślenia przerwał mi dźwięk dzwonka, po krótkiej chwili doszło do tego łomotanie w drzwi. Kogo diabli niosą? Wątpiłem, żeby dobijał się ktoś z sąsiadów, ci raczej starali się nie wchodzić mi w drogę. Stałem w progu, dzierząc

za plecami tokariewa. A nuż się przyda? Jednak mój gość nie wyglądał na niebezpiecznego – ot, chudy, piegowaty dzieciak. Na oko kilkunastoletni.

– Czego? – burknąłem.

– Musicie iść ze mną! – krzyknął. – Natychmiast!

Dopiero teraz go poznałem: szef bandy *biesprizornikow*, która dostarczała mi szczurów.

– Co się stało?

– Ina chce wam coś powiedzieć. Coś ważnego.

– Co za Ina?!

– Moja siostra. Nie pamiętacie? Złapaliście ją, a ona was kopnęła. Później uprzedziła o zasadzce.

No tak, mała, złośliwa bestia...

– Dlaczego sama nie przyszła?

– Jest chora, nie może chodzić. Mówi, że to bardzo ważne.

Przyjrzałem się podejrzliwie chłopakowi – wyglądał na wzburzonego. Tylko czym? Istotnie mała przekazała mi kiedyś informację, która mogła okazać się cenna: uprzedziła, że pod domem kręci się niewzbudzająca zaufania ekipa. Zapłaciłem jej za to więcej, niż wyzebrałaby w tydzień. Może rzeczywiście miała dla mnie coś ciekawego? Jednak dlaczego dzieciak jest taki zdenerwowany? Moje kontakty z *biesprizornikami* miały wyłącznie handlowy charakter i bardzo wątpiłem, żeby martwili się o mnie. Interesowałem ich jedynie jako źródło dochodów... A może gnojek chce mnie zwabić w zasadzkę? A po kiego czorta? Wie, że jestem oficerem, więc musi zdawać sobie sprawę, że jeśli coś mi się stanie, ani on, ani jego kumple długo nie pożyją. Już w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku Rada Komisarzy Ludowych postanowiła, aby wobec niepełnoletnich od lat dwunastu winnych kradzieży z użyciem siły, morderstwa lub usiłowania morderstwa stosować kary jak dla dorosłych, z rozstrzelaniem włącznie.

– Gdzie ona jest?

– Niedaleko – odparł, odwracając wzrok. – W kotłowni.

Włożyłem buty, narzuciłem płaszcz.

– Idziemy – zdecydowałem.

Chłopak ruszył naprzód jak wystrzelony z procy, musiałem kazać mu zwolnić. Skąd ten pośpiech? Dyskretnie przełożyłem pistolet z kabury do kieszeni: bardziej odruch niż konieczność – nadal nie chciałem wierzyć, że ośmielą się na atak. Dzieciak ponaglał mnie nieustannie, prowadząc przez zaułki i boczne uliczki. Rozglądałem się dyskretnie, ale nie zauważyłem po drodze nikogo z jego bandy. W końcu otworzył wytrychem przerdzewiałe metalowe drzwi, pokazał prowadzące w dół schody. Kazałem mu zejść pierwszemu, usłuchał bez słowa.

Leżała na stercie szmat tuż przy potężnym, opalanym węglem piecu. Rzeczywiście

kotłownia... Mimo że w pomieszczeniu panował upał, ktoś okrył ją grubą, puchową pierzyną. Była zlane potem, drobnym ciałkiem co chwila wstrząsał spazmatyczny kaszel. Kiedy podszedłem bliżej, usłyszałem za plecami zgrzyt żelaza.

– Nie próbujcie strzelać! – zawołał chłopak. – Drzwi są za grube. Wypuszczę was za godzinę.

– To jakiś dowcip?! Ja ci, gówniarzu...

– Chciała was zobaczyć – przerwał mi drżącym głosem. – Co miałem robić?! Ona umiera...

Przyklęknałem przy posłaniu – dziewczuszka usiłowała się uśmiechnąć, w ręku ścisnęła zakrwawioną szmatę. Nie musiałem być lekarzem, żeby zauważyć, że rzeczywiście umiera. Smarkacz nie kłamał: gruźlica, ostatnie stadium.

Podszedłem do drzwi.

– Dlaczego ja? – spytałem.

– Nie wiem! – krzyknął z rozpaczą. – Polubiła was... Nie bijcie jej, proszę! Za godzinę was wypuszczę – powtórzył.

– W porządku – powiedziałem. – Za godzinę. Jeśli spóźnisz się choć o minutę...

– Będę tu czekał. Mam zegarek – zapewnił pospiesznie.

Wróciłem do małej, w piwnicy słychać było tylko jej ciężki oddech, syk pary i moje kroki.

– Opowiedzcie mi bajkę – poprosiła.

W jej oczach brakowało już życia, pozostawała jedynie rozpaczliwa nadzieja, że nie odejdzie samotna. Dlaczego wołała, żebym to właśnie ja, a nie brat towarzyszył jej w ostatnich chwilach? Nie wiedziałem. Może pożegnała się już z nim, a może kogoś jej przypominałem? Kogoś ze świata, który przestał istnieć, kiedy znalazła się na ulicy? Usiadłem przy niej i siedziałem do końca. Nie trwało to długo.



Warwara Siemionowna popatrzyła na mnie, jakbym był pijany. Być może poczuła zapach alkoholu: przed wyjściem z domu łyknąłem wódki, ale do stanu upojenia sporo mi brakowało. Niestety...

– Gruźlica? – powtórzyła. – Jesteś pewien, że miałeś kontakt z chorym?

Potwierdziłem ponuro.

– Opowiadaj! – zażądała.

Opowiedziałem.

– Ile to trwało? – spytała.

– Około godziny.

- Nic ci nie grozi – oznajmiła. – Przez ten czas raczej nie zdążyłeś się zarazić.
- Raczej?!
- Byłeś szczepiony – westchnęła. – Widziałam twoją kartę. Dostałeś BCG.
- Co to za cudo?
- Bacillus Calmette-Guérin, szczepionka przeciw gruźlicy. Poza tym gruźlica to choroba słabych i niedożywionych, a ty jadasz do syta i jesteś silny jak koń. No co jeszcze? – burknęła, widząc moją minę.
- Zarażenie następuje drogą kropelkową? – upewniłem się.
- Owszem.
- A przez krew?
- Jaką, do cholery, krew?!
- Upaprałem się.
- Tulileś ją – powiedziała z niedowierzaniem. – Tulileś tego brudnego, okrwawionego dzieciaka...
- Nie opowiadajcie bzdur! – warknąłem. – Może ją dotknąłem, to wszystko!
- Myłeś się?
- Kapałem.

Warwara Siemionowna wyszła bez słowa, wróciła z czystym, choć cienkim jak papier ręcznikiem i kostką śmierdzącego mydła.

– Przy końcu korytarza jest łazienka dla personelu – powiedziała. – Wykąpiesz się jeszcze raz.

- Co to jest? – Pociągnąłem nieufnie nosem.
- Mydło dzieciowe. No dalej! Jazda pod prysznic!

Cóż miałem robić? Pomaszerowałem posłusznie do łazienki i wykonałem polecenie siostry oddziałowej. Mimo że woda była niemal zimna, wymydlilem pół kostki, zanim skończyłem ablucje. Ostatnie, czego mi trzeba, to zarażenie gruźlicą.

Wychodząc, zderzyłem się w drzwiach ze szczupłą, choć zaokrągloną kusząco gdzie trzeba blondynką. No proszę: Emma Wasiliewna, lekarka. Ta sama, która chciała koniecznie pomagać mi przy rehabilitacji Katuszewa.

– Widzę, że poszerzacie swój krąg zainteresowań, pułkowniku Razumowski – zauważyła. – Już nie wystarczy wam buszowanie po gabinetach, czaicie się i w damskiej łazience...

– Umyłbym wam plecy, żeby się zrehabilitować, ale czas mnie goni – odciąłem się z uśmiechem.

- Tym czymś? – Skrzywiła się z niesmakiem. – Po cholere wam mydło dzieciowe?
- Zetknąłem się dziś z gruźlikiem. Ostatnie stadium...
- Ile to trwało? – rzuciła szybko.
- Niecałą godzinę.

- Chory płuł krwią?
- Tak.
- Macie jakieś niezagojone rany czy choćby zadrapania?
- Nie.
- Byliście szczepieni?
- Tak, BCG.
- Nic wam nie będzie! – Machnęła ręką.
- Jesteście pewni?
- Całkowicie. Pokazać wam, jak bardzo? – zaproponowała z szelmowskim uśmiechem.
- Dziękuję, wierzę wam na słowo – odparłem z pewnym żalem.
- Jak sobie chcecie – burknęła, wydymając wargi.
- Zanim się odwróciłem, zdążyła zrzucić fartuch i zaprezentować mi apetyczny tyłeczek oraz długie, zgrabne nogi. Ech, gdyby nie konsultantka Majkowska...
- Z zamyślenia wyrwało mnie poirytowane chrząknięcie.
- Ciekawe, dlaczego niektórzy potrafią znaleźć kłopoty nawet w łazience? – zapytała Warwara Siemionowna.
- To była tylko darmowa konsultacja – zapewniłem.
- Tak, wiem, że pewna pani chirurg lubi bawić się w doktora...
- Wszystko słyszałam! – oznajmiła Emma Wasiliewna, wychodząc na korytarz. – Podważacie moje kompetencje zawodowe?
- Zdążyła się już rozebrać i owinać w sięgający do pól uda ręcznik. Ze zdziwieniem zauważyłem, że oczy obu kobiet błyszczą rozbawieniem, najwyraźniej nie tylko się znały, ale i lubiły.
- Uchowaj Boże! Nie mam najmniejszych wątpliwości co do twoich kompetencji. Także tych pozazawodowych...
- Warwaro Siemionowna! – naburmuszyła się lekarka.
- Sio, smarkulo! Mamy na tym piętrze kilku zawałowców, jak cię zobaczą półgołą... Razumowski, za mną! – zakomenderowała, łapiąc mnie za ucho.
- Auć! Nie tak mocno! – zaprotestowałem.
- To nie gap się gdzie nie trzeba.
- Ja tylko...
- Widziałam, co ty tylko! I pomyśleć, że ta dziewczucha jest naszym najlepszym chirurgiem – mruknęła z udawanym niesmakiem.
- Naprawdę jest taka dobra?
- Naprawdę. Gdyby to ona operowała Michałyczka... – Warwara Siemionowna przygryzła wargi.
- Wziąłem ją za rękę, przez chwilę szliśmy w milczeniu.
- Była wtedy chora – wyjaśniła, przerywając ciszę.

– Możecie poświęcić mi kilka minut? Chciałbym wam coś pokazać – zmieniłem zdecydowanie temat.

– Tak, mam trochę czasu przed następnym obchodem.

Kiedy wróciliśmy do gabinetu, zademonstrowałem Warwarze Siemionownie portrety pamięciowe dywersantów.

– Kojarzycie któregoś?

Siostra oddziałowa uważnie obejrzała podobizny bandytów i z przeproszającym uśmiechem pokręciła głową. Jak pech, to pech... Nie miałem co prawda wielkiej nadziei, że kogoś rozpozna, ale tonący brzytwy się chwyta. Czas, jaki mi pozostał na rozwiązanie zagadki, kurczył się w zastraszającym tempie. Jeśli nie wykorzystam go należycie, towarzysz Stalin będzie niezadowolony. Bardzo niezadowolony...

– A tamte? – Warwara Siemionowna zajrzała do teczki.

– Jest jeszcze kilka, ale są zbyt ogólne – wyjaśniłem. – Świadkowie nie zapamiętali zbyt wielu detali.

– Pokażesz?

Wzruszyłem ramionami i wyłożyłem pozostałe portrety na stół. Mimo że rysy twarzy dywersantów były nieco rozmyte, tak jakby szkicowano je, patrząc przez grubą szklaną taflę, Elenie udało się uchwycić indywidualne cechy każdego z nich. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna ma talent.

– Przykro mi, nigdy ich nie widziałam.

Odpowiedziałem nieartykułowanym pomrukiem – nie byłem w najlepszym nastroju. Nagle zamarłem: jedna z twarzy wydała mi się niepokojąco znajoma.

– Ołówek! – zażądałem.

– Co takiego?

– Dajcie mi jakiś ołówek!

– Proszę.

Trzęsącą się ze zdenerwowania ręką dorysowałem mężczyźnie gęste, krzaczaste brwi. Tak, to facet z moich majaków! Ten, którego kojarzyłem z dziwnym zapachem.

– Poznajecie?! – spytałem gorączkowo.

– Nie.

– Jesteście pewni?!

– Saszka, to szpital dla ciężkich przypadków. Przywożą nam pacjentów, z którymi inni nie daliby sobie rady. Oni tu leżą miesiącami. Zapamiętałabym kogoś z takimi brwiami.

– A personel?

– Nie ma mowy! Znam ich wszystkich.

Westchnąłem ciężko – a już myślałem, że znalazłem coś konkretnego. Gdybym ustalił tożsamość jednego z napastników... Tak czy owak, wiedziałem więcej niż przed chwilą: nie ulegało wątpliwości, że spotkałem gdzieś dywersanta, który brał udział

w ataku na Czernogółówkę. Pozostawało wyjaśnić gdzie. Szpital odpadał.



I znowu siedziałem za bogato zastawionym stołem, słuchając dźwięków walca „Na sopkach Mandżurii”, a były damy dworu częstowały mnie koniakami z prywatnych zapasów. Tak jak przed wyjazdem na akcję, w której straciłem niemal cały oddział; z dawnej ekipy przeżył tylko Tima. Miałem nadzieję, że obecna misja zakończy się mniej krwawo...

Oszołomiona bogactwem zakąsek Elena – pewnie dawno nie widziała tylu smakołyków! – próbowała coraz to nowych potraw, Kotuszew z nieśmiałym uśmiechem popijał lemoniadę, a Nikonow pałaszował wędzone śledzie. Gdyby nie mundury, można by zapomnieć, że trwa wojna.

Praskowia Aleksandrowna podsunęła mi półmisek z marynowaną w czosnku i ziołach słoniną, po raz kolejny obrzuciła dumnym spojrzeniem moje medale. Z okazji wizyty u staruszek przypiąłem nawet Złotą Gwiazdę, co robiłem niechętnie i z rzadka. Biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich mnie odznaczono, czułem się jak oszust – jeśli ktoś zasługiwał na tytuł Bohatera Związku Radzieckiego, to tylko ci, co zginęli...

Drgnąłem nerwowo, widząc, jak Maria Aleksandrowna porywa Timę do tańca. Po chwili wirowali już w rytmie walca. Także Elena odsunęła talerz z blinami i obserwowała chłopaka z niepokojem. Po tym jak w czasie treningów kontuzjował niechcący kilka osób, zabroniłem Kotuszewowi sparringów z kursantami. Jedynie Majko mógł z nim ćwiczyć jak równy z równym. Tyle że instruktor zajmował się walką wręcz dobre czterdzieści lat...

Jednak na razie dłonie Timy obejmowały kibić starszej pani z delikatnością zarezerwowaną dla wyjątkowo kruchej porcelany. Nie, nie podejrzewałem go o złe zamiary! Mimo odniesionej rany nie stał się złośliwy ani wybuchowy, a treningi przywróciły mu część sprawności umysłowej, problem w tym, że tak czy owak nie było to wiele: intelektualnie porucznik Kotuszew pozostawał na poziomie ośmioletniego dziecka. Jednak jego ciało reagowało na zagrożenie z morderczą skutecznością doświadczonego żołnierza, wsparcią nadnaturalną niemal szybkością i siłą uzyskaną, jak twierdził Nikonow, dzięki mojej krwi. Ta ostatnia kwestia pozostawała dość problematyczna, bo choć byłem znowu sprawny jak dawniej, nie wykazywałem nijakich nadnaturalnych zdolności. No a przynajmniej nie w tej dziedzinie... Kiedy wspomniałem o tym profesorowi, ten zarzucił mnie masą naukowych terminów, twierdząc, że to właśnie uszkodzenie mózgu i wpływające

z niego problemy, takie jak zaburzenia pamięci, spowodowały niebywały wzrost fizycznych możliwości Kotuszewa. Innymi słowy, jego umysł nie wiedział, co jest możliwe, a co nie, i jeśli kazało mu się uderzyć szybciej czy mocniej, chłopak po prostu to robił, nie biorąc pod uwagę faktu, że może być to nierealne... To przypomniało mi o innej sprawie, o którą miałem zapytać medyka.

– Może i ty zatańczysz z Timą? – zaproponowałem Elenie.

Dziewczyna łypnęła na mnie złowrogo – pewnie domyśliła się od razu, że chcę pogadać z Nikonowem w cztery oczy, lecz bez słowa sprzeciwu spełniła moją prośbę. Cóż, wiedziała już, że weźmie udział w kolejnej misji, i starała się mnie nie drażnić. Nasze gospodynie wyszły do kuchni po kolejne dania, tak więc zostaliśmy przy stole sami z Nikonowem.

– Przeczytaliście do końca księgę Doskonałych? – zagailem.

– Owszem, i to nie raz – potwierdził.

– Natrafiliście może na wzmiankę o tym, że adepci dziwnie pachną?

– Dziwnie? – Zmarszczył brwi. – Nie. Była mowa o tym, że na skutek praktyki zatrzymania oddechu ciało adepta otacza miły zapach. Podobno przypomina aromat miodu przemieszany z ledwie wyczuwalną wonią kwiatów. A co, zauważyliście coś podobnego? – zapytał z błyskiem w oku.

– Skąd! – skłamałem bez żenady. – Po prostu wziąłem się za studiowanie tekstu i nie byłem pewien, czy dobrze przetłumaczyłem ten fragment.

– Oczywiście! – mruknął ironicznie lekarz. – Częstoście się śledzikami, są znakomite.

Zanim zdecydowałem, co odpowiedzieć, rozległ się dźwięk dzwonka. Elena skorzystała z pretekstu i wysunawszy się z ramion Kotuszewa, pobiegła otworzyć drzwi. Nie dziwiłem jej się: wiedziała, do czego zdolny jest Tima, i czuła się niepewnie w jego obecności. Jak i reszta kursantów... W innym wypadku chłopak zapewne szybko stałby się celem drwin przyszłych asów kontrwywiadu. Tymczasem – mimo że intelektualnie wyraźnie odstawał od pozostałych, traktowano go z respektem przemieszonym z odrobiną obawy. No i dobrze, bo w przeciwnym wypadku musiałbym ulokować go z powrotem w szpitalu. Woląłem nie myśleć, co mogłoby się stać, gdyby ktoś naprawdę rozdrażnił Kotuszewa...

Tymczasem wróciła Elena, prowadząc do stołu Poliakowa. Ciekawe, dlaczego milicjant spóźnił się godzinę? Przeważnie był punktualny.

Westchnąłem ciężko, widząc, jak dziewczyna nalewa mu wódki i podsuwa zakąski, wyraźnie zainteresowana nowym gościem. Miałem nadzieję, że nie będę musiał interweniować: w sprawach męsko-damskich Polacy cieszyli się dość specyficzną opinią... Jednak choć Poliakow przyjmował troskę o swój żołądek z wdzięcznością, nie wyglądało, żeby jego zainteresowanie małą Szewieliewą miało wymiar pozakulinarny. No i dobrze – jeden kłopot mniej.

– Szukali cię – rzucił pomiędzy kęsami.

– Kto taki?

– Kirasow.

Skrzywiłem się boleśnie: czego mógł chcieć ode mnie adiutant Stalina? Czyżby urzędas, z którym próbowałem załatwić kwestię awansu dla Eleny, poleciał na skargę do Głównodowodzącego? Ech, życie! Żeby tak chociaż parę dni spokoju...

– Co za Kirasow? – spytała Szewieliewa.

Zamiast odpowiedzieć, przechyliłem się przez stół i pstryknąłem dziewczynę w nos.

– Auć! – zawołała z oburzeniem. – Za co?!

– Za nadmierną ciekawość.

– Może powinna jednak wiedzieć, kim jest Kirasow? – wtrącił rozbawiony Poliakow.

– Nie sądzę, żeby było jej to potrzebne w najbliższym czasie – odburknąłem.

– No powiedzcie, *komandir!*

– To adiutant Stalina – poinformował milicjant.

– Czego on może od was chcieć?

Kiedy pochyliłem się w stronę dziewczyny, odskoczyła z piskiem.

– Już dobrze! Nie będę więcej pytać!

– W porządku. – Zwróciłem się do Poliakowa: – Szukali mnie i co?

– Masz jeszcze dzisiaj zadzwonić do sekretariatu Gławkoma.

Zerknąłem na zegarek: dochodziła dwudziesta druga. Długo sobie nie pobiesiaduję...

– Odniosłem wrażenie, że jakoś specjalnie im się nie spieszy, ale... – Wzruszył wymownie ramionami.

No jasne! Może się i nie spieszy, ale nie mogę przecież dzwonić na Kreml po północy. Trzeba będzie powoli się zbierać. Kto wie czy jakiś kretyn nie chce sprawdzić, na ile jestem gorliwy, i nie liczy mi czasu? W końcu to sekretariat towarzysza Stalina i pewnie powinienem rzucić się pędem do telefonu...

– Solianka – obwieściła tryumfalnie Maria Aleksandrowna, stawiając na stole parującą wazę.

– Niestety, muszę już iść – oznajmiłem. – Sprawy służbowe.

– Aleksandrze Nikołajewiczu...

– Nic nie poradzę. – Rozłożyłem bezradnie ręce. – Taka robota...

– Pójdę z wami – odezwała się niespodziewanie Elena.

Uniosłem brwi, ale nie zaprotestowałem. Może dziewczyna chce ze mną pogadać na osobności? Oby tylko tematem nie były kolejne rewelacje Żelazowej...

Z żalem opuściłem ciepłe, rozświetlone blaskiem świec mieszkanie. Posiedziałbym chętnie dłużej, pogadał, popił babcinego bimberku... A tu masz! Zamiast leniwej

kolacji przymusowy spacer w chłodzie wiosennej nocy i – w perspektywie – rozmowa z jakimś gryzypiórkiem, a kto wie czy nie z samym towarzyszem Stalinem. Szlag by to wszystko trafił!

– Jakież problemy? – rzuciłem, widząc, że Elena nie kwapi się do rozmowy.

– Skąd! – odparła.

Spojrzałem znacząco: w głosie dziewczyny brakowało zdecydowania.

– No co tam? Znowu Żelazowa?

– Myślicie, że przejmuję się tą suczką?! – parsknęła. – Zresztą do końca szkolenia zostało tylko parę dni.

– Więc?

– Chodzą plotki, że szykuje się wyjazd na front – odpowiedziała w końcu. – To ta akcja, na którą obiecaliście mnie zabrać?

– Kto ci o tym powiedział? – spytałem ostro.

No ładnie! Do pełni szczęścia brakuje mi tylko, żeby informacja o mojej misji stała się publiczną tajemnicą!

– Wala Łabuchina – odparła natychmiast Elena. – A ona dowiedziała się o tym od Tani, a Tania od...

– Dobra, mniejsza z tym! – przerwałem. – Co gadają?

– Podobno niemieckie czołgi przerwały front pod Orłem i mamy wejść do walki jako uzupełnienie... Mówią, że dowództwo ściąga wszystkie rezerwy i...

– Boisz się? – wszedłem jej w słowo.

– Boję! – przyznała gniewnie. – Nie szkolono nas do walki w okopach. Do tego mają nas przemieszać ze zwykłą piechotą...

– I namalować tarcze strzelnicze na mundurach! Co za bzdury! Niemieckie czołgi pod Orłem! Dobrze, że nie pod Moskwą!

– Więc to nieprawda?

– Nieprawda – potwierdziłem. – Ktoś chce was nastraszyć, to wszystko. Gdybyś miała odrobinę oleju w głowie, sama doszłabyś do wniosku, że to bzdura.

– Niby jak?!

– Analizując i porównując dane – wyjaśniłem cierpkim tonem. – Mam nadzieję, że tego też was uczą? Zeszły rok był dla nas rzeczywiście ciężki, ale teraz sytuacja się zmieniła: wygraliśmy bitwę o Stalingrad i mamy przewagę nad Niemcami. Przewagę w ludziach, sprzęcie, surowcach strategicznych. Jeśli Wehrmacht zaatakuje, o ile w ogóle będzie w stanie to zrobić, przegra. I na pewno nie trzeba będzie w celu powstrzymania Szwabów wysłać na front niedouczonego dzieciaków!

– Skoro mamy taką przewagę, to po czorta te kursy? Po co chcą wzmocnić struktury kontrwywiadu? Nie wystarczyłoby samo NKWD?

Westchnąłem ciężko. Nie mogłem poinformować smarkuli, że od czasu do czasu nawet sam towarzysz Stalin ma wątpliwości, po czyjej stronie jest NKWD... I tak

dziewczyna sporo wie na tematy, o których najlepiej nie wiedzieć niczego.

– Niemcy są lepiej wyszkoleni – przyznałem. – To się zmienia, ale na razie... Poza tym kontrwywiad potrzebny jest nie tylko wtedy, gdy przegrywamy, ale przede wszystkim kiedy wygrywamy.

– Nie rozumiem? Przecież jeśli wygrywamy, to szpiegom powinno być trudniej przenikać na nasz teren?

– Być może, choć rzecz wcale nie jest taka oczywista. A co się stanie, jeśli zaczniemy wygrywać?

– Odbierzemy zabrane przez Niemców ziemie?

– Owszem, a dalej?

– Zdobędziemy Berlin?

– To także, ale przede wszystkim nasze wojska znajdą się na terenach, które nigdy do nas nie należały. I ktoś będzie musiał je zabezpieczyć.

– Myślicie o działaniach kontrwywiadowczych?

– A jakże! Myślisz, że tylko my potrafimy zorganizować partyzantkę?

– Rozumiem...

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, ale widać było, że dziewczynę trapi coś jeszcze: popatrywała na mnie niespokojnie; kiedy tylko wydawało jej się, że nie patrzę, bezwiednie zaciskała pięści. Czekałem cierpliwie, naciski nie miały sensu. To kwestia zaufania – jeśli nie zdecyduje się mi powiedzieć, o co naprawdę chodzi, nie będę mógł z nią pracować. Nie na dłuższą metę. W czasie akcji nie ma czasu, żeby przekonywać podwładnych, że powinni wierzyć dowódcy... Zrobiłem, co mogłem, żeby dotrzymać danej Michałyczowi obietnicy, ale teraz piłeczka była w ogródku Eleny. Nie miałem zamiaru ryzykować bez powodu. Szewieliewa nie była jedyną kursantką, która zwróciła moją uwagę. Z nią czy bez niej, i tak dam radę sformować nową ekipę.

– Jest jeszcze coś – odezwała się w końcu, wyłamując nerwowo palce.

– Tak?

– Ktoś robi wam koło pióra – powiedziała. – Ktoś w Smierszu. Kiedy tylko pokazujecie się w koszarach, natychmiast pojawiają się nowe plotki na wasz temat. To nie przypadek, komuś wyraźnie na tym zależy.

– Żelazowa?

– Wątpię. Jest zbyt głupia, żeby to zorganizować. Oczywiście potrafi być złośliwa, ale to zbyt subtelne, jak na nią. Bo tu nie chodzi o aluzje seksualne. No, nie tylko o to...

– To znaczy?

– Wygląda, jakby ktoś chciał was za wszelką cenę zdyskredytować w naszych oczach. Wiecie, to nic konkretnego, ot, aluzje, że jesteście gryzipiórkiem, że nigdy nie braлиście udziału w prawdziwej walce, że wasz awans to kwestia znajomości...

– No, no – mruknąłem. – I co, rozumiem, że wszyscy są przekonani, iż

Razumowski to dupek?

– Nie, nie wszyscy. Zdania są... – odchrząknęła – podzielone. Ten instruktor, jak mu tam? Marko?

– Majko – podpowiedziałem.

– Majko opowiedział nam, jak w pojedynkę załatwiliście tych trzech żuli. To zrobiło wrażenie. Jego słowo się liczy. Do tego ta sztuczka z lodem...

– Ale?

– Ale ktoś cały czas pod wami ryje. Mam wrażenie, że obrywam rykoszetem.

– Chodzi ci o to, co gadała Żelazowa?

– Nie tylko. Ostatnio pojawiła się plotka, że macie problemy w związku z tym, że...

No wiecie...

– Za cholere nie wiem!

– No, że my...

– Aha, rozumiem. Ale Żelazowa sugerowała to już wcześniej?

– Nie tylko to... Mówią, że postaracie się mnie pozbyć przy pierwszej lepszej okazji. Żeby zaprzeczyć oskarżeniom.

– Pozbyć?

– No, definitywnie... Dlatego tak się wystraszyłam, jak powiedzieliście, że weźmiecie mnie na akcję.

– Myślałaś, że wywozę cię na front i zostawię gdzieś w okopach?!

Elena bez słowa skinęła głową.

– Głupie dziewczusko!

Objąłem ją i mimo że się opierała, przyciągnąłem do siebie, przytuliłem. Ech, Razumowski, na co ci przyszło? Będiesz teraz uspokajał znerwicowane panienki. Pewnie zaraz dziewczucha się rozryczy i będzie potrzebowała chusteczki...

Jednak Elena nie płakała, choć objęła mnie za szyję i raz czy dwa pociągnęła nosem.

– Ja normalnie tak się nie zachowuję – oświadczyła z godnością. – To wszystko dlatego, że przysłał was mój ojciec. Ufałam wam, chcę wam ufać, a to wszystko jest takie...

– Witamy w świecie dorosłych, panno Szewieliewa! – odburknąłem. – Rozumiem, że nie rozwiązałem wszystkich twoich wątpliwości?

– To nie o to chodzi, tylko...

– Tylko? – zaakcentowałem ironicznie.

– Ja was prawie nie znam, a nic o sobie nie mówicie.

– No jeszcze czego! Będę ci tu zaraz, smarkulo, opowiadał życiorys!

Elena spojrzała na mnie z wyrzutem i wytarła nos, używając na szczęście – dzięki ci Boże i za to! – własnej chusteczki.

– No dobra! – warknąłem. – Co jeszcze?

– Naprawdę zostaliście odznaczeni Złotą Gwiazdą? Bo pierwszy raz widzę u was ten medal...

– Wiesz, co groziłoby komuś, kto uzurpowałby sobie posiadanie tytułu Bohatera Związku Radzieckiego?

– No tak, ale przecież nie nosiliście go do tej pory...

– Nie lubię się nim chwalić – przyznałem niechętnie. – Mam wrażenie, że na niego nie zasługuję. Przypiąłem go dzisiaj tylko ze względu na staruszki.

– Ale to przecież naruszenie przepisów! Znaczy to, że go nie nosicie, skoro wam przysługuje.

– A co mi mogą zrobić? Wsadzą do pierdła za nieprzestrzeganie przepisów ubiorczych?! Bohatera Związku Radzieckiego? Wolne żarty!

– Opowiecie mi o tym?

– O czym, na litość boską?!

– Jak zdobyliście ten medal?

– Nie opowiem.

– Ale...

– Dość tego, smarkata! – uciałem stanowczo.

– Nie ułatwiacie sprawy – zauważyła buntowniczo, wydymając wargi. – Gdybyście przyszli z tym medalem do koszar...

– O tak! Na pewno Żelazowa czy ten jej instruktor doznaliby oświecenia i przestali świnić!

– Jaki instruktor?

– Ten, z którym spała. Zwolniono go ze stanowiska, już nie pracuje z kursantami, ale pewnie nadal kręci się w okolicy. Stąd i plotki. – Wzruszyłem ramionami.

– Zwolniliście go?

– Nie ja, Abakumow. Choć doradziłem zwolnienie.

– Więc myślicie, że to on?

– Być może, nie mam czasu zastanawiać się nad takimi bzdurami, mam większe problemy.

– Ci dywersanci?

– Między innymi.

– Jest coś jeszcze?

– Zawsze jest coś jeszcze – odparłem wymijająco.

– Nie ufacie mi?!

– Nie chcę z tobą rozmawiać o sprawach, o których nie powinnaś wiedzieć – doprecyzowałem. – Twoje szczęście, że mimo zaczepek Żelazowej nie pisnęłaś słowa o swoim udziale w śledztwie. Gdybyś coś chlapnęła, byłabyś albo w drodze na Kołymę, albo stała między ślepym murem a plutonem egzekucyjnym...

Dziewczyna wzdrygnęła się wyraźnie, wyczuła, że nie żartuję.

- Jesteśmy na miejscu – powiedziałem, sięgając po klucze.
- Wy jesteście na miejscu – poprawiła. – Do koszar jeszcze kawałek drogi. Podwinąłem rękaw: wpół do jedenastej.
- Chodź ze mną – zdecydowałem. – Wezwę ci samochód.
- Odwiezie mnie na Siemionowską? – spytała z ożywieniem.
- Odwiezie.
- Jak ktoś zauważy, że przyjechałam waszym wozem, dopiero zaczną się plotki...
- Znaczy wolisz piechotę? – zażartowałem.
- Nie, nie! Dzwońcie po samochód!

Schody tonęły w mroku, już dawno wykręcono żarówki z korytarza: zaciemnienie. Spod drzwi niektórych mieszkań sączył się ledwie zauważalny niebieski blask. Na półpiętrze wyczułem, że nie jesteśmy sami, gwałtownym pchnięciem powaliłem Elenę, a sam zastygłem w przykłęku z pistoletem w garści. Wtedy poczułem zapach: Shalimar...

- Co tu robisz?! – zawołałem zaniepokojony. – Coś się stało?
- Nic specjalnego – odpowiedziała spokojnie Olga. – Może przedstawiłbyś mi swoją... towarzyszkę?

– Wejźmy najpierw do mieszkania. Wolałbym rozmawiać bez świadków...

Olga zachichotała, wiedziała o pisanych przez sąsiadów donosach. Przepuściłem ją przodem, później zapaliłem światło i niecierpliwym gestem zaprosiłem Elenę.

– Olga Majkowska, kursantka Szewieliewa – dokonałem krótkiej prezentacji.

Podszedłem do telefonu i wezwałem samochód dla Eleny. W raporcie kierowcy dla GRU przybędzie nowa pozycja... A chuj z tym! Pewnie i tak wiedzą wszystko o małej Szewieliewej.

- Zrobię herbaty – zaproponowała Olga, sięgając po laskę.
- Ale jesteście przecież... – Elena urwała, nie wiedząc, jak dokończyć zdanie.
- Dam sobie radę – zapewniła ją Olga.
- Bądźcie przez chwilę cicho – poprosiłem. – Muszę zadzwonić do sekretariatu Gławkoma.

Uśmiechałem się, podnosząc słuchawkę – najwyraźniej konsultantka Majkowska postanowiła pokazać Elenie, że bywała już w moim mieszkaniu. I że czuje się tu jak u siebie.

Suchy, rzeczowy głos w słuchawce momentalnie zmienił mi nastrój na dużo mniej radosny. Do telefonu pofatygował się sam Kirasow.

– Towarzysz Stalin zainteresował się waszą prośbą o awans dla Szewieliewej – poinformował. – Rozumiem, że to jedna z osób, które chcecie włączyć do nowej ekipy?

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku!
- Macie się stawić jutro w koszarach na Siemionowskiej – polecił. – Punktualnie

o godzinie trzynastej. Zrozumieliście?

– Tak jest!

– I tym razem radzę wam zastosować się do przepisów ubiorczych – dodał cierpkim tonem.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, adiutant Stalina odłożył słuchawkę. Zmarszczyłem brwi, zastanawiając się nad tym, co usłyszałem. Czyżby mieli jednak awansować Elenę? I skąd ta ostatnia uwaga? Ktoś doniósł, że nie zawsze noszę medal Złotej Gwiazdy?

Rozmyślenia przerwał mi warkot silnika. Zgasilem światło i podszedłem do okna: przydzielony mi przez *wojennuju razwiedku* kierowca właśnie wychodził z samochodu.

– Elena! – zawołałem.

– Tak?

– Twoja karoca czeka.

Dziewczyna pospiesznie narzuciła płaszcz, po chwili zbiegała już po schodach.

– Lubisz ją? – spytała Olga, wchodząc do pokoju.

Nie zapaliła światła, nie było jej potrzebne.

– Owszem – potwierdziłem.

– Twoje szczęście, że tylko lubisz – odezwała się groźnie.

– Moje szczęście – przyznałem zgodnie.

Objęła mnie, ugryzła delikatnie w ucho.

– Chyba nie pojmujecie powagi sytuacji, towarzyszu Razumowski. Poczułam jej zapach na twoim płaszczu, gdyby był i na mundurze... – zawiesiła znacząco głos.

– Zapach?

– Mówiłam ci, że mam węch absolutny – przypomniała. – Mydło konwaliowe i perfumy Krasnaja Moskwa. Ach, niemal zapomniałam o balsamie Szostakowskiego!

– dodała złośliwie. – Prawdziwie piorunująca mieszanka!

Hmm... Balsamu Szostakowskiego używano do kurowania wszelkiego typu siniaków: wyraźnie zmniejszał obrzęki. Widać panna Szewieliewa nie oszczędza się na treningach. No i dobrze! W moim zespole nie ma miejsca dla tchórzy i leniuchów.

– Dlaczego przyszłaś? – zmieniłem temat.

– Stęskniłam się i...

– Tak?

Milczała długo; kiedy się odezwała, jej głos był ochrypły i niespokojny.

– Boję się – powiedziała. – Od kilku dni nie mogę spać. Martwię się o ciebie. O nas... – dodała cichutko.

Przytuliłem ją mocniej, bo i cóż mogłem zrobić innego? Zapewnić, że wszystko będzie dobrze? Wolne żarty! Trwała wojna i w każdej chwili mogłem znaleźć się nie to, że na froncie, ale i na tyłach wroga. Jak w zeszłym roku. A i Oldze trudno było

wróżyc szczęśliwy los: walka z wrogiem albo choćby tylko podejrzanym elementem stanowiła obecnie priorytet zarówno dla NKWD, jak i wszelkich innych instytucji państwowych. Jak wskazywały niedawne wydarzenia, także dla uniwersytetów... Kto wie co nas czeka jutro?

– Jesteś głodna?

– Nie.

– W takim razie chodźmy spać – zaproponowałem.

Zaczęła się rozbierać bez słowa sprzeciwu, lecz wyczułem, że nie ma ochoty na nic poza przytulaniem. Nie żeby protestowała, jakby co, wiedziałem, że tego nie zrobi, ale otaczała ją wyraźnie wyczuwalna aura przygnębienia. Śladów dzikiej żądy nie stwierdzono... Sam nie wiem, dlaczego zebrało mi się na czułości: tuliłem ją i całowałem jak przestraszone dziecko. Nic więcej. A przecież nie było żadnego powodu, aby przejmować się humorami panienci Olgi. Dawniej wyobrażałbym po prostu dziewczuchę i zasnął kamiennym snem. Dzisiaj trzymałem ją w ramionach i szeptałem jakieś sentymentalne głupstwa. W końcu zasnęliśmy oboje, jednak nawet przez sen męczyło mnie uczucie, że niebezpieczeństwo jest tuż-tuż. Kiepski prognostyk przed akcją.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Oficer dyżurny skierował mnie do biura Abakumowa, później, po półgodzinnym i bezskutecznym oczekiwaniu na dowódcę Smiersza, kazano mi stawić się w głównej sali wykładowej. Zanim tam doszedłem, legitymowano mnie trzykrotnie, przed drzwiami wartownik poprosił nawet o oddanie broni. Nie protestowałem: żołnierze, od których roіło się dziś w koszarach, nosili mundury ochrony Kremla.

Ku mojemu zdziwieniu dowodzący posterunkiem kapitan rozładował jedynie mojego tokariewa, po czym zwrócił mi pistolet. Ki czort? Co się dzieje? Jeśli szkołę zwizytował Stalin, powinni odebrać mi broń – takie procedury. Wyjątków nie robiono dla nikogo. Do dzisiaj.

Kursanci siedzieli w kilku rzędach niczym widzowie na spektaklu teatralnym, przed nimi zaś produkował się, także na siedząco, ktoś duzo bardziej interesujący od najlepszego nawet aktora: Józef Stalin... Nie wyczułem na sali żadnego napięcia, ot, spotkanie młodzieży z dobrym wujkiem. Nieco z boku usadowił się Abakumow w towarzystwie wyższych oficerów i instruktorów. Wśród nich zauważyłem kilku nieznanym. Mimo że nie trzymali broni na widoku, trudno byłoby pomylić się co do ich profesji: sprawiali wrażenie kompetentnych i śmiertelnie niebezpiecznych. Osobista ochrona Stalina, ludzie, o których sprawności chodziły legendy.

– Jesteście wreszcie, Razumowski – powiedział Głównodowodzący, nie odwracając się. – Jak zwykle, nieco po czasie – dorzucił dobrodusznie.

– *Winowat, towarzyszc Gławkom!*

– No, no, dajcie spokój, wiem, że jesteście zajęтым człowiekiem. Siadajcie.

Dopiero teraz zauważyłem, że po prawicy Stalina stoi wolne krzesło. Usiadłem.

– Przyszedłem tu nie tylko dlatego, żeby spotkać się z wami, ale i w celu rozpatrzenia wniosku awansowego złożonego przez pułkownika Razumowskiego – zwrócił się do zebranych Stalin. – Idea, aby nadać kursantce Szewieliewej stopień sierżanta, wzbudziła w moim sekretariacie pewne wątpliwości. Nie jest to pierwszy raz, kiedy pomysły pułkownika Razumowskiego nie spotykają się z entuzjazmem moich współpracowników. Na przykład w zeszłym roku wnioskował on o podobny awans dla krewnej białego generała Antona Turkuła...

Cisza na sali przybrała wymiar absolutny, zdawało się, że słychać każdy oddech i każde uderzenie serca.

– Jednak okazało się, że to pułkownik Razumowski miał rację. W czasie akcji na tyłach wroga sierżant Wiera Turkuł zginęła, osłaniając odwrót swojego oddziału. Był przy tym nie tylko jej dowódca, ale i porucznik Katuszew. Poruczniku Katuszew, opowiedzcie nam o tym?

W słowach Stalina nie było żadnego nacisku, jedynie spokojna, ciepła prośba.

– Ona krzyknęła, że nas kocha, i użyła kodu – wyjaśnił prostodusznie siedzący w pierwszym rzędzie Tima.

– Kodu?

– *Komandir* uczył nas, żeby w obecności wroga używać tylko kodów, tak żeby nikt nie wiedział, o co nam chodzi. Wiera użyła słowa „cztery”. To oznacza: „Uciekajcie, osłaniam was”. I wyrwała jednemu z Niemców granat... Wcześniej zranili ją w nogę, wiedziała, że będzie nas tylko spowalniała.

– Co było dalej?

– Wskoczyliśmy przez okna, ale okazało się, że teren pilnowany jest też z zewnątrz. *Komandir* zabił jednego z wartowników i chciał sięgnąć po jego karabin, ale byłem szybszy – powiedział z zadowoleniem Katuszew.

– Szybszy?

– Wiadomo było, że ten, który pierwszy zdobędzie broń, osłoni odwrót innych.

– Sądzicie, że pułkownik Razumowski chciał, żebyście to wy przedarli się przez linię frontu?

– Tak, miałem największe szanse. Poluję od dziecka i najlepiej z całej grupy znałem las.

– Dlaczego nie kazał wam oddać karabinu?

– Nie zdążył. W chwilę później dostałem w ramię, sytuacja się zmieniła...

Zacisnąłem zęby: o co tu, do cholery, chodzi?! Czego chce Stalin? Bo na pewno nie zorganizował tego cyrku w celu uhonorowania mojej skromnej osoby, a tym bardziej Szewieliewej czy rozwiania złośliwych plotek na nasz temat.

– Pułkownika Razumowskiego znaleziono kilka dni później w wilczej jamie – kontynuował Gławkom. – Leżał nieprzytomny na trupie niemieckiego żołnierza. Ślady krwi na zewnątrz świadczyły o tym, że nie był to jedyny zabity przez niego Niemiec.

Faszyści chcieli wziąć go żywcem i czekali, aż na tyle zmarznie, że nie będzie mógł się bronić. Na szczęście nasza kontrofensywa „zmieniła sytuację”, jak powiedział porucznik Kotuszew...

Kilku kursantów zachichotało, reszta wpatrywała się w Stalina, jakby był elementem religijnej i zupełnie niekomunistycznej wizji. To rozumiałem: w sytuacji, kiedy lojalność NKWD stoi pod znakiem zapytania, dobrze zapewnić sobie poparcie kadr, które niedługo przejmą część obowiązków *Narodnego Komissariata Wnutriennych Dieł*. Większość obecnych na sali dzieciaków wyglądała, jakby je zahipnotyzowano. Podejrzywałem, że gdyby w tym momencie zaproponowano im przeniesienie na front, zgłosiliby się na ochotnika.

– Pułkownik Razumowski to skromny człowiek. Jak się dowiedziałem, rzadko nosi nawet medal Złotej Gwiazdy, który otrzymał za ostatnią operację – podjął znowu Stalin. – Pewnie uważa, że nikt nie ukarze posiadacza tytułu Bohatera Związku Radzieckiego za nieprzestrzeganie przepisów ubiorczych...

Tym razem kursanci bez skrupowania wybuchnęli śmiechem.

– ...ale myli się. Ja go ukarzę! Bo medale są nie tylko nagrodą dla tych, którzy na nie zasłużyli, ale pełnią też inną rolę: inspirują pozostałych. Czy to jasne, towarzyszu Razumowski?

– *Tak toczno!*

– Siadajcie, siadajcie – machnął ręką Stalin. – Skoro już jesteśmy przy nagrodach: bywa, że czegoś się nie dopatry. Wówczas wypada naprawić błąd. Komisarzu...?

– *Smirno!* – rzucił komendę Abakumow. – Poruczniku Kotuszew! Wystąp!

Tima wykonał regulaminowy krok naprzód, zastygł w pozycji na baczność.

– Za męstwo w boju! – rzucił krótko Stalin, przypinając mu Order Lenina.

– *Służu Sowietskemu Sojuzu!* – wyskandował chłopak.

Sala zatrzęsa się od ogłuszającego i całkiem nieregulaminowego aplauzu, założyłbym się, że każdy chciał być na miejscu Kotuszewa. Oto człowiek, którego znali jedynie z filmów i plakatów, nie tylko spotkał się z nimi, demonstrując, jak są dla niego ważni, ale i nagrodził niewiele od nich starszego żołnierza. To działało na wyobraźnię: brawo, towarzyszu Stalin! Mistrzowski ruch!

Kursanci uciszyli się po krótkiej komendzie Abakumowa i po chwili na środku stanęła czerwona jak burak Szewieliewa.

– Popieram wniosek pułkownika Razumowskiego – powiedział Gławkom, mierząc dziewczynę uważnym spojrzeniem. – Jestem zdania, że zasłużyliście na awans. Niestety, musi go zatwierdzić wasz bezpośredni przełożony. Takie mamy przepisy – dorzucił przepraszająco. – Problem w tym, że towarzysz Abakumow nie ma dopuszczenia do informacji związanych z misją, w której uczestniczycie, stąd nie jest w stanie zaopiniować wniosku. Niemniej jednak znalazło się wyjście z tej sytuacji. Z tego, co mi wiadomo, pułkownik Razumowski kompletuje nowy zespół i za zgodą

komisarza Abakumowa może włączyć do niego kilkoro z was. Wówczas to on będzie waszym przełożonym.

Zacisnąłem zęby, widząc błagalny wzrok dziewczyny. Teraz już wiedziałem, skąd ta niespodziewana wizyta Głównodowodzącego: jeśli włączę Elenę do swojej ekipy, odpowie wraz ze mną za niepowodzenie akcji. Ot, taki dodatkowy bodziec... Słyszałem, że Stalin jest świetnym szachistą. Szach, towarzyszu Razumowski!

– Kursantka Szewieliewa nie zakończyła jeszcze szkolenia – przypomniałem.

– Podobnie jak Wiera Turkuł – zauważył Stalin. – A przecież zabieraliście ją na akcje...

– To ogromna odpowiedzialność, także przed naszymi władzami – wydusiłem przez ściśnięte gardło. – Nie jestem pewien, czy kursantka Szewieliewa zdaje sobie z tego sprawę.

– Macie rację – przyznał Głównodowodzący. – Z drugiej strony parę tygodni szkolenia chyba niewiele tu zmieni? Towarzyszko Szewieliewa – zwrócił się bezpośrednio do Eleny – zdajecie sobie sprawę, że *wojennaja razwiedka* nie ma prawa do pomyłek, bo za każdą naszą żołnierze muszą płacić krwią?

– *Tak toczno, towariszcz Gławnokomandujuszczij!*

– Czy mimo to chcielibyście pracować z pułkownikiem Razumowskim?

– *Tak toczno!*

– W takim razie nic już nie stoi na przeszkodzie, aby awansować kursantkę Szewieliewą i przydzielić ją do waszej dyspozycji?

– Tak jest! – odparłem ponuro.

– Widzę także, że porucznik Kotuszew powrócił do sił i może podjąć służbę. Załatwcie jak najszybciej wszelkie formalności, na pewno przydadzą wam się sprawdzeni ludzie.

– Moja kancelaria udzieli pułkownikowi Razumowskiemu wszelkiej pomocy – wtrącił Abakumow ze złośliwym błyskiem w oku.

– A więc sprawa załatwiona!

I znowu padła komenda „bacność!”, a Stalin podszedł do Eleny, aby wręczyć jej pagony młodszego sierżanta. Stałem nieruchomo, czując, jak mięśnie twarzy tężeją mi niczym zalane betonem. Nie zaciskałem pięści: spoczywało na mnie zbyt wiele oczu, zbyt wiele dłoni opierało się na kolbach pistoletów. Tę partię przegrałem. Szach i mat.



Koła pociągu stukały w monotonnym rytmie, przez szpary w oknie wdzierał się chłodny wiosenny wiatr. W posępnym milczeniu grzałem dłonie o szklankę herbaty:

nie miałem powodów do radości. Na rozwiązanie sprawy tajemniczych ataków zostało mi niewiele ponad dwa tygodnie, a teraz jechałem na front, aby złowić nieuchwytnego niemieckiego agenta. W podróży towarzyszyła mi trójka dzieciaków i Tima. Sam nie wiedziałem, które z nich może okazać się większym problemem... Oprócz oficjalnie przeniesionej już do *wojenno* *razwiedki* Eleny jechali ze mną Lewartow i Gurłanow. Cała trójka była pełna entuzjazmu jak przedszkolaki na placu zabaw. Nie mogąc doczekać się przyjazdu na front, zabijali czas opowiadaniem niestworzonych historii. Jak zauważyłem, te snute przez Elenę nie miały jednak nic wspólnego z jedyną prawdziwą misją, w której brała udział. Dziewczyna była rozsądna i ostrożna – dobry prognostyk na przyszłość! – a i jej plastyczne talenty mogły się przydać, jednak humor psuła mi świadomość faktu, że wszyscy kursanci są stuprocentowymi żółtodziobami. Bóg jeden wie jak zareagują, jeśli coś pójdzie nie tak. Tymczasem mogłem potrzebować wsparcia: trudno przypuścić, że błyskawicznie wykryję agenta SD, którego nie udało się namierzyć przez lata... A gdyby nawet, na pewno spowoduje to natychmiastową reakcję wspomagającej go organizacji. Czy zdołam im przeszkodzić? Jeżeli facet rzeczywiście pozwolił wziąć się do niewoli, aby uciec z konwoju w wybranym przez siebie momencie, musi mieć nie byle jakich pomocników. Rodziny wielu żołnierzy pozostały na terenach zajętych przez Niemców, co czyniło ich łatwym łupem dla niemieckiego wywiadu. Wystarczyło zagrozić rozstrzelaniem żony czy dziecka...

Jedyną osobą, na którą mogłem liczyć, był Tima, niestety, jedynie w przypadku jawnego fizycznego zagrożenia. Wszystko inne pozostawało poza granicą percepcji porucznika Kotuszewa. Mimo iż Nikonow nie mógł nachwalić się postępów, jakie według niego poczynił Tima, było boleśnie oczywiste, że mózg chłopaka jest nadal w dużo gorszym stanie niż mięśnie. A rokowania na przyszłość okazały się nienadzwyczajne: medyk uważał, że Kotuszew nigdy nie powróci do dawnej sprawności intelektualnej. Ot i cała moja ekipa: jeden kontuzjowany i trójka smarkaczy zielonych niczym szczypioerek na wiosnę.

Dopiłem herbatę i poluźniłem kołnierzyk munduru, szykując się do drzemki. Trzeba korzystać, póki czas: używając wydanych mi przez Stalina dokumentów, zarezerwowałem cały przedział w wagonie dla oficerów sztabowych.

– Przynieść wam coś do picia? – zaszcebiotała Elena.

Odkąd upewniła się, że nie mam zamiaru zostawić jej w okopach, starała się uprzedzać wszelkie moje życzenia. Być może chciała mi wynagrodzić wcześniejszy brak zaufania...

– Spróbuj skombinować trochę wódki – poprosiłem. – Robi się chłodno.

– Już leczę! – zawołała.

– Lewartow! – warknąłem. – A ty na co czekasz?

– Nie rozumiem? Mam iść z Eleną?

– Masz iść z Eleną! – przedrzeźniałem. – Nie puszczajcie jej nigdzie samej!

– Dam sobie radę! Ja...

– To pociąg na front, tu nie ma bufetu – przerwałem jej bezceremonialnie. – Wódkę mają żołnierze w wagonach na końcu składu. Rozumiesz, mogłabyś ich zainteresować niekoniecznie jako klientka...

– Widzieliście mnie na treningach?! W razie czego...

Rozpiąłem ukradkiem pasek, nagłym ruchem zarzuciłem Elenie na szyję, zacisnąłem.

– Nie zdążyłabyś nawet pisnąć – poinformowałem zimno charczącą dziewczynę. – To frontowcy. Zabawiliby się z tobą, zabili, a później wyrzucili w jakimś lasku. Osobno ciało, osobno mundur. Zanim ktokolwiek skojarzyłby, że może chodzić o ciebie, minęłyby tygodnie, o ile nie miesiące. Oczywiście tylko w wypadku, jeśli twoimi zwłokami nie zainteresowałyby się wilki. Bo wiesz co? One ciągną za frontem całymi watahami, wiedzą, gdzie szukać żeru.

Kiedy puściłem Elenę, opadła na kolana i długą chwilę łapała spazmatycznie powietrze.

– Nie mogliście delikatniej? – wychrypiała ze złością.

– Próbowałem przecież – przypomniałem. – Tylko że nie słuchałaś.

– Oni naprawdę są tacy... – Zagryzła wargi, nie dokończywszy zdania.

– Nie wszyscy. Większość podzieliłaby się z tobą ostatnią kromką chleba i zasłoniła przed kulą. Ale żeby cię skrzywdzić, wystarczy jeden. Wreszcie w naszym fachu dodatkowa ostrożność nigdy nie zawadzi. – Wzruszyłem ramionami.

– To może i ja pójdę? – zaproponował Gurłanow.

Machnąłem przyzwalająco ręką. Przymknąłem oczy, słysząc trzask zamykanych drzwi i strzępy śpiewanej kilkadziesiąt metrów dalej piosenki. Na szczęście w wagonie sztabowym nikt nie śpiewał, większość oficerów albo spała, albo dyskutowała o polityce. To ostatnie nie mogło, rzecz jasna, obyć się bez wódki, ale pito umiarkowanie: każdy zdawał sobie sprawę, że jeśli w okolicy kręci się jakiś kapuś NKWD, to właśnie wśród sztabowców, a nie szeregowych żołdatów. Przynajmniej zdrzemnę się przed przyjazdem na miejsce. Niemieckich jeńców trzymano w niewielkiej wiosce o nazwie Gregorowka, niedaleko niedawno odbitego Woroszyłowgradu. Ja bym ich natychmiast przeniósł na tyły, front był tuż-tuż, ale dowództwo wiedziało lepiej... Widać rzeczywiście bali się, że tajemniczy agent zniknie im w trakcie transportu jak sen złoty. Inna sprawa, czy naprawdę znajduje się wśród zatrzymanych Szwabów. Co prawda towarzysz Stalin wyglądał na przekonanego, że informacje pochodzą z pewnego źródła, ale kto wie jak jest naprawdę? Rozgrywki służb specjalnych przypominają łowienie ryb gołymi rękoma w mocno mętnej wodzie. Czasem się uda, dużo częściej – nie.

Pospieszny tupot oznajmił powrót wysłanej na poszukiwanie wódki ekipy.

– Niestety, *komandir*... – odezwała się Elena.

Otrząsnąłem się z sennego odrętwienia, otworzyłem oczy. Czyżby dziewczyna nie znalazła bimbru w pociągu wyładowanym jadącymi na front żołnierzami? Mój ty Boże, co ona robi w *wojennej rozwiędce*?!

– ...trwało to trochę, bo facet ostro się targował – dokończyła, wręczając mi butelkę.

Złośliwy uśmiech na twarzy panienci Szewieliewej świadczył, że rozbudziła mnie specjalnie. W ramach rewanzu. A to mała! Przez moment zastanawiałem się, czy jej nie zdyscyplinować, ale w końcu odpuściłem: niech dziewczucha ma swoją satysfakcję. Nie potrzeba mi lizusów w ekipie. Byle wiedziała, kiedy można się postawić, a kiedy nie. Tak, ta kwestia wymagała wyjaśnień...

– Ile zapłaciłaś? – spytałem.

– Piętnaście rubli.

– Musisz chyba jeszcze trochę popracować nad siłą perswazji – stwierdziłem cierpko, sięgając do kieszeni.

W sklepie pół litra wódki kosztowało jedenaście i pół rubla.

– Nie możecie poczekać? – odburknęła. – Na miejscu odbierzemy przydziałowe sto gramów. I nie trzeba pieniędzy, potraktujcie to jako prezent.

– Prezenty może mi dawać porucznik Katuszew – odparłem chłodno. – My nie jesteśmy jeszcze na tym etapie. Być może w przyszłości, jeśli udowodnisz, że jesteś coś warta. Kilka rysunków to za mało.

– O jakie rysunki chodzi? – zainteresował się Gurłanow.

– Pilnujcie swojego nosa, kursancie – zgasilem chłopaka.

Z policzkami pokrytymi zdradziecką czerwienią dziewczyna schowała zwitek banknotów, usiadła w kącie z naburmuszoną miną.

– Tak czy owak, musimy wyjaśnić sobie kilka spraw – powiedziałem.

Coś w moim głosie musiało zwrócić uwagę kursantów, bo spoważnieli, nikt nie odważył się skomentować.

– Za kilka godzin znajdziemy się na linii frontu. Brakuje wam wyszkolenia i odpowiednich nawyków, dlatego będziecie bez namysłu wykonywać wszelkie moje rozkazy. Powtarzam: bez namysłu! Jeśli polecę komuś stanąć na rękach, natychmiast to zrobi, a dopiero później będzie pytał dlaczego. Czy to jasne?

– *Tak toczno!* – odezwali się chórem.

– Następną kwestia to alkohol. Ze swoją wódką możecie robić, co wam się podoba: sprzedać, wymienić czy po prostu gromadzić. Jednego wam nie wolno: pić. Każdy, kto bez mojego pozwolenia weźmie do ust choć łyk, natychmiast wróci do Moskwy z odpowiednią opinią w papierach!

– A wy? – odezwał się nieśmiało Lewartow. – Przecież pijecie...

– Ja i porucznik Katuszew możemy pić, kiedy nam się spodoba, żaden z nas nie

straci kontroli nad sytuacją.

– Kontroli? – Elena zmarszczyła brwi. – Trudno się upić setką wódki.

– Nie o to chodzi. Zakładam, że żadne z was nie jest takie głupie, aby spać się podczas akcji...

Kursanci gorliwie zaprzeczyli.

– Jednak nawet w niewielkich ilościach alkohol sprawia, że świat wydaje nam się bardziej przyjazny. Niestety, to tylko złudzenie... Dlatego od momentu przyjazdu na miejsce ani kropli wódki! Bo od tego może zależeć nie tylko wasze, ale i cudze życie!

Umilkłem na chwilę, żeby moje słowa zapadły w pamięć słuchaczy.

– Ja i tak nie piję – mruknęła Szewieliewa.

Chłopcy nie zadeklarowali się jako abstynenci, lecz wyglądało, że traktują moje polecenia poważnie.

– Ostatnia rzecz: jeśli zauważycie coś dziwnego, natychmiast mi o tym meldujcie.

– Chyba nie chodzi wam o donosy? – odezwał się Gurłanow ze zdziwieniem w głosie. – Eee... chciałem powiedzieć „rewolucyjną czujność”?

– Nie. Ale dobrze, że spytałeś: w mojej ekipie nie ma donosicieli i nie ma powodu do donosów. Musicie natomiast zwracać uwagę na wszystko, co wyda wam się nietypowe. Nawet jeśli uznacie to za mało ważne.

– Na czym polega nasze zadanie? – spytała Elena.

– Przesłuchacie grupę Niemców. Esesmanów. Przetestujecie w praktyce to, czego uczono was przez ostatnie kilka miesięcy.

– Prawdziwych esesmanów? – upewnił się z roziskrzonym wzrokiem Gurłanow.

– Prawdziwych, prawdziwych – westchnąłem.

– Mamy *carte blanche*? – wtrącił Lewartow.

– Co takiego? – Elena spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Widać nie wszyscy kursanci z jednakowym zapałem zgłębiali tajniki języków obcych...

– On pyta, czy będziecie mogli prowadzić przesłuchania, nawijając jelita tych Szwabów na lufę pistoletu – wyjaśniłem. – Odpowiadam: nie będziecie! Możecie robić, co wam się podoba, z jednym wyjątkiem: użycia siły fizycznej. Pytania?

– *Waprosow niet!* – dziarsko odpowiedział w imieniu wszystkich Gurłanow.

– Ktoś chce się napić? – Zachęcająco uniosłem butelkę. – Ostatnia okazja przed powrotem do Moskwy.

Chłopcy rzucili się szukać kubków. Lekkim szturchnięciem obudziłem Kotuszewa, ruchem głowy wskazałem wódkę.

Tima dwoma łykami dopił herbatę Eleny i pierwszy podstawił szklanekę. Może jednak nie jest z nim aż tak źle? Refleksu nie sposób mu odmówić...



Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to oplakany stan jeńców: wszyscy byli brudni do obrzydliwości i wszyscy śmierdzieli. Dziwna rzecz, bo przecież chodziło o rozmiłowanych w higienie, czystych rasowo, aryjskich wojowników... Początkowo pomyślałem, że problem w celowych szykanach – bywało, że nasi żołnierze zabijali esesmanów na miejscu – ale zauważyłem, że w każdej celi stoi miska z wodą. Niby nic nadzwyczajnego, jednak wystarczy przecież do elementarnych ablucji. Ki czort? Indagowany wartownik potwierdził, że Niemcy nie myli się ani razu od momentu schwytania.

– Brudasy! – skomentował z grymasem obrzydzenia na twarzy.

Zerknąłem w papiery: z dokumentów wynikało, że jeńcy należą do Drugiego Korpusu Pancernego SS. Nie chciało mi się studiować detali, z tego, co pamiętałem, ten związek taktyczny brał niedawno udział w walkach o Charków i Biełgorod. W jego skład wchodziły takie jednostki, jak: Leibstandarte SS Adolf Hitler, Das Reich czy Totenkopf. Jednym słowem: elita. W dodatku schwytani żołnierze mieli być zwiadowcami... Coś tu się nie zgadzało. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich uczy się każdy zwiadowca, jest konieczność bezwzględного zachowania higieny. Kiedy działa się na terytorium wroga, każde, najmniejsze nawet zaniedbanie w tym względzie potrafi błyskawicznie się zemścić. Nie zmienisz na czas onuc czy skarpet? Porobią ci się pęcherze, a później rany. Nie umyjesz stóp? Grzybica gwarantowana. Niedbale podetrzesz tyłek? Najmniejsze odparzenie albo otarcie skóry – rzecz niemal pewna przy dłuższym marszu – i zakażenie gotowe. Nie, wśród zwiadowców nie ma flejtuchów.

– Kto zajmuje się jeńcami? – spytałem.

– Major Kondratiew.

– Co za Kondratiew?

– *Osobyj otdieł*. Nie, teraz już Smiersz – poprawił się z niemal niezauważalną ironią w głosie wartownik.

– Zawołaj go! – poleciłem.

Żołnierz podszedł do telefonu i rzucił kilka zdań w słuchawkę.

– Macie bezpośrednie połączenie z kontrwywiadem?

– To ich siedziba – wyjaśnił. – Major zaraz zejdzie.

Przyjrzałem się wartownikowi uważniej: krótko ostrzyżony, o regularnych rysach twarzy – kobiety pewnie uważają go za przystojnego! – w idealnie czystym i wyprasowanym mundurze, sprawiał wrażenie aktora grającego żołnierza. Dobrze wiedziałem, jak trudno na linii frontu utrzymać taki wygląd. A front na wyciągnięcie

ręki, niecały kilometr dalej. To była jedna z rzeczy, które mi się nie podobały: budynek, gdzie trzymano Niemców, znajdował się na skraju wioski. Zbyt blisko okopów. Fakt, że rozgościł się tu podlegający Berii Smiersz, częściowo tłumaczył sytuację: to była największa chałupa w okolicy. Niemniej jednak i tak mi się to nie podobało... Z drugiej strony niewiele mogłem zrobić – ze względu na wagę sprawy Genkom zapewne osobiście nakazał przetrzymywanie Niemców tu, a nie gdzie indziej. Co prawda budynek okazał się solidny (przed wojną mieściła się w nim szkoła), dodatkowo otoczono go zasiekami, a z okien na wyższych piętrach wystawały lufy ciężkich karabinów maszynowych. Biorąc pod uwagę, że współnikom Wotana najłatwiej byłoby go oswobodzić w trakcie transportu, pewnie nie najgorszy wybór. Nie wiedziałem, kto i kiedy poinformował naszych, że wśród wziętych do niewoli Szwabów znajduje się nieuchwytny agent. Jeśli zaraz po tym, jak dostali się w nasze ręce, nic dziwnego, że nakazano trzymanie jeńców na miejscu.

Głośny tupot oznajmił przybycie Kondratiewa. Ten w niczym nie przypominał wartownika: kościsty, o bladej, ziemistej cerze, robił wrażenie suchotnika. Okrągłe, grube szkła okularów także nie dodawały mu uroku.

– Pułkownik Razumowski? – zapytał, podchodząc.

– We własnej osobie.

– Mógłbym zobaczyć wasze dokumenty?

Podąłem mu bez słowa legitymację *wojennej rozwiadki*.

– Czym mogę służyć?

– Na początek wyjaśnieniem kilku kwestii.

– Tak?

– Dlaczego jeńcy są brudni?

– A cholera ich wie! Miałem ich umyć?!

– Nie tym tonem, majorze! – zwróciłem mu zimno uwagę.

– A w ogóle jakie macie pełnomocnictwa, towarzyszu Razumowski? Bo Moskwa poinformowała nas tylko o waszym przyjeździe. No i o tym, że wraz z wami przybędzie grupa kursantów bratniej służby.

Słowo „bratniej” Kondratiew wymówił z wyraźnym sarkazmem. Uśmiechnąłem się mimo woli: fakt, że poza Smierszem podległym Berii istniały jeszcze dwa inne, najwyraźniej nieco uwierał czekistów.

– Powiedziałem coś zabawnego? – warknął.

– Owszem – odparłem, patrząc mu twardo w oczy. – Macie z tym jakiś problem?

Gdyby spróbował jeszcze raz się odszczeknąć, strzeliłbym go w pysk. Musiał to wyczuć, więc tylko zacisnął cienkie, bezkrwiste wargi. Widać przebywał na froncie dostatecznie długo, aby wiedzieć, że tutaj pewne sprawy załatwia się niekoniecznie zgodnie z regulaminem.

– Nie macie prawa... – zaczął po chwili.

Przerwałem mu krótką jak wystrzał komendą: „Baczność!”.

Zastygł w bezruchu dopiero wtedy, gdy wymownym gestem położyłem dłoń na kaburze. Rozbestwili się nam czekaści, rozpanoszyli, jakby nie służyli temu samemu państwu i nie obowiązywały ich te same przepisy. A tu przyszedł jakiś nieznajomy i trzeba zebrać butki razem, wypiąć suchotniczą pierś i – co najgorsze – słuchać rozkazów...

Przez dobre kilka minut chodziłem wokół majora, wytykając mu coraz to nowe błędy w postawie, ułożeniu stóp i tułowia. Cóż, pewnie ostatni raz musiał stanąć w pozycji zasadniczej w trakcie szkolenia, czekaści nie przemęczali się musztrą.

Wreszcie wyciągnąłem laminowany dokument i podsunąłem mu pod nos. Niech sobie poczyta gadzina...

– Przepraszam, nie wiedziałem, ja...

– Wykąpać jeńców! – zarządziłem niecierpliwie. – Do kąpieli wyprowadzać ich pojedynczo, pod konwojem i z kajdanami na nogach. Odpowiadacie za nich osobiście. Czy to jasne?

– *Tak toczno!* – szczeknął służbiście Kondratiew.

– Do tego ostrzyc do gołej skóry i sporządzić dokumentację fotograficzną.

– Co takiego?

– Zrobić im zdjęcia na golasa – wyjaśniłem spokojnie. – Osobno głowa, ręce, nogi i tak dalej. Fotografie mają być wyraźne. Nie daj Boże, żeby okazało się, że któryś posiada znamię czy tatuaż nieuwzględniony na zdjęciu!

– Tak jest!

Kątem oka dostrzegłem, że wartownik składa usta do bezgłośnego gwizdnięcia. Widać domyślił się, o co chodzi.

– Wykonać! – rzuciłem ostro do Kondratiewa.

Major wykonał „w tył zwrot” i wymaszerował pospiesznie z pomieszczenia. Jego twarz, a nawet kark były purpurowe.

– Skąd jesteś? – zagadnąłem wartownika.

Od razu skojarzył, że nie chodzi mi o miejsce zamieszkania.

– Sztrafbat – odparł lakonicznie.

– Za co?

– Za gwałt. Zanadto spoufaliłem się z córką generała i kiedy ten postanowił wydać ją za męża, trzeba było coś wymyślić. Niestety, nie dało się ukryć, że nie jest już całkiem... niewinna.

– Wcześniejszy stopień?

– Porucznik.

– Dlaczego akurat wy ich pilnujecie? Bo rozumiem, że i pozostali wartownicy to sztrafnicy?

– Częściowo. Brakuje żołnierzy, którzy w razie czego potrafiliby samodzielnie

podjąć decyzję. Kondratiew to dupek jak i oni wszyscy – ruchem głowy wskazał sufit – ale nie idiota. Pewnie mu obiecali, że jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, dostanie bilet na Kołymę. Dlatego do pilnowania Szwabów wybrał umiejących czytać bez poruszania ustami, nie zwracając uwagi, czy są ze sztrafbatu, czy nie. Na przykład u wejścia stoi były pułkownik i wykładowca Akademii Sztabu Generalnego.

– A jego za co?

– Za politykę...

Skinąłem z namysłem głową, sięgnąłem po papierosa. Kiedy zobaczyłem łakomy wzrok żołnierza, poczęstowałem i jego.

– Dziękuję – mruknął, podając mi ogień. – Tu zawsze brakuje tytoniu.

– Jak się nazywasz? – spytałem.

– Wiktor Potapow, do waszych usług – odpowiedział, markując z uśmiechem salut.

A to mi się dowcipniś trafił... Odruchowo nacisnąłem mu czapkę na oczy, jak dawniej, kiedy przekomarzałem się z chłopakami. Zachichotał, ale po chwili stał już na baczność ze śmiertelną powagą na twarzy. Nawet papierosa rzucił na beton.

– Wybaczcie, towarzyszu pułkowniku – wymamrotał. – Czasem mnie ponosi.

A to co znowu? Dotarło do niego, że rozmawia ze starszym stopniem? Jeszcze przed chwilą nie wyglądał na przejętego. Dopiero teraz zauważyłem, że przy gwałtownym ruchu rozchylił mi się płaszcz. No tak: Złota Gwiazda. Od czasu udzielonej mi przez Stalina reprimendy nie zdejmowałem medalu. Woląłem nie nadużywać cierpliwości Głównodowodzącego...

– Daj spokój! – burknąłem. – Układy choreograficzne zostaw dla Kondratiewa.

– Mogę o coś zapytać? – odezwał się, stojąc już co prawda w swobodnej pozie, ale nadal bez uśmiechu.

– No?

– Nie potrzeba wam czasem ludzi?

W oczach chłopaka wyczytałem rozpaczliwą nadzieję.

– Chciałbyś wyrwać się ze sztrafbatu?

– To też, ale mój wyrok kończy się i tak za miesiąc. Chciałbym z wami pracować. Skończyłem Wyższą Szkołę...

Przerwałem mu machnięciem dłoni. Umilkł posłusznie. Jeszcze raz poczęstowałem go papierosem, tym razem ja podałem ogień.

– Mam komplet – poinformowałem, uformowawszy z dymu eleganckie kółeczko. – Z drugiej strony mało kto nadaje się do *razwiedki*. Więc kto wie? Ale pamiętaj: niczego ci nie obiecuję! – zastrzegłem stanowczo.

Skinął gorliwie głową.

– Znasz niemiecki?

– Tak jest!

– Prosiłem już, żebyś skończył z tym cyrkiem! Przede mną nie musisz trzaskać

kopytami co pół minuty, wystarczy, żebyś pamiętał, kto wydaje rozkazy. Bo jeśli zdarzy ci się zapomnieć, to będzie twoja ostatnia pomyłka...

– Rozumiem.

– Słyszałeś moje rozkazy dla Kondratiewa?

– Tak.

– Domyślasz się, co chcę osiągnąć?

– Szukacie u jeńców tatuaży albo znamion.

– Masz być obecny w trakcie kąpieli i fotografowania Szwabów, zwróć uwagę na wszelkie zachowania odbiegające od normy.

– Chodzi o Niemców?

– O wszystkich – uściśliłem. – Dasz radę to zrobić?

– Bez problemu. Jeśli będzie trzeba, podmienię na warcie kolegę.

Pożegnałem Potapowa skinieniem głowy, wręczyłem na odchodnym garść papierosów. Swoje zapasy bez problemu uzupełnię w oficerskiej kantynie albo na czarnym rynku. A jutro okaże się, co wyszło z mojego pomysłu. W tym momencie nie byłem już taki pewien swoich racji. Tatuaże? Niektórzy esesmani rzeczywiście mieli wytatuowaną na ramieniu grupę krwi. Miało to usprawnić udzielanie pomocy nieprzytomnym. Tylko co z tego? Wszystkich jeńców złapano w mundurach SS, nikt z nich nie mógł zaprzeczyć, że służy w tej formacji. Po cholere więc mieliby skrywać tatuaże? Chyba że któryś ma charakterystyczne znamię? Może sam Wotan, o ile rzeczywiście znajduje się w tej grupie? Cóż, zobaczymy...



Popijałem gorącą herbatę, słuchając narzekań Eleny i chłopaków. Siedzieliśmy wszyscy w skromnie wyposażonym, lecz przytulnym pokoju – dowództwo przydzieliło nam niewielki domek niedaleko siedziby Smiersza. Przeprowadzone przez zgrane trio przesłuchania nie dały żadnych rezultatów: Niemcy potwierdzili jedynie, że dokonywali zwiadu, podali nazwy swoich jednostek i definitywnie zamilkli. Było czym się martwić. Nie, nie efektem czy raczej brakiem efektów przeprowadzonego przez dzieciaki śledztwa! Spodziewałem się podobnej reakcji jeńców, a nawet na nią liczyłem. Widoczny na pierwszy rzut oka brak doświadczenia kursantów musiał uspokoić, a może nawet rozbawić Szwabów. Świadczył o tym, że nie przywiązujemy większej wagi do sprawy. Tak jak to chciałem zasugerować. Problemem było co innego – mimo dokładnych oględzin nie wykryto na ciele żadnego z jeńców nijakich znamion czy niezwykłych tatuaży. Czterech na siedmiu posiadało rozpowszechnione w SS oznaczenia grupy krwi, nic więcej. Jeden miał

niewielką bliznę w kącie ust, ale tę było widać i wcześniej. Jednym słowem – pełna kłapa. A zegar tyka...

– Może ich trochę... przycisnąć? – zaproponował Gurłanow.

– Przycisnąć, powiadasz? To frontowi żołnierze, nie załamają się po kilku klapsach w buzię.

– Nie mówiłem o klapsach! – warknął. – Jak któremuś połamiemy paluchy albo zaczniemy wyrywać paznokcie, od razu zrobi się bardziej rozmowny!

No, no, rozhulał mi się Kid Gurłanow. Wyrywanie paznokci, też coś!

– Próbowalesz tego kiedyś?

– Skąd! Ale mogę...

– Aha, możesz! – stwierdziłem znaczącym tonem. – Naprawdę uważasz, że dasz radę przez dziesięć godzin słuchać krzyków torturowanego człowieka? Co prawda z przerwami, bo pewnie będzie co jakiś czas mdlał. No i uświnisz mundur, ponieważ w takich sytuacjach krew tryska na metr albo i dalej.

– W jakich sytuacjach? – nie zrozumiał chłopak.

– Przy roztrzaskiwaniu palców kijem. Chyba żebyś skonstruował jakąś prasę. Wtedy można powolutku... To ciężka i, nie ma co ukrywać, brudna robota. Założę się, że najdalej po godzinie Szwab narobi pod siebie i ktoś to będzie musiał sprzątać.

– Sam posprząta!

– Z połamanymi palcami? – spytałem łagodnie. – Do tego trzeba by przeprowadzić badania medyczne, później...

– Jakie, do licha, badania?!

– Gdyby miał słabe serce albo niski próg bólowy, mógłby wykorkować w trakcie... procedur – wyjaśniłem. – A dowództwu zależy na przesłuchaniu tych esesmanów, och, jak zależy! Wy wprawicie się tylko przy okazji.

– Myślę, że to kiepski pomysł – powiedziała szybko Elena.

Dziewczyna pobladła, widać było, że wizja torturowanych Niemców nie sprawia jej przyjemności. Także Lewartow nie wyglądał na zachwyconego, choć starał się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Coś trzeba przecież zrobić! – wykrzyknął Gurłanow.

Ten nie wyglądał na przekonanego, najwyraźniej moja argumentacja nie zrobiła na nim wrażenia. W oczach chłopaka dostrzegłem determinację, a może nawet przebłysk okrucieństwa. Trzeba zwrócić uwagę na kursanta Gurłanowa, bo wyrośnie mi tu pod bokiem jakiś mały sadysta. Nie żebym miał coś przeciwko użyciu siły fizycznej, jednak co innego użyć jej z musu, w sytuacji, kiedy nie ma innego wyjścia, co innego dla przyjemności. Wreszcie – pomijając wszystko inne – każdy dobry śledczy szybko się uczy, że tortury są przereklamowane. Aby prawidłowo ocenić odporność danego człowieka i co za tym idzie – dobrać odpowiednio bodźce, trzeba długotrwałych badań. W innym wypadku łatwo przesadzić w jedną albo drugą stronę. Jeśli ból będzie

zbyt słaby, straci się tylko czas. Jeżeli zbyt silny – przesłuchiwany powie wszystko, czego, jak mu się wydaje, oczekuje od niego śledczy. Niekoniecznie prawdę... Stąd wbrew obiegu opinii pożytek z tortur niewielki. Oczywiście istnieją specjalistyczne techniki, można na przykład pozbawić przesłuchiwanego snu lub użyć środków chemicznych, ale wszystkie one mają swoje słabe strony. Być może kiedyś to się zmieni, ale jeszcze przez długie lata efekt przesłuchania będzie zależeł od doświadczenia śledczego.

- Mieliście swoje pięć minut – orzekłem. – Teraz Szwabami zajmą się inni.
- Będziecie ich przesłuchiwać? – spytała Elena.
- Owszem.
- Możemy jakoś pomóc?
- Nie.

Dziewczyna spojrzała na mnie z wyrzutem, rozumiałem ją: najłatwiej zapomnieć o klęsce, odnosząc zwycięstwo. W tym momencie nawet cudza wygrana podniosłaby ją na duchu, tyle że nie miałem zamiaru iść jej na rękę. W wywiadzie każdy sam odpowiada za swoje porażki, sukces – jak i wszędzie – ma wielu ojców...

Wyszedłem, zabierając ze sobą plik zdjęć przedstawiających nagie torsy, pośladki i wygolone na zero głowy. Nie żeby mogły mi w czymś pomóc, każdą fotografię sprawdziłem z lupą w rękę. W przerobionej na areszt suterenie oczekiwał mnie już Potapow.

- I jak uważacie? – zagaił od progu. – To tego szukamy?
- Czego, na litość boską?!
- Śladu po obrączce, może sygnecie – odparł ze zdziwieniem w głosie. – Trzecia cela, więzień Hoffmeyer.

Zakląłem ze złością i wysypałem zdjęcia wprost na betonową podłogę. Jedno z nich rzeczywiście przedstawiało dłonie *SS-Untersturmführera* Wilhelma Hoffmeyera. Tylko że nie widać było na nim żadnych śladów...

- Może fotograf coś skiepscił? Bo facet ma na palcu pasek bladego ciała. Jak po pierścieniu.

Ot, kurwa, nowoczesność w domu i zagrodzie! Jak sam czegoś nie dopilnujesz, to nikt za ciebie tego nie zrobi. Jednak w takim razie po chuj nam technika?!

- Który to?! – warknąłem.
- Tamta cela.
- Masz klucz?
- Tak, jestem dowódcą warty.
- Otwieraj.
- Ale...
- Żadne „ale”! Jak tylko wejdziesz, natychmiast zamkniesz drzwi.

Chłopak z wyraźną ulgą skinął głową, ruchem dłoni przywołał dwóch kolegów. Ci

bez wahania przeładowali broń, przygotowali się do strzelania przez kraty. No, no... Od razu poznać frontowych żołnierzy: żadnej brawury czy lekceważenia przeciwnika, nawet jeśli ten siedzi w klatce... Po chwili stałem już naprzeciwko Niemca. Nie wyglądał imponująco: szczupły, wzrostu nieco powyżej średniego, o nierzucających się w oczy rysach twarzy. Na serdecznym palcu lewej ręki mężczyzny dało się zauważyć wąski, blady pasek. Ani chybi ślad po pierścieniu. Szwab musiał go zdjąć niedawno, inaczej nie byłoby widać aż takiej różnicy w kolorze skóry.

Spojrzałem mu w oczy – nie zareagował. Siedział ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, tak jakby ściany celi były tylko złudzeniem. Nie zauważyłem u niego żadnego niepokoju. Był spokojny. Zbyt spokojny. Każda część naszego ciała połączona jest z mózgiem, ale to twarz i dłonie są szczególnie unerwione. Można na różne sposoby ukrywać stres, lecz niemal nie sposób uniknąć mimowolnych ruchów mięśni w tych obszarach. Chyba że ktoś celowo nauczył się je rozluźniać...

Tak czy owak, rzecz warta zastanowienia: czyżby Niemcy nie myli się, aby skryć ślad po pierścieniu na dłoni Hoffmeyera? A po cholere? Co takiego mógł nosić na serdecznym palcu esesman? Herbowy sygnet? Małżeńską obrączkę? Chyba wpadam w paranoję, najpierw trzeba sprawdzić, czy nasi nie zerwali mu jakiejś błyskotki z palca. Bo to najbardziej prawdopodobny wariant.

Nakazałem gestem otwarcie celi, wychodząc, czułem na plecach wzrok Niemca. Widać nie był aż tak obojętny.

– Kto ich wziął do niewoli? – spytałem Potapowa, kiedy odeszliśmy kawałek w głąb korytarza.

Wolałem nie ryzykować, na wypadek gdyby któryś ze Szwabów znał rosyjski.

– My – odparł zdziwiony chłopak.

– Jacy „my”?

– Sztrafbat.

No ładnie... Gdy poproszę sztrafników o zwrot zabranych Niemcom fantów, będę miał szczęście, jeśli nie potknę się na schodach, łamiąc sobie kręgosłup w paru starannie wybranych miejscach. No i nie dziwota: sam bym się wkurwił, gdyby jakaś sztabowa menda kazała mi oddać łup. Chyba że pomoże mi Witia Potapow.

– Zabraliście coś Szwabom? – walnąłem bez owijania w bawełnę.

– Sami wiecie, jak to jest – odburknął. – Zegarki, jeden czy dwa sygnety, może jakąś obrączkę, noże...

– Muszę sprawdzić, co on miał na palcu – wyjaśniłem. – Nie mam zamiaru niczego konfiskować – zastrzegłem od razu. – Chciałbym jedynie rzucić okiem na ten cały chłam.

Wyraźnie zakłopotany Potapow odwrócił wzrok, widziałem, jak zaciska usta. Mogłem, rzecz jasna, załatwić sprawę siłowo i zażądać zwrotu zrabowanych Niemcom rzeczy pod lufami karabinów, tyle że w takim wypadku wątpliwe, abym

zobaczył choćby połowę fantów: żołnierze dawno poupychali je w sobie tylko wiadomych kryjówkach. Jeżeli Potapow za mnie poręczy, jego koledzy pokażą mi wszystko, co wzięli. Problem w tym, że Witia nie mógł wiedzieć, czy dotrzymam słowa. Jeśli ich zakabluje – a za grabież grozi przecież ładne parę lat – albo odbiorę zdobycz, chłopak długo nie pożyje. Stąd i dylemat byłego porucznika Wiktora Potapowa.

– No dobrze – westchnął. – Chodźmy. Tylko zdam służbę.



Batalion karny rozłożył się w magazynach kolejowych niedaleko dworca w Woroszyłowgradzie. Widać, że miejsce wybierali doświadczeni żołnierze: spory kawałek od linii frontu, centrum miasta, a i w razie czego transport niedaleko. Stałem wśród kilkunastu sztrafników, oglądając ułożone na kocu łupy. Na oko nic specjalnego: kilka zegarków, dwie obrączki, męski sygnet, trzy scyzoryki, spadochroniarski nóż grawitacyjny...

– Niezły – mruknąłem, oglądając czasomierz firmy Lange & Söhne.

– To moje! – zaznaczył z naciskiem jeden z żołnierzy.

– Nie martw się – uspokoiłem go. – Nie narzekam na swój.

Podwinąłem rękaw, demonstrując schaffhausena.

– Skąd go macie? – zainteresował się starszy, siwowłosa mężczyzna.

O ile dobrze zapamiętałem, były major.

– Podarował mi go Hans von coś tam – odparłem z roztargnieniem.

– Podarował?!

– Mniej więcej. Zgadaliśmy się z Hansem w wielu kwestiach, na przykład obaj uważaliśmy, że nasze zegarki są kiepskie. Więc dokonaliśmy zamiany: ja mu dałem zima, on mi schaffhausena.

– Nie protestował? – zapytał major z niedowierzaniem w głosie.

– Chyba nie. – Wzruszyłem ramionami. – Szlachectwo zobowiązuje, a on był pruskim junkrem. Z drugiej strony nie mogę być pewien – przyznałem. – Trudno zrozumieć, co mówi facet z nożem wbitym w gardło...

Żołnierze zarechotali, napięcie zelżało. Westchnąłem ciężko: wśród zabranych Niemcom rzeczy nie znalazłem niczego interesującego. Podniosłem jeszcze srebrny sygnet, obejrzałem wyryty na oczku herb. Także nic szczególnego: czarny niemiecki orzeł, poniżej tarcza w srebrne i czerwone pasy obwiedziona ornamentem z jakichś liści. Jak to cholerstwo się nazywa? Ach tak: labry. Odkładając błyskotkę, poczułem, że z czymś mi się kojarzy. Sygnet rodowy? Nie. Małżeńska obrączka? Także pudło.

Mózg podsuwał mi dziesiątki różnych obrazów, zapachów i głosów. Musiałem usiąść, zakreśliło mi się w głowie.

– Dobrze się czujecie? – spytał zaniepokojony Potapow.

Uciszyłem go gwałtownym gestem: rozwiązanie czało się tuż na obrzeżach umysłu. Srebro... Tak, kiedyś widziałem już srebrny pierścień czy sygnet na dłoni esesmana. Kto to był? Czort wie. Jednak moja podświadomość najwyraźniej uznała sam fakt za ważny. Pomyślmy: srebrny pierścień... Musiał coś oznaczać, inaczej moja pamięć nie podsuwałaby mi tego akurat wspomnienia. Tylko co? Zupełnie nie rozumiałem, w czym rzecz.

– Srebrny pierścień – powiedziałem na głos. – Kiedyś widziałem już u jakiegoś Szwaba podobny. Tylko że to nie był sygnet herbowy...

– Też mi sensacja! – burknął siwowłosey. – Mam taki jeden. Z trupią główką.

SS, trupia główka... Tak! O to chodzi!

– Pokażecie? – poprosiłem.

Mężczyzna skinął głową, po czym wyszedł z budynku. Miałem nadzieję, że trzyma swoje łupy gdzieś w pobliżu. Dałem się poczęstować samogonem, pozwoliłem sztrafnikom zabrać fanty. Teraz, kiedy przekonali się, że nie mam zamiaru wykorzystywać stanowiska, podejmowali mnie z dobroduszną uprzejmością. Na stole pojawił się nie tylko bimber, ale i francuski koniak, w ramach zakąski marynowana słonina i kilka rodzajów konserw. Ktoś wyciągnął harmoszkę i zanucił starą kozacką kołysankę. Niemal w tym samym momencie zawtórowali mu inni, nastrój zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki: ucichł normalny dworcowy gwar, nie słychać było krzyków i żołnierskich przekleństw. Zdawało się, że front przebiega gdzieś hen daleko. Tu było ciepło i bezpiecznie, nie czuło się dotyku żelaznych palców wojny. Przez chwilę.

Trzaśnięcie drzwi oznajmiło powrót siwowłosego. Bez słowa podał mi pierścień, tęskna melodia urwała się jak ucięta nożem, czar prysnął, wróciło uczucie zagrożenia. Byłem samotny wśród obcych, w karnym batalionie.

Zerknąłem: trupia czaszka, runy, dokładnie tak to zapamiętałem. Jednak nic z tego nie wynikało. Niby dlaczego esesman miałby ukrywać fakt noszenia sygnetu z symbolem swojej formacji? Co w tym kompromitującego? Musiałem jak najszybciej wyjaśnić tę kwestię.

– Sprzedajcie mi ten drobiazg – zaproponowałem.

– Za ile?

Położyłem na blacie imperiała, carskie złoto zabłysło w świetle naftowych lamp.

– Kawalek złota za kawałek srebra – oznajmiłem.

– No, no, Iwanycz, masz szansę zarobić – powiedział któryś z żołnierzy.

Siwowłosey obrzucił go gniewnym spojrzeniem, parsknął pogardliwie.

– To – wskazał pierścień – rzecz unikatowa, a ruble...

– Dwanaście gramów czystego złota – przerwałem mu bezceremonialnie. – Inwestycja w sam raz na wojenne czasy.

W oczach mężczyzny zabłysła chciwość, lecz uparcie pokręcił głową.

– Przyjaciel powiedział mi, że to unikat – stwierdził. – A on znał się na tym.

– Znał się?

– Zginął miesiąc temu – wyjaśnił Potapow. – Mitia Woronin. W cywilu był antykwariuszem.

– Trzy imperiały – podbił cenę Iwanycz, popatrując na mnie spod oka.

– Chyba za bardzo polegasz na swoich doświadczeniach z handlu prosiętami – odparłem kpiąco, porzucając ceregiele. – Nie chcesz, to nie. – Zgarnąłem ze stołu monetę.

– Dwa – powiedział prędko.

Na jego czole pojawiły się krople potu. Odwróciłem się demonstracyjnie, złapał mnie za rękaw, zanim postąpiłem choć krok.

– Niech będzie! – warknął.

Cóż, pierścień już miałem, pozostawało tylko skonsultować się z kimś, kto mógłby mi wyjaśnić detale. Znałem taką osobę.



Lidia Zosimowna Siwers pracowała w GRU od niepamiętnych czasów. Plotki głosiły, że od momentu założenia naszej firmy pod niewiele mówiącą nazwą Registupr. Pochodząca z arystokracji Lidia Zosimowna zgłosić się miała do pierwszego dowódcy wojennej rozwiędki Siemiona Aralowa z propozycją współpracy. Powodów swojej decyzji nie wyjawiała nikomu, jednak Aralow zgodził się bez wahania. Ani on, ani żaden z jego następców nigdy tego nie żałował. Lidia Zosimowna kierowała archiwum GRU i miała dostęp do dokumentów, których nie widział nikt poza szefami *Głównego Rozwiędywatelnogo Uprawlenija*. Dzięki fotograficznej pamięci potrafiła przytoczyć obszerne cytaty z akt, które widziała kilka razy w życiu. Jeśli Lidia Zosimowna czegoś nie wiedziała, nie było warto tego szukać.

Jeszcze raz wyjrzałem na korytarz, sprawdziłem, że nikt nie czai się pod drzwiami: na czas rozmowy z Moskwą kazałem personelowi opuścić centralę łączności.

Skontaktowałem się z oficerem dyżurnym, poprosiłem do telefonu Lidię Siwers. Czekałem kilka minut: archiwum mieściło się w podziemiach siedziby GRU, a Lidia Zosimowna miała dobrze pod sześćdziesiątkę. Wreszcie usłyszałem w słuchawce jej głos. Jak zwykle nie traciła czasu na powitanie.

– Słucham! – rzuciła krótko.

– Mam przy sobie srebrny pierścień o prawdopodobnie symbolicznym charakterze
– równie szybko przeszedłem do rzeczy. – Chciałbym wiedzieć coś więcej na temat tej ozdóbki.

– Razumowski – mruknęła. – Jak zwykle...

Zacisnąłem zęby: ostatni raz rozmawiałem z Lidią Zosimowną dwa lata temu. Jej rady pozwoliły mi rozwiązać skomplikowaną sprawę, być może uratowały życie. Niemal o tym zapomniałem, ona najwyraźniej nie.

– Przecież wam podziękowałem – odparłem z wyrzutem.

– A jakże! Gdybym miała czterdzieści lat mniej, ten bukiet róż, a założę się, że kwiaty ukradłeś z jakiegoś ogrodu, zrobiłby na mnie piorunujące wrażenie. Niestety, w moim wieku bardziej przydałaby mi się jakaś dobra herbata. Nie masz pojęcia, co teraz sprzedają pod tą nazwą!

– Wystarczy wam Earl Grey? – spytałem z nadzieją w głosie.

– Rosyjska Karawana – odparła sucho.

– Co takiego?!

– Nie piłam jej od czasów rewolucji, ale na Zachodzie podobno jeszcze sprzedają tę mieszankę...

– Lidio Zosimowna!

– Razumowski!

– No dobrze – westchnąłem. – Niech będzie Rosyjska Karawana.

Nie byłem zachwycony, nie znam się na herbacie, a wyglądało, że przyjdzie mi polować na ulubiony gatunek Lidii Zosimowny.

– W porządku, opisz pierścień.

– Jest ozdobiony trupią czaszką ze skrzyżowanymi piszczelami, obok symbole SS.

– Runy Sieg?

– Tak to się chyba nazywa – odparłem z pewnym powątpiewaniem.

– Znaki są podobne do błyskawicy?

– Tak.

– Dalej.

– Ornament wraz z runami SS tworzą dębowe liście, widzę też swastykę i jakieś inne symbole.

– Jak wyglądają?

– Jeden przypomina... bo ja wiem...? śniegową gwiazdkę...? To trzy przecinające się linie. Ostatni składa się z dwóch elementów: pionowej linii przeciętej czymś w rodzaju runy Sieg i skierowanej grotem w górę strzały z piórami z lewej strony.

– Runy Hagall i Heilszeichen – skomentowała Lidia Zosimowna. – Czy są jakieś napisy wewnątrz pierścienia?

– Tak. Cytuję: „S.Lb. Diers 21.12.1940 H. Himmler”.

– To nagroda dla wyróżniających się oficerów SS. Ustanowił ją osobiście Heinrich

Himmler w kwietniu tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku. Początkowo nie istniały precyzyjne przepisy dotyczące przyznawania pierścieni, wręczano je „starej gwardii”, pierwszym pięciu tysiącom członków SS. Później otrzymać je mogli tylko oficerowie, którzy udowodnili swoje oddanie Führerowi, a do tego cieszyli się nieskazitelną reputacją i odsłużyli przynajmniej trzy lata.

– Co oznaczają napisy i symbole?

– „S.Lb.” to skrót od *Seinem lieben*, „mojemu drogiemu”. Dalej następuje nazwisko nagrodzonego, data wręczenia pierścienia i podpis Himmlera. Runy Sieg odnoszą się do nazwy SS, trupia czaszka symbolizuje gotowość oddania życia dla dobra Niemiec, Hagall wiarę w zwycięstwo i nazistowskie ideały, a Heilszeichen szczęście i sukces. Sam pierścień jest symbolem oddania Führerowi oraz braterstwa esesmanów. Nawiązuje do mitologii nordyckiej. Podobno bóg Thor miał srebrny pierścień, na który przysięgano tak jak teraz chrześcijanie na Biblię. Podobny drobiazg posiadało też inne bóstwo, Wotan.

– Na którym palcu nosi się ten pierścień?

– Na serdecznym lewej ręki.

– Rozumiem, że nie każdy oficer SS posiada coś takiego?

– Nie, to mroczny przedmiot pożądania. Mogą go nosić jedynie esesmani w służbie czynnej. Rzecz jasna, ci, którzy czymś się wyróżnili. Jeśli ktoś odchodzi z SS, nieważne, z jakich powodów, musi oddać pierścień. Podobnie jeżeli czasowo został wykluczony z tej formacji lub zdegradowany. Rodziny poległych esesmanów mogą zatrzymać dokument, jaki wręcza się wraz z pierścieniem, ale sam pierścień zwracany jest Himmlerowi i umieszczany na zamku w Wawelsburgu. W przypadku śmierci w boju towarzysze poległego mają obowiązek za wszelką cenę zabrać pierścień, tak aby nie wpadł on w ręce wroga. Podobno istnieje sporo podróbek: esesmani zamawiają je u jubilerów więźniów obozów koncentracyjnych, bo nikt inny nie odważyłby się na coś podobnego...

– Czy można przypuścić, że niemiecki agent, choćby nie wiadomo jak zakonspirowany, nie odmówiłby sobie paradowania z tym pierścieniem wśród swoich?

– Pewnie tak.

– To wszystko. Dziękuję wam, Lidio Zosimowna.

– Uważaj na siebie, Razumowski, nie podoba mi się ta sprawa, a chciałabym dostać swoją herbatę – powiedziała moja rozmówczyni dużo łagodniejszym niż przed chwilą tonem.

– Postaram się – obiecałem beztrąsko.

Odpowiedziało mi powątpiewające chrząknięcie i trzask odkładanej słuchawki.



Srebrny pierścień wirował na zbitym z ledwie oheblowanych desek więziennym stole. Człowiek, który podawał się za *SS-Untersturmführera* Wilhelma Hoffmeyera wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany.

– Gra skończona – oznajmiłem z uśmiechem. – *Herzlich willkommen, Herr Wotan!*

Nie widziałem, kiedy Niemiec zerwał się zza stołu. Może odwróciłem wzrok na ułamek sekundy, a może moją uwagę przyciągnął błysk srebra? Kiedy sięgnąłem do kabury, skoczył na mnie niczym wielki kot. I zaatakował po kociemu, zaginając palce jak szpony. Pac! Pac! Musiał nacisnąć jakiś nerw, bo ręka mi opadła nagle zdrętwiała i bez czucia. Uderzyłem lewą, udało mi się musnąć jego szczękę. Za plecami słyszałem jakieś wrzaski – zdążył, gadzina, ustawić mnie plecami do krat.

Próbowałem obejść go z boku, dać wartownikom możliwość strzału, ale przyblokował mnie, zmieniając pozycję i atakując serią błyskawicznych uderzeń. Poderwałem w górę kolano, przyjął cios na udo i natychmiast zripostował, dźgając mnie w krtań czubkami usztywnionych palców. Sparowałem, ale w tym samym momencie jego pięść prześliznęła się przez moją gardę, uderzając z potworną siłą w pierś. Poczułem, że nie mogę oddychać, na moim sercu zacisnęła się zimna, stalowa łapa. Słyszałem o przypadkach, kiedy ludzie umierali na skutek niezbyt silnego ciosu w okolice serca. To nie był ten przypadek: facet rąbnął mnie z siłą młota parowego. Ile mi zostało? Sekunda? Dwie?

Z rykiem wściekłości rzuciłem się naprzód, wbiłem Wotanowi kciuki w szyję, tuż poniżej uszu. Kiedy chwycił mnie za nadgarstki, trzasnąłem go głową w twarz. Cofnął się zamroczony, więc poprawiłem jeszcze raz i jeszcze... Gdy do celi wpadli w końcu wartownicy, Niemiec leżał na brudnej betonowej podłodze bezwładny, podobny do porzuconego łachmanu.

– Towarzyszu ...niku! Towarzyszu pułkowniku!

Głosy dochodziły do mnie jak przez grubą warstwę waty, osunąłem się na kolana. Stalowe szpony rozrywały moje serce, zaciskały się na gardle: nie mogłem zaczerpnąć tchu. Przed oczyma majaczyły ciemne plamy, widziałem coraz gorzej i gorzej. Wreszcie wszystko zniknęło, pozostał jedynie ból. I coraz głębsza, wszechogarniająca ciemność.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Odzyskałem przytomność, czując gorzki zapach leków i środków odkażających. Nic nowego, nic nadzwyczajnego... W końcu to nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz. Rozpocząłem jak zwykle od sprawdzenia, w jakim jestem stanie. Pamięć chwilowo zawodziła, nie mogłem przypomnieć sobie okoliczności, które mnie tu przywiodły. To także nic dziwnego: nawet mózg musi od czasu do czasu odpocząć. Zacisnąłem pięści, poruszyłem palcami stóp. Wszystko na swoim miejscu, mięśnie reagują. Nieźle. Przesunąłem dłońmi po ciele: żadnych ran czy bandaży. Jeszcze lepiej! Uniosłem powieki – poraziło mnie jasne słoneczne światło. Ciekawe, ile tu przeleżałem? Udało mi się przekręcić na bok, po chwili usiąść. Zza ściany dochodził dźwięk rozmów i kobiecy śmiech. Znaczy i ze słuchem nie jest tragicznie. W takim razie dlaczego tu leżę?

– Klatka piersiowa, uderzenie w serce – poinformował mnie nieznany męski głos, jakby odpowiadając na moje myśli.

Dopiero teraz dostrzegłem, że tuż obok siedzi oficer w mundurze pułkownika. Prawda, że nie rozglądałem się na boki... Jego twarz wydała mi się znajoma.

Rozpiąłem piżamę, skrzywiłem się, dotknąwszy żeber. Siniak miał wielkość sporego talerza i paskudny brunatnoczarny kolor.

– Niewiele brakowało – skomentował pułkownik.

– Jesteście... – zawiesiłem wymownie głos.

– Szulgin – przedstawił się krótko.

Zmarszczyłem brwi. Kojarzyłem skądś to nazwisko, ale skąd? Umysł nadal funkcjonował niemrawo, może przypomnę sobie za kilka godzin...

– Przydzielono mnie do osobistych poruczeń Gławkoma – wyjaśnił, widząc moje wysiłki.

No jasne! Szulgin z *wojennoj razwiedki*! Raz czy dwa spotkaliśmy się gdzieś przelotnie. Tylko w jakim celu tu przyjechał? Bo przecież nie po to, żeby pocieszać w chorobie podpułkownika Razumowskiego? I co ważniejsze: czyje rozkazy wypełnia? Generała Iliczowa czy Stalina?

– Już pamiętam – mruknąłem. – Po co was przysłali?

– Po to, co i ciebie – odparł rzeczowo. – Mam nowe rozkazy.

Skinąłem głową: wszyscy oficerowie *wojennoj razwiedki* zwracają się do siebie na ty, taki zwyczaj. Jednak inicjatywa zawsze wychodzi od starszego stopniem. Tylko jak on ma na imię?

– Rodion – powiedział z domyślnym uśmiechem.

– Sasza.

Uścisnął ostrożnie moją dłoń, jeszcze raz obejrzał siniaka.

– Nic ci nie będzie – stwierdził. – Uderzenie w serce to dość zawodna technika, albo umiera się od razu, albo wcale. Choć jeśli zadziała, robi wrażenie – przyznał.

Poczułem ciarki, słysząc spokojny, obojętny ton Szulgina. Mój rozmówca nie udawał, nie próbował robić wrażenia, śmierć była dla niego zjawiskiem tak banalnym jak codzienny zachód słońca.

– Co za rozkazy? – spytałem.

– Fizyczna likwidacja wszystkich Szwabów – odparł, mierząc mnie uważnym spojrzeniem.

– Chyba żartujesz! Przecież teraz możemy przycisnąć Wotana, zdobyć sekrety...

– Nie nam decydować. – Wzruszył ramionami. – To polityka.

– Jaka, kurwa, polityka?!

– Pomyśl, Saszka – westchnął z pewnym zniecierpliwieniem. – Założmy hipotetycznie, że uda nam się przetransportować gnoja do Moskwy i rozpocząć przesłuchania.

– A niby dlaczego nie miałyby się udać?! – warknąłem. – Wierzysz w te brednie o pałętających się wokół niemieckich agentach czekających tylko, żeby uwolnić Wotana?

– Wierzę – odparł spokojnie. – Czytałem jego akta. Nasze akta – zaznaczył. – Wiesz, jaki kryptonim nadano mu w GRU? „Houdini”. Nie muszę chyba wyjaśniać dlaczego? Uciekał nam przynajmniej trzy razy, niestety, nie znam szczegółów, bo dokumenty, które tego dotyczą, przechowywane są w specjalnym archiwum.

– Uciekł *wojennoj razwiedce*?

– Chyba raczej NKWD, choć nie mam pewności. Ale czort z tym! Powiedzmy, że dowieziemy go do Moskwy. Myślisz, że wszystkie problemy znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki? Słyszałeś, że facet pracował nad Własowem?

Przytaknąłem ponuro.

– Prawdopodobnie niedawno nawiązał kontakt z jednym lub dwoma oficerami o podobnej, jeśli nie wyższej randze. Przyjechał, żeby ich zwerbować. Zdajesz sobie sprawę, co by się działo, gdyby doszła do nich wiadomość, że zaczynamy przesłuchania? Nieważne: winni czy niewinni, nie mieliby wyjścia, przeszliby na stronę Szwabów. Być może z częścią swoich oddziałów. To mogłoby doprowadzić do załamania nie tylko konkretnych odcinków, ale i całych frontów! Wyobraź sobie do tego wydźwięk propagandowy takiej akcji... Nie, nie ma innej opcji: Wotan musi umrzeć tu i teraz.

No tak, jeśli Wotan zostanie rozstrzelany, ludzie, z którymi nawiązał kontakt, odetchną, bo będą wiedzieć, że chwilowo nic im nie grozi. Jednak na pewno postarają się udowodnić swoją lojalność. Na wszelki wypadek, bo przecież podejrzenie mogło paść i na nich. I tak za cenę śmierci Wotana zamienimy zastanawiających się nad zdradą dowódców w stuprocentowo lojalnych patriotów... Kurwa, jak ja nienawidzę polityki!

– Kiedy?

– Co kiedy?

– Kiedy ich rozwalisz?

– Jutro z samego rana. Masz przy tym asystować jako świadek, to osobiste polecenie Gławkoma.

– A dzieciaki?

– Chodzi ci o tych twoich... kursantów?

– Tak.

– Co do nich nie mam żadnych dyspozycji, ale na twoim miejscu wziąłbym ich ze sobą.

– Niby dlaczego?

– Lepiej, żeby ci nadwrażliwi odpadli już teraz – odparł, wzruszając ramionami.

Co racja, to racja. Asystowanie przy egzekucji to nic przyjemnego, lecz z pewnością pomoże odsiać ziarno od plew.

– Zatem jesteśmy umówieni – podsumowałem.

– Do jutra – rzucił i wyszedł.

Z bolesnym stęknieniem zsunąłem się z łóżka, sięgnąłem po ubranie. Nie ma nic lepszego na wszelkie dolegliwości, jak wypocić się w łaźni, pewnie znajdę jakąś nieopodal. Posiedzę w „bani” ze dwie godziny, wysmagam się brzoźowymi witkami, popiję kwasu chlebowego i następnego dnia będę jak nowy.



Maszerowaliśmy na samym końcu konwoju: nie chciałem przeszkadzać Szulginowi. Przed sobą widziałem wątle plecy Kondratiewa – zgodnie z procedurą w egzekucji musiał uczestniczyć przedstawiciel kontrwywiadu – i wygolone karki Niemców. Po bokach maszerowali żołnierze eskorty. Szulgin niczego nie pozostawił przypadkowi, każdemu z esesmanów skuto ręce na plecach, Hoffmeyerowi założono nawet kajdany na nogi. Założę się, że pochodziły jeszcze ze starych, carskich zapasów, teraz takich nie produkują. Twarz Lewartowa zastygła w nic niemówiącą maskę, jak przy partii pokera, Elena wyraźnie nadrabiała miną, jedynie Gurłanow był wesoły jak szczygiełek. Oj, trzeba będzie uważać na kursanta Kida, w naszej robocie potrzebna jest pewna doza bezwzględności, bez tego ani rusz, ale nie ma tu miejsca dla kryptosadystów. Jeśli będzie trzeba, urządzi mu się jakiś wypadek, choćby postrzał przy czyszczeniu broni. A może lepsza będzie bohaterska śmierć w walce? W końcu front niedaleko.

Wyszliśmy na niewielką polanę – cel naszej wycieczki. Dla niektórych ostatni przystanek w życiu. Skrzywiłem się, widząc, jak Kondratiew popycha brutalnie niepozornego, myszowatego jeńca, ci czekałsi...

Po chwili rozległa się krótka komenda i Niemców ustawiono w szeregu naprzeciwko żołnierzy. Wśród tych ostatnich rozpoznałem paru znajomych ze sztrafbatu, w tym Witię Potapowa. Przywołałem ruchem głowy Timę: niech się nie pałęta, gdzie nie trzeba. Jeszcze wejdzie komuś pod lufę. Nie zamierzałem brać ze sobą Kotuszewa, ale kiedy powlókł się za nami, nie protestowałem. Nie chciałem go publicznie upokarzać. Już i tak kazałem mu nosić w kaburze gazetę zamiast broni, ale o tym wiedzieliśmy tylko my. Wolałem się nie zastanawiać, co mógłby zrobić, gdyby coś go wystraszyło czy zaniepokoiło.

– *Celsia!* – rozległ się chłodny głos Szulgina.

No i dobrze, niepotrzebne nam mowy pożegnalne i ceremonie. Takie sprawy najlepiej załatwiać szybko i od ręki.

Huk wystrzałów dobiegł mnie z niespodziewanej strony, z osłupieniem patrzyłem na padających pod ołowianym deszczem żołnierzy. Strzelali jeden z esesmanów i Kondratiew. Pozostali Niemcy rzucili się na eskortę, jak zauważyłem, wszyscy poza Hoffmeyerem jakimś cudem pozbyli się kajdanków. Zwinąłem się w błyskawicznym skrócie, spojrzałem wprost w lufy trzymany przez Kondratiewa rewolwerów. Te nieustannie pluły ogniem, ale zdrajca nie celował we mnie. Spokojnie i metodycznie likwidował żołnierzy sztrafbatu. Trafiłem go dwukrotnie w pierś. Kiedy upadł, poczułem smagnięcie, jakby ktoś uderzył mnie po plecach biczem. Odruchowo przetoczyłem się przez bark, odwróciłem. Gurłanow! To on do mnie strzelał! Płonące fanatyzmem oczy chłopaka wskazywały, że nie przypadkiem. Uniosłem broń, ale wyprzedził mnie Lewartow i mundur na piersi Gurłanowa zabarwił się na czerwono.

– On ucieka! – wrzasnął Szulgin. – Ucieka!

Rozejrzałem się wokół. Kto, do jasnej cholery?! Wtedy go zobaczyłem: myszowaty. To on strzelał, to jego poszturchiwał Kondratiew. Pewnie wtedy podał mu broń, gadzina... Niemiec dobiegał już do linii drzew, jeszcze moment i zniknie w lesie. Najbliżej uciekiniera stał Katuszew.

– Tima! – wydarłem się rozpaczliwie, wskazując umykającego esesmana.

Chłopak zerwał się do biegu, ale nie sądziłem, żeby go dopadł: zbyt duży dystans. Szwab wyprzedzał Timę o dobre dwadzieścia metrów i rwał przed siebie niczym sprinter. Co prawda Katuszew błyskawicznie nadrobił kilka metrów, ale tamten wpadł już między drzewa. Niespodziewanie Tima wykonał zamach znad głowy, a Niemiec rozłożył ręce, jakby chciał złapać jakąś ogromną piłkę, i osunął się na ziemię. Co, u licha?! Czary? W kilka chwil znalazłem się przy powalonym. Tuż pod łopatką Niemca, nieco na lewo od kręgosłupa, tkwił wbity po rękojeść nóż. Zerknąłem na Katuszewa z niemal zabobonnym podziwem: trafienie poruszającego się celu z odległości kilkunastu metrów to rzeczywiście czarna magia. Takie sztuczki pokazują tylko w cyrkach. I oczywiście – oszukują. Można co prawda rzucić nożem bez rotacji, ale jedynie na krótki dystans. Podobnie z półrotacją. Fachowcy dawno to wszystko obliczyli, opracowali specjalne tabele. I ja, i Katuszew znaleźmy je na pamięć. Nóż o wadze około trzystu gramów i długości dwudziestu pięciu centymetrów? Wykona półobrót po przebyciu dwóch i pół metra. Pełna rotacja? Po pięciu metrach. Półtorej? Siedem i pół. Wszystko jasne, żadnych problemów. Tylko że dotyczy to nieruchomego celu. Każdy centymetr różnicy spowoduje, że nóż uderzy słabiej albo trafi rękojeścią. Cóż, być może Tima miał szczęście...

– Dobrze zrobiłem, *komandir*?

Chłopak miał minę złapanego na psocie urwisa.

– Dobrze, Tima.

– Bo zabroniliście mi noszenia pistoletu, nie noża...

– Wszystko w porządku – zapewniłem. – Możesz mieć przy sobie nóż. A jak chcesz, to i pistolet – dodałem po zastanowieniu.

Wolałem nie myśleć, co by się z nami stało, gdyby nie interwencja Katuszewa. Ucieczka Wotana... Mróz przeszedł mi po kręgosłupie. Lepiej by mi było zginąć tutaj, w walce. Albo i od kuli w plecy. Bo ani Stalin, ani Beria nie uwierzyliby, że to przypadek. Obaj z Szulginem zdechlibyśmy w jakiejś katowni, marząc o szybkiej śmierci.

– Naprawdę mogę i pistolet? – rozpromienił się chłopak.

– Naprawdę. – Poklepałem go po ramieniu.

Przerwał nam suchy odgłos strzału, obejrzałem się – któryś z żołnierzy dobijał Niemca. Gurłanow! Ciekawe, czy ten gnojek jeszcze żyje? Może coś z niego wyciągnę?!

Rzuciłem się biegiem, krzycząc, żeby oszczędzić rannych.

– Czekamy na ciebie – uspokoił mnie Szulgin.

Pułkownik zachował pokerową twarz, choć w jego głosie wyraźnie pobrzmiwała złość. Nie ma co, nieźle nas przerobił myszowaty... Prawda, że z kumplami. Tak czy owak, kariera Wotana-Houdiniego dobiegła końca. Dzięki Bogu...

Wszyscy Niemcy byli już martwi – w sumie niewielka strata, pewnie i tak nic nie wiedzieli poza tym, że ktoś im dostarczył kluczyki od kajdanek. To tylko pionki w grze Wotana. Taki to biznes. Gurłanow leżał na wznak z rozrzuconymi na boki rękoma. Jeszcze żył, choć krew na ustach świadczyła, że już mu niedługo...

– Kto cię zwerbował? Podaj nazwisko swojego łącznika! – wysyczałem przyciszonym głosem, uklękawszy przy chłopaku.

– Mówili mi... – wycharczał.

– Tak?

Jednak Gurłanow odpowiedział jedynie uśmiechem i skonał.

– Szlag by to trafił! – warknąłem. – Jeszcze minuta czy dwie i może coś by powiedział!

– Nie można mieć wszystkiego – odparł filozoficznie Szulgin.

Już się uspokoił, widać było, że przeanalizował sytuację i – mimo wszystko – rachunek wyszedł mu na plus. Rozumiałem go: rozkaz został wykonany mimo kontrakcji wroga, a kilkoma zabitymi żołnierzami nikt się nie będzie przejmował. No, nikt ważny. Pozostawało pytanie: co z Gurłanowem? Bo o tym, że Kondratiew, funkcjonariusz podległego Berii Smiersza, okazał się zdrajcą, trzeba będzie napisać w raporcie. Oj, nie będzie czego zazdrościć miejscowym, kiedy rozpocznie się śledztwo, głowy polecą jak gruchy. Żadnego z nas nie wzruszał też fakt, że tłumaczyć się będzie musiał i sam Beria. Tymczasem działania Gurłanowa rzucały cień na Smiersz Abakumowa i – nie ma co ukrywać – na mnie. Co to za *razwiedzczik*, który pozwolił się podejść wrogowi? Ba, żeby tylko podejść: przyhołubił go we własnej ekipie!

Rzuciłem pytające spojrzenie Szulginowi, ten niemal niezauważalnie pokręcił głową. Znaczy i jego zdaniem lepiej przedstawić zabitego kursanta jako ofiarę strzelaniny. Cóż, tak i zrobię.

Przywołałem gestem Potapowa – jak i koledzy stanął w pewnym oddaleniu, pewnie Szulgin wolał, żeby nie kręcili się zbyt blisko Gurłanowa.

– Jeszcze dzisiaj załatwię ci przeniesienie do *wojennej rozwiadki* – poinformowałem. – Tymczasem razem z Eleną i... eee...

– Antonem – podpowiedział spokojnie Lewartow.

– ...i Antonem zajmiecie się tym tutaj. – Ruchem głowy wskazałem zwłoki Gurłanowa. – Trzeba go rozebrać, sprawdzić kieszenie munduru, wszelkie rzeczy osobiste zebrać do koperty i przynieść mnie. Wszystko jasne?

– *Tak toczno!* – odpowiedzieli chórem.

– Towarzyszu pułkowniku, chciałbym o coś zapytać – odezwał się Potapow. – Na osobności.

– Nie mam sekretów przed swoimi ludźmi – odparłem spokojnie. – Możesz mówić tutaj.

– Ten zabity...

– Tak?

– On naprawdę do was strzelał?

– Owszem, a co?

– Jeden z naszych to widział. Znaczący kumpel ze sztrafbatu. Tylko on, nikt więcej, choć nie jest do końca pewien. Rozumiecie: była rozpierducha i nie miał czasu się przyglądać.

– Dobrze, że o tym powiedziałeś – mruknąłem. – To może być problem...

– Przecież i tak musicie ująć to w raporcie – zauważyła Elena. – Co, jeśli złapią jakichś współników Kondratiewa i Gurłanowa?

– Nie złapią – odpowiedziałem pewnie. – Nawet gdyby jacyś kręcili się wcześniej w okolicy, dawno już zniknęli. Wiedzieli, że niezależnie od rezultatów ataku na konwój zaraz potem rozpocznie się śledztwo. Nie mieli na co czekać. A jeżeli wspomnę o Gurłanowie, wy wszyscy włącznie z Potapowem wylądujecie w NKWD – wyjaśniłem szorstko. – Biorąc pod uwagę, że zdrajcą okazał się jeden z ludzi Berii, Genkom zrobi wszystko, żeby przerzucić część winy na was.

– Więc nie napiszecie o tym? – zapytał Lewartow.

– Nie napiszę. A ty – zwróciłem się do Potapowa – wyjaśnisz koledze, że mu się przywidziało. I z detalami opowiesz, co się stanie, gdyby wspomniał o tym któremuś ze śledczych. Bo wtedy czekałby zainteresowali się pewnie i sztrafbatem...

– Rozumiem – powiedział prędko. – Załatwię tę sprawę, on nie piśnie nawet słowa.

– Od tego zależy jego życie – podsumowałem. – A teraz do roboty!

– Tak jest!



Popijając gorącą herbatę, przypatrywałem się rzeczom, które zostały po kursancie Gurłanowie. Nie było tego wiele: dokumenty, stare zdjęcie przedstawiające jakąś dziewczynę i delikatny złoty krzyżyk wysadzany brylantami. Ten ostatni był zaszyty w mundurze. Kiedy mi go przyniesiono, osobiście sprawdziłem garderobę Gurłanowa, ale nie znalazłem już nic więcej. Gdzie on mógł go zdobyć? Błyskotka wyglądała na cenną. A może to pamiątka rodzinna? Cóż, tego pewnie nie dowiemy się nigdy, niestety, kursant Gurłanow zabrał wszystkie tajemnice ze sobą do grobu... Pochowano

go na cmentarzu w Woroszyłowgradzie jako poległego w walce z Niemcami. Pewnie za kilkanaście lat pionierzy i komsomolcy będą składali kwiaty na jego mogile. O ile, rzecz jasna, wygramy tę wojnę...

Zapaliłem papierosa, rozparłem się na siedzeniu. Tylko ja i Tima jeszcze nie spaliśmy, a dokładniej rzecz ujmując: nie udawaliśmy, że śpimy. Dochodziła północ, za oknami majaczyły drzewa, czasem mignęły jakieś światła, a może gwiazdy? Bywało, że nocną ciemność rozjaśniał snop iskier z komina lokomotywy. Anton i Witia leżeli spokojnie, choć rytm ich oddechów wskazywał, że jeszcze czuwają, Elena kręciła się nieustannie. Cóż, z oczywistych względów atmosfera w mojej małej grupie nie była najlepsza, mimo iż zniósłem prohibicję.

– Dlaczego on to zrobił? – odezwała się nagle Elena.

Chłopcy poruszyli się na posłaniach, ułożyli wygodniej.

– Nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą. – Od początku wydawał mi się dziwny. Pewnie obiecali mu coś, co skłoniło go do zdrady.

– Ale co? Bo chyba nie ten krzyżyk?

– To mógł być zadatek. Nielichy zadatek: na oko wart jest kilka, może kilkanaście tysięcy rubli.

– Ile?!

– Słyszałaś, parę tysięcy, może więcej. Nie jestem jubilerem. Brylanty są prawdziwe, ale nie potrafię dokładnie określić ich ceny.

– Więc zdradził nas dla pieniędzy?!

– Nie wiem – powtórzyłem cierpliwie. – Wątpię, czy tylko dla pieniędzy. Być może bawiło go to? Rozumiesz, jako gra, w której wyprzedzał nas o krok.

– Więc są i tacy? – wtrącił się Lewartow.

– To znaczy?

– No wiecie: gracze.

– Są. Powodów zdrady jest tyle, ilu ludzi: każdy ma swój. – Wzruszyłem ramionami.

– Spotkaliście się wcześniej z czymś takim? – spytał Potapow. – Ze zdradą wśród swoich?

– Owszem.

– I jak to się skończyło?

– Zabiłem zdrajcę – odparłem zimno. – Dość tych dyskusji! Śpijcie!

– Kiedy nie mogę – poskarżyła się cichutko Elena. – Próbuję i nic...

Podniosłem się z westchnieniem, podszedłem do dziewczyny.

– Ułóż się na lewym boku – poleciłem. – Nie, nie tak! Nie zakładaj nogi na nogę, bo obudzisz się zdrewniała albo i posiniaczona! Teraz zegnij lewą rękę w łokciu i połóż dłoń na szyi. Dobrze, to wszystko.

– I co to da?

– Układając dłoń w ten sposób, uciskasz lekko tętnicę szyjną zwaną *carotis communis*. Słowo *carotis* jest łacińską wersją greckich terminów oznaczających „oszołomienie” lub „głęboki sen”, bo już dawniej zaobserwowano takie objawy po naciśnięciu tętnic. To niezbyt zdrowa metoda, ale raz na jakiś czas i biorąc pod uwagę, że nic ci nie dolega...

Z rozbawieniem zauważyłem, że wszyscy poza Timą ułożyli się w opisanej przeze mnie pozycji. Dzieciaki...



Moskwa powitała mnie rzadką o tej porze roku mgłą i kiepskimi wiadomościami: z rzeki wyłowiono ciało pułkownika NKWD, niejakiego Osipowa. Zwłoki rozpoznano tylko po charakterystycznym tatuażu, bo choć leżały w wodzie nie dłużej niż dzień czy dwa, twarz i obie dłonie nieboszczyka oblane wcześniej kwasem. Oczywiście natychmiast dostałem wezwanie na Kreml. Można było przewidzieć, że nie obejdzie się bez kolejnej analizy autorstwa niejakiego Razumowskiego. Zapewne analizie przysłuchiwał się będzie towarzysz Beria, który nie omieszka zapamiętać wyżej wspomnianemu wszelkich dobrych rzeczy, jakie ten powie na temat NKWD... A że zostanę zmuszony powiedzieć to i owo o podległym Berii resorcie, nie ulegało wątpliwości: nieboszczyk Osipow wpisywał się w schemat, wstępne ustalenia potwierdziły, że w czasie ataku na Czernogołowkę pan pułkownik był nieobecny w pracy, chorował...

Swoją ekipę wysłałem do koszar, a sam pospieszyłem do domu. Na Kremlu miałem się stawić za dwie godziny, o dwunastej. Może zdążę jeszcze coś zjeść i wziąć kąpiel?

Poczułem zapach Shalimar na ułamek sekundy wcześniej, zanim ją zobaczyłem: Olga.

– Skąd się tu wzięłaś? – spytałem oszołomiony.

– I ja się cieszę, że cię widzę – mruknęła, całując mnie delikatnie. – Ci twoi kursanci powiedzieli, że już wróciłeś. Ojciec zadzwonił do mnie, no i przyjechałam.

Po krótkiej szarpaninie otworzyłem drzwi, wciągnąłem Olgę do przedpokoju, po czym odwzajemniłem jej pocałunek. Dużo mniej delikatnie. Zachichotała.

– Chyba się stęskniłeś – stwierdziła kokieteryjnie.

– Nie wierz mi na słowo, sprawdź – zaproponowałem.

– Och, Saszka! – Roześmiała się, zarzucając mi ręce na szyję.

Cóż, kąpiel poczeka. Śniadanie też... Na wszelki wypadek nastawiłem budzik na jedenastą: niestety, towarzysz Stalin czekać nie będzie, chociaż przydałoby się, żeby choć dzisiaj wyznaczył mi spotkanie na późniejszą godzinę. Bo wyglądało, że

odwiedzę go nieogolony i głodny.

Właśnie udało mi się rozebrać konsultantkę Majkowską, kiedy rozległo się walenie w drzwi. Zakląłem pod nosem, usiłując nie zwracać uwagi na łomot, ale intruz nie ustępował.

– Zabiję parszywca! – warknąłem i wyciągnąłem broń.

Olga umknęła do sypialni, poruszając się z zadziwiającą szybkością i wprawą, widać poznała już moje mieszkanie równie dobrze jak swoje...

Poliakow jednym rzutem oka ocenił mój rozchełstany mundur, ślady szminki na policzku, które sam zauważyłem w lustrze, wyraz twarzy i gotowy do strzału pistolet.

– Przykro mi, że przeszkadzam, ale to raczej nie mogło czekać – odezwał się posepnie.

Zaprosiłem go gniewnym gestem, zatrzasnąłem drzwi do sypialni.

– Co znowu?!

– Kolejne trupy – westchnął. – A cóż by innego?

– Jakie trupy?

– Z Czernogółowki. Żołnierze, którym kazałeś przeczesywać okolicę, natknęli się na zakopane w lesie zwłoki. Jedne z raną postrzałową z broni myśliwskiej, drugie z dziurą od wideł w brzuchu. Twarz i ręce obu spalono kwasem. Godzinę temu przywieźli je do Moskwy.

Zagryzłem wargi: znaczy dywersanci pozbyli się rannych, tak jak przewidziałem. Najprawdopodobniej to właśnie ich portrety narysowała Elena. Nikonow twierdził, że dzieciaki najlepiej zapamiętały zakrwawionych i wrzeszczących z bólu napastników. Tylko dlaczego w takim razie zabili i Osipowa? Musieli przecież wiedzieć, że w obiegu są tylko dwie podobizny, bo otrzymały je i milicja, i NKWD. Pozostałych nie pokazywałem nikomu z wyjątkiem Warwary Siemionowny, były za mało szczegółowe. Zresztą wśród „twarzy za szybą”, jak nazwałem je na swój użytek, nie było żadnej, która mogłaby należeć do mężczyzny w średnim wieku: Osipow miał pięćdziesiąt trzy lata. Szlag by to trafił, przed przyjazdem na Kreml będę musiał skoczyć i do kostnicy.

– Poczekaj na mnie na dole – poprosiłem.

Skinął głową i wyszedł bez słowa.

– Co się stało?

Olga wyglądała na zaniepokojoną.

– To tylko dodatkowa wizyta w kostnicy – odburknąłem. – Muszę się zbierać.

Niestety...

– Kiedy wrócisz?

– Nie wiem.

– Kilka minut chyba cię nie zbawi?

– Jakie kilka minut, na litość boską?! Muszę natychmiast...

Urwałem, widząc, że stanęła przy ścianie, wyginając się prowokacyjnie.

– Nie jestem entuzjastką szybkich numerków – oznajmiła. – Z drugiej strony jako dziewczyna żołnierza mogę się poświęcić od czasu do czasu...

Odchrząknąłem niepewnie.

– Przestańcie tracić czas, Razumowski! – upomniała mnie surowo.

Przestałem.



Przyszedłem punktualnie, ale Ławrentij Pawłowicz Beria siedział już przy biurku Stalina i demonstrował Głównodowodzącemu jakieś dokumenty. Jak się zorientowałem, sprawozdanie dotyczyło inwigilacji szpiega szkodnika Osipowa, podjętej na osobisty rozkaz Genkoma – jakże przezornie! – już kilka miesięcy temu. Według relacji Berii aresztowanie Osipowa było kwestią godzin. Niestety, zniknął on w ostatniej chwili, co przeszkodziło w zakończeniu operacji.

– Co o tym myślicie, Razumowski? – zapytał Stalin.

Westchnąłem ciężko: a już myślałem, że uniknę konfrontacji z Generalnym Komisarzem...

– Uważam, że to mylny trop, a Siemion Osipow był uczciwym człowiekiem. Osobiście wam oddanym – dodałem po namyśle.

– Naprawdę? – uniósł brwi Stalin. – Skąd ten wniosek? Bo Ławrentij Pawłowicz przekonywał mnie przez ostatnie pół godziny, że w NKWD zauważono podejrzaną zachowanie Osipowa już jakiś czas temu... No i ta jego śmierć. Czy to nie wy przewidywaliście, że w taki właśnie sposób bandyci usuną słabe ogniwa? Uniemożliwiając nam ich identyfikację?

– Rzeczywiście – przyznałem sucho. – Tylko że w lesie niedaleko Czernogółowki znaleziono zwłoki dwóch dywersantów zranionych czy też zabitych przez małżeństwo Kuznieców. W obu przypadkach posłużono się kwasem, aby zniszczyć ich odciski palców i zniekształcić twarze.

– A pułkownik Osipow?

– Bandyci chcieli rzucić podejrzenie na NKWD.

– Przecież sami twierdziliście, że w spisku biorą udział moi ludzie! – wrzasnęła Beria.

– Twierdziłem, że to najbardziej prawdopodobna wersja – poprawiłem. – I nadal tak sądzę. Jednak wątpię, żeby dotyczyło to akurat Osipowa. O znalezieniu zwłok w pobliżu Czernogółowki dowiedziałem się dosłownie przed paroma minutami, dopiero co przywieziono je do Moskwy. Zarządziłem już sekcję... Pracują nad tym

najwybitniejsi specjaliści. Podobnie jak nad sprawą Osipowa. Wyjaśnili oni na przykład, że sznur, którym przywiązano jakieś żelastwo do nóg zabitego, został nadcięty. Tak że można było przewidzieć, iż ciało prędzej czy później wypłynie...

– Dlaczego to zrobili?

Wyczuwałem bez trudu emocje targające Berią: strach, złość, rozpaczliwą nadzieję. Jednak Stalin pozostawał nieprzenikniony. Tak jakby rozgrywał partię szachów.

– Ziemia pali im się pod nogami, muszą czuć, że jesteśmy blisko.

– A jesteśmy blisko?

– Depczemy im po piętach, mamy portrety...

– ...dwóch nieżyjących bandytów – wszedł mi w słowo Stalin.

– Nie wiedzą, czy nie sporządzamy kolejnych, w końcu widzieli ich ludzie nie tylko w Czernogółowce – odparowałem.

– To możliwe?

– Raczej nie, zbyt wiele czasu upłynęło.

– Więc?

– Są w defensywie, nie sądzę, żeby zaatakowali w najbliższym czasie. Zabicie Osipowa to rozpaczliwe posunięcie, musieliśmy ich wystraszyć.

– Dlaczego rozpaczliwe?

– Nie mogą być pewni, że nie pozostawili świadków porwania czy śmierci Osipowa. To Moskwa, a nie jakaś wiocha.

– Co macie zamiar robić? Bo czas ucieka...

Dziękuję, towarzyszu Stalin, za przypomnienie! Tak jakbym mógł przestać myśleć o tym, że termin wyznaczony na zakończenie operacji zbliża się nieubłaganie.

– Znaleźć i przesłuchać świadków – odparłem krótko.

– Skąd zatem wasze przypuszczenia dotyczące Osipowa? Dlaczego wykluczacie jego udział w sprawie? Skoro nawet nie przesłuchaliście świadków, o ile tacy w ogóle istnieją?

– No właśnie! – warknął Beria.

– Nie mam stuprocentowej pewności – przyznałem. – To raczej graniczące z pewnością przekonanie.

Generalny Komisarz nabrał powietrza w płuca i poczerwieniał jak burak, ale Stalin powstrzymał go jednym ruchem dłoni.

– Na czym je opieracie?

– On miał dość specyficzny tatuaż. A raczej: tatuaże.

– Tak?

– Na lewym przedramieniu wyraz „Wiera”, na prawym ramieniu litery „SWS”.

– No wiem, dlatego tak szybko rozpoznano ciało.

– Nasuwa się pytanie: dlaczego nie zostały zniszczone przez zabójców?

– Bo ich nie widzieli! – nie wytrzymał Beria. – Musieliby go rozebrać, a widać nie

mieli na to czasu, stąd nie przypuszczali, że może mieć jakieś tatuaże!

– Gdyby był członkiem bandy, pewnie wiedzieliby o nich – zauważyłem łagodnie.

– Więc uważacie, że fakt, iż nie wiedzieli o tatuażach, świadczy na korzyść Osipowa? – upewnił się Stalin.

– Na korzyść Osipowa świadczy rodzaj tatuaży i to, że jego mordercy ich nie usunęli – doprecyzowałem. – Bo że wiedzieli o nich, jestem pewien. Nie można zabić pułkownika NKWD ot tak, na ulicy. W dodatku takiego jak Osipow. Jestem pewien, że wcześniej przeprowadzili dokładne rozpoznanie, a tatuaże pozostawili specjalnie, żebyśmy szybko zidentyfikowali ciało. W tym samym celu nacięli sznur. Mieli nadzieję, że skierują śledztwo na błędny trop. Przynajmniej na jakiś czas.

– Nie rozumiem, co takiego niezwykłego było w Osipowie?

– Nie czytałem jego akt, ale założę się, że zanim wstąpił do NKWD, był frontowym żołnierzem.

– Ławrentij?

– Osipow od ponad dwudziestu lat pracował w naszym resorcie – stwierdził z satysfakcją Generalny Komisarz.

– W takim razie działał na linii frontu – nie ustępowałem. – *Osobyj otdieł* albo...

– Owszem – przerwał mi Beria. – I co z tego?

– Lekarz, z którym rozmawiałem, twierdzi, że wyraz „Wiera” został wytatuowany już dawno, w dodatku jest ledwo widoczny, bo Osipow starał się go usunąć.

– Ciekawe, w jaki sposób można zlikwidować tatuaż? – parsknął Genkom.

– Tak jak robią to *blatni*: pumeksem. To żaden problem – zapewniłem. – Trzeba do tego tylko sporo cierpliwości, silnej woli i ponadprzeciętnej odporności na ból... Wydaje się, że Osipowowi nie brakowało żadnej z tych cech.

– A ten drugi tatuaż? Co z nim?

Głównodowodzący wyraźnie zainteresował się sprawą.

– Wykonano go niedawno, rok, góra dwa lata temu. To trzy litery: SWS. Skrót od: *Smiert' Wrogom Stalina*. Takie tatuaże robią sobie tylko frontowi żołnierze, często z elitarnych oddziałów. Uważają się za rodzaj bractwa. Łączy ich jedno: oddanie dla towarzysza Stalina... Nie sądzę, żeby ktoś taki mógł zdradzić. A gdyby nawet, tatuaż nosiłby wtedy ślady po pumeksie, tak jak ten stary. Jednak jest nietknięty, Osipow nie próbował go usunąć.

– Taak... Ciekawe, bardzo ciekawe...

Stalin sięgnął po kapciuch z tytoniem, niespiesznie nabił fajkę.

– To wszystko tylko domysły Razumowskiego! – wybuchnął Beria. – On...

– Uważasz, że się myli? – wszedł mu w słowo Stalin.

– Ja...

– Do czasu wyjaśnienia sprawy powstrzymać wszelkie represje wobec rodziny pułkownika Osipowa – polecił Głównodowodzący nieznoszącym sprzeciwu tonem.

- Tak jest! – odparł ponuro Beria.
- A wy, Razumowski, zakończcie wreszcie to dochodzenie! Zakończcie je jak najszybciej!
- *Tak toczno!*



Zakląłem, wdepnąwszy w kałużę po ostatnim deszczu. Sam byłem sobie winien, nie patrzyłem pod nogi, rozmyślałem. Od kilku godzin miałem wrażenie, że coś bardzo istotnego umyka mojej uwadze. Tylko co? Nie ulegało wątpliwości, że trzeba poszukać świadków tego, co stało się z Osipowem. Miałem zamiar polecić to swojej ekipie, zadanie wydawało się proste i nieskomplikowane, dzieciaki powinny dać sobie radę.

Zasalutowałem wartownikowi, przyspieszyłem kroku. Wszyscy poza Kotuszewem mieli zajęcia ogólnorozwojowe, Tima ćwiczył z białogwardzistą Majką. Trudno, najwyżej przerwę im trening.

Otworzyłem drzwi baraku, skrzywiłem się, czując intensywny zapach potu i środków czyszczących. Mogliby przewietrzyć salę gimnastyczną. Zamarłem z ledwie uchwytną, cierpką wonią w nozdrzach. Nie wiedzieć dlaczego kojarzyła mi się z Eleną. Chemikalia? Nie. Niezupełnie. Lek? Przecież dziewczucha jest zdrowa jak koń... Cholera, balsam Szostakowskiego! Wreszcie połączyłem zapach ze wspomnieniem: facet z krzaczastymi, podobnymi do gąsienic brwiami pachniał właśnie tak! Dlatego cały czas chodziło mi to po głowie: Elenę czuć było balsamem Szostakowskiego. Być może nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy, mój węch nie był tak doskonały jak u Olgi, lecz podświadomość wiedziała swoje. Nie spotkałem faceta w szpitalu, lecz na sali gimnastycznej! Myśl, Razumowski! Myśl! Wiedziałem, że rozwiązanie zagadki mam na wyciągnięcie ręki. Najprawdopodobniej widziałem go właśnie tu, w koszarach. Co prawda ćwiczyłem i w szpitalu – moje nogi wymagały rehabilitacji, ale tam nikt nie używał balsamu Szostakowskiego. Nikt nie musiał, rekonwalescenci nie trenowali aż tak intensywnie, żeby leczyć później siniaki. Co innego tutaj, w centrum szkolenia Smiersza.

No dobrze, załóżmy, że spotkałem faceta w koszarach na Siemionowskiej. Pozostaje wyjaśnić, kim jest. Instruktorem? Smiersz szkoliło wielu instruktorów, ale w moim rachunku liczyło się tylko troje: Majko, Orłowa i specjalista od broni palnej Dymitrow – tylko oni mieli stały, codzienny kontakt z kursantami. Niestety, każde z nich miało sforę asystentów, których nie widziałem na oczy. Tak więc możliwe, że to pomocnik instruktora. Kursant? Możliwe. Tylko że żaden z tych smarkaczy nie potrafiłby zaplanować i przeprowadzić ataków na rodziny żołnierzy. Ktoś musiał nimi

dowodzić. Nie, bzdura, przecież kursanci nie mogli wychodzić poza teren koszar! Cholera! Znowu coś przeoczyłem! Wróćmy do zabójstwa Osipowa. Dlaczego zamordowano go właśnie teraz? Co wystraszyło dywersantów? Mimo tego, co powiedziałem Stalinowi, bardzo wątpiłem, żeby zlikwidowali pułkownika NKWD, nie mając konkretnego powodu. Owszem, mogli się martwić, czy lada dzień nie roześlemy kolejnych portretów, ale gdybyśmy je mieli, śmierć Osipowa niczego by nie zmieniła: zbadalibyśmy, rzecz jasna, tę sprawę, ale poszukiwania bandytów szłyby swoim torem. Bez najmniejszych zakłóceń. Nie, tu musi chodzić o coś innego... Zastanówmy się logicznie: jeśli coś przestraszyło dywersantów, musiało mieć miejsce w ciągu kilku ostatnich dni. Tyle że nic takiego się nie wydarzyło... Nic związanego ze sprawą. Chyba że w czasie mojej nieobecności stało się coś, o czym mnie nie poinformowano... Nie, znowu bzdura! Tamtych mogło wyprowadzić z równowagi jedno: śmierć kolejnego członka bandy albo sporządzenie następnego portretu.

Nagle zgiąłem się wpół jak po nokautującym ciosie: Kid! Kid Gurłanow! Osipow zginął zaraz po tym, gdy do Moskwy doszła informacja o śmierci chłopaka! Gurłanow nie osłaniał ucieczki Wotana, nie miał z nią nic wspólnego, po prostu skorzystał z okazji. Co robili Niemcy i ten były czekista – jak mu tam? – Kondratiew? Zaatakowali ludzi stanowiących zagrożenie dla myszowatego, dla Wotana. Znaczących wszystkich mających karabiny, nie pistolety! Dlatego Niemcy rzucili się na eskortę, zostawiając w spokoju mnie, Szulgina i kursantów. Bo my mieliśmy jedynie broń krótką i wiadomo było, że jeśli myszowaty oddali się choćby na kilkadziesiąt metrów, nie będziemy w stanie nic zrobić: zbyt duży dystans. Gurłanow...

Zatem kolejność zdarzeń była następująca: dywersanci, przestraszeni tym, że depczę im po piętach, postanowili mnie zabić i wyznaczili do tego Gurłanowa. Kiedy Gurłanow nie tylko nie wykonał zadania, ale i sam zginął, poszli na ryzyko i zamordowali Osipowa, żeby skierować śledztwo na fałszywy trop. Jednak skąd wiedzieli, że to akurat ja zajmuję się sprawą ataków na rodziny żołnierzy? Przecież do tajemnicy nie dopuszczono nawet Abakumowa... Nie dopuszczono? Pewnie! Tylko że po ostatnim występie towarzysza Stalina stało się oczywiste, że Elena brała udział w tajnej operacji pod moim dowództwem. Gławkom powiedział to wprost, otwartym tekstem. Znając plastyczne talenty Eleny, nietrudno było wyciągnąć wniosek, że to właśnie dzięki niej sporządzono portrety przestępców. Do tego kłania się chronologia: dziewczyna wyjechała z Moskwy zaraz po ataku na Czernogółówkę, a niedługo później pojawiły się portrety. Tak, tu wszystko jasne... A kto przekabacił Gurłanowa? I w jaki sposób? Mimo wszystko, werbując narybek do Smiersza, przeprowadzono elementarną selekcję i bardzo wątpliwe, aby dostał się tu ktoś o poglądach antykomunistycznych. Te wszystkie rekomendacje z Komsomołu czy miejscowych organizacji partyjnych... Nie, niemożliwe. A niechby nawet! Załóżmy, że przez sito rzeczywiście prześliznęli się jacyś wrogowie państwa, Stalina lub ustroju

komunistycznego. Ilu ich mogło być? Na pewno nie kilkudziesięciu! A przecież banda liczyła przynajmniej trzydzieści osób. Wniosek? Ktoś musiał ich zwerbować tutaj, w koszarach... Do tego ostatnie słowa Gurłanowa brzmiały: „mówili”. Oni, liczba mnoga.

Wiedziałem, że moja hipoteza jest niekompletna, być może myślę się w detalach, ale czułem całym sobą, że trafiłem na właściwy trop. Rozwiązałem zagadkę. Przygryzłem wargi, przypomniawszy sobie znaleziony u Gurłanowa krzyżyk. Szlag by to...

Szarpnąłem gwałtownie drzwi i przechwyciwszy spojrzenie Eleny, pokazałem gestem: „Cała grupa do mnie!”.

– *Komandir?* – spytała zdyszana.

– Za pięć minut przed barakiem. Lewartow, leć po Katuszewa i Majkę!

– Mogę wziąć najpierw prysznic?

Moje spojrzenie wystarczyło mu za odpowiedź, wystartował jak do biegu na sto metrów.

– Co się...

– Cztery minuty – powiedziałem zimno, stukając w szkiełko zegarka.

Wyszedłem przed barak, odetchnąłem głęboko, wreszcie roześmiałem się bezradośnie. Wrogowie państwa? Po cholere ich szukać? Byli tu od początku: białogwardyjscy instruktorzy... Wysadzany brylantami krzyżyk nie był zapłatą za zdradę, stanowił znak braterstwa. Być może cała organizacja miała charakter religijny? Cóż łatwiejszego, niż przekonać grupkę dzieciaków, że służą Antychrystowi, i zaproponować alternatywę? I skłonić do bezprzykładnego okrucieństwa – wszak w walce z szatanem wszystkie chwytaki są dozwolone...

Pospieszny tupot oznajmił nadejście Katuszewa i Majki.

– Co się stało? – odezwał się zaniepokojony instruktor.

Ująłem go pod ramię, odprowadziłem na bok.

– To klucze od mojego mieszkania – powiedziałem. – Za godzinę macie tam być z Olgą. I weźcie ze sobą wszystko, co potrzebne.

Trwało dobrą chwilę, zanim Majko uświadomił sobie, co oznacza moje polecenie. Cóż, wiedział, że taki dzień nadejdzie prędzej czy później...

– Będziemy tam – odparł krótko.

– Jeszcze jedno.

– Tak?

Opowiedziałem mu w kilku słowach o spisku, przytknąłem lufę pistoletu do boku. Aby mnie zabić, potrzebował przynajmniej pół sekundy, ja na naciśnięcie spustu dużo mniej. Zrozumiał to natychmiast, skrzyżował ręce na piersi.

– Wasz komentarz?

– Zwariowałeś?! Naprawdę podejrzewasz, że brałbym udział w czymś takim? Morderstwa kobiet i dzieci?! Tortury?! Gwałty?!

Wściekłość w jego głosie była głęboka i autentyczna, ale zabrakło w nim zaskoczenia. Majko coś wiedział.

– Więc?

– Powiedziałem już...

– Kto zaopiekuje się Olgą, kiedy was zabiję?

Umilkł, zacisnął wargi.

– Słucham!

– To Orłowa – wycedził przez zaciśnięte zęby. – To jej pomysł...

– A dokładniej?

– W tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku Kołczak powołał tajny departament wojny psychologicznej: było oczywiste, że musimy walczyć nie tylko o ziemię, ale i poparcie ludzi. Bo i bolszewicy nie zaniedbywali agitacji. Decyzja o powołaniu departamentu okazała się słuszna, niestety, przyszła zbyt późno, listopadowa kontrofensywa czerwonych pogrzebała wszelkie nadzieje na sukces. Wówczas opracowano desperacki plan: niewielkie mobilne oddziały w bolszewickich mundurach miały dokonywać pogromów wśród ludności na terenach, które lada moment wpadłyby w łapy czerwonych, zaraz potem wkraczaliby tam nasi werbownicy. Korzyści z zastosowania takiej taktyki miały być dwojakie: masowe poparcie dla naszej sprawy i rozbudzenie antykomunistycznych nastrojów. Dzięki temu rosłaby w siłę zarówno regularna armia, jak i oddziały partyzanckie działające na tyłach wroga. W późniejszym okresie specjalnie przeszkoleni dywersanci mieli zaatakować wioski zamieszkałe przez rodziny bolszewickich żołnierzy, co miało doprowadzić do buntów na froncie oraz ułatwić przyszłą ofensywę...

– I co z tym planem?

– Nigdy go nie zrealizowano, Kołczak wydał stanowczy zakaz dalszej pracy nad projektem, a niedługo później rozwiązał departament.

– Czym jeszcze zajmowali się jego pracownicy?

– Wieloma rzeczami. Może doprecyzuj pytanie?

– Chodzi mi o oddziaływanie psychologiczne, próby agitowania ludności cywilnej, przewerbowania jeńców...

– Tak, pracowali nad tym najwybitniejsi specjaliści, elita naukowa kraju.

– Rozumiem, że nie na darmo?

– Z pewnością, ale nie znam szczegółów.

Czyli wiadomo już, w jaki sposób Orłowa zebrała swoją grupę, ci wszyscy komsomolcy czy kołchoźnicy nie mieli żadnych szans...

– Ostatnia sprawa: Dymitrow.

– Na pewno jest w grze – odparł zdecydowanie Majko.

– Dlaczego?

– Już wtedy był jej kochankiem i ochroniarzem.

– Za godzinę w moim mieszkaniu – przypomniałem, chowając broń.

Majko skinął głową i odszedł pospiesznie. Trzasnęły drzwi baraku i pojawiła się moja ekipa. Zerknąłem na zegarek: zdążyli, choć Witia Potapow miał niedopięty mundur, a Szewieliewa mokre włosy.

– Elena!

– Tak, *komandir*?

– Wyjeżdżaliście z koszar na jakieś szkolenia?

Znałem odpowiedź, zanim dokończyłem pytanie: wieża spadochronowa! Na początku naszej znajomości Abakumow wspominał coś o wieży spadochronowej. Ta mogła, rzecz jasna, znajdować się na terenie koszar, ale przecież korzysta się z niej tylko po to, żeby przygotować ludzi do prawdziwych skoków. Kursanci musieli opuszczać koszary! Do tego gadał o szkoleniu ogniowym z użyciem prawdziwej amunicji, a to też raczej wskazuje na poligon, nie na strzelnicę. Brawo, Razumowski! Bezblędna dedukcja!

Kopnąłem ze złością jakiś kamyk – gdybym pomyślał o tym wcześniej...

– Oczywiście – odparła ze zdziwieniem dziewczyna. – Każdy musiał zaliczyć trzy skoki spadochronowe, do tego Dymitrow organizował regularnie...

Powstrzymałem ją gwałtownym gestem. Wszystko jasne, Dymitrow...

– Wytrzymaj wreszcie te włosy – powiedziałem szorstko. – Za chwilę chcę was widzieć pod biurkiem Abakumowa. Z bronią.

– Co się... – zaczął Lewartow.

Zgasiłem go jednym spojrzeniem, nie byłem w nastroju do dyskusji.

– Wykonać!

– *Tak toczno!* – padła zgodna odpowiedź.

Pomaszerowałem pospiesznie do dyżurki, musiałem zadzwonić na Kreml oraz do generała Iliczowa. Miałem nadzieję, że spełnił moją prośbę i ulokował grupę operacyjną, która towarzyszyła mi w Czernogołowce, w moskiewskim ośrodku łączności. Jeśli nie, będę miał problemy. Duże problemy...



Tatiana Orłowa mieszkała w niewielkim domku na terenie koszar. Jak na osobę, która wykładała warunkowo i pod nadzorem – imponujące osiągnięcie. Majko i Dymitrow musieli zadowolić się jedynie małymi pokojkami w hotelu oficerskim. No nic, wyjaśnimy i tę sprawę. Prędzej czy później. Biorąc pod uwagę okoliczności, raczej prędzej niż później.

Pilnujący drzwi żołnierz skinął nieznacznie głową: znaczy wszystko w porządku.

Wiedziałem, że Orłowa jest wewnątrz. Sama i bez broni.

Zapukałem, nie słysząc zaproszenia, nacisnąłem klamkę. Tak jak się spodziewałem, Orłowa oczekiwała mnie na piętrze. Zapewne tkwiła tam przyklejona do szyby, odkąd usłyszała odgłosy walki i zauważyła wartę przed domem. Zawsze to lepszy widok niż z parteru...

Niestety, nie obyło się bez strat: większość kursantów wzięliśmy bez jednego strzału, ale Dymitrow i kilku asystentów stawili opór. Efekt: jeden zabity i pięciu rannych. Cóż, nie mieliśmy do czynienia z nowicjuszami. W dodatku co bystrzejsi spiskowcy wiedzieli, że lepiej im zginąć w walce, niż dostać się do niewoli. Nie pozwoliliśmy na to, wszyscy przeżyli. Pozostała tylko Orłowa.

Kiedy wszedłem do elegancko urządzonego salonu, obrzuciła mnie spojrzeniem intensywnie zielonych oczu. Jej wzrok uwodził, obiecywał, błagał. Ubrała się skromnie i nie wątpiłem, że z rozmysłem – miała na to dostatecznie dużo czasu. Podobnie jak i na analizę sytuacji. Wiedziała, że wszystko zależy ode mnie.

Czarna suknia o prostym kroju kontrastowała z nieskazitelną, świetlistą bielą jej skóry, obrysowywała sylwetkę, stanowiła wyzwanie, a zarazem sugestię. Skromność i erotyzm, zabójcza mieszanka. Ciekawe, czy i na kursantach próbowała tych sztuczek? Dyskretny zapach drogich perfum stanowił harmonijne dopełnienie całości, ale ja czułem jeszcze inną woń: smród krwi i śmierci, jak w Czernogółowce. Tak wyraźnie, jakby przyniósł ją niespodziewany podmuch wiatru. Pudło, towarzyszko Orłowa, tu nie znajdziecie kupca na swój towar.

Musiała wyczytać odpowiedź w moich oczach, bo nagle zawiodły ją nogi i ciężko opadła na krzesło.

– Czy użyczycie mi broni? – spytała głucho.

W jej głosie pobrzmiwał strach. Nie abstrakcyjny lęk przed nieznanym, ale płynące z głębi trzewi, zwierzęce przerażenie. Tatiana Orłowa wiedziała, co ją czeka. Dokładnie i z detalami.

– Proście o to jako o łaskę?

– Tak! Błagam!

– Czy omotani przez was ludzie okazali komukolwiek łaskę?

Zagryzła wargi do krwi, oboje wiedzieliśmy, że pytanie jest retoryczne.

– Zabijcie mnie! Zasłużyłam na to!

– Zasłużyłaś na spotkanie z towarzyszem Berią! – warknąłem, porzucając kurtuazyjny ton. – Biorąc pod uwagę, że to jego resort był pod podejrzeniem, zapewne będzie miał ci wiele do... powiedzenia.

Odgłos, który wydobył się z jej gardła, przypominał skowyt. Przez chwilę myślałem, że się na mnie rzuci, ale ostatecznie skoczyła do okna. Nawet nie drgnąłem, kiedy wybiła łokciem szybę. Chwyciła trójkątny odłamek szkła i spróbowała przeciąć sobie tętnicę. Nie wyszło. Tępe ostrze niechętnie pruć ciało. Zawyla. Po chwili

podwinęła suknię – tym razem w jej geście nie było nawet cienia erotyzmu – i rozorwała udo. Jak i przed chwilą: bezskutecznie. Szybkie, zadawane z determinacją ciosy sprawiły, że spłynęła krwią, ale żaden nie zahaczył o arterię. Były zbyt płytkie i nieprecyzyjne. Tatiana Orłowa natrafiła na barierę bólu. Nie ona pierwsza, nie ona ostatnia. Widząc błękitne niteczki tuż pod skórą, wyobrażamy sobie, jak łatwo je przeciąć i unicestwić. Nic bardziej błędnego! Ludzkie ciało jest elastyczne i broni się przed okaleczeniem, a niszczony tkanki reagują bólem, budzą pierwotny instynkt przetrwania. Aby dopiąć swego, trzeba go zwalczyć i pokonać ból. Nie każdy to potrafi.

– Błagam! – zawołała, wyciągając do mnie okrwawione dłonie. – Pomóżcie mi!

Pokręciłem przecząco głową. Z szaleństwem w oczach uderzyła we własny brzuch niczym japoński wojownik usiłujący popełnić honorowe samobójstwo. Ponownie nie wyszło, jedynie na sukni przybyła jeszcze jedna, ciemniejsza plama, a pokaleczone szkłem dłonie zrobiły się śliskie od krwi. Za płytko, towarzyszeko, zdecydowanie za płytko...

– Zrobię wszystko! – wybełkotała. – Wszystko!

– Gdzie są dokumenty: fałszywe rozkazy wyjazdu, podrobione legitymacje NKWD, spis...

– Mam je tutaj – przerwała mi gorączkowo.

Wypuściła z rąk okrwawione szkło, wysunęła szufladę mahoniowej sekretery.

– Są w podwójnym dnie, ale boję się je pokrwać. Reszta jest w sejfie pod moim łóżkiem, w sypialni.

– Odsuń się!

Odpełzła pospiesznie pod ścianę, skuliła się jak ranne zwierzę. Nie bawiłem się w subtelności, rozłupałem drewno nożem. Skrytka okazała się nadspodziewanie pojemna: czyste blankiety z pieczęcią NKWD, kartki na żywność, szczegółowa mapa okręgu moskiewskiego pokryta jakimiś znaczkami...

– Mapa? – spytałem lakonicznie.

– Naniesiono na nią kolejne... cele i rozlokowanie stałych posterunków drogowych.

– Skąd braliście formularze i legitymacje NKWD?

– Narzeczona jednego z asystentów Dymitrowa pracuje w resortowej drukarni. On sam także został tu przeniesiony z NKWD.

No tak, przecież Abakumow zabrał ze sobą część kadr z poprzedniego miejsca pracy...

– Otwórz sejf – poleciłem.

Próbowała stanąć na nogi, ale nie dała rady, rany okazały się poważniejsze, niż się wydawało.

– Szybciej! – ponagliłem.

Powłokła się na czworakach, jęcząc z bólu, spróbowała sięgnąć klamki.

Otworzyłem drzwi, poczekałem, aż doczołga się do łóżka. Odsunęła dywanik, sejf podłogowy był tuż przy brzegu, widać nikomu nie chciało się wpełzać głębiej. Ciekawe, czy został tu z dawnych czasów, czy sami go zamontowali?

– Już?

– Tak, gotowe.

– Pod ścianę!

Przestawiłem solidne drewniane łożo, ostrożnie uchyliłem pancerne drzwiczki. Kazałbym zrobić to Orłowej, bo wewnątrz mogła być pułapka, ale bałem się, że zapapra krwią dokumenty.

– Tam jest wszystko – wyszłochała. – Legitymacje na fałszywe nazwiska, lecz z prawdziwymi fotografiami, formularze...

– Czy Majko i jego córka brali w tym udział?

Wreszcie zadałem pytanie, które od godziny paliło mi usta.

– Majko? – powtórzyła nieprzytomnie.

– Majko i jego córka – wycedziłem.

Uniosła głowę, przez moment jej oczy rozbłysły nienawiścią: no tak, ostatnia szansa, żeby się zemścić. Wymownym gestem poklepałem kaburę. Tym razem nie była to groźba, lecz obietnica.

– Nie, nigdy, on by się nigdy nie zgodził! – zawołała. – Jego córki nie widziałam na oczy, nie utrzymywaliśmy kontaktów. Proszę – wyszeptała. – Proszę...

Nacisnąłem spust. Dwa strzały w pierś, kontrolny w głowę. Usłyszałem tupot ciężkich żołnierskich butów, do domku weszli moi ludzie. Tak jak się umówiliśmy. Zabezpieczą dokumenty, a jeden z nich napisze protokół, z którego będzie wynikało, że zastrzeliłem Orłową w obronie własnej. Pewnie zyskałbym w oczach Berii, gdybym mu ją oddał, jednak po namyśle stwierdziłem, że nienawidzę go bardziej niż jej. Cóż, Generalny Komisarz musi obejść się smakiem... Tak czy owak, trzeba było się zbierać, miałem jeszcze wiele do zrobienia. Wyciągnąłem tylko z kieszeni garść bilonu i rzuciłem na ciało Orłowej. Nie musiałem liczyć drobniaków, nosiłem je przy sobie od dawna, dokładnie półtora rubla...



Oczekiwali mnie w kuchni, przy herbacie. Kiedy przyszedłem, Olga naląła i mnie. Nie zwróciłem na to uwagi, w chwili stresu człowiek robi różne dziwne rzeczy, ale ja nie miałem na to czasu. Pomaszerowałem do sypialni, wykręciłem numer NKWD, podałem nazwisko i kazałem połączyć się z Berią. O dziwo, Genkom zgłosił się niemal natychmiast, najwidoczniej zdążył wydać odpowiednie dyspozycje.

- Słucham! – rzucił ostro.
- Towarzyszu Generalny Komisarzu, melduje się...
- Przejdźcie do konkretów, Razumowski! – polecił niecierpliwie.

W jego głosie wyczułem obawę. Wiedział, co się dzieje – wcześniej poinformowałem Stalina, a ten na pewno zdążył porozmawiać z Berią. Problem w tym, że Głównodowodzący pozostawił sprawę likwidacji spisku w moich i *wojennej rozwiędki* rękach. Stąd troska Generalnego Komisarza: nie wiedział, co będzie zawierał mój raport, na ile go obciąży.

– Dywersantami dowodzili instruktorzy Smiersza, wiecie, ci z białogwardyjską przeszłością. Pojmaliśmy żywcem większość z nich, zabezpieczyłem wszystkie dokumenty, jeszcze dziś przekażę wam listę ludzi z waszego resortu, którzy im pomagali. Nie ma ich wielu, to tylko parę osób – dodałem pocieszająco.

– Rozumiem – powiedział ostrożnie, lecz już z mniejszym napięciem. – Na ile zamieszana jest w to moja organizacja?

- Trudno powiedzieć, ze wstępnych ustaleń wynika, że raczej marginalnie.
- Czego chcecie? – zapytał szorstko. – Jeśli wydaje wam się, że...
- Potrzebuję pomocy – odparłem, zniżając głos.
- Pomocy?!

– Ciszej! – syknąłem. – Ostatni z instruktorów, którzy mogli brać udział w tej aferze, jest u mnie w domu. Z córką. Potrzebuję ludzi, żeby ich aresztować, sam nie dam rady, a moja ekipa jest w koszarach. To przynajmniej pół godziny drogi, wolę nie ryzykować.

– Mam wam wysłać grupę z NKWD? – zdziwienie w głosie Genkoma było niemal namacalne. – Przecież towarzysz Stalin zabronił mi...

– Nie ma czasu na certolenie się – przerwałem mu bezceremonialnie. – Odpowiedzialność biorę na siebie. Możecie nagrać tę rozmowę. Tak naprawdę nigdy was nie podejrzewałem – zapewnilem. – Ludzi z waszego resortu, ale nie was.

- Dobrze – powiedział Beria. – Za dziesięć minut grupa powinna być na miejscu.

Najwyraźniej Generalny Komisarz nie zastanawiał się długo... No i nie dziwota: jeśli pomoże mi w aresztowaniu, będzie mógł przypisać sobie część zasług i zrehabilitować się w oczach towarzysza Stalina.

– Tylko postarajcie się, żeby to była mocna ekipa – poprosiłem. – Widziałem, co potrafi ten Majko.

- W porządku – burknął. – Czekać.

Odłożyłem słuchawkę, otarłem pot z czoła. Cóż, za parę minut okaże się, komu życie, komu śmierć...

Stali tuż za drzwiami, nie ulegało wątpliwości, że słyszeli moją rozmowę. Olga była blada jak śmierć, Majko niemal siny z wściekłości.

- Schowaj to, matole! – warknąłem, patrząc na wycelowany we mnie pistolet. – Nie

mamy czasu na idiotyzmy!

– Chyba jednak znajdę chwilkę – wycedził przez zęby Majko.

– Saszka, dlaczego...

– Cisza! – krzyknąłem. – Nie ma czasu na wyjaśnienia! Za parę minut będą tu ludzie Berii, musimy się zastanowić, jak to rozegrać.

– Mam ci uwierzyć, po tym jak...

– Przecież mogłem cię zatrzymać już w koszarach – wytknąłem. – A później przyjechać po Olgę.

Majko zacisnął usta, ale schował broń.

– Dlaczego? – zapytał.

– Chcę żyć – przyznałem. – Dlatego nie mogę was wypuścić ot, tak sobie.

– Będą nas ścigali.

– I tak by to robili.

– Od dawna nie mam nic wspólnego z Orłową i Dymitrowem!

– To nie ma znaczenia. Najmniejszego. Przecież dobrze o tym wiesz. W tej sytuacji wykończą wszystkich białych instruktorów. I ich rodziny...

– Co zrobimy?

– Zabijesz ich. – Wzruszyłem ramionami. – Zostawisz tylko jednego, no i mnie...

– To nierealne. – Pokręcił głową. – Oni chodzą po trzech, być może tyłu dałbym radę załatwić z zaskoczenia, ale jeśli przyjdzie ich więcej, a przyjdzie! nie dam rady. Będą uzbrojeni. Gdybyś nie poprosił o silną ekipę...

– ...nie przeżyłbym tygodnia – dokończyłem ponuro.

– Tak czy owak, musisz mi pomóc.

Bez słowa sięgnąłem do biurka, rzuciłem na blat spory skórzany woreczek i tekturową teczkę.

– Sto imperiałów i fałszywe dokumenty – poinformowałem zwięźle. – Nie do odróżnienia od prawdziwych. Nie próbujcie dziś wyjeżdżać z Moskwy, przyczajcie się. Za tydzień czy dwa zniosą blokady, wtedy ruszycie.

– Moglibyśmy... – zaczął Majko.

– Nie! Nie chcę wiedzieć! Masz broń?

– Służbowy pistolet.

– Umiesz strzelać „po macedońsku”, z obu rąk?

– Tak, Dymitrow mnie nauczył, dawno temu, kiedy jeszcze rozmawialiśmy ze sobą.

– Świetnie! Trzymaj!

Podąłem mu nagana, powinien być przyzwyczajony do tej broni. Dla siebie wybrałem dwa lahti, wreszcie przydadzą mi się pamiątki z wojny z Finlandią. Nie mogłem użyć swojego tokariewa.

– Saszka, ja...

– Natychmiast idź do kuchni!

– Tato...

– Idź, kochanie – powiedział miękko Majko. – Później porozmawiamy.

Kiedy usłyszałem trzask zamykanych drzwi, podszedłem do okna. Teraz pozostaje nam tylko czekać. No i liczyć na szczęście. Ilu ich przyjedzie? Pięciu? Sześciu? Jeśli więcej, zginiemy wszyscy... Pozostawała jeszcze inna kwestia: w starciu z przeważającym liczebnie przeciwnikiem potrzebna nam była jak największa siła ognia, stąd i ja wziąłem dwa pistolety. Problem w tym, że z obu rąk strzelałem do tej pory jedynie na treningach. Sama idea jest prosta, przynajmniej jeśli chodzi o prowadzenie ognia do jednego celu – wystarczy trzymać po spluwie w każdej dłoni i złączyć je, zahaczając kciukiem o kciuk. Niestety, trafienie dwóch przeciwników naraz wymaga już ponadprzeciętnej koordynacji ruchów i wprawy. Niektórzy nie są w stanie tego dokonać mimo wielomiesięcznych ćwiczeń. Próbowałem tej techniki i wcześniej – bezskutecznie. Dopiero ostatnio zaczęła mi wychodzić. Na strzelnicy...

– Przyjechali – mruknął ponuro Majko. – W dwa samochody.

Z zaciśniętymi zębami liczyłem wychodzących: sześciu. Cholera! Jeżeli choć jeden nie zostanie przy wozach... Został, w bramę weszło pięciu.

– Idź do salonu – poleciłem. – Przymknij, ale nie zamykaj drzwi. Powiem im, że jesteście w kuchni, kiedy zobaczą Olgę, zaczniemy strzelać. Będę za ich plecami, ty wyjdiesz z lewej. Kuchnia jest po prawej stronie przedpokoju, więc powinniśmy ich zaskoczyć. Może damy radę...

– Olga...

– To nasza jedyna szansa – przerwałem mu zdecydowanie. – Pamiętaj tylko, że ten ostatni musi przeżyć! Olga! – krzyknąłem. – Stań nieco pod kątem od drzwi! Tak, żeby nie mogli strzelać od razu!

– Dobrze, Saszka!

Nawet jeśli ten, który pierwszy stanie w drzwiach kuchni, będzie musiał wycelować, potrwa to sekundę, nie więcej. W końcu to zawodowcy. Czy zdążymy? Zależy, kogo ściągnął tu Beria: miałem nadzieję, że pod ręką byli tylko przeciętniacy.

Ktoś zapukał do drzwi, niegłośnie, jak przyzwyczajony do częstych wizyt sąsiad. Żadnych dzwonek czy walenia pięścią. Szlag! Znaczący nie wysłali idiotów.

Otworzyłem z ręką na kaburze, drugi pistolet trzymałem w kieszeni.

– Ach, to ty, Michałycz – powiedziałem głośnie.

Uniosłem dłoń z dwoma wyprostowanymi palcami, gestem wskazałem kuchnię. Ruszyli naprzód: ustawili się po obu stronach framugi, dowódca bezgłośnie odliczał do trzech. Zacząłem strzelać na „dwa”. Majko pojawił się niczym duch, otworzył ogień w przykłęku. Ludzie Berii padali jak kręgle, po chwili zapadła cisza, czuć było tylko zapach krwi i prochu.

– Saszka, tato, żyjecie?

– Wszystko w porządku, córeczko!
– Nie ma czasu na dyskusje – powiedziałem gniewnie. – Ten ostatni będzie tu za minutę! Odsuń się!

– Co chcesz...

Uderzyłem w drzwi tak, żeby rozkrwawić pięści, po czym dwoma starannie wymierzonymi ciosami trafiłem Majkę w twarz, wreszcie opuściłem ręce.

– Pamiętaj! To musi wyglądać wiarygodnie!

W odpowiedzi skinął głową, otarł krew z ust.

– Co chcesz zrobić, Saszka? – spytała zaniepokojona Olga.

– Wracaj do kuchni! Natychmiast wracaj...

Nie dokończyłem, zadane z potworną siłą uderzenie pozbawiło mnie tchu. Później słyszałem jedynie krzyk Olgi i zapadłem w ciemność.



I znowu leżałem w szpitalu numer trzynaście, jak dawniej opiekowała się mną Warwara Siemionowna. Tyle że tym razem ulokowano mnie na pierwszym piętrze: moja rana nie zagrażała życiu. Połamane żebra także... Majko stłukł mnie do nieprzytomności i postrzelił, pocisk przeszedł pod obojczykiem, o włos mijając tętnicę. To był mistrzowski i nie ma co ukrywać – ryzykowny strzał. Jednak spełnił swoje zadanie: nikt nie podejrzewał mnie o zмовę z Olgą i jej ojcem. Przecież od razu wezwałem pomoc, podkreślając, że zatrzymanie Majki może być niebezpieczne. No i było: przeżyłem tylko ja i jeden z ludzi Berii, ten, który wszedł do mojego mieszkania ostatni. Musiał przeżyć, żeby zaświadczyć o mojej niewinności, zeznać, że widział mnie leżącego w kałuży krwi razem z trupami swoich kolegów. Niczyich wątpliwości nie budził także fakt pojawienia się u mnie dwójki najbardziej poszukiwanych obecnie przestępców – wszyscy wiedzieli, że Olga to moja kochanka.

Wojennaja razwiedka przekazała towarzyszowi Stalinowi wszystkie dokumenty, jakie oddała mi Orłowa, i protokoły z przesłuchań spiskowców. Fama głosiła, że Głównodowodzący był zadowolony. Nieco mniej zachwycony był Beria: nieudane aresztowanie Majki nie dodało splendoru NKWD.

Ponieważ sekcja zwłok wykazała, że z czekistami walczyły dwie osoby, uznano, że Olga tylko udawała niewidomą. Potwierdziły to zeznania mojej ulubionej sąsiadki Iry Worobiowej. Kiedy Majko i Olga wychodzili z budynku, ta jak zwykle zerkała na korytarz. Olga w jakiś sposób to wyczuła i ostrzegła ojca, a ten kopnął uchylone drzwi, łamiąc Worobiowej nos i szczękę. Ot i wisienka na torcie...

Rozmyślania przerwało mi pukanie – na rozkaz Stalina umieszczono mnie

w luksusowo wyposażonej izolatce.

– Tak?

– Macie gości – poinformowała mnie lekarka.

Jak zwykle pojawiła się nieco naburmuszona, wciąż pamiętała, że odrzuciłem jej awanse. Emma Wasiliewna, najlepszy chirurg „Trzynastki”...

– Kto tym razem? – spytałem.

Odkąd Warwara Siemionowna pozwoliła na odwiedziny, wizytowali mnie już Nikonow, staruszki i Poliakov.

– Podobno to wasi ludzie. Jest wśród nich jakaś dziewczucha – dodała oskarżycielsko.

– Ach tak? To córka mojego przyjaciela.

– Doprawdy?

– Tak, Michałyczka. Wiecie, tego, który zmarł po amputacji stóp.

– Znajomego Warwary Siemionowny?

– Uhm.

– Cóż, bawcie się dobrze – rzuciła i wyszła.

– *Komandir?*

– Wchodźcie – mruknąłem.

No, no, ekipa w pełnym składzie: Tima, Lewartow, Potapow i, rzecz jasna, Elena. Chwileczkę, a to co za czort? Skąd ja znam tego faceta?

– Chciałem wam podziękować za pomoc. – Mężczyzna w milicyjnym mundurze uściśnął mi rękę. – Spotkaliśmy się w Czernogółowce – powiedział, widząc moją minę.

Rzeczywiście: Tokariew. Teraz go sobie przypomniałem.

– Za pomoc?

– Dzięki wam schwytałem mordercę Rumiancewa i posadziłem Korfów. Okazało się, że Rumiancewa zabił były więzień, tak jak przypuszczaliście. Wynajął go Miszka Korf.

– Gratuluję – odparłem obojętnie.

– Lepiej wam, *komandir?* – wtrąciła Elena.

Uniosłem brwi: dziewczyna miała łzy w oczach i trzymała moją dłoń tak, jakby nigdy nie zamierzała jej puścić.

– Czuję się już nieźle – zapewniłem.

– Jak ona mogła?! Myślałem, że jest w was zako...

Pacnąłem Elenę w nos, tak jak to się robi z gryzącymi buty szczeniakami.

– Auć! Za co?!

Pokazałem gestem: nie teraz, nie tutaj! Po namyśle skinęła głową, choć nie sądziłem, żeby udało mi się na długo uciec od rozmowy na temat Olgi. Cóż, lepsze to niż nic. Olga... Miałem nadzieję, że jest już daleko. Bezpieczna. Od likwidacji spisku

minęły dwa tygodnie.

Niezręczne milczenie przerwał Tokariew.

– Awansowałem – pochwalił się, wskazując pagony. – Na starszego sierżanta. Gdybym mógł wam kiedyś w czymś pomóc...

– W zasadzie to możesz – odparłem, bezwiednie przechodząc na ty.

– Tak?

– Chciałbym pogadać z babką Agłają – wyjaśniłem.

– Anastazją – poprawiła mnie Elena.

– Nieważne, jak zwał, tak zwał. – Machnąłem ręką. – Możesz mnie zaprotegować? Bo ona chyba nie za bardzo lubi obcych?

– Owszem – przyznał Tokariew. – Zajmuje się teraz dziećmiakami Kuznieciców – dodał pozornie bez związku.

– Dotrzymałem słowa! – warknąłem. – Baba, która to wszystko wymyśliła, nie żyje, zabiłem ją osobiście! Pozostali dywersanci zostaną rozstrzelani lada moment!

– Nie wątpiłem nawet przez chwilę, że spełnicie obietnicę – odparł uspokajającym tonem. – I oczywiście pomówię z babką Anastazją. Naprawdę interesują was te jej opowieści? – zapytał ciekawie.

Przytaknąłem, nie dając jednak żadnych wyjaśnień. Nie wątpiłem, że Anastazja zetknęła się kiedyś z Doskonałymi albo kimś, kto ich mocno przypominał. Wpadało zbadać sprawę. Wszelkie informacje na temat sekciarzy były na wagę złota, wiedziałem, że prędzej czy później spotkam mistrza Doskonałych i wystawię mu rachunek za to, co zrobił. Z lichwiarskimi odsetkami. I tym razem zatroszczę się, żeby pozostał martwy.

Von Ziethen... Znienacka powróciły do mnie rozpacz i ból, jakie czułem po śmierci swoich ludzi. Zacisnąłem pięści: idę po ciebie, von Ziethen!

KONIEC CZĘŚCI 1



POSŁOWIE

Ćwiczenia oddechowe – przedstawione w powieści ćwiczenia oddechowe oparte są na tekstach taoistycznych. Taoiści uważali, że podobne praktyki (przede wszystkim tak zwany oddech embrionalny) nie tylko działają leczniczo, ale i obdarzają adepta ponadnaturalnymi mocami.

Penicylina – historia penicyliny w ZSRR obrosła wieloma legendami i trudno dziś znaleźć (nawet w artykułach publikowanych w fachowych czasopismach) dane, które nie budziłyby żadnych wątpliwości. Jest to poniekąd zrozumiałe, bo ze względu na wojnę prace nad tym lekiem toczyły się w specyficznym reżimie i część dokumentów utajniono. Początkowo badaniami kierowała Zinaida Wissarionowna Jermoljewa. Choć już wcześniej ukazywały się na Zachodzie artykuły o działaniu penicyliny, dopiero w 1941 roku zespół radzieckich naukowców otrzymał dokładniejsze informacje (prawdopodobnie przekazane przez rosyjski wywiad) na temat opracowanego w Anglii preparatu otrzymanego na bazie grzybków *Penicilium*. Rosjanie rozpoczęli więc własne badania i w 1942 roku otrzymali podobnie działający, choć jeszcze niedokładnie przetestowany środek. Jeszcze w tym samym roku zastosowano rosyjską penicylinę na chorych w przyfrontowych szpitalach, choć w mocno ograniczonym zakresie. Na szerszą skalę zaczęto testować środek dopiero pod koniec 1944 roku. Choć jakość leku podobno przewyższała zachodnie preparaty (w 1944 roku zaprezentował je w Moskwie Howard Walter Florey), Rosjanom brakowało technologii pozwalającej wytwarzać go w dużych ilościach. Stąd przez cały okres wojny i jakiś czas po niej był to specyfik deficytowy. W 1943 roku mogli go

otrzymać jedynie wybrani pacjenci.

Czyżyk-pyżyk – tak jak wyjaśniono w powieści, żartobliwa piosenka o czyżyku-pyżyku dotyczyła uczniów Imperialnej Szkoły Prawniczej w Sankt Petersburgu. Do momentu likwidacji instytucję tę ukończyło około dwóch tysięcy osób, w tym wiele znanych osobistości. W 1925 roku oskarżono grupę „licealistów” o przynależność do „kontrrewolucyjnej organizacji monarchistycznej”, część z nich została skazana na śmierć i rozstrzelana, inni znaleźli się w łagrach. Jednak obecnie ta popularna do dzisiaj piosenka mało komu kojarzy się z epoką komunizmu czy prawnikami z czasów monarchii. Występuje w kilku wersjach (wśród nich są także nieprzyzwoite), a w 1994 roku postawiono czyżykowi-pyżykowi pomnik na Fontance.

Noże i sztylety – nóż nazywany NR-40 (od słów *noż razwiedczika*) lub NA-40 (*noż armiejskij*) wszedł w użycie w 1940 roku. Wojna radziecko-fińska wykazała wiele niedostatków w organizacji i wyposażeniu Armii Czerwonej, w tym także jeśli chodzi o broń białą. Prawdopodobnie prototypem tej broni była tak zwana finka NKWD, nóż produkowany dla potrzeb NKWD od 1935 roku. Mniej więcej w tym samym czasie w ZSRR weszły w życie restrykcyjne przepisy, jeśli chodzi o posiadanie, wytwarzanie i noszenie noży typu „fińskiego”. Związane to było z faktem powszechnego używania noży przez przestępców (często nosili je oni za cholewą buta). W 1940 roku w ramach kursu Sambo wyszło opracowanie dla enkawudzistów pod tytułem „Podstawowe zasady posługiwania się krótkim fińskim lub norweskim nożem”. Materiał ten zawiera między innymi ilustracje przedstawiające punkty vitalne, warianty uchwytu i techniki obrony nożem przed nieuzbrojonym napastnikiem. W rok później zasady walki nożem znalazły się w „Przewodniku do treningu walki wręcz Armii Czerwonej”. Nóż NR-40 od początku cieszył się dużym uznaniem. Najpierw otrzymali go żołnierze uzbrojeni w pistolety maszynowe (bagnety wydawano tylko do karabinów), później stał się on popularny w całej armii. Ponieważ oficjalny producent nie był w stanie zaspokoić zapotrzebowania (mimo że wytwarzano setki tysięcy egzemplarzy rocznie), noże produkowano też w innych zakładach i warsztatach przyfrontowych, co powodowało, że różniły się one w detalach od oryginału. Poza użyciem w boju noże te wręczano w charakterze nagrody (tak zwany nóż generalski), pełniły one też funkcję ceremonialno-ozdobną: w 1943 roku żołnierzom Uralskiego Ochotniczego Korpusu Pancernego robotnicy (także pochodzący z Uralu) podarowali „noże fińskiego typu” z czarnymi rękojeściami. Stąd Niemcy nazwali tę jednostkę Dywizją Czarnych Noży.

Sztylet Fairbairna-Sykesa, nazywany także czasem nożem szturmowym Fairbairna-Sykesa, został opracowany krótko przed drugą wojną światową przez dwóch brytyjskich oficerów: Williama E. Fairbairna i Erica A. Sykesa. Obaj związani byli

z policją municypalną Szanghaju, uchodzącą wówczas za „najtwardszą” policję świata (niemal codziennie na ulicach miasta dochodziło do aktów przemocy o podłożu kryminalnym bądź politycznym). Opracowany przez nich niesłychanie efektywny system walki spowodował, że powołano ich do armii brytyjskiej i skierowano do szkolenia komandosów oraz służb specjalnych mimo zaawansowanego wieku (obaj mieli pod sześćdziesiątkę). Sztylet FS błyskawicznie uzyskał sławę „najbardziej morderczego” ostrza drugiej wojny światowej, związane to było nie tylko z jego skutecznością, ale i opracowaną przez Fairbairna „tabelą czasów śmierci”, zawierającą wykaz punktów witalnych, których porażenie powodowało zgon w czasie minut i sekund.

Kontrinigilacja i kontroserwacja – czynności obejmujące przeciwdziałanie skrytej obserwacji, podsłuchowi itp. Przedstawiona w książce metoda sprawdzenia, czy nie jest się śledzonym, oparta jest na autentycznej technice nazywanej SDR (*Surveillance Detection Run*).

Filmy – pisząc jakikolwiek tekst literacki, staram się do obrazu przedstawionego w nim świata włączać jak najwięcej elementów autentycznych. Opisując przygody Razumowskiego, chciałem poznać realia epoki, aby spojrzeć na świat niejako oczyma bohatera. Czytałem pamiętniki i wspomnienia ludzi, którzy żyli w tamtym okresie, studiowałem reklamy rozmaitych produktów, wyjaśniałem, ile kosztował bochenek chleba, a ile butelka wódki. Oglądałem, rzecz jasna, i filmy. Premiera „Nieuchwytnego Jana” miała miejsce 8 marca 1943 roku. Razumowski mógł go oglądać na wiosnę tego roku, podobnie jak i film o Kotowskim czy ukraińskich partyzantach. Lubię rosyjskie kino, jednak wymienione w powieści obrazy obejrzałem jedynie z obowiązku: stężenie komunistycznej propagandy było tak wysokie, że zabiło wszelką przyjemność.

Polacy w Armii Czerwonej i w Leningradzie – wszyscy słyszeli o armii Andersa czy utworzonych później polskich armiach komunistycznych, dużo mniej powszechna jest wiedza na temat losów Polaków, którzy zostali siłą wcieleni do Armii Czerwonej po zajęciu przez Rosjan polskich Kresów Wschodnich czy Litwy. Istniała też spora grupa naszych rodaków, którzy od dawna zamieszkiwali w Rosji, przybywszy tam po rozbiorach lub powstaniach. W czasie drugiej wojny światowej około dwóch tysięcy Polaków walczyło w obronie Leningradu, wielu z nich odznaczono i awansowano za męstwo w boju. Większość wywodziła się z pokaźnej niegdyś sanktpetersburskiej Polonii. Polacy brali udział w budowie tego miasta, pierwsze wzmianki o naszych rodakach odnotowano w miejskich kronikach już w 1711 roku, stanowili też znaczącą

grupę pośród wykładowców Petersburskiego Uniwersytetu Państwowego i Petersburskiej Akademii Medycznej. Przed pierwszą wojną światową Petersburg zamieszkiwało siedemdziesiąt tysięcy Polaków, po wojnie i rewolucji październikowej w mieście pozostało około trzydziestu czterech tysięcy. 24 stycznia 2004 roku na cmentarzu Piskariowskim w Sankt Petersburgu odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej poświęconej Polakom – obrońcom Leningradu. W czasie wojny na tym cmentarzu chowano ofiary głodu, bombardowań, zimna i chorób, w sumie czterysta siedemdziesiąt tysięcy cywili i pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. W najtragiczniejszym dla Leningradu 1942 roku oczekujące na pochówek zwłoki składowano w przyzmach, było ich około dwudziestu, dwudziestu pięciu tysięcy.

Balsam Szostakowskiego (inne nazwy: *Vinilin*, *Polyvinox* i *Vinylinum*) – preparat ten został wynaleziony przypadkiem w 1939 roku, gdy Szostakowski próbował przeprowadzić syntezę nowej żywicy polimerowej. Był to specyficzny okres w ZSRR: poszukiwano intensywnie nowych środków pomocnych w leczeniu ran, odmrożeń i oparzeń, prawdopodobnie w ramach przygotowań do nadchodzącej wojny. Naukowcy i lekarze otrzymali wytyczne, aby każdą nowo uzyskaną substancję weryfikować pod względem medycznym. Jak się okazało, balsam Szostakowskiego wykazał swoją skuteczność w leczeniu i ochranianiu oparzeń, odmrożeń, odparzeń i ran wojennych, odznaczając się szczególnymi właściwościami ochraniającymi skórę i błonę śluzową poprzez utworzenie warstwy izolującej, osłaniającej przed drażniącymi czynnikami zewnętrznymi. Wykazywał też działanie przeciwbólowe, przeciwświądowe, wspomagał oczyszczanie ran, zapobiegał szerzeniu się infekcji (dzięki właściwościom bakteriostatycznym i fungistatycznym), redukowałam obrzęki, zmniejszał i rozmiękczał blizny. Radzieccy lekarze zachwycili się balsamem, stosowano go w leczeniu dziesiątek chorób i dolegliwości. Wybuch wojny jeszcze zwiększył obszar jego zastosowania. Ze względu na trudności w zaopatrzeniu (brakowało przyklepców i specjalnych klejów do unieruchamiania opatrunków) zaczęto w tym celu wykorzystywać lepki, klejący się do skóry *Vinilin*. Preparat okazał się tani w produkcji i łatwy do przechowywania, a szczególne potrzeby czasu wojny spowodowały, że łączono go z innymi substancjami zwiększającymi bądź poszerzającymi jego właściwości lecznicze. W 1943 roku nie było chyba radzieckiego żołnierza (a pewnie i cywila), który nie zetknąłby się z tym środkiem.

Srebrne pierścienie SS (niem. *Totenkopfring*, *SS-Ehrenring*) – srebrne pierścienie z trupa czaszką stanowiły nagrodę dla „wyróżniających się” oficerów SS. Od 17 października 1944 roku w związku z tragicznym położeniem militarnym Trzeciej Rzeszy wstrzymano przyznawanie pierścieni. Do tego czasu wręczono je czternastu

tysiącom pięciuset esesmanom. Oblicza się, że wiosną 1945 roku około 64% z nich znalazło się na zamku w Wawelsburgu w związku ze śmiercią właścicieli. Około 10% zaginęło w trakcie walk, ponieważ nie zawsze towarzysze zabitego mogli zdjąć pierścień i zwrócić go Himmlerowi. Pod koniec wojny w rękach nagrodzonych pozostawało blisko trzy i pół tysiąca egzemplarzy. Tuż przed klęską Trzeciej Rzeszy podjęto decyzję o ukryciu przechowywanych w Wawelsburgu pierścieni. Nie odnaleziono ich do dzisiaj. Mimo że oficjalnie wytwarzaniem pierścieni zajmowała się jedynie firma Otto Gahr, istnieją drobne różnice w ich wyglądzie (wytwarzano je w kilku wariantach). Inną kwestią są podróbki... Pierwsze fałszywki powstały jeszcze w trakcie wojny – posiadanie pierścienia nobilitowało, mimo że nie miał on statusu nagrody państwowej, lecz był jedynie podarkiem Himmlera. Podrabiane pierścienie przygotowywano nielegalnie, często robili to więźniowie obozów koncentracyjnych. Po wojnie – ze względu na stosunkowo niewielką liczbę będących w obiegu oryginałów – zaczęto fałszować je na dużą skalę, gdyż były one poszukiwane przez kolekcjonerów. Podobno spora część kopii została przygotowana przez polskich jubilerów, charakteryzują się one jakością przewyższającą pierwowzory... Dobrej jakości podróbkę można odróżnić od autentyku jedynie poprzez sprawdzenie nazwiska nagrodzonego w archiwum SS i analizę metalu, z którego wykonano sygnet. Opisany w powieści pierścień nie jest wytworem mojej imaginacji, rzeczywiście został przyznany esesmanowi nazwiskiem Diers w 1940 roku. Biorąc pod uwagę, że wystawiono go na aukcję w rosyjskim antykwariacie, można przypuszczać, że jego właściciel długo się nim nie nacieszył.



ADAM PRZECHRZTA

Historyk, doktor nauk humanistycznych, pedagog, autor artykułów na temat historii, sztuk walki nożem i okinawańskiego karate. Interesuje się działaniami służb specjalnych. Jako pisarz zadebiutował w 2006 roku, od tego czasu wydał pięć powieści oraz tom opowiadań. Zwolennik czytania przy jedzeniu. Czytuje wszystko, od podręczników pszczelarstwa, poprzez literaturę głównonurtową i fantastyczną, aż po romanse dla pań. Te ostatnie przeważnie w poczekalni u dentysty. Marzy o świętym spokoju.

Książki Adama Przechrztzy
wydane nakładem naszego wydawnictwa

1. Pierwszy krok
2. Chorągiew Michała Archanioła
3. Wilczy Legion
4. Białe noce
5. Demony Leningradu
6. Demony wojny – część 1

COPYRIGHT © BY Adam Przechrzta
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., 2013

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-723-2

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Paweł Zaręba

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE Matej Toman

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ Dariusz Nowakowski

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

ADAM PRZECHRZTA

DEMONY WŹJNY

**Wspaniała, zaskakująca kontynuacja
Demonów Leningradu.**

Mroczna i brutalna opowieść Trochę powieść wojenna, trochę sensacja w niezwykłych realiach. Aleksander Razumowski jest prawdziwym twardzielem, który Jamesa Bonda zjadłby na drugie śniadanie, jednak obcując z okrutnikami pokroju Genkoma Ławrientija Berii, nie wiadomo, co się zdarzy za chwilę, skąd padnie cios.


Bezlitosny świat NKWD, GRU i walk pomiędzy wywiadami oraz polityczne czystki. Adam Przechrzta niezwykle drobiazgowo odtwarza realia życia w sowieckiej Rosji podczas wojny.

**Z każdą przeczytaną stroną
chcesz więcej i więcej...**



fabrykaslow.com.pl



 facebook.com/fabryka

Wyłączny
dystrybutor

Patroni medialni

